

przy pomocy finansowej Ministerstwa Kultury
Per Olov Enquist
Wizyta królewskiego konsyliarza
[przełożył: Mariusz Kalinowski]
Jacek Santorski & Co Agencja Wydawnicza 2005
Tytuł oryginału Livlakarens besök
Redakcja Maria Fuksiewicz Bohdan Sławiński
Projekt okładki Maciej Szymanowicz
Korekta
Bogusława Jędrasi
Ewa Jastrun
Skład
Adam Poczciwek
Maria Kowalewska
195Ź
Copyright © Per Olov Enquist 1999
First published by Norstedts Förlag, Stockholm
Copyright © for the Polish edition by Jacek Santorski & Co 2005
ISBN 83-89763-27-3
Druk i oprawa WDG Drukarnia w Gdyni Sp. z o. o.
Jacek Santorski & Co Agencja Wydawnicza
ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa
www. j santorski.pl
e-mail: wydawnictwo@jsantorski.pl
Dział handlowy: tel. (022) 616 29 36, 616 29 28
faks (022) 616 12 72

Oświecenie jest tryumfem człowieka nad jego niedorosością, zawinioną przez niego samego. Niedorosość to jest niezdolność do używania własnego rozumu bez przewodnictwa jakiegoś mentora. Ta niedorosość jest samozawiniona, gdy jej powodem nie jest brak rozumu, lecz brak odwagi, aby go używać. Do Oświecenia nie trzeba niczego poza wolnością, tą wolnością, która oznacza możliwość wszechstronnego i publicznego używania własnego rozumu. Gdyż powołaniem każdego człowieka jest myśleć samodzielnie.

Immanuel Kant (1783)

J4.ról zwierzył mi w zaufaniu, że jest pewna kobieta, która w tajemny sposób włada Wszechświatem. Ponadto, że istnieje jakoby krąg mężczyzn wybranych po to, aby wyrządzali wszelkie zło na świecie, i że wśród nich jest siedmiu, obranych specjalnie, w ich liczbie on sam. Jeśli obdarza kogoś swą przyjaźnią, oznacza to, że także ów jest jednym z tego wybranego kręgu.

U.A. Holstein: Pamiętniki

... , * ^ _,-_>..u-r.

ICH

O n N

N rTP

^

i

Rozdział 1

Winobraniec

1. Dnia 5 kwietnia 1768 doktor Johann Friedrich Struensee dostał posadę konsyliarza króla duńskiego, Chrystiana siódmego, a po upływie czterech lat ścięto mu głowę.

Dziesięć lat później, 21 września 1782, gdy wyrażenie „czasy Struenseego” już było w powszechnym obiegu, poseł angielski w Kopenhadze, Robert Murray Keith, donosił w raporcie dla swojego rządu o pewnym drobnym incydencie, którego był świadkiem. Incydent ów uznał za zdumiewający.

Dlatego pisał o nim raport.

Obecny był na przedstawieniu teatralnym w Teatrze Dworskim w Kopenhadze. Wśród publiczności zasiadali również Król, Chrystian siódmy, i Ove Høegh-Guldberg, realnie sprawujący polityczną władzę w Danii, praktycznie jedynowładca.

Tytułowano go „premierem”.

Raport dotyczył spotkania posła Keitha z Królem.

Poseł zaczyna od wrażenia, jakie wywarła na nim powierzchowność króla Chrystiana siódmego, zaledwie trzydziestotrzylatka: „Wydaje się już starcem, bardzo mały, wychudły i z zapadniętą twarzą, jego płonące oczy świadczą o chorobliwym stanie duszy”. Ów „szalony”, jak pisze, król Chrystian, przed rozpoczęciem przedstawienia błąkał się między publicznością, mamrocząc coś, i z dziwacznymi drgawkami mięśni twarzy.

Guldberg ani przez chwilę nie spuszczał go z oka.

Dość osobliwa była ich wzajemna relacja. Można by ją opisać jako „chory i jego opiekun” albo „para rodzeństwa”, lub jakby

9

Guldberg był ojcem chorego czy nieposłusznego dziecka; lecz Keith używa wyrażenia „niemal czuła”.

A jednocześnie pisze, że ci dwaj zdawali się związani z sobą w jakiś „nieomal perwersyjny” sposób.

Nie było perwersyjne, że ci ludzie, o których wiedział wszak, jak ważne role odegrali za czasów duńskiej rewolucji, wówczas jako wrogowie, obecnie byli na siebie w ten sposób skazani. „Perwersyjne” było to, że Król sposobem bycia przypominał zaleknionego, ale posłusznego psa, a Guldberg jego surowego, ale kochającego właściciela.

Jego Wysokość jakby łąsił się lekliwie, jakby się prosił wręcz, żeby go kopnąć. Dwór nie traktował Monarchy z szacunkiem, raczej go ignorowano lub usuwano się na bok ze śmiechem, gdy nadchodził, jak gdyby chciano uniknąć jego żenującej obecności.

Jak uprzykrzone dziecko, którego od dawna wszyscy już mieli dość.

Nikt nie przejmował się Królem, z wyjątkiem Guldberga. Król trzymał się przez cały czas trzy, cztery metry za Guldbergiem, podążał za nim uniżenie, co wyglądało, jakby się obawiał, że może zostać porzucony. Czasami Guldberg, gestem dłoni albo miną, dawał Królowi dyskretne sygnały. Działo się tak za każdym razem, gdy ten mamrotał zbyt głośno, zakłócał swoim zachowaniem spokój, albo oddalał się nadmiernie od Guldberga.

Na taki sygnał król Chrystian posłusznie i pośpiesznie „przy-dreptywał”.

Raz, gdy królewskie mamrotanie stało się wyjątkowo hałaśliwe, Guldberg podszedł do Króla, łagodnie ujął go za ramię i coś szepnął. Król wtedy zaczął się kłaniać, mechanicznie, raz za razem, pośród nerwowych tików, niemal konwulsyjnie, tak jakby duński król był psem, chcącym zaświadczyć o kompletnym posłuszeństwie i oddaniu swojemu kochanemu panu.

Kłaniał się tak bez ustanku, aż Guldberg kolejnym szepnięciem położył kres tym dziwacznym monarszym podrygom.

10

Wtedy Guldberg pogładził życzliwie Króla po policzku i został za to nagrodzony uśmiechem tak pełnym wdzięczności i oddania, że oczy posła Keitha „wypełniły się łzami”. Ta scena, pisze, tak była nasycona rozpaczliwym tragizmem, że prawie aż nie do zniesienia. Odnotował życzliwość Guldburga, czy też jego, jak pisze, „poczucie odpowiedzialności za małego chorego Króla”, oraz fakt, że pogarda i szyderstwo, którym publiczność dała wyraz, do Guldburga nie miały przystępu. On zdawał się jedynym, który brał na siebie odpowiedzialność za Króla.

Jednak powtarza się w raporcie wyrażenie: „jak pies”. Traktowano duńskiego monarchę jak psa. Z tym, że Guldberg wydawał się otaczać tego psa odpowiedzialną i czułą opieką. „Widzieć ich razem - a obaj byli co do swojej fizycznej postury dziwacznie mali i niedorozwinięci - to było dla mnie wstrząsające i osobliwe przeżycie, gdyż wszelka władza w kraju, de iure i de facto, miała swe źródło w tych dwóch osobliwych karłach”.

Raport poświęca jednak gros uwagi temu, co wydarzyło się podczas owego teatralnego przedstawienia i po nim.

W środku spektaklu, który był komedią francuskiego poety Gresseta, Le mechant, król Chrystian powstał nagle ze swego miejsca w pierwszym rzędzie, wdrapał się chwiejnie na scenę i zaczął grać, jakby był jednym z aktorów. Przybierał pozy aktorskie i recytował coś, co mogłoby uchodzić za repliki; rozpoznawalne były słowa „tracasserie” i „anthropophagie”. Keith odnotował zwłaszcza to ostatnie słowo, które, jak wiedział, znaczyło „kanibalizm”. Król najwyraźniej bardzo przejął się spektaklem i wydawało mu się, że jest jednym z aktorów; ale Guldberg spokojnie wszedł tylko na scenę i uprzejmie wziął Króla za rękę. Wtedy ten zamilkł natychmiast i dał się sprowadzić z powrotem na swoje miejsce.

Publiczność, składająca się wyłącznie z dworzan, zdawała się przyzwyczajona do tego typu incydentów. Nikt nie zareagował konsternacją. Dały się słyszeć pojedyncze śmiechy.

11

Po przedstawieniu serwowano wino. Tak się złożyło, że Keith wtedy stał w pobliżu Króla.

Ten zwrócił się w stronę Keitha, którego widocznie rozpoznał jako angielskiego posła, i jękając się usiłował wyłożyć mu główną treść sztuki. „Chodziło w niej, powiedział mi Król, o to, że tyle zła nosili w sobie ci ludzie u dworu, iż byli podobni małpom lub szatanom; cieszyły ich cudze nieszczęścia, trapiły sukcesy, to jakby to, co w czasach druidów zwano Kanibalizmem, Anthropophagią. A zatem bylibyśmy pośród Kanibalów”.

Cały ten „wybuch” królewski, jak na chorego psychicznie, sformułowany był, pod względem językowym, nad podziw gładko.

Keith tylko przytakiwał, markując zainteresowanie, jakby to wszystko, co Król mu powiedział, było ciekawe i rozsądne. Jednak odnotował, że dokonana przez Chrystiana analiza satyrycznego wątku sztuki nie była całkiem chybiona.

Krół mówił szeptem, jakby powierzając Keithowi jakąś ważną tajemnicę.

Guldberg, z dystansu kilku metrów, cały czas śledził ich rozmowę z czujnością albo z niepokojem. Powoli zbliżał się do nich.

Chrystian to widział i próbował zakończyć rozmowę. Podnosząc nieco głos, niemal prowokacyjnie, zaczął wołać:

- Kłamie się. Kłamie! Brandt to był mądry, ale dziki człowiek. Struensee to był piękny człowiek. To nie ja ich zabiłem. Rozumiecie?

Keith tylko skłonił się w milczeniu. Potem Chrystian dorzucił:

- Ale on żyje! Uważa się, że go stracono! Ale Struensee żyje, wiecie o tym?

Guldberg był w tym momencie już tak blisko, że słyszał ostatnie słowa. Zdecydowanie ujął ramię Króla i z wymuszonym, ale kojącym uśmiechem powiedział:

- Struensee nie żyje, Wasza Wysokość. Przecież to wiemy, prawda? Nie wiemy? Już żeśmy to uzgodnili. Czyż nie tak?

12

Powiedział to tonem uprzejmym, lecz z przyganą. Wtedy Chrystian natychmiast zaczął, mechanicznie, bić swoje dziwaczne pokłony, ale powstrzymał się i spytał:

- Ale wszak mówi się o czasach Struenseego? Nie mówi się? A nie o czasach Guldburga. O czasach Struenseego!!! Osobliwe!!!

Guldburg przez moment spoglądał na Króla w milczeniu, jakby bezradnie, lub jakby nie mógł znaleźć odpowiedzi. Keith odnotował, że sprawiał wrażenie podrażnionego albo wzburzonego; Guldburg obaczył się po chwili i całkiem spokojnie powiedział:

- Wasza Wysokość musi się utemperować. Jesteśmy zdania, że Majestat mógłby niebawem udać się do łoża, na spoczynek. Stanowczo tak nam się wydaje.

Potem wykonał dłonią jakiś gest i odszedł. Chrystian na nowo zaczął giąć się w swych maniackich ukłonach, lecz potem przestał, jakby zamyślony, odwrócił się do posła Keitha i głosem całkiem spokojnym, bez śladu afektacji, rzekł:

- Jestem w niebezpieczeństwie. Dlatego muszę teraz udać się do mego dobroczyńcy, którym jest Pani Wszechświata.

Parę minut później już go tam nie było. Oto cały incydent, o którym donosił angielski poseł Keith w raporcie dla swojego rządu.

L. Nie ma dziś w Danii żadnych pomników Struenseego.

W trakcie jego duńskiej wizyty sporządzono mu szereg portretów: grafiki, rysunki ołówkiem, oleje. Ponieważ po jego śmierci żadnych portretów nie robiono, większość jest wyidealizowana, nie ma szkalujących. To zresztą całkiem naturalne; przed swoją wizytą nie miał władzy, nie było powodu, aby go uwiecznić, a po jego śmierci nikt nie chciał pamiętać, że istniał.

Dlaczego miałby jeszcze powstać pomnik. Posąg konny?

Ze wszystkich władców Danii, których tak często uwieczniano konno, on był na pewno najdzielniejszym jeźdźcem i tym, który

13

najbardziej kochał konie. Gdy prowadzono go na szafot na Ostre Fadled, generał Eichstedt, może po to, aby okazać pogardę skazańcowi, lub wyrafinowane okrucieństwo, nadjechał na koniu Struenseego, mlecznobiałej klaczy, Margrethe, której ten nadał sam to imię, niespotykane u koni. Lecz jeśli miało to przysporzyć skazańcowi bólu, zamiar okazał się chybiony; Struensee rozpromienił się, przystanął, podniósł rękę, tak jakby chciał pogłodzić konia po pysku, i przez twarz przemknął mu lekki, niemal szczęśliwy uśmiech, jak gdyby sądził, że koń przyszedł go pożegnać.

Chciał pogłodzić pysk konia, lecz go nie dosięgnął!

Ale dlaczego konny pomnik? Wyłącznie zwycięzców honorowało się w ten sposób.

Można wszak sobie wyobrazić konny pomnik Struenseego na Fadleden, gdzie go stracono; mógłby dosiadać na nim swej Margrethe, którą tak bardzo kochał, na błoniach, które leżą tam po dziś dzień, służąc do demonstracji albo ludowych festynów, tuż obok Parku Sportowego, jakby stworzone do sportu i zabaw, prawie jak owe królewskie ogrody, które Struensee niegdyś otworzył dla ludu, za co lud nie był mu zbyt wdzięczny. Fadleden leżą tam po dziś dzień, owe cudowne, wciąż niezabudowane błonia, na których Niels Bohr i Heisenberg, pewnego wieczoru w październiku 1941, odbyli swój słynny spacer i tę zagadkową rozmowę, na skutek której Hitler nigdy nie zbudował bomby atomowej; rozstaje dróg historii. Błonia tam ciągle są, choć zniknął szafot, tak jak zniknęła pamięć o Struenseem. I nie ma żadnych konnych pomników pamięci tego, który przegrał.

Guldburgowi też nie postawiono konnego pomnika.

A przecież on był zwycięzcą, a także tym, który zdławił duńską rewolucję; ale nie stawia się konnych pomników małemu parweniuszowi, który nazywał się H0egh, nim przybrał nazwisko Guldburg, i który był synem przedsiębiorcy pogrzebowego z Horsens.

14

Parweniuszami byli zresztą obaj, ale niewielu było dane, tak jak im, pozostawić w historii tak wyraźne ślady; na konne pomniki, jeśli się je lubi, zasługują obaj. „Nikt nie mówi o czasach Guldburga”: to była jawna niesprawiedliwość.

Guldburg miał prawo się obruszyć. Wszakże był zwycięzcą. Potomni mieli rzeczywiście mówić o „czasach Guldburga”. Te czasy trwały przez dwanaście lat.

Potem i one się skończyły.

j. Guldburg nauczył się znosić pogardę ze spokojem.

Swych wrogów znał. Mówili o świetle, lecz rozsiewali mrok. Jego wrogowie zapewne uważali, że czasy Struenseego nigdy nie mogą się skończyć. Tak myśleli. Była to niegodziwość, typowa dla nich, w dodatku oderwana od rzeczywistości. Życzyli sobie, by tak było. Ale on zawsze potrafił się w porę obaczyć, na przykład wtedy, gdy go podsłuchiwał jakiś angielski poseł. Było to koniecznością, jeśli człowiek był nikłej postury.

Guldburg był nikłej postury. Lecz jego rola w duńskiej rewolucji i czasach, które po niej nastąpiły, nie jest nikła. Guldburg zawsze pragnął, by jego przyszła biografia rozpoczynała się od słów „Guldburg nazywał się mąż”. To był ton sagi islandzkiej. Tam nie mierzyło się człowieka jego powierzchownością.

Guldburg miał 148 centymetrów wzrostu, cerę szarą i przedwcześnie postarzałą, pociętą siatką drobnych zmarszczek, które się pojawiły, kiedy jeszcze był dość młody. Zdawał się przedwcześnie zamieniony w starca; dlatego najpierw go lekceważono i ignorowano z powodu jego mizerności, potem się go bano.

Gdy posiadał władzę, nauczono się nie zważać na jego fizyczną znikomość. Kiedy już zdobył władzę, kazał się portretować z żelazną szczęką. Jego najlepsze wizerunki powstały, kiedy miał władzę. Odzwierciedlają jego wnętrze, które było wielkie, z żelazną szczęką. Te wizerunki wyrażają jego geniusz, wykształcenie

15

i twardy charakter; nie jego powierzchowność. I o to właśnie chodziło. To jest, uważał, rola sztuki.

Oczy miał lodowato szare jak u wilka, nigdy nie mrugał i nieustępliwie wbijał wrok w rozmówcę. Kiedyś, nim stłumił duńską rewolucję, mówiono o nim Jaszczurka.

Później już tak nie mówiono.

Guldburg nazywał się mąż, mizerny ciałem, ale wielki duchem; to był właściwy ton.

Sam nigdy nie używał wyrażenia „duńska rewolucja”.

Na portretach, które po nich pozostały, mają wielkie oczy.

Ponieważ oczy uważano za zwierciadło duszy, robiono oczy bardzo duże, nazbyt wielkie, jakby im chciały uciec z twarzy, są lśniące, przenikliwe i rozumne, oczy znaczące, prawie groteskowo natarczywe. W oczach dokumentuje się ich wnętrze.

Rozszyfrowanie wyczuć oczu to już rzecz oglądającego.

Sam Guldburg odrzuciłby ze wstrętem pomysł z konnym pomnikiem. On koni nienawidził, budziły w nim lęk. Nigdy w życiu nie siedział na koniu.

Jego książki, jego pisarstwo, to, co stworzył, nim został politykiem, i później, wystarczyło za pomnik. Na wszystkich wizerunkach Guldburga przedstawiano silnego, w kwiecie wieku, bynajmniej nie przedwcześnie postarzałego. W końcu sam przecież dyrygował tymi podobiznami, przez to, że dzierżył władzę; nigdy nie musiał udzielać wskazówek co do natury portretów. Artyści sami, bez pomocy, umieli się znaleźć, jak zawsze.

Malarzom i portrecistom wyznaczał miejsce w służbie polityce. Mieli nadawać formę faktom, które, w tym wypadku, były wewnętrzną prawdą przyćmioną nikłością jego postury.

Owa mizerność długo jednak okazywała się korzystna. W okresie duńskiej rewolucji chroniła go jego nieznacność. Ci znaczni upadali i unicestwiali się nawzajem. Pozostał Guldburg,

16

choć nieznacny, ale i tak największy w krajobrazie pełnym zwalonych drzew, który oglądał.

Ten obraz wielkich, ale powalonych, drzew przemawiał mu do wyobraźni. W pewnym liście pisze o względnej małości wielkich, rosnących drzew, i o ich zagładzie. Z biegiem stuleci w królestwie duńskim wycięto wszystkie wielkie drzewa. Zwłaszcza dęby. Ścięto je na budowę statków. Pozostawiono kraj bez znacznych dębów. W tym spustoszonej krajobrazie, tak to widzi, on sam wyrasta tak jak krzak wznoszący się nad pniaki powalonych i pokonanych wielkich drzew.

Nie pisze tego, ale wykładnia jest jasna. Tak rodzi się wielkość z nieznacznego.

Uważał się za artystę, który się wyrzekł swojej sztuki i wybrał sferę polityki. Dlatego podziwiał artystów i dlatego nimi gardził.

W swojej rozprawie o Raju utraconym Milтона, wydanej w roku 1761, gdy był profesorem Akademii w Sor0, odcina się zdecydowanie od fikcyjnych opisów nieba; fikcyjnych w tym sensie, że poemat pozwala sobie na zbyt dużą swobodę interpretując fakty obiektywne, ustalone w Biblii. Milton, pisze, był wyśmienitym poetą, ale należy mu wytknąć jego spekulatywność. Pozwala sobie na zbyt dużą swobodę. Owa „tak zwana święta poezja” pozwala sobie na zbyt dużą swobodę. W szesnastu rozdziałach bez pardonu zbija argumenty tych „apostołów wyzwolonej myśli”, którzy „dodają od siebie”. Tacy jak oni tworzą zamęt, przez nich pękają tamy, i wszystko kała brud fantazji.

Fantazja nie ma prawa zniekształcać dokumentów. Fantazja kała dokumenty. Nie miał przy tym na myśli sztuk plastycznych.

Z artystami często bywało tak, że pozwalali sobie na zbyt dużą swobodę. Owa swoboda mogła doprowadzić do niepokoju, chaosu i brudu. Dlatego także nabożnym poetom należy wytykać. Milтона jednak podziwiał, aczkolwiek niechętnie.

17

Mówi się o nim „wyśmienity”. To wyśmienity poeta, pozwalający sobie na zbyt dużą swobodę. Holbergiem gardził.

Rozprawa o Miltonie przyniosła mu sukces. Szczególnie podziwiała ją pobożna Królowa Wdowa, która ceniła jej wnikliwą i bogobojną egzegezę, i dlatego kazała zatrudnić Guldburga jako guwernera dla przyrodniego brata Króla, Księcia Fryderyka, który był słaby na umyśle, czy też, jak często się o nim mówiło, debilny.

W ten sposób zaczął swą polityczną karierę: od analizy stosunku między faktami, którymi były jasne wypowiedzi Biblii, a fikcją, jaką był Raj utracony Milтона.

4. Nie, żadnego konnego pomnika.

Rajem Guldburga było to, co zdobył po drodze od przedsiębiorcy pogrzebowego w Horsens do zamku Christiansborg. To go zahartowało, i nauczyło nienawidzić brudu.

Swój raj Guldburg zdobył sobie sam. Nie odziedziczył. Zdobyl.

Przez kilka lat prześladowała go złośliwa plotka; zjadliwie tłumaczono sobie jego mizerną posturę, ową posturę, która w końcu jednak, z pomocą artystów, została skorygowana i rosła, kiedy sam przejął władzę w 1772. Plotka głosiła, że gdy miał cztery lata i jego głos, kiedy zaśpiewał, wprawiał wszystkich w zdumienie i podziw, że został wówczas poddany kastracji przez swoich kochających, lecz biednych rodziców, którzy słyszeli, że w Italii przed śpiewakami otwierają się szalone możliwości. On jednak, w wieku lat piętnastu, ku ich zmartwieniu i rozczarowaniu, zarzucił śpiew i zwrócił się w kierunku polityki.

Nic z tego nie było prawdą.

Jego ojciec, ubogi przedsiębiorca pogrzebowy z Horsens, nigdy nie widział opery ani nie marzył o dochodach z wykastrowanego dziecka. Te brudne kalumnie, wiedział to na pewno, wyszły od włoskich śpiewaczek operowych na kopenhaskim

18

dworze, które wszystkie były kurwami. Wszyscy oświeceniowcy i bluźniercy, zwłaszcza ci z Altony, która wszak była oświeceniowym gniazdem żmij, korzystali z usług włoskich kurew. Od nich pochodził wszelki brud, także i ta brudna plotka.

Osobliwe przedwczesne starzenie, któremu wszakże podlegała wyłącznie jego powierzchowność, rozpoczęło się wcześniej, w wieku lat piętnastu, i lekarze nie potrafili go wyjaśnić. Dlatego gardził także lekarzami. Struensee był lekarzem.

Co do plotki o przebytej „operacji”: przestała go prześladować dopiero, kiedy otrzymał władzę, a zatem nie był więcej postrzegany jako nieznaczny. Wiedział, że opinia, jakoby był „rzezańcem”, wywoływała w jego otoczeniu pewien niesmak. Nauczył się z tym żyć. Poważnie potraktował jednak wewnętrzny, choć kłamliwy, sens tej plotki. Wewnętrzną prawdą było to, że jego pobożni rodzice przeznaczili mu rolę przedsiębiorcy pogrzebowego, a on się jej zrzekł.

Przeznaczył sobie rolę polityka.

Dlatego wizerunek Króla i Guldburga, skreślony ręką angielskiego posła w roku 1782, zarazem jest zdumiewający i zawiera pewną wewnętrzną prawdę.

Posel zdaje się dziwić „miłości” Guldburga do króla - do tego króla, któremu ów kradnie władzę i niszczy jego reputację. Ależ sam Guldburg nigdy nie mógł się nadziwić przejawom miłości! Jak można było ją opisać? Stale się nad tym zastanawiał. Ci wszyscy piękni, okazali, ci wspaniali, wtajemniczeni w arkana miłości; a jednak tacy zaślepieni! Polityka była mechaniką, dała się analizować, konstruować; w pewnym sensie to była maszyna. Ale ci silni, ci wybitni, wtajemniczeni w arkana miłości, jakże naiwnie pozwalali, by jasną polityczną grę mroczyła hydra namiętności!

Ci intelektualni szermierze oświecenia, którzy ustawicznie mylili uczucie z rozumem!

Guldburg wiedział, że to był ten miękki, czuły punkt na brzuchu potwora. A raz zrozumiał, 19

jak niewiele brakowało, by ta zaraza grzechu dosięgła jego samego. Zarazęniosła „mała angielska kurewka”. Musiał się czołgać na kolanach przy swym łożu.

Tego jej nigdy nie zapomniał.

To właśnie w tym kontekście mówi o całych lasach wielkich dębów, o tym jak ścięto drzewa i pozostał tylko nieznaczny krzak, jako zwycięzca. Opisuje tam, co się zdarzyło w tym wyciętym lesie, i to, jak jemu, ułomnemu, nieznacznemu, dane było rosnąć i władać z tego miejsca, skąd widział wszystko, co się działo wśród powalonych pni ściętego lasu.

I wydawało mu się, że on jeden widzi.

5. Guldburga trzeba traktować z respektem. Jeszcze jest prawie niewidoczny. Niebawem się uwidoczni.

On widział i rozumiał wcześniej.

Jesienią 1769 Guldburg zapisuje, iż młoda królowa staje się dla niego „coraz to większą zagadką”.

Nazywa ją „małą angielską kurewką”. Dworskie brudy znał dobrze. Historię też znał.

Fryderyk czwarty był pobożny i miał niezliczone metresy. Chrystian szósty - pietysta, ale żył w rozpuście. Fryderyk piąty włóczył się nocami po kopenhaskich burdelach, spędzał czas na pijaństwie, hazardzie i ordynarnych, lubieżnych rozmowach. Zapił się na śmierć. Kurwy tłoczyły się dokoła jego łoża. To samo w całej Europie. Zaczęło się to w Paryżu i rozpełzło po wszystkich dworach jak zaraza. Wszędzie brud.

Kto zatem bronił czystości?

Jako dziecko nauczył się żyć z trupami. Jego ojciec, który z racji profesji musiał się troszczyć o te trupy, pozwalał mu pomagać sobie w pracy. Iluż to sztywnych, lodowatych kończyn nie chwycił i nie dźwigał! Umarli byli czysti. Oni się nie tarzali w brudzie. Czekali na ów wielki ogień oczyszczenia, który miał ich wyzwolić albo dręczyć po wieki wieków.

Widywał brud. Lecz nigdy gorszego niż na królewskim dworze.

Kiedy angielska kurewka przybyła i zaślubiła Króla, wybrano panią von Plessen na pierwszą damę dworu. Pani von Plessen była czysta. Taką miała właściwość. Pragnęła strzec młodej dziewczyny przed brudem życia. Długo jej się to udawało.

Pewne zdarzenie z czerwca 1767 szczególnie wzburzyło Guldburga. Trzeba tu wspomnieć, że do owej daty ich królewskie mości nie obcowały ze sobą fizycznie, choć były stałym od siedmiu miesięcy.

Dama dworu, pani von Plessen, poskarżyła się przed Guldburkiem w przedpołudnie 3 czerwca 1767. Weszła do pokoju, którego używał do swojej pracy guwerner, niezapowiedziana, i natychmiast zaczęła, nie owijając w bawełnę, ubolewać nad zachowaniem Królowej. Guldburg, jak sam twierdzi, uważał panią von Plessen za istotę w najwyższym stopniu odpychającą, ale, przez wzgląd na jej wewnętrzną czystość, pożyteczną dla Królowej. Pani von Plessen śmierdziała. To nie był odór stajni, potu czy jakiejś innej wydzieliny, to była woń starej kobiety, jakby pleśni.

Choć miała ledwie lat czterdzieści jeden.

Królowa, Karolina Matylda, liczyła sobie w tym momencie lat piętnaście. Pani von Plessen weszła tak jak zwykle do sypialni Królowej, by jej dotrzymać towarzystwa, albo zagrać w szachy, i swoją obecnością złagodzić jej samotność. Królowa leżała na swym łożu, bardzo wielkim, ze wzrokiem wbitym w sufit. Była kompletnie ubrana. Pani von Plessen zapytała, czemu Królowa się do niej nie odzywa. Królowa długo milczała, nie poruszając ani swoim kompletnie ubranym ciałem, ani głową, nie odpowiadając. W końcu rzekła:

- Opadła mi melankolia.

Ta zapytała wtedy, co tak ciąży na sercu Królowej. Karolina Matylda w końcu powiedziała:

- Wszak on nie przychodzi. Czemu on nie przychodzi?

W komnacie było zimno. Pani von Plessen gapiła się przez chwilę na swą panią, a potem powiedziała:

21

- Król bez wątpienia raczy przyjść. Do tego czasu Wasza Wysokość może się cieszyć wolnością od utrapionej hydry namiętności. Nie ma czym się martwić.

- Co to ma niby znaczyć? - spytała Królowa.

- Król - wyjaśniła pani von Plessen, z tą nadzwyczajną oschłością, jaką jej głos tak dobrze umiał produkować - Król przewycięży z pewnością swoją nieśmiałość. Do tego czasu ty, Pani, możesz się cieszyć swobodą, nienękana przez jego namiętność.

- Z czego tu się cieszyć?

- Bo kiedy ta na Panią spadnie, to jest udręka! - powiedziała pani von Plessen z wyrazem niespodziewanej wściekłości.

- Precz - rzekła nagle Królowa, po chwili milczenia. Pani von Plessen, obrażona, opuściła wtedy komnatę.

Wzburzenie Guldburga datuje się jednak od zdarzenia, które miało miejsce później tego samego wieczora.

Guldburg siedział w korytarzu, pomiędzy lewym przedpokojem dworskiej kancelarii a biblioteką sekretariatu króla, i udawał, że czyta. Nie wyjaśnia, dlaczego pisze „udawałem”.

Wtedy nadeszła Królowa.

Podniósł się z ukłonem. Wykonała gest dłonią, oboje usiedli.

Miała na sobie tę jasnoczerwoną suknię, która obnażała jej ramiona.

- Panie Guldburg - powiedziała cichym głosem - czy mogę zadać panu pewne pytanie, bardzo osobiste?

Skinął głową zdumiony.

- Powiedziano mi - wyszeptano - że uwolniono pana w młodości od... od męki, jaką zadaje namiętność... Chciałabym zatem spytać pana...

Tu urwała. Milczał, lecz czuł, jak w nim narasta niepowstrzymana wściekłość. Tylko najwyższym natężeniem woli udało mu się zachować spokój.

- Chciałabym tylko się dowiedzieć...

22

Czekał. W końcu milczenie stało się nieznośne i Guldborg odrzekł:

- Tak, Wasza Wysokość?

-Chciałabym wiedzieć... czy ta wolność od utrapienia namiętności to jest... wielki spokój? Czy... wielka pustka? Nie odpowiedział.

- Panie Guldborg - szeptała - czy to jest pustka? Czy udręka? Pochyliła się ku niemu. Krągły kształt jej piersi był tuż przy

nim. Poczł wzburzenie, które „przebierało wszelką miarę”. Natychmiast przejrzał ją na wylot i to doświadczenie, wobec wydarzeń, jakie potem nastąpiły, miało okazać się nader przydatne. Jej złośliwość była oczywista: jej naga skóra, ten krągły kształt piersi, gładkość jej młodej skóry, wszystko było tuż przy nim. Nie po raz pierwszy uprzytomnił sobie, że na dworze rozsiewano złośliwe plotki o przyczynie jego cielesnej nieznacności. Jakże bezsilny czuł się w ich obliczu! Jakże absurdalne byłoby mówienie, że przecież kastraci przypominają tłuste woły, spasiono i gnuśne, i są kompletnie pozbawieni owej szarej, ostrej, szczupłej i prawie zasuszonej cielesnej wyrazistości, właściwej jemu!

Mówiono o nim i coś z tego dotarło do uszu Królowej. Tej małej kurewce zdawało się, że on jest kimś niegroźnym, komu się można zwierzyć. I z całą inteligencją swojej młodej złośliwości pochylała się teraz tuż przy nim, i mógł widzieć jej piersi prawie w całej ich okazałości. Zdawała się wystawiać go na próbę, czy jeszcze kołatało się w nim życie, czy jej piersi swoim powabem mogły wywołać resztki tego, co jeszcze w nim, być może, ludzkie. Czy tym sposobem mogła z niego wydobyć resztki męczyzny. Człowieka. Czy może był tylko zwierzęciem.

Tak jej się jawił. Jako zwierzę. Obnażała się przed nim, jakby chciała powiedzieć: ja wiem. Wie, jak go należy traktować, kalekiego, godnego pogardy, już nie człowieka, już poza zasięgiem żądz. I czyniła to teraz z rozmysłem, w złej intencji.

23

Twarz Królowej w trakcie tego zdarzenia była tuż przy twarzy Guldborga, a jej obnażone niemal piersi wykrzykiwały ku niemu swoją obelgę. Podczas gdy usiłował odzyskać przytomność umysłu, myślał: niech ją Bóg pokarze, oby na wieki smażyła się w piekle. Niech w jej rozpustne łono będzie wbity karzący pał, i niech odpłatą za jej nikczemną poufałość będzie wieczna udręka.

Był tak głęboko poruszony, że z oczu pociekły mu łzy. I bał się, że to młode rozpustne stworzenie to spostrzegło.

A może jednak źle odczytał jej intencje. Gdyż opisuje potem, jak dziewczyna prędko, prawie motylim gestem, dotknęła dłonią jego policzka i wyszeptała:

- Przepraszam. Och, proszę wybaczyć, panie... Guldborg. Ja nie chciałam.

Pośpiesznie wtedy wstał, i odszedł.

Guldborg miał jako dziecko piękny głos. Dotąd wszystko się zgadza. Nienawidził artystów. I nienawidził nieczystości.

Sztywne trupy zapamiętał jako czyste. A one nigdy nie wywoływały chaosu.

Boża wielkość i wszechmoc objawiały się tym, że na swoje narzędzia Bóg wybierał także maluczkich i skromnych, skarłałych i pogardzanych. To był ten dar. To były niepojęte cuda Boże. Król, młody Chrystian, wydawał się mały, być może słabujący na umyśle. Lecz był wybrańcem.

Jemu została dana wszelka władza. Ta władza i to namaszczenie były od Boga. I nie zostały dane owym pięknym, silnym, wspaniałym; to oni byli tak naprawdę parweniuszami. Wybrany

został najmniejszy z ludzi. To był cud Boży. Guldberg to zrozumiał. W pewnej mierze obaj, Król i Guldberg, byli częstkami tego samego cudu.

Sprawiało mu to wielką satysfakcję.

Struenseego widział po raz pierwszy w Al tonie, w 1766, tego dnia, kiedy młoda królowa wylądowała tam, w drodze z Londy-

24

nu do Kopenhagi, przed swoimi zaślubinami. Struensee stał tam, skryty w tłumie, w kręgu przyjaciół oświeceniowców.

Ale Guldberg go widział: okazały, dorodny, i rozpustny.

Guldberg sam przybył znikąd, wynurzył się nagle z tapety.

Ten, kto był kiedyś niepozorny, przyszedł znikąd, wyłonił się nagle z tapety, kto tego dokonał, ten wie, że tapety mogą być sprzymierzeńcami. To była czysto organizacyjna kwestia. Polityka oznaczała organizację: skłonić tapety do słuchania, i opowiadania.

On zawsze wierzył w sprawiedliwość i wiedział, że zło musi być zmiążdżone przez jakiegoś bardzo małego, niepozornego człowieka, po którym nikt się tego nie spodziewa. To była jego siła napędowa. Bóg wybrał go i uczynił pajęczoszarzym karłem, gdyż niezbadane są wyroki Boże. Lecz Bóg postępował przebiegle.

Bóg był najwybitniejszym politykiem.

Wcześniej nauczył się nienawidzić nieczystości, i zła. Złem byli rozpustni, ci, którzy gardzili Bogiem, marnotrawcy, żądni doczesnych uciech, jawnogrzesznicy, opoje. Wszyscy oni żyli na dworze. Dwór był złem. Dlatego zawsze, ilekroć mu przyszło oglądać zło, miał w pogotowiu mały i życzliwy, niemal pokorny uśmiezek. Wszyscy sądzili, że z zawiścią oglądał te orgie. Mały Guldberg też pewnie chciałby się zabawić, myśleli, tylko nie może. Brak mu instrumentu. Chce tylko patrzeć.

Te ich szydercze uśmiezki.

Ale powinni byli przyjrzeć się jego oczom.

A kiedyś przyjdzie, myślał, czas kontroli, kiedy kontrola już będzie objęta. I żaden uśmiech wtedy nie będzie konieczny. Wtedy nadejdzie czas ścinania, czystości, wtedy się będzie obcinać gałęzie, które nie rodzą owoców. Wtedy zło w końcu zostanie wykastrowane. A wtedy przyjdzie czas czystości.

I czas rozpustnych kobiet się skończy.

Nie wiedział jednak, co ma zrobić z owymi rozpustnymi kobietami. Wszak tych przycinać się nie dało. Może rozpustne kobiety zapadną się w sobie, aby rozpuścić się w zgniliznie, jak grzyby jesienią.

25

Podobał mu się ten obraz. Rozpustne kobiety zapadną się w sobie i rozpuć, jak grzyby jesienią.

Jego marzeniem była czystość.

Radykałowie z Altony byli nieczyści. Gardzili przyciętymi, maluczkimi, a żywili te same skryte marzenia o władzy, które rzekomo zwalczali. Przejrzał ich na wylot. Mówili o świetle. O pochodni w mroku. Lecz ich pochodnie rozsiewały tylko mrok.

Altonę znał. Znamienne, że ów Struensee przybył właśnie z Altony. Paryż był gniazdem zmij, siedliskiem encyklopedystów, ale Altona była gorsza. To było tak, jak gdyby próbowali podsadzić lewar pod dom świata: a świat się chwiał i w górę wzbijał się niepokój i ciężkie, duszne opary. Lecz Wszechmogący Bóg wybrał jednego ze swych najmniejszych, tego najbardziej wzgardzonego, jego samego, aby stawił czoło Złu, ocalił Króla i odciął wszelki brud od Bożego wybrańca. I, jak napisał prorok Izajasz: Kimże jest ten, który przybywa w czerwieni, w szatach bardziej szkarłatnych niż winobraniec, tak majestatyczny w swym stroju, kroczący w tężyźnie swej siły? - „To Ja, który sprawiedliwie przemawiam, wielki w

wybawieniu". Dlaczego czerwone jest twoje odzienie, i szaty twe -jak tłoczącego w prasie? - „W prasie tłoczyłem sam jeden i spośród narodów nie było przy mnie żadnego. Deptałem je więc w swoim gniewie i gniołem je w swym oburzeniu; ich posoka pryskała na mą odzież, więc zboczyłem wszystkie swoje szaty. Bo postanowiłem w swym sercu dzień pomsty i nadszedł rok mego odkupienia. Rozejrzałem się: nie było pomocnika; zdumiałem się: nie było nikogo, kto by mnie wspierał. Wtedy wspomogło mnie moje ramię i sprawiedliwość moja mnie wsparła. Przeto zdeptałem narody w mym gniewie, stratowałem je w mym uniesieniu, a ich posokę wytoczyłem na ziemię".*

A ostatni staną się pierwszymi, jak było napisane w Piśmie Świętym.

* Fragmenty Księgi Izajasza według Biblii Poznańskiej.

26

To właśnie jego Bóg powołał. Jego, małą Jaszczurkę. I wielki strach miał paść na świat, kiedy Najmniejszy i Najbardziej Pogardzany weźmie w swe ręce cugle pomsty. I Boży gniew miał porazić ich wszystkich.

A kiedy zło i rozpusta już będą obcięte, wtedy oczyści Króla. I nawet jeśli zło dotknęło Króla, to wtedy stanie się jak dziecko, na nowo. Guldberg wiedział, że Chrystian był zawsze dzieckiem w głębi duszy. Nie był szalony. I kiedy będzie już po wszystkim, i dziecko wybrane przez Boga będzie ocalone, Król znowu pójdzie za nim, jak cień, jak dziecko, pokorny i czysty. Ponownie będzie czystym dzieckiem i ponownie jeden z ostatnich stanie się jednym z pierwszych.

Miał bronić Króla. Przed nimi. Król bowiem, on także, był jednym z tych najostatniejszych, najbardziej wzgardzonych.

Lecz winobrańcowi nie stawia się konnych pomników.

O. Guldberg był obecny przy łożu śmierci króla Fryderyka, ojca Chrystiana.

Ten zmarł 14 stycznia 1766 nad ranem.

Król Fryderyk przez ostatnie lata stawał się coraz bardziej ponury i ociężały; pił bezprzestannie i ręce mu się trzęsły, ciało opuchło i zrobiło się ciastowate, szare, twarz miał jak u topielca, zdawało się, że można z niej wyjmować kawałki mięsa; wewnątrz, głęboko, tkwiły jego blade oczy, z których sączyła się jakaś żółtawa ciecz, tak jakby trup już zaczął puszczać soki.

Poza tym opadały Króla lęki i niepokoje, i bezprzestannie żądał, aby kurwy dzieliły z nim łożę, i uśmierzały jego lęk. Z upływem czasu coraz więcej księży, których miał zawsze koło siebie, reagowało na to oburzeniem. Dlatego ci, którym kazano przy jego łożu odmawiać modlitwy, aby zażegnać nimi jego trwożę, symulowali chorobę. Król, dzięki cielesnemu osłabieniu, nie był już w stanie zaspokajać grzesznych żądz; mimo to żądał, by sprowadzane z miasta kurwy nago dzieliły z nim łożę. W tej sytuacji księża uważali, iż modlitwy, a zwłaszcza celebrecja eucharystii,

27

stają się bluźnierstwem. Król wypluwał Najświętsze Ciało Chrystusa, popijał za to tęgo Jego krew, podczas gdy kurwy, ze źle skrywanym obrzydzeniem, pieściły mu zwiotczałe ciało. Co gorsza, wieść o stanie Króla rozeszła się szerokim echem, a zatem księża poczuli się zbrukani stugębną plotką.

W ostatnim tygodniu przed śmiercią Król bardzo się bał.

Używał właśnie takich prostych słów: „bać się”, „strach” zamiast: „niepokój”, „trwożę”, albo „lęk”. Częściej teraz miewał ataki wymiotów.

Tego dnia, gdy skonał, rozkazał, by do jego łoża wezwano kronprinca Chrystiana.

Biskup miasta zażądał wówczas, by usunięto stamtąd wszystkie kurwy.

Król najpierw długo spoglądał w milczeniu na swoje otoczenie, które składało się z kamerdynerów, tegoż biskupa i dwóch księży, a następnie, głosem tak osobliwie przepełnionym nienawiścią, że wszyscy prawie się wzdrygnęli, wrzasnął, że te kobiety

kiedyś, razem z nim, będą w królestwie niebieskim, natomiast ma nadzieję, że ci, którzy się teraz przy nim tłoczą, a zwłaszcza biskup diecezji Aarhus, będą się wiecznie smażyć w piekle. Król jednak opacznie pojął tę sytuację: biskup z Aarhus powrócił był do swoich wiernych już dzień wcześniej.

Następnie Król zwymiotował, i z mozołem kontynuował pijaństwo.

Po godzinie znów począł się awanturować i przywoływać swego syna, któremu teraz chciał udzielić błogosławieństwa.

Około dziewiątej wprowadzono do niego następcę tronu, kronprinca Chrystiana. Przybył ze swoim szwajcarskim guwernerem, nazwiskiem Reverdil. Chrystian liczył sobie w owym czasie lat szesnaście. Z przerażeniem patrzył na ojca.

Król w końcu go zauważył i przywołał do siebie skinieniem, ale Chrystian stał jak skamieniały. Reverdil ujął go wtedy za ramię, by doprowadzić go do łoża konającego Króla, ale Chrystian wczepił się tylko w swego guwenera i niesłyszalnie wymówił kil-

28

ka słów; ruchy warg były wyraźne, próbował coś powiedzieć, żaden dźwięk jednak nie dobiegał.

-Podejdz... tu... ukochany... synu... - wymamrotał wtedy Król i gwałtownym ruchem ręki strącił pusty dzban po winie.

Gdy Chrystian nie usłuchał wezwania, Król zaczął krzyczeć, dziko i żałośnie; gdy jeden z księży zlitował się nad nim i spytał, czy czegoś chce, Król powtórzył:

-Chcę... do cholery... pobłogosławić tego... tego małego... niedojdę!

Po krótkiej chwili doprowadzono Chrystiana, prawie zupełnie bez użycia siły, do konającego monarchy. Król pochwycił Chrystiana za głowę i kark i próbował przyciągnąć go bliżej.

-Co... z tobą będzie... ty... ty niedojdo...

Po owym wstępie Król miał kłopot ze znalezieniem słów, lecz wkrótce mowa mu wróciła.

- Ty wyskrobku! Musisz być twardy... twardy... **TWARDY!!!** Ty mały... jesteś twardy? Jesteś twardy? Musisz się zahartować i być... nietykalny!!! Bo inaczej...

Chrystian nic nie mógł odpowiedzieć, tkwiąc w uścisku, schwytany mocno za kark i przyciśnięty do nagiego boku Króla. Ten dyszał teraz głośno, jakby nie mógł złapać powietrza, wreszcie wysyczał:

- Chrystian! Musisz się zahartować... i być twardy... twardy!!!, bo inaczej cię połkną!!!, zjedzą... zmiażdżą...

Potem osunął się z powrotem na poduszkę. W komnacie było teraz całkiem cicho. Rozlegał się jedynie rozpaczliwy szloch Chrystiana.

A Król, przymknąwszy oczy, powiedział bardzo cicho i prawie nie bełkocząc:

- Za miękki jesteś, ty niedojdo. Błogosławię cię.

Z ust sączyło mu się coś żółtego. Parę minut później król Fryderyk piąty już nie żył.

Guldberg widział wszystko, i pamiętał wszystko. Widział też, jak szwajcarski guwerner Reverdil wziął chłopca za rękę, tak

29

jakby nowy król był tylko małym dzieckiem, poprowadził go za rękę, co wszystkich zdumiało i co później szeroko komentowano. Opuścili w ten sposób komnatę, przeszli korytarzem, minęli wartę królewską, która sprezentowała broń, i wyszli na zamkowy dziedziniec. Było to w biały dzień, koło południa, słońce stało nisko, minionej nocy spadło trochę śniegu.

Chłopiec wciąż szlochał bezradnie i kurczowo trzymał za rękę szwajcarskiego guwenera Reverdila.

Na środku dziedzińca nagle przystanęli. Patrzyło na nich wiele oczu. Dlaczego stanęli? Dokąd szli?

Chłopiec był szczupły i nieduży. Dwór, do którego dotarła wiadomość o tragicznym i niespodziewanym zgonie Króla, wysypał się na zamkowy dziedziniec. Stało tam koło setki cichych, zaciekawionych ludzi.

Guldberg stał pośród nich, jeszcze całkiem nieznaczący. Wciąż jeszcze pozbawiony właściwości. Obecny był jedynie w charakterze wychowawcy debilnego księcia Fryderyka; bez żadnych innych tytułów, bez władzy, ale z wewnętrzną pewnością, że wielkie drzewa upadną, że ma czas, i że może czekać.

Chrystian i jego guwerner stali nieruchomo, wyraźnie wciąż oszołomieni, i nie czekali na nic. Stali tak w promieniach niskiego słońca, na przyprószonym śniegiem zamkowym dziedzińcu, i nie czekali na nic, podczas gdy chłopiec łkał bez końca.

Reverdil ścisnął mocno dłoń młodego króla. Jakże mały był nowy król Danii, jak dziecko. Guldberga przejął żal, bezmierny żal, gdy na nich patrzył. Ktoś zajął miejsce u boku Króla, jego miejsce. Pozostawała teraz wielka praca, aby to miejsce zdobyć. Jego żal jeszcze był bezmierny. Dopiero potem się obaczył.

Jego czas miał nadejść.

Tak to było, gdy Chrystian otrzymał błogosławieństwo. Tego samego popołudnia Chrystiana siódmego obwołano nowym królem Danii.

Rozdział 2 Nietykalny

1. Szwajcarski guwerner był chudy, przygarbiony i marzył o oświeceniu jako o cichym i niezwykle pięknym brzasku dnia; najpierw niedostrzegalny, a potem już tam jest, i już jest dzień.

Tak sobie je wyobrażał. Łagodne, ciche, bez oporu. Zawsze tak powinno być.

Nazywał się Francois Reverdil. To był ten z zamkowego dziedzińca.

Trzymał Chrystiana za rękę, zapomniał bowiem o etykiecie i najzwyczajniej żał mu było zapłakanego chłopca.

Właśnie dlatego stali tam bez ruchu, na dziedzińcu, w śniegu, po tym jak Chrystian otrzymał błogosławieństwo.

Tego samego dnia po południu Chrystian siódmy został, z zamkowego balkonu, obwołany Królem Danii. Reverdil stał za nim, trochę z boku. Niechęć wzbudziła okoliczność, że nowy król machał ręką i śmiał się.

Uznano, że to nie na miejscu. Nikt nie wyjaśnił gorszącego zachowania Króla.

Gdy w 1760 szwajcarski guwerner Francois Reverdil zatrudnił się jako guwerner jedenastoletniego kronprinca Chrystiana, udało mu się na długi czas ukryć swoje żydowskie pochodzenie.

Jego dwa pozostałe imiona - Elie Salomon - przy spisaniu kontraktu pominięto.

31

Owa ostrożność zapewne była zbyt duża. Pogromów nie było w Kopenhadze od przeszło dziesięciu lat.

Także fakt, że Reverdil był zwolennikiem oświecenia, nie został odnotowany. Była to, jego zdaniem, zbędna informacja, mogąca mu zaszkodzić. Jego poglądy polityczne to była sprawa prywatna.

Ostrożność zawsze stawiał na pierwszym miejscu.

Pierwsze wrażenie, jakie sprawił na nim chłopiec, było bardzo pozytywne.

Chrystian był „ujmujący”. Drobnej budowy i niskiego wzrostu, nieomal dziewczęcy, wszelako budził sympatię wyglądem i usposobieniem. Miał żywy intelekt, poruszał się z gracją i mówił płynnie trzema językami, po duńsku, po niemiecku oraz po francusku.

Już po kilku tygodniach ten obraz znacznie się skomplikował. Chłopiec, jak wszystko na to wskazywało, bardzo szybko przywiązał się do Reverdila, przed którym, jak już po miesiącu mówił, „nie czuł strachu”. Gdy Reverdil rozważył owo zaskakujące słowo „strach”, doszedł do przekonania, że strach był naturalnym stanem chłopca.

„Ujmujący" przestało z czasem wystarczać na określenie Chrystiana.

Podczas obowiązkowych spacerów, odbywanych w celach zdrowotnych, bez towarzystwa osób trzecich, jedenastolatek zwierzał mu się z uczuć i poglądów, które coraz bardziej przerażały Re-verdila. Wyrażane też były w osobliwej formie językowej. Wciąż wracająca u Chrystiana, maniackalna tęsknota za tym, by być „silnym" albo „twardym", nie oznaczała bynajmniej pragnienia, aby mieć silną kompleksję fizyczną; on miał na myśli coś innego. Chciał robić „postępy", ale i tego pojęcia nie dało się zinterpretować racjonalnie. Jego język zdawał się składać z olbrzymiej liczby słów uformowanych wedle tajnego kodu, którego nie mógł złamać nikt postronny. Podczas konwersacji odbywających się w obecności osób trzecich, albo w obliczu dworu, ów kodowany

32

język był niewyczuwalny. Lecz w cztery oczy z Reverdilem te kodowane słowa powracały z częstotliwością prawie maniackalną.

Najosobliwsze były: „ciało", „ludojad" i „kara", używane w nieodgadnionym znaczeniu.

Jednak kilka wyrażen szybko dało się zrozumieć.

Gdy powracali z przechadzek na lekcje, chłopiec potrafił powiedzieć, że idą teraz na „ostrą inkwizycję" albo na „ostre przesłuchanie". To wyrażenie, w duńskich terminach prawniczych, znaczyło tyle, co „tortury", podówczas dozwolone i skwapliwie stosowane w służbie prawa.

Reverdil spytał chłopca żartem, czy mu się wydaje, że jest dręczony rozżarzonymi obcęgami.

Zdziwiony chłopiec powiedział, że tak.

To było oczywiste.

Dopiero po pewnym czasie Reverdil zdał sobie sprawę, że właśnie to wyrażenie wcale nie było kryptonimem, mającym oznaczać coś tajemniczo odmiennego, tylko rzeczową konstatacją.

Torturowano go. To było normalne.

Ł. Zadaniem gubernera było wychowanie duńskiego jedynowładcy.

To należało jednak nie tylko do niego.

Reverdil objął swoje stanowisko dokładnie w dniu setnej rocznicy przewrotu 1660, który ukrócił znacznie przywileje szlachty i przywrócił samowładztwo Króla. Reverdil wpajał też młodemu księciu poczucie wagi jego stanowiska; że w jego ręku spoczywa przyszłość kraju.

Nie zechciał jednak, przez wzgląd na dyskrecję, przedstawić Księżciu całej sprawy od podszewki: że to upadek władzy królewskiej za czasów wcześniej panujących, i ich degeneracja, oddały całą władzę w ręce pewnych osób z dworu, które kontrolowały teraz jego wychowanie, edukację oraz sposób myślenia.

„Chłopiec" (Reverdil sam go tak nazywa) w obliczu swojej przyszłej roli króla, czuł, jak się wydaje, wyłącznie niechęć, strach i desperację.

33

Król był samowładcą, lecz całą władzę sprawowała kasta urzędników. Wszyscy to uznawali za normalne. Pedagogika, jeżeli chodzi o Chrystiana, była do tego odpowiednio przykrojona. Władza była dana od Boga Królowi. Ten, z kolei, sam nie korzystał z władzy, lecz ją przekazywał. To, że Król sam nie będzie korzystał z władzy, nie było takie oczywiste. Musiał spełniać pewne warunki: być obłąkany lub pogrążony w pijaństwie, albo też nie chceć pracować. Jeżeli tak nie było, należało złamać jego wolę. Apatia i degrengolada Króla były zatem albo wrodzone, albo też zaszczepione za pomocą wychowania.

Uzdolnienia Chrystiana były dla jego otoczenia znakiem, że bezwzględnie należy mu zaszczepić. Metody stosowane wobec „chłopca" Reverdil opisuje jako „systematyczną pedagogikę stosowaną dla wywołania poczucia bezsilności i degrengolady w celu ochrony sfery wpływów autentycznych władców". Wkrótce domyśla się, że duński dwór chętnie poświęciłby także zdrowie psychiczne młodego następcy tronu, aby osiągnąć rezultaty widoczne u poprzednich królów.

Chodziło o to, by w tym dziecku stworzyć „nowego Fryderyka”. Chciano, jak pisze później w swoich pamiętnikach, „poprzez moralną degrengoladę królewskiej władzy wytworzyć pewną próżnię, w której oni sami mogliby bezkarnie sprawować rządy. Nie liczono się wtedy z możliwością, że któregoś dnia w tym pustym miejscu złoży wizytę królewski konsyliarz nazwiskiem Struensee”.

To Reverdil używa wyrażenia „wizyta królewskiego konsyliarza”. Nie jest bynajmniej ironiczny. On raczej patrzy na to, jak łamią chłopcu kręgosłup, zupełnie trzeźwo - i z wściekłością.

O rodzinie Chrystiana mówiono, że jego matka zmarła, kiedy miał dwa lata, że swego ojca znał tylko z jego złej reputacji, oraz że hrabia Ditlev Reventlow, który planował jego wychowanie i który nim kierował, to człowiek sprawiedliwy.

Reventlow był człowiekiem o silnym charakterze.

34

Wychowanie to była w jego przekonaniu „zwykła tresura, której się może podjąć najgłupszy wieśniak, byleby tylko miał bat w garści”. Dlatego hrabia Reventlow dzierżył w garści bat. Należało położyć duży nacisk na „poskromienie ducha” i zadbać o to, aby „wykorzenić przejawy samodzielności”.

Stosował te zasady bez wahania wobec małego Chrystiana. Owe metody nie należały wcale do rzadkości w ówczesnej pedagogice. To, co w tym było niezwykłego, i co, przez swoje skutki, wzbudziło żywe poruszenie także wśród współczesnych, to fakt, że nie chodziło tu o wychowanie szlachcica czy mieszczanina. Tym, kogo miano złamać, poprzez tresurę i ujarzmienie ducha, i komu - za pomocą bata w garści - miano odebrać wszelką samodzielność, był Boży pomazaniec, suwerenny władca Danii.

Już poskromiony, ujarzmiony, i ze złamanym charakterem, Panujący otrzymać miał wszelką władzę, aby ją oddać w ręce swoich wychowawców.

Dużo później, już dawno po zakończeniu duńskiej rewolucji, Reverdil w swoich pamiętnikach zadaje sobie pytanie, dlaczego nie ingerował.

I nie ma na to odpowiedzi. Sam siebie opisuje jako intelektualistę, i rozumuje bez zarzutu.

Lecz żadnej odpowiedzi, nie w tej sprawie.

Reverdil zjawił się na dworze jako skromny nauczyciel niemieckiego i francuskiego. Już na miejscu odnotowuje wychowawcze rezultaty pierwszych dziesięciu lat.

To prawda: jego rola była skromna. Hrabia Reventlow ustalał zasady. Rodziców przecież nie było.

„A zatem przez pięć lat, dzień w dzień, wracałem z zamku z ciężkim sercem; widziałem, jak bez przerwy próbowano złamać charakter mego wychowanka, a więc nie uczył się niczego, co by służyło jego powołaniu i jego kompetencjom jako władcy. Nikt nie wykładał mu nigdy cywilnego prawodawstwa w jego kraju; nie

35

miał pojęcia, jakie kompetencje przysługiwały biurom rządu, ani jak kraj był w szczegółach rządzony, ani też w jaki sposób władza, która wychodzi od Korony, rozgałęziała się na poszczególnych urzędników państwa. Nigdy nie przedstawiono mu stosunków, w jakich się kiedyś miał znaleźć wobec ościennych państw, nie wiedział nic o sile militarnej kraju, na lądzie ani na morzu. Jego Ochmistrz, który kierował jego wykształceniem i codziennie kontrolował moje nauczanie, został ministrem skarbu, nie rezygnując ze swojej funkcji nadzorca, lecz nie nauczał swego wychowanka niczego z rzeczy należących do jego urzędowych obowiązków. Sumy, którymi kraj wspomagał tron, ich wydzielone miejsce w skarbie państwa, cele, na jakie miały być wydane, wszystko to było tajemnicą dla człowieka, który tym wszystkim miał kiedyś zarządzać.

Kilka lat wcześniej jego ojciec, Król, podarował mu posiadłość na wsi; ale Księżę nie zatrudnił tam nawet stróża, nie wydał sam ani dukata, nie zasadził ani jednego drzewa.

Ochmistrz i minister skarbu Reventlow kierował wszystkim wedle własnego widzimisię i nie bez racji mawiał:

- Moje Melony! Moje Figi!"

Rola, jaką minister skarbu, wielki właściciel ziemski i hrabia, pan Reventlow, odegrał w trakcie tego nauczania, była - stwierdza guwerner - centralna. I to poniekąd dzięki niej Reverdil mógł, chociaż częściowo, rozwiązać zagadkę, jaką był dla niego zakodowany język chłopca.

Rzecz w tym, że coraz bardziej frapujące były cielesne narowy Księcia. Sprawiał wrażenie, jakby gościł w nim jakiś fizyczny niepokój: bezprzestannie lustrował swoje dłonie, skubał się po brzuchu, uderzał koniuszkami palców w swoją skórę i mamrotał, że wkrótce „zrobi postępy”. Miał tym samym osiągnąć „stan doskonałości”, który pozwoli mu być takim „jak włoscy aktorzy”.

Pojęcia „teatr” i „Passauer Kunst” u młodego Chrystiana splatają się w jedno. Nie ma żadnej logiki, poza tą, którą u chłopca wytwarzają „ostre przesłuchania”.

36

Wśród wielu osobliwych wyobrażeń, jakie krzewiły się w tym czasie na europejskich dworach, była wiara, że istnieje sposób, aby uczynić człowieka „nietykalnym”, niepodatnym na wszelkie zranienia. Ten mit narodził się w Niemczech, podczas wojny trzydziestoletniej, było to marzenie o cielesnej „nietykalności” w boju i odegrało ono ważną rolę także wśród władców. Wiarę w tę sztukę - nazywaną „Passauer Kunst” - żywili zarówno ojciec, jak i dziad Chrystiana.

Wiara w „Passauer Kunst” stała się dla Chrystiana tajemnym skarbem, który krył w sobie głęboko.

Stale przyglądał się swoim dłoniom, swojemu brzuchowi, żeby sprawdzić, czy zrobił postęp (s'il avançait) w kierunku nietykalności. Kanibale dokoła niego byli stale czyhającymi wrogami. Gdyby stał się „silny”, a jego ciało „nietykalne”, mógłby się stać niewrażliwy na wrogie szykany.

Wrogami byli wszyscy, ale zwłaszcza jedynowładca Reventlow.

To, że wymienia „włoskich aktorów” jako swoje bogopodobne wzorce, pozostaje w związku z tym marzeniem. Aktorzy teatru byli w oczach młodego Chrystiana podobni bogom.

Bogowie byli surowi i twardzi, i nietykalni.

Owi bogowie także grali swoje role. I byli wtedy wyniesieni ponad rzeczywistość.

W wieku lat pięciu widział mianowicie gościnne występy pewnej włoskiej trupy. Imponujące postawy aktorów, ich słuszny wzrost i wspaniale zdobione kostiumy sprawiły na nim tak silne wrażenie, że zaliczał ich odtąd do istot wyższego rzędu. Byli podobni bogom. I jeśli on, o którym wszak mówiono, że jest Bożym wybrańcem, będzie robić postępy, będzie mógł złączyć się z tymi bogami, zostać aktorem, i tym sposobem uwolnić się od „udręki władzy królewskiej”.

Bezprzestannie przeżywał swoje powołanie jako udrękę.

Z czasem przyszło też przeświadczenie, że jako dziecko został podmieniony. Właściwie był wiejskim chłopcem. Stało się to jego ide'efixe. Bycie wybrańcem było udręką. „Ostre przesłuchania”

37

były udręką. Jeżeli został podmieniony, czy nie powinien w takim razie zostać uwolniony od owej udręki?

Boży wybrańiec nie był zwykłym człowiekiem. A zatem szukał, coraz bardziej gorączkowo, dowodów na to, że jest człowiekiem. Jakiegoś znaku! Słowo „znak” stale powraca. Szuka jakiegoś „znaku”. Gdyby mógł znaleźć dowód na to, że jest człowiekiem, nie wybrańcem, to byłby uwolniony od roli monarchy, od męki, niepewności i ostrych przesłuchań. Gdyby mógł,

z drugiej strony, stać się nietykalny, jak owi włoscy aktorzy, to mógłby może przeżyć także jako wybraniec.

W ten właśnie sposób Reverdil pojmował rozumowanie Chrystiana. Nie był całkiem pewien. Był za to pewien, że ma do czynienia z obrazem własnym zmasakrowanego dziecka.

Że teatr to nierzeczywistość i, właśnie dlatego, jedyny byt realnie istniejący, w tym Chrystian upewniał się coraz bardziej.

Jego tok myślenia, a Reverdil podąża za nim tylko z trudem, ponieważ logika nie była tu całkiem klarowna, ów tok myślenia był następujący: jeżeli tylko teatr jest realny, to wszystko staje się zrozumiałe. Ludzie na scenie poruszają się jak bogowie i powtarzają wyuczone słowa; to właśnie jest naturalne. Aktorzy są tym, co realne. Jemu samemu przydzielono rolę Z Bożej Łaski Króla. Z rzeczywistością nie miało to nic wspólnego, to była sztuka. Dlatego nie musiał się wstydić.

Wstyd był skądinąd jego naturalnym stanem.

Pan Reverdil podczas jednej z pierwszych lekcji, która się odbywała po francusku, odkrył, że uczeń nie rozumie wyrażenia cowee. Usiłując przełożyć je na doświadczenia chłopca, opisał to co w jego egzystencji było tylko teatrem. „Musiałem go wtedy nauczyć, że jego podróże przypominały ruchy wojsk i rozsyłanie wici, że do każdej prowincji wysyłano ludzi, aby zwołali chłopstwo, które miało występować, jedni na koniach, inni tylko z małymi wozami; że owi chłopcy musieli, długie dni i godziny, wyczekiwać przy drogach i zajazdach, że trwonili tym samym

38

sWój czas, że ci, których mijiał po drodze, byli tam z nakazu, i że nic z tego, co w ten sposób widział, nie było prawdziwe”.

Gdy ochmistrz i minister skarbu Reventlow dowiedział się o tym pozaplanowym elemencie nauczania, wybuchnął złością i wrzeszczał, że to niepotrzebne. Hrabia Ditlev Reventlow często wrzeszczał. W ogóle jego zachowanie jako nadzorcy książęcego wychowania dziwiło szwajcarsko-żydowskiego guwernera, który jednakże, z oczywistych względów, nie ważył się sprzeciwiać zasadom ministra skarbu.

Nic się nie zgadzało. Gra była czymś naturalnym. Trzeba się uczyć, ale nie rozumieć. On był Bożym wybrańcem. Stał ponad wszystkimi, a zarazem był tym najpodlejszym. Jedyne, co się powtarzało, to że zawsze częstowano go chłostą.

Pan Reventlow miał reputację „sprawiedliwego”. Ponieważ uważał, że umieć jest ważniejsze, niż rozumieć, kładł silny nacisk na to, aby Książę uczył się zdań i wyrażeń na pamięć, właśnie jak w sztuce teatralnej. Natomiast nie było ważne, aby Książę rozumiał, czego się wyuczył.

Nauczanie zmierzało ku temu, by, wzorem teatru, oznaczać przede wszystkim pamięciowe opanowanie replik. Pomimo swego sprawiedliwego i twardego charakteru pan Reventlow postarał się w tym celu o stroje dla następcy tronu, specjalnie szyte w Paryżu. Gdy pokazano mu następnie chłopca, który z pamięci umiał recytować swoje repliki, minister skarbu był zadowolony; przed każdą prezentacją następcy tronu potrafił wykrzykiwać:

- Voila! Pokażcie teraz moją lalkę!

Owe pokazy, pisał Reverdil, bywały często udręką dla Chrystiana. Kiedy któregoś dnia miał się wykazać znajomością tanecznych kroków, tak zamacono mu w głowie, że nie wiedział, czego się po nim oczekuje. „Ten dzień był bardzo przykry dla Księcia. Został złajany, wychłostany i płakał do chwili, gdy przyszedł czas na jego baletowy popis. To, co go czekało, w jego głowie związało się z szeregiem natrętnych wyobrażeń: uroił sobie, że go prowadzą do więzienia. Wojskowe honory oddawane mu przy bramie,

39

werble, warta otaczająca jego powóz, utwierdziły go w tym mniemaniu, wywołując w nim silny lęk. Wśród jego wyobrażeń powstał zamęt, nie spał przez szereg nocy i bezprzestannie płakał”.

Pan Reventlow, właśnie „bezprzestannie”, wtrącał się w tok nauczania, zwłaszcza gdy metodyczny dryl złagodniał, aby ustąpić miejsca, jak to on nazywał, „rozmowie”.

„Gdy zauważał, że moja lekcja «zbaczała z kursu», zmieniając się w rozmowę, że przebiegała spokojnie, bez hałasu, i interesowała mego ucznia, wołał z drugiego końca sali grzmiącym głosem, i to po niemiecku: «Wasza Wysokość, widzę, że gdy sam nie dopilnuję, to nic z tego nie będzie!». Po czym przechodził do nas, kazał Księżciu przepowiadać lekcję od nowa, przy czym wciąż wtrącał swoje komentarze, szczypał go mocno, uściskiem miażdżył jego dłonie, zadawał pięścią bolesne kuksańce. Chłopiec się wtedy peszył, zalękniony, i lekcja szła mu coraz gorzej. Następowały coraz częstsze napomnienia i zaostrzało się maltretowanie, na przykład za to, że powtarzał zbyt dosłownie albo nazbyt swobodnie, czy za to, że pominął jakiś szczegół, albo że prawidłowo odpowiedział, albowiem często się zdarzało, że jego kat sam nie znał prawidłowej odpowiedzi.

Często zdarzało się, że ochmistrz złościł się wtedy jeszcze bardziej i w końcu wołał przez komnaty, by mu przynieśli laskę («trzcinkę»), którą stosował do wychowania dziecka i której zwykle używał bardzo długo. Te rozpaczliwe incydenty nie były dla nikogo tajemnicą, słyhać je bowiem było na dziedzińcu, gdzie się gromadził Dwór. Tłum, który się tam zgromadził, aby uczcić Wschodzące Słońce, a więc to dziecko, które teraz było maltretowane i krzychało, a które dało mi się poznać jako urocze, miłe dziecko, owi ludzie przysłuchiwali się wszystkiemu, podczas gdy dziecko próbowało swymi szeroko rozwartymi, tonącymi we łzach oczami wyczytać z twarzy tyrana, jakie są jego życzenia i jakich słów należy użyć. Przy obiedzie Mentor w dalszym ciągu absorbował jego uwagę, wciąż zadając chłopcu pyta-

40
nia i po grubiańsku komentując odpowiedzi. W ten sposób dziecko było narażone na śmieszność w oczach swojej służby, poznając wcześniej, jak smakuje wstyd.

Niedziela też nie była dniem spoczynku; Reventlow dwukrotnie prowadził swego ucznia do kościoła, grzmiącym głosem powtarzał Księżciu do ucha najważniejsze konkluzje predykanta, szczypał i poszturchiwał go co chwilę, aby podkreślać w poszczególnych zdaniach ich specyficzny sens. Następnie Książę był zmuszany do powtarzania tego, co usłyszał, a jeśli zapomniał lub pojął opacznie, znów był maltretowany, odpowiednio brutalnie, jak wymagała tego każda osobna materia”.

To było właśnie „ostre przesłuchanie”. Reverdil odnotowuje, że Reventlow często znęcał się nad Kronprincem tak długo, że aż „piana występowała na usta Hrabiego”. Potem, od razu, wszelka władza miała być przekazana chłopcu, od Boga, który go sobie obrał.

Dlatego poszukuje „dobroczyńcy”. Nie odnajduje jeszcze dobroczyńcy.

Spacery były jedyną okazją, by Reverdil mógł coś wytłumaczyć, bez nadzoru. Ale chłopiec zdawał się coraz bardziej niepewny i zagubiony.

Wszystko zdawało się nie tak. Jednakże podczas tych przechadzek, na które czasem wychodzili sami, a czasem w asyście dworaków idących z tyłu, „w oddaleniu mniej więcej 60 stóp”, chłopiec wyrażał swoje zagubienie coraz jaśniej.

Można powiedzieć: kod jego języka zaczynał być zrozumiały. Reverdil mógł też odnotować, że wszystko to, co było „sprawiedliwe”, łączyło się w językowej świadomości chłopca z maltretowaniem i zepsuciem dworu.

Chrystian tłumaczył, uparcie próbując wszystko sobie poskładać, że rozumiał, iż dwór jest teatrem, że musi się nauczyć swoich replik, i że będzie karany, jeżeli ich nie opanuje słowo w słowo.

Ale czy był jednym człowiekiem, czy dwoma?

41

Włoscy aktorzy, których podziwiał, ci mieli jedną rolę w sztuce i jedną „na zewnątrz”, kiedy sztuka się skończyła. Ale wszak jego rola, mówił chłopiec, nigdy się nie kończy? Kiedy on jest „na zewnątrz”? Czy cały czas musi starać się być „twardy” i robić „postępy”, i

jednocześnie znajdować się „wewnątrz”? Jeżeli wszystko to tylko repliki, których należy się wyuczyć, a Re-verdil powiedział, że wszystko jest reżyserowane, że jego życie miało tylko być wyuczone i „przedstawione”, czy w takim razie może mieć nadzieję, że kiedyś wyjdzie poza tę teatralną sztukę? Aktorzy, ci włoscy, których widział, byli wszak istotami podwójnymi: jeden na scenie, jeden poza. Czym był on?

W jego wywodach nie było logiki, a jednak były zrozumiałe, w inny sposób. Zapytał Reverdila, co stanowi o człowieczeństwie? I, w takim razie, czy on jest człowiekiem? Bóg zesłał na świat swojego jednorodzonego syna, ale Bóg także wybrał jego, Chrystiana, na absolutnego władcę. Czy Bóg napisał także te repliki, których on teraz się uczy? Czy to z woli Boga ci wyczekujący chłopci, ściągani nakazem na czas jego podróży, mają być jego partnerami w grze? Jaka jest właściwie jego rola? Czy jest synem Bożym? Kim w takim razie był Fryderyk, jego ojciec?

Czy Bóg obrał sobie także jego ojca i uczynił go prawie tak „sprawiedliwym” jak pan Reventlow? Czy istniał może ktoś ponad Bogiem, jakiś Kosmiczny Dobroczyńca, który mógłby się nad nim zmiłować w chwilach największej trwogi?

Pan Reverdil napomniął go surowo, że nie jest mesjaszem ani Jezusem Chrystusem, że Reverdil, rzecz jasna, sam nie jest wyznawcą Jezusa Chrystusa, jako Żyd; że nigdy, pod żadnym pozorem, nie wolno mu napomykać, jakoby był synem Bożym. To byłoby bluźnierstwo.

Ale Następca tronu odparł na to, że wszak Królowa Wdowa, pietystka hołdująca ideom hernhutów, że powiedziała ona, iż prawdziwy chrześcijanin kąpie się we krwi Baranka, otóż jego rany to są groty, w których grzesznik może szukać schronienia, i że to właśnie jest zbawienie. Jak ma to rozumieć?

42

Reverdil prosił go, aby natychmiast przestał zaprzętać sobie głowę tymi myślami.

Chrystian wyznawał swoją bojaźń przed karą, tak wielka bowiem była jego wina; primo, ponieważ nie umie swoich replik; secundo, ponieważ się podaje za majestat Z Bożej Łaski, podczas gdy jest w istocie podmienionym parobczakiem. Potem wracały zwykle spazmy, tamto skubanie się po brzuchu, ruchy nóg i wskazująca w górę dłoń, i pewne wyrzucane nagle słowo, powtarzane, jakby wołanie o ratunek lub modlitwa.

Tak, to może był sposób, w jaki się modlił: słowo powracało, podobnie jak dłoń wskazująca w górę, na coś lub na kogoś, w tym wszechświecie, który zdawał się chłopcu tak chaotyczny i przerażający, i w którym nic się nie zgadzało.

-Znak!!! Znak!!!

Chrystian uparcie ciągnął swoje monologi. Tak jakby postanowił nie dać za wygraną. Czy kara, jeśli wymierzona, uwalnia od winy? Istnieje jakiś Dobroczyńca? Ponieważ uzmysłowił sobie, że jego hańba jest tak wielka, a jego błędów tak wiele, jak zatem ma się wina do kary? W jaki sposób ma zostać ukarany? Czy wszyscy dookoła niego, ci co cudzołożyli, pili i byli sprawiedliwi, czy także oni wszyscy byli częścią Bożego widowiska? Wszak Jezus urodził się w stajence. Dlaczego zatem ma być wykluczone, aby on sam był „podmieńcem”, który być może mógłby żyć innym życiem, u kochających rodziców, wśród chłopów i zwierząt?

Jezus był synem cieśli. Kim był zatem Chrystian?

Reverdila ogarniał coraz silniejszy niepokój, ale dokładał starań, aby odpowiadać spokojnie i rozsądnie. Miał jednak wrażenie, że zamęt w duszy chłopca wzrasta, budząc coraz większe obawy.

Czyż Jezus, spytał Chrystian na jednej z przechadzek, nie wypędził przekupniów ze świątyni? Tych, co cudzołożyli i grzeszyli!!! Wypędził ich, znaczy tych sprawiedliwych, kim więc był Jezus?

- Rewolucjonistą - odrzekł pan Reverdil.

Czy zatem było zadaniem Chrystiana, pytał uparcie dalej, jego zadaniem jako Bożego pomazańca, na tym dworze, gdzie

43

cudzołożyli i pili, i grzeszyli, rozbić to wszystko i zdruzgotać wszystko? I przepędzić, i rozbić... zdruzgotać... sprawiedliwych? Wszak Reventlow jest sprawiedliwy? Czy jakiś Dobroczyńca, który być może jest władcą całego wszechświata, może zlitować się i poświęcić na to czas? Zdruzgotać sprawiedliwych?

Czy może Reverdil jest w stanie pomóc mu znaleźć Dobroczyńcę, który mógłby zdruzgotać wszystko?

- Dlaczego tego chcesz? - zapytał Reverdil. Na to chłopiec zalał się łzami.

- Żeby osiągnąć czystość - odpowiedział w końcu. Długo szli w milczeniu.

- Nie - odpowiedział w końcu pan Reverdil - twoim zadaniem nie jest niszczyć.

Ale wiedział, że nie udzielił odpowiedzi.

3. Młody Chrystian rozprawiał coraz częściej o winie, i o karze. Wszak małą karę dobrze znał. To była „trzcinka”, której używał Ochmistrz. Małą karą był także wstyd i śmiech paziów i „faworytów”, kiedy popełnił jakąś gafę. Wielka kara musiała być za jego cięższe grzechy. Rozwój chłopca przybrał niepokojący obrót w związku z mękami i straceniem sierżanta Mórła.

Zdarzyło się, co następuje.

Pewien sierżant nazwiskiem Mori, który dopuścił się niecnego wiarołomstwa i zamordował swego dobroczyńcę, w którego domu zamieszkiwał, po to, by móc następnie ukraść kasę pułku, zgodnie z królewskim zarządzeniem podpisanym przez króla Fryderyka został skazany na śmierć w okrutnych męczarniach, wedle szczególnej procedury stosowanej wyłącznie przy morderstwach specjalnego typu.

Wielu uznało to za wyraz nieludzkiego barbarzyństwa. Sentencja wyroku była dokumentem szczególnym i budzącym grozę; lecz wieść o owym wydarzeniu dotarła do księcia Chrystiana

44

i rozpałała w nim niezwykłą ciekawość. Działo się to w przedostatnim roku rządów króla Fryderyka. Chrystian miał wtedy lat piętnaście. Napomknął Reverdilowi, że pragnie być przy egzekucji. Reverdila bardzo to zaniepokoiło i zaklinał wychowanka, by tego poniechał.

Chłopiec - on ciągle jeszcze nazywa go chłopcem - przeczytał jednak wyrok i był nim niezwykle zafascynowany. Należy przy tym wspomnieć, że sierżant Mori przed egzekucją spędził w więzieniu trzy miesiące i przez ten czas pobierał naukę religii-

Szczęśliwie trafił tam w ręce pewnego księdza, który wyznawał tę samą wiarę, co hrabia Zinzendorf, a zatem tę, którą powszechnie nazywa się hernhutyzmem, i którą wyznawała też Królowa Wdowa. Ona to właśnie, w rozmowach z Chrystianem - takie rozmowy się zdarzały, lecz miały tylko pobożny charakter - z jednej strony, dogłębnie przedyskutowała wyrok i szczegóły oczekiwanej procedury, a z drugiej, poinformowała, że więzień został hernhutem. Więzień Mori przyszedł do przekonania, że właśnie owe przeraźliwe męki, zanim ucieknie z niego życie, w szczególny sposób go zjednoczą z ranami Chrystusa; ba, że właśnie owe tortury, te bóle i rany pozwolą mu pogрузić się w łonie Jezusa, utonąć w ranach Jezusa i ogrzać się w jego krwi.

Owa krew i rany - wszystko to w opisie Królowej Wdowy przybrało charakter, który Chrystian odbierał jako „rozkoszny”, i który wypełnił jego sny.

Katowski wóz miał być wozem tryumfalnym. Rozżarzone obcęgi, które miały go szarpać, pejczy, igły i na koniec koło, wszystko miało być krzyżem, na którym on miał się zjednoczyć z krwią Jezusa. Mori pisał też w więzieniu psalmy, które drukowano i powielano ku powszechnemu moralnemu zbudowaniu.

Podczas tych miesięcy Królową Wdowę i chłopca połączyła, odrażająca zdaniem Reverdila, fascynacja tą egzekucją. Nie mógł przeszkodzić Chrystianowi oglądać ją dyskretnie, incognito.

45

Termin incognito ma tu szczególny sens o charakterze prawnym. Panował zwyczaj, że jeżeli Król lub Kronprinz, w ten czy inny sposób, pojawią się przy miejscu straceń, znaczyło to, że więzień musi być ułaskawiony.

Jednakże Chrystian, w wynajętym krytym powozie, obecny był przy egzekucji. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Sierżant Mori śpiewał psalmy, donośnym głosem zaświadczał swą żarliwą wiarę i pragnienie, aby utonąć w ranach Jezusa; lecz kiedy na szafocie przyszedł czas na długotrwałe tortury, nie wytrzymał i zaczął nagle rozpaczliwie wyć, zwłaszcza gdy igły przekłuwały „te części jego ciała i podbrzusza, które są centrum największej rozkoszy i mogą sprawić największy ból”. Jego desperacja była wtedy taka bezbożna i zapamiętała, że uciszyły się psalmy i modlitwy publiczności; przeszła im nawet bogobojna chęć oglądania męczeńskiego zgonu i wielu biegiem opuściło miejsce kaźni.

Chrystian jednak pozostał, siedząc w powozie cały czas, do chwili kiedy sierżant Mori oddał ducha. Potem wrócił do zamku, wszedł do Reverdila, padł przed nim na kolana, złożył ręce i rozpaczliwie i bezradnie, ale w zupełnej ciszy, wpatrywał się w nauczyciela.

Tego wieczoru nie powiedzieli sobie ani słowa.

Do tego jeszcze to, co się zdarzyło nazajutrz wieczorem.

Reverdil zajrzał do apartamentu Chrystiana na zamku, by powiadomić go o zmianie w rozkładzie lekcji następnego dnia. Przystanął w drzwiach, i stał się świadkiem sceny, jak mówi, „paraliżującej”. Chrystian leżał na podłodze, rozciągnięty na czymś, co miało przedstawiać kołowrót do łamania kołem. Dwóch paziów zajmowało się „miażdżeniem jego stawów” -swój katowski proceder uprawiali za pomocą zrolowanego papieru, podczas gdy łotr na kole modlił się, jęczał i płakał.

Reverdil stał jak skamieniały, ale następnie wkroczył do pokoju i rozkazał paziom przestać. Chrystian wtedy gdzieś umknął, a potem nie chciał mówić o tym, co zaszło.

46

Miesiąc później, gdy wspomniał Reverdilowi, że po nocach nie może spać, Reverdil go poprosił, by mu powiedział o przyczynie tamych męczarni. Wtedy zalany łzami Chrystian opowiedział, że doszedł do przekonania, „iż to on sam jest Morlem, który zbiegł z rąk Prawa, i że przez pomyłkę torturowano i stracono jakiegoś upióra. Ta zabawa w upodabnianie się do kogoś katowanego i łamanego kołem wypełniała mu mózg mrocznymi wyobrażeniami, i pogłębiała jego skłonność do melancholii”.

4. Reverdil wciąż powraca do swego marzenia o tym, że światło oświecenia może przyjąć powoli, niepostrzeżenie: obrazu światła jakby jutrzeńki, wstającej wolno nad wodami.

To było marzenie o czymś nieuchronnym. Przez długi czas, jak się wydaje, traktował rozwój od mroku do światła jako coś nieuchronnego, łagodnego, wolnego od wszelkiej przemocy.

Później je porzucił.

Pan Reverdil, nader ostrożnie, próbował zasiać w duszy Następcy Tronu kilka z tych ziaren, których plon, jako człowiek oświecenia, pragnął ujrzeć. Gdy chłopiec z wielką ciekawością spytał, czy nie mógłby nawiązać korespondencji z kilkoma spośród filozofów, którzy stworzyli wielką francuską encyklopedię, Reverdil odparł, że niejaki pan Voltaire, Francuz, mógłby się zainteresować młodym duńskim następcą tronu.

Chrystian napisał wtedy list do pana Voltaire'a. Otrzymał na niego odpowiedź.

W ten oto sposób narodziła się, tak osobliwa dla przyszłych pokoleń, korespondencja między Voltaire'em a szalonym duńskim królem, Chrystianem siódmym, najbardziej znana z pochwalnej ody, którą Voltaire napisał w 1771 na cześć Chrystiana, wysławianego tam jako

północny księżę światła i rozumu. Która dotarła do niego pewnego wieczoru w Hirschholmie, kiedy już był zgubiony; lecz która go uszczęśliwiła.

47

Do jednego z pierwszych listów pan Voltaire załączył książkę, którą sam napisał. Na popołudniowej przechadzce Chrystian - Re-verdil przykazał mu zachować korespondencję w ścisłej tajemnicy - pokazał Reverdilowi ową książkę, którą natychmiast przeczytał, i zacytował z niej ustęp, który szczególnie przypadł mu do gustu.

„Lecz czyż nie jest szczytem szaleństwa sądzić, że można nawracać ludzi, zmuszać ich myśli do uległości za pomocą oszczerstw, prześladowań, wysyłania ich na galery, i próbować zniweczyć ich myśli, wlokąc ich na szubienice, łamiąc kołem i pałac na stosach?”.

- Tak właśnie myśli pan Voltaire! - wykrzyknął Chrystian tryumfująco - tak on uważa! On przysłał mi tę książkę! Książkę! Dla mnie!!!

Reverdil szeptem kazał uczniowi ściszyć głos, aby dworzanie, którzy szli sześćdziesiąt stóp za nimi, nie powzięli jakichś podejrzeń. Chrystian natychmiast schował książkę za pazuchą, i opowiedział szeptem, że pan Voltaire donosi w swoim liście, że jest teraz przedmiotem sprawy sądowej, w której chodzi o wolność myśli; i że gdy tylko Chrystian to przeczytał, wpadł na pomysł wysłania tysiąca talarów, aby wesprzeć pana Voltaire'a w owym procesie o wolność słowa.

Zapytał teraz swego wychowawcę, czy ten podziela jego zdanie. Czy powinien wysłać te pieniądze. Pan Reverdil, skoro tylko się obaczył, otrząsnąwszy się ze zdumienia, poparł tę myśl Następcy Tronu.

Owa suma została potem wysłana.

W trakcie tej samej rozmowy Reverdil spytał Chrystiana, dlaczego pragnie połączyć się z panem Voltaire'em w tej walce, co wszak wiązało się z pewnymi niebezpieczeństwami. I co mogło zostać opacznie zrozumiane, nie tylko w Paryżu.

Zatem dlaczego, spytał, co nim powoduje?

A wtedy Chrystian, ze zdziwieniem, powiedział po prostu:

- Przez wzgląd na czystość! Cóż innego? Dla oczyszczenia świątyni!!!

48

Pan Reverdil pisze, że ta odpowiedź nappełniła mu serce radością; zmaconą jednak złymi przeczuciami.

Tego samego wieczoru, jak się zdaje, potwierdziły się jego obawy.

Gdy był w swoim pokoju, dobiegł go zgiełk z zamkowego dziedzińca, odgłosy jakby rozbijanych mebli i wołanie. Do tego doszedł dźwięk tłuczonego szkła. Gdy się poderwał i wyjrzał, zobaczył tłum gromadzący się na zewnątrz. Popędził wtedy do apartamentu Księcia i skonstatował, że Chrystian, najwyraźniej w napadzie mentalnej konfuzji, potrzaskał meble w saloniku po lewej stronie od jego komnaty sypialnej i ich kawałki wyrzucił przez okno, że wszędzie leży szkło z wybitych szyb, oraz że dwóch „faworytów”, jak nazywano niektórych dworaków, usiłowało bezskutecznie uspokoić Następcę Tronu, sprawić, aby zaprzestał tych „ekscesów”.

Dopiero kiedy Reverdil przemówił do niego mocnym, pełnym perswazji głosem, Chrystian przestał wyrzucać meble przez okno.

- Drogie dziecko - zapytał Reverdil - moje drogie dziecko, dlaczego to robisz?

Chrystian wbił wtedy w niego wzrok, w milczeniu, jak gdyby nie rozumiał, jak Reverdil mógł zadać to pytanie. Wszystko wszak było oczywiste.

Zaufany Królowej Wdowy, profesor Akademii w Sor0 nazwiskiem Guldberg, służący jako nauczyciel i opiekun księcia Fryderyka, człowiek o dziwnych, lodowatych oczach, ale poza tym bez szczególnych właściwości i znikomego wzrostu, w tej samej chwili wpadł do pokoju, i Reverdil mógł tylko szepnąć Księciu:

- Kochane dziecko, nie w ten sposób! Nie w ten sposób!!! Chłopiec był teraz spokojny. Na dziedzińcu zaczęto zbierać wyrzucone szczątki mebli.

Guldberg następnie wziął Reverdila pod ramię, prosząc o chwilę rozmowy. Wyszli na zamkowy korytarz.

- Panie Reverdil - powiedział Guldberg, Jego Wysokość Potrzebuje konsyliarza.

49

- Po co?

- Konsyliarza. Musimy znaleźć kogoś, kto będzie umiał zdobyć jego zaufanie i zapobiec jego... wybuchom.

- Kogo - zapytał Reverdil.

- Musimy szukać - odpowiedział Guldberg - poszukać starannie, osoby absolutnie odpowiedniej. Nie Żyda.

- Ale po co to wszystko - zdziwił się Reverdil.

- Ponieważ Jego Wysokość jest psychicznie chory - powiedział mu Guldberg.

A na to Reverdil nic odrzec już nie umiał.

J. Dnia 18 stycznia 1765 członek rady królewskiej Bern-storff powiadomił młodego Następcę Tronu, że rząd na swoim wtorkowym posiedzeniu, oraz po blisko dwuletnich pertraktacjach z rządem angielskim, podjął decyzję połączenia go węzłem małżeńskim z trzynastoletnią angielską księżniczką Karoliną Matyldą, siostrą króla Anglii, Jerzego trzeciego.

Ślub miał się odbyć w listopadzie 1766.

Słuchając, jak oznajmia mu się imię jego przyszłej małżonki, Chrystian popadł jak zwykle w swoje cielesne narowy, czubkami palców opukiwał skórę, bębnił po brzuchu i spazmatycznie wykręcał stopy. Po wysłuchaniu informacji spytał:

- Czy powinienem w tym celu wyuczyć się jakichś szczególnych słów lub replik?

Hrabia Bernstorff nie pojął do końca sensu tego pytania, ale z życzliwym uśmiechem odpowiedział:

- Wyłącznie języka miłości, Wasza Królewska Mość.

Kiedy Fryderyk zmarł, a Chrystian dostał błogosławieństwo, przerwano jego ostre wychowanie, i młody król był już gotowy. Był teraz przygotowany do sprawowania pełnej władzy absolutnego władcy.

50

Był gotowy. Mógł wcielić się w swoją nową rolę. Miał lat szesnaście.

Reverdil poszedł z nim do umierającego ojca, widział, jak ten go błogosławił, a potem wyszedł z Chrystianem na zewnątrz, pługi czas stali razem sami, trzymając się za ręce, na zamkowym dziedzińcu, wśród wirujących, rzadkich płatków śniegu, do czasu aż płacz chłopca ucichł.

Tego samego popołudnia Chrystiana obwołano królem Chrystianem siódmym.

Reverdil stał na balkonie za nim, trochę z boku. Chrystian chciał teraz także trzymać go za rękę, lecz Reverdil zwrócił mu uwagę, że byłoby to nie na miejscu oraz niezgodne z etykietą. Ale nim wyszli, Chrystian, trzęsąc się na całym ciele, zdążył jeszcze zapytać Reverdila:

- Jakie uczucie mam teraz okazać?

- Smutek - powiedział Reverdil - a potem radość, kiedy lud będzie wiwatować.

Chrystian się jednak pogubił, zapomniał o smutku i rozpaczy, przez cały czas niezmiennie pokazywał promienny uśmiech i wymachiwał ręką do ludu.

Wielu niemile to dotknęło. Nowo koronowany król nie umiał, jak przystało, okazać żałoby.

Nagabnięty o to później był niepokieszony; zapomniał, jak powiedział, swej pierwszej repliki.

Rozdział 3 Angielskie dziecko

1. Wybrana królowa, przyszła małżonka Chrystiana, miała na imię Karolina Matylda.

Urodziła się 22 lipca 1751 w Leice-ster House w Londynie, i była pozbawiona własności.

Tak właśnie ją oszacowano. Lecz z czasem przyszło jej odegrać kluczową rolę w tym, co się zdarzyło, czego się nikt bynajmniej nie spodziewał, i co wprawilo wszystkich w konsternację, powszechnie bowiem przyjmowano, że nie posiada właściwości.

Już po wszystkim zgodzono się, iż to, że miała właściwości, było nieszczęściem. Gdyby od razu oceniono ją właściwie, to jest uznano, że posiada właściwości, to katastrofie można by zapobiec.

Jednakże nikt się spodziewał.

Na szybie w oknie jej sypialni na zamku Frederiksberg odnaleziono, kiedy już opuściła kraj, wyrytą sentencję, którą, jak przypuszczano, zapisała jednego z pierwszych dni swego pobytu w Danii. Było tam napisane:

O, keep me innocent, make others great.

Przybyła do Kopenhagi 8 listopada 1766. Była najmłodszą siostrą króla Anglii, Jerzego trzeciego, który w latach 1765, 1788 i 1801 miał ciężkie ataki choroby psychicznej, lecz który całe swoje życie pozostał niezłomnie wierny swojej małżonce Charlotte von Mecklenburg-Strelitz, i którego wnuczką była późniejsza królowa Wiktorja.

Ojciec Karoliny Matyldy zmarł dwa miesiące przed jej urodzeniem; była najmłodsza z dziewięciorga rodzeństwa. Poza tym - jedynym śladem w historii pozostawionym przez jej ojca jest

53

opinia, jaką król Anglii Jerzy drugi wydał o swoim synu. „Mój drogi pierworodny syn to jest największa dupa, największy łgarz, sukinsyn i najgorsze bydlę pod słońcem, i pragnąłbym z całego serca, żeby zniknął z tego świata”. Jej matka miała twardy i skryty charakter, dlatego też jedynym jej kochankiem został guwerner najstarszego syna, Lord Butę. Była osobą bardzo religijną, gorliwie praktykującą, a swoje dziewięcioro dzieci trzymała z dala od świata, w swoim domu, nazywanym dlatego „klasztorem”. Karolina Matylda tylko wyjątkowo otrzymywała przyzwolenie, by wyjść z domu, i to wyłącznie pod ścisłym nadzorem.

Po ogłoszeniu zaręczyn duński ambasador, który odwiedził ją i dostał zezwolenie, aby pomówić z nią przez parę minut, raportował, że sprawia wrażenie nieśmiałej, ma cudowną cerę, długie, jasne włosy, pełne usta, choć może nieco za szeroką dolną wargę, oraz że głos ma melodyjny.

Więcej uwagi poświęca rozmowie z jej matką, którą określa jako „zgorzkniałą”.

Angielski malarz nadworny Reynolds, który sporządził portret Karoliny Matyldy przed jej wyjazdem, daje jedyne, poza wymienionym, świadectwo o jej właściwościach z tego okresu. Pracę nad jej portretem określa jako uciążliwą, przez cały czas bowiem płakała.

To jedyne negatywne cechy poświadczone w owym okresie przed wyjazdem. Nieco zbyt pełna dolna warga i bezprzestanny płacz.

2. Na wieść o swoim planowanym zamążpójściu, Karolina Matylda wpadła w przerażenie. To, że jest siostrą króla Anglii, stanowiło, jak sądziła, jedyną rację jej bytu, dlatego wymyśliła tę sentencję. O, keep me Innocent, make others great.

Poza tym głównie płakała. Była czymś, to znaczy siostrą, poza tym nie była niczym. Nie istniała, do piętnastego roku życia. Także w późniejszych latach nikomu nie udostępniała informacji o tym pierwszym okresie: prócz tej, iż doniesienie, że ma się

54

związać miłosnym węzłem z młodym królem Danii, odebrała jako szok. Wyrosła w klasztorze. To było konieczne, jej matka tak zdecydowała. Normalne wszeteczeństwa dworu nie były dla niej, ponieważ była wybrana. Czy do czegoś większego, czy mniejszego, tego nie zrozumiała.

Natomiast było dla niej jasne, że jest zwierzęciem rozplodowym. Temu małemu i dziwnemu państewku, Danii, miała dostarczyć króla. W tym celu miała być pokryta. Na angielskim

dworze wywiedziano się już, kim jest duński byk. Potem jej powiedziano. Zrozumiała, że byk, który ma ją pokryć, to delikatny mały chłopiec; widziała jego portret. Wyglądał całkiem sympatycznie. Nie jak byk. Problem jest tylko w tym, mówiono, że najprawdopodobniej jest szalony.

Gdyby nie to, że jest jedynowładcą, Bożym pomazańcem, siedziałby u czubków.

O tym, że duńscy książęta to szaleńcy, było powszechnie wiadomo. Widziała Davida Garricka w roli Hamleta w teatrze Drury Lane. Ze jednak ją to miało dotknąć, pogrążało ją w desperacji.

Jesienią 1765 przybyła z Danii Ochmistrzyni, pani von Ples-sen, by ją przygotować. Wedle listu uwierzytelniającego była to osoba prawa, sprawiedliwa. Pani von Plessen przeraziła ją nie na żarty, gdy, wcale o to niepytana, z miejsca stwierdziła, że wszystko, co jej powiedziano o duńskim następcy tronu, to kłamstwa i potwarze. Rzekome „ekscesy” przysłego monarchy są wysane z palca. Nie rozbija żadnych mebli ani okien. Usposobienie ma łagodne i stateczne. Zmiany humoru niezatrważające. Ponieważ nikt nie prosił o te korektywy, a zatem udzielone informacje były zbędne, dziewczyna wpadła oczywiście w przerażenie.

W skrytości ducha miała się za kogoś, kto wcale nie jest pozbawiony właściwości.

Podczas przejazdu do Danii cały czas płakała. Żadna z jej pokojówek nie mogła towarzyszyć jej dalej niż do Altony. Uważano, że łatwiej pozna ducha narodu, i język, jeżeli zetknie się z nim bardziej bezpośrednio.

55

Księżniczka, przyszła królowa Danii, a zatem to angielskie dziecko, które wyznaczono, miała na imię Karolina Matylda. W momencie swego zamążpójścia miała zaledwie lat piętnaście. Jej brat, angielski król, którego kochała i podziwiała, tolerował ją, lecz nie pamiętał jej imienia. Uważał, że jest czarująca, nieśmiała, bezwolna, a także prawie niewidzialna. Dlatego postanowiono, że się ją wyda za króla duńskiego, ponieważ Dania po „wojnie cesarskiej” w XVII wieku, gdy była rządzona przez wiecznie pijanego Chrystiana czwartego, straciła całkiem swoje międzynarodowe znaczenie, a nadto większość swojego terytorium. O Chrystianie czwartym mawiano na angielskim dworze, że ilekroć zdawało mu się, iż jest zdradzany przez żonę, dostawał napadów melancholii. Żona zdradzała go często, melancholia się pogłębiała. Żeby zaradzić swojemu smutkowi i pofolgować nerwom, za każdym razem wywoływał wtedy wojny, które za każdym razem przegrywał.

To, że kraj wciąż się kurczył, było zatem skutkiem nienasyconej chuci jego żony. Było to charakterystyczne dla państwa duńskiego, które tym samym należało uznać za nieznaczące.

Tak jej to przedstawiano. Tym sposobem, wskutek nawrotów królewskiej melancholii, Dania stała się bardzo mała. Jeśli się weźmie pod uwagę słabość kraju, trwającą od tamtej pory, to oczywiste, że nowo nabyta królowa mogła być pozbawiona właściwości i znaczenia.

To było dla niej jasne. Stopniowo dotarło do niej także, że jej przyszłość w tym skandynawskim kraju, opisywanym jako dom wariatów, nie przedstawia się zbyt różowo.

Toteż płakała bezprze-stannie. Jej płacz był pewną właściwością. Nikogo nie niepokoił. Co do jej inteligencji, zdania były podzielone. Lecz przede wszystkim uważano, że jest kompletnie pozbawiona własnej woli. Być może także charakteru. Dlatego rola, jaką przyszło jej później odegrać w związku z tak zwaną duńską rewolucją, wprawiła wszystkich w konsternację i zdumienie.

56

Stała się wtedy kimś innym. To było całkiem nieoczekiwane. Jednak teraz, w momencie zamążpójścia, wciąż jeszcze była tą bezwolną i pozbawioną charakteru.

Zdaje się, że żywiła kiedyś, jako dziecko, marzenie o czystości. Potem niespodziewanie wyrosła.

Marzenie to zresztą było zupełnie naturalne u kobiety bez właściwości, tak jak i to, że widząc sprzeczność między niewinnością a wielkością, wybrała tę pierwszą. Co przeraziło

wszystkich, to fakt, że potem stała się inna, choć przecież była już zdefiniowana jako bezwolna i bez właściwości.

O, keep me Innocent, make others great.

3. Sprowadzono ją z Anglii do Danii; po uciążliwej, sześciodniowej morskiej podróży przybyła do Rotterdamu i 18 października znalazła się w Altonie, gdzie się rozstała z całą swoją angielską asystą.

W Altonie nadzór nad księżniczką przejęła delegacja duńska. Powieziono ją potem karocą, przez Szlezwik i Fyn, „witana wszędzie z burzliwym entuzjazmem” przez oddelegowaną ludność, aż przyjechała 3 listopada do Roskilde, gdzie po raz pierwszy miała spotkać duńskiego króla Chrystiana siódmego.

Wybudowano w tym celu na rynku szklany pawilon z dwójgiem drzwi. Tu młodzi zakochani mieli wejść, każde ze swojej strony, zmierzać ku centrum i spotkać się w środku, aby tam ujrzeć się po raz pierwszy. W pewnej kupieckiej kamienicy tuż obok „szklanego pałacu” (jak go niesłusznie nazywano przez te tygodnie, kiedy istniał) zajęto się ostatecznym przygotowaniem przyszłej królowej; chodziło o to, by księżniczkę uspokoić. Ochmistrzyni Louise von Plessen, odpowiedzialna za powitalną delegację, dokładała wszelkich starań, aby osuszyć łzy małej Angielki (wyrażenie „mała Angielka” było teraz na duńskim dworze w powszechnym użyciu), i zaklinała ją, by nie okazywała swojego strachu przed publicznością.

57

Ta odparła, że strach, który czuje, to nie jest strach przed duńskim dworem ani Królem, ale zapewne przed miłością. Po bliższej indagacji okazało się, że nie potrafi jasno rozgraniczyć tych trzech pojęć, lecz że Dwór, Król i Miłość, wszystkie razem, stapiają się w jej świecie wyobrażeń w jedno, dając „strach”.

Pani von Plessen musiała w końcu szczegółowo przećwiczyć z księżniczką wszystkie jej ceremonialne ruchy, tak jakby samo wyuczenie szczegółów tej ceremonii miało dziewczynę uspokoić.

Przemawiała bardzo spokojnie do tej rozpytywającej się we łzach piętnastolatki. Proszę podchodzić do Jego Wysokości powoli, małymi kroczkami, radziła. Oczy spuszczone, policzyć piętnaście kroków, a wtedy podnieść wzrok, spojrzeć na niego, tu należałoby pokazać mały, skromny, ale szczęśliwy uśmiech, jeszcze trzy kroki i przystanąć. Ja jestem dwadzieścia stóp z tyłu.

Dziewczyna przez łzy przytakiwała, i pochlipując, powtarzała po francusku:

- Piętnaście kroków. Szczęśliwy uśmiech.

Król Chrystian siódmy, gdy z początkiem roku obejmował tron, dostał w prezencie od swojego nauczyciela Reverdila psa, sznaucera, do którego bardzo się z czasem przywiązał. Na spotkanie z małą Angielką w Roskilde miał przybyć karocą, z wielką świtą, prosto z Kopenhagi.

W powozie Króla, oprócz Chrystiana, siedział były profesor Akademii w Sor0 nazwiskiem Guldberg, poza tym nauczyciel Króla Reverdil oraz dworzanin o nazwisku Brandt, który miał odegrać ważną rolę w zdarzeniach, jakie nastąpiły. Guldberg, któremu w zwykłym trybie miejsce w karocy Króla nie przysługiwało, jego pozycja na dworze była bowiem jeszcze zbyt nieznaczną, dostał to miejsce ze względów, o których za chwilę.

W powozie jechał także pies, siedzący cały czas na kolanach Chrystiana.

Otóż Guldberg, który był dobrze obeznany z literaturą klasyczną, napisał na okoliczność tego spotkania formalne wyzna-

58

nie miłosne, oparte na fragmentach dramatu Racine'a, i udzielał w powozie, jak pisze w swoich pamiętnikach Reverdil, „ostatnich uspokajających instrukcji przed spotkaniem dwojga serc”.

Należy zacząć z mocą, tłumaczył Guldberg Jego Wysokości, który sprawiał wrażenie prawie nieobecnego i rozpaczliwie ścisnął w objęciach swego pieska. Księżniczka musi poznać moc miłosnej pasji Waszej Wysokości, jeszcze przed tym pierwszym spotkaniem. Rytm! „Korzę się przed miłości srogim bogiem... KORZĘ się przed miłości srogim bogiem...”. Rytm! Rytm! Atmosfera w powozie była ciężka, a ruchy ciała i nerwowe tiki Króla bardziej nieopanowane niż kiedykolwiek dotąd. Po przybyciu na miejsce Guldberg stwierdził, że pies nie może być obecny przy pierwszym spotkaniu ich królewskich mości, dlatego musi pozostać w powozie. Chrystian z początku nie chciał wypuścić z rąk psa, lecz potem został do tego zmuszony. Pies najpierw skomlał, a potem przez okno karocy widać było, jak szczeka gwałtownie. Reverdil pisze, że był to „jeden z momentów największego strachu w jego życiu. Chłopiec zdawał się jednak ostatecznie tak pogrążony w apatii, jakby szedł we śnie”. Słowo „strach” często powraca. W końcu jednak księżniczka Karolina Matylda i jej przyszły małżonek Chrystian siódmy wykonali, co do nich należało, niemal perfekcyjnie. Obok szklanego pawilonu umieszczono orkiestrę kameralną. Wieczorne światło było bardzo piękne. Plac wokół pawilonu wypełniony wielotysięcznym tłumem, którego napór powstrzymywali ustawieni w szpalery żołnierze. Dokładnie w tym samym momencie, przy wtórze muzyki, obie młode królewskie mości przekroczyły drzwi pawilonu. Zbliżali się do siebie dokładnie według przepisów ceremoniału. Gdy przystanęli w odległości sześciu stóp od siebie, muzyka ucichła. Księżniczka cały czas patrzyła na Chrystiana, ale spojrzeniem jakby pozbawionym życia lub jakby wędrowała - ona też - we śnie.

59

Chrystian miał w ręku wiersz, na specjalnym arkuszu papieru. Gdy przystanęli w końcu naprzeciwko siebie, powiedział:

- Chciałbym teraz zdać sprawę z mojej miłości, droga księżniczko.

Czekał następnie na jakieś słowo z jej strony, lecz ona tylko na niego patrzyła, w zupełnej ciszy. Ręce mu się trzęsły, lecz w końcu zdołał się jakoś obaczyć, i zaczął czytać Guldbergowe wyznanie miłości, ułożone, podobnie jak jego literacki pierwowzór, po francusku.

Korzę się przed miłości srogim bogiem, Który mi każe klęknąć przed Twym progiem. Dokąd nie pójde, wszędzie mnie dościga Kupida strzała i kwadryga. Bezradny jestem dzisiaj w jego mocy, Obraz Twój w sercu nosząc we dnie, w nocy. Twoją urodą ciężko zniewolony, Blaskiem Twych oczu oślepiiony, Wyrzekłem się mej dawnej dumy, Oto i nowy powód do zadumy...

Zrobiła wtedy dłonią jakiś gest, być może przez pomyłkę; lecz on zrozumiał to jako znak, że ma skończyć. Przerwał więc czytanie i patrzył na nią pytająco. Po chwili powiedziała:

- Dziękuję.

- To może starczy - szepnął.

- Tak, wystarczy.

- Chciałem w tych słowach dać wyraz afektowi, jaki mam dla Pani - powiedział.

- Ja żywię taki sam afekt dla Waszej Wysokości - wyszeptała, nie poruszając prawie ustami. Była śmiertelnie blada, łzy miała przypudrowane i jej twarz wyglądała prawie jak pobielona wapnem.

- Dziękuję.

- Czy w takim razie możemy zakończyć tę ceremonię - zapytała.

60

Skłonił się. Muzyka, na znak mistrza ceremonii, rozbrzmiała na nowo, a wtedy zaręczona para, zalękniona, ale poruszająca się z perfekcją, rozpoczęła swój marsz ku większej ceremonii, jaką były owacje tłumów, wjazd do Kopenhagi, zaślubiny, ich krótkie małżeństwo i duńska rewolucja.

Dnia 8 listopada o 7.30 młoda para wkroczyła do Kościoła Zamkowego w Kopenhadze, gdzie miało miejsce uroczyste zatwierdzenie małżeństwa. Uroczystości ciągnęły się przez sześć dni. „Nieskończenie wiele nadziei wiąże się tu z osobą czarującej angielskiej Królowej”, pisze poseł angielski w swoim raporcie do Londynu.

Uznano, że występowała perfekcyjnie.

Żadnych skarg na Chrystiana. Żadnych wybuchów, żadnych potknięć. Psa nie było przy ceremonii zaślubin.

4. W swojej narastającej konfuzji Chrystian odbierał życie dworskie jako teatr; to przedstawienie, w którym on i ta angielska dziewczynka brali udział, też było pewnym obrazkiem obyczajowym. Tematem sztuki była nieobyčajność albo „sprawiedliwość”, jak to nazywał Chrystian; ale czy to nabożność prowokowała rozpustę, czy znudzenie?

Owa uciecha, którą się spotyka we współczesnych opisach rozpusty i znudzenia na tym dworze! Ów zamknięty świat dworzan, metres, kurew, maskarad, owe intrygi zmierzające do tytułów i uposażeń, ale nie do pracy, ów ciągnący się w nieskończoność korowód absurdalnych, wzajemnie powiązanych intryg, których odbicie potomność odnajduje tylko w ich oficjalnych tekstach: są to przyzwoite, kulturalne, pod względem formy doskonale listy, rzecz jasna po francusku, zebrane w piękne tomy. To opis tego, jak aktorzy owego domu wariatów w sposób zupełnie naturalny uskuteczniali swe szaleństwa, którym na imię przesył i rozpusta.

61

Jakże udatnie wpasowane w scenerię tego domu wariatów zdają się, w oczach potomności, wybuchy i ekstrawagancje szalonego króla Chrystiana.

Jak naturalnie to do siebie pasowało: pobożność, rozpusta i ludzie, którzy rozpadli się na kawałki.

Wiele frasunku przysparzało wszystkim życie płciowe Chrystiana.

Często powtarza się pewne współczesne, bardzo specjalne wyjaśnienie dla jego melancholii, dziwnych wybuchów wściekłości, zagadkowych ataków rozpacz, czy wreszcie całodniowych okresów apatii. Już w wieku lat trzynastu został wprowadzony, przez swego pupila Sperlinga, który następnie znika z kart historii, w tajniki pewnego nałogu, który sparaliżował jego wolę i spowodował chorobę psychiczną tudzież postępujące cielesne wycieńczenie. Nałóg ten wymieniają wszystkie świadectwa z owego okresu. Nałóg nieczęsto bywa nazywany wprost, lecz kilka świadectw jednakże odważa się na ten krok; ów nałóg to onanizm.

Maniakalne usiłowania Chrystiana, aby uśmierzyć melancholię za pomocą tego nałogu, nadwerzęły stopniowo jego kręgosłup, zaatakowały mózg i przyczyniły się do tragedii, jaka miała nadejść. Zapamiętałe, godzinami, usiłował wymasturbo-wać jakiś sens albo wymasturbo-wać się z poczucia zagubienia. Lecz, najwyraźniej, nie na wiele to się zdało.

Przybycie małej Angielki jeszcze wszystko pogorszyło.

Coś najwyraźniej się teraz rozpadło. Wydawał się bezradny, pogrążony w kompletnym chaosie.

Zapiski Reverdila wyrażają troskę, ale nie tylko to. „Po długim czasie odkryłem, że to, co nazywałem «wychowaniem», składało się w świecie jego wyobrażeń z tych «hartujących» przeżyć, dzięki którym miał robić «postępy». Polegały one w głównej mierze na tym, by się buntować przeciwko wszystkiemu, co było jego dorastaniem, być może także przeciwko dworowi, na którym żył. Nie było takich zdrożności, takich wybryków,

62

takich gwałtownych ekscesów, których by nie stosował jako środków ku temu służących. Streszczał to wszystko w wyrażeniu «być prędkim», to znaczy wolnym od przesądów, godności i pedanterii. Przedkładałem mu wtedy, że jego misją jest podnieść ten kraj na nogi. Królestwo, które odziedziczył, było bardziej zadłużone i obarczone podatkami po

osiemdziesięciu pięciu latach nieprzerwanego pokoju, niż byłoby po jakiejś wojnie. Powinien spróbować, zaklinałem go, wydobyć państwo z długów i zmniejszyć obciążenia ludu, który to cel mógł osiągnąć, likwidując wszelkie zbędne wydatki dworu, zmniejszając armię, uwalniając chłopów w Danii, oraz wspierając, za pomocą rozsądnego prawodawstwa, rybołówstwo, górnictwo i lasy w Norwegii".

On w odpowiedzi szedł do swoich komnat, gdzie się onanizował.

Królowej nie chciał odwiedzać. Budziła w nim tylko strach.

Chrystian miał wiele twarzy. Jedną z nich rozświeclają nienawiść, rozpacz i strach. Inna jest pochylona, spokojna, skupiona nad listami pisanymi do pana Voltaire'a, który, jak sam stwierdził, nauczył go myśleć.

Enevold Brandt siedział w królewskiej karocy w drodze do Roskilde.

Należał do towarzystwa z Altony, owego kręgu ludzi oświecenia, który z początkiem lat siedemdziesiątych XVIII wieku skupiał się wokół hrabiego Rantzau i młodego niemieckiego lekarza, Struenseego.

Brandt teraz był w Kopenhadze. Jest teraz karierowiczem.

Pchała go nieodparta żądza, aby podobać się paniom, a jednocześnie robić karierę na dworze, dlatego szukał dla siebie tytułu, który najlepiej mógłby zaspokoić oba te pragnienia. W jednym ze swoich późniejszych listów do Voltaire'a Reverdil pisze, że na dworze duńskim panuje tytułomania, gdzie indziej niespotykana. »To już przysłowie, że we Francji zapytują: Czy to jest kulturalny człowiek? W Niemczech: Czy jest z dobrej rodziny? W Holandii:

63

Ile ma majątku? Ale w Danii: Jaki nosi tytuł? Tu całe życie jest ukształtowane przez tę hierarchię tytułów. Gdy się przechodzi z pokoju do pokoju, to w kolejności według rangi, to samo, gdy zasiada się do stołu, lokaje zmieniają talerze podług rang, a gdy się zdarzy jakiś zdolny, kompetentny człowiek, który przez drzwi wchodzi ostatni, czyli po prostu człowiek bez tytułu, to na pytanie: Kto to jest, słyszy się: To jest nikt. A trzeba wiedzieć, że ci, co są kimś, cieszą się wielkim poważaniem, mają wysokie apanaże i nic nie robią, tylko są pasożytami pilnującymi swojej rangi". Enevold Brandt uważał się jednak za artystę, miał żywy temperament, grał na flecie i zdołał zdobyć tytuł Dyrektora Teatru, następnie Maitre de plaisir, czyli ministra kultury, oraz Wielkiego Garderobianego z prawem do miana Ekscelencji.

Z rolą ministra kultury, w odróżnieniu od pozostałych ról, wiązały się pewne zadania praktyczne, a więc władza. Między innymi sprowadzanie francuskich trup teatralnych i urządzenie festynów oraz maskarad dla dworu. Miało się także wpływ na zatrudnienie i dostęp do komediantek, co było ważkim powodem dla wielu, aby wspierać sztukę teatru. Maitre de plaisir był więc tytułem najbardziej pożądanym. Brandta także trapiło życie płciowe Króla. Trzeba tu wspomnieć, że w pięć miesięcy po zaślubinach Chrystiana siódmego z Karoliną Matyldą między ich królewskimi gośćmi wciąż jeszcze nie doszło do fizycznego zbliżenia. To był strach.

Brandt zaaranżował w owym czasie turniej jeździecki na dziedzińcu zamku. Wzniesiono w tym celu drewnianą trybunę, gdzie zaproszonych gości z dworu usadzono według rangi.

Odziani w zbroje jeźdźcy ścierali się ze sobą i urządzano przeróżne konkursy.

Jeden z owych konkursów polegał na tym, że lansjerzy galopowali w stronę rozwieszonych kółek, w które trzeba było trafić lancą. Wiszące na sznurze kółka były rozkołysane, co utrudniało zadanie konkurentów.

64

Jeden z lansjerów, po dwóch pierwszych nieudanych próbach, za trzecim razem przebił kółko. Obrócił w tryumfie swego konia, wspiął go i podniósł w górę ostrze lancy.

Królowa siedziała u boku króla Chrystiana. Za nią trochę na ukos siedział Enevold Brandt. Za Królem guwerner Guldberg; zdawało się, że w ciągu ostatnich miesięcy w jakiś przedziwny sposób zbliżył się do centrum, ale był jeszcze całkiem bez znaczenia.

Królewska para oglądała turniej z twarzami pozbawionymi wyrazu. Chrystian, którego w innej sytuacji pewnie cieszyłyby te harce, zdawał się sparaliżowany zażenowaniem i niechęcią, jakie budziła w nim intymna obecność Królowej; siedziała ledwie pięć cali od niego. Brandt się nachylił i szepnął do ucha Królowej:

- Z góry się cieszę na tę chwilę, kiedy królewska lanca okaże się równie zwycięska.

Na to Królowa gwałtownie wstała i odeszła.

Guldberg zapytał później Brandta, co jej szepnął. Brandt odpowiedział zgodnie z prawdą. Guldberg nie robił mu wyrzutów, powiedział tylko:

- W swym wielkim lęku i w swojej konfuzji Jego Wysokość potrzebuje wsparcia i pomocy. Brandt to odebrał jako wskazówkę, która być może była radą. Lecz przecież Guldberg był tylko kimś nieznacznym. Jakim cudem mogło to zabrzmieć jak rada, od kogoś tak nieznacznego?

Brandt może widział jego oczy.

Dnia następnego Królowa siedziała na krześle w zamkowym ogrodzie.

Chrystian zbliżał się, idąc powoli.

Kiedy ją minął bez słowa, lekko się tylko skłoniwszy, odezwała się cichym głosem:

- Chrystian? Udał, że nie słyszy.

Wtedy mocniejszym głosem, prawie jak wołanie, powtórzyła: -Chrystian!!!

65

On tylko przyśpieszył kroku.

To był strach. Ale nie tylko to.

Pani von Plessen, podczas swojej angielskiej wizyty, odbyła długą rozmowę z matką Karoliny Matyldy. Odkryły wtedy, że w niejednej sprawie mają podobne zdanie. Dwór jest siedliskiem zarazy. Szerzy się nieobyczajność. Należy chronić czystość.

Pani von Plessen z upływem miesięcy zapałała gorącą, być może namiętną, sympatią do młodej dziewczyny. Zrodziła się pomiędzy nimi bliska więź, wzmacniana oziębłością Króla.

Pani von Plessen nie martwił chłód Króla. Wręcz przeciwnie, widziała, ile mu zawdzięcza: że Królowa, zależna od niej coraz bardziej, darzy ją coraz większym przywiązaniem, a z czasem może i miłością.

Wobec Królowej pani von Plessen rozwinęła strategię, która miała „pomnożyć” miłość Króla, aby przełamać ów niezrozumiały mur oziębłości, który teraz zdawał się dzielić małżonków.

Królowa miała sprawiać wrażenie niedosiężnej, by sprowokować jego miłość. Pewne zdarzenie w pięć miesięcy po przybyciu Królowej do Danii stało się rozstrzygające.

Pewnego wieczoru około dziesiątej, niespodziewanie dla wszystkich, Chrystian zjawił się w apartamencie Królowej i oświadczył, że pragnie spotkać się z Królową, zanim ta uda się do łóżka.

Jego intencje były aż nadto czytelne.

Pani von Plessen oświadczyła wtedy, że Królowa chce teraz zagrać z nią partyjkę szachów, i że Król musi poczekać.

Rozpoczęły partię szachów.

Chrystian węszał się po komnacie, coraz bardziej poirytowany, co niesłychanie bawiło obie kobiety. O godzinie dwunastej gra się zakończyła, a wtedy Królowa, za podszeptem pani von Plessen, z którą się chwilę cicho naradzała pośród konspiracyjnych śmiechów, powiedziała, że pragnie zagrać partię rewanzową.

Pani von Plessen oznajmiła to Królowi, „z tryumfującym uśmiechem”, na co ten wyszedł rozwścieczony, trzaskając drzwiami.

66

Następnie przez czternaście dni Król nie odzywał się do Królowej. Odwracał wzrok, kiedy się spotykali, nie mówił nic. Królową ogarnęła wtedy rozpacz, ale też złość na panią von Plessen. To właśnie po tym doszło do zdarzenia, o którym opowiada Guldberg. Pograżona w apatii Królowa leżała na swoim łożu. Spytała, czemu Chrystian nie przychodzi. Kazała pani von Plessen iść precz. A potem Królowa miała tamtą nieszczęsną rozmowę z Guldbergiemi, kiedy pytała go o ową wolność od utrapienia namiętności, o spokój i pustkę; i tak wyzywająco pochylała się ku niemu, że jej odkryte do połowy piersi wykrzykiwały ku niemu obelgi, co pozwoliło mu przejrzeć na wylot rozpustną duszę tej małej angielskiej kurewki, poznać, jak będzie niebezpieczna, i że tu właśnie jest siedlisko grzechu.

Zobaczył to. Tam było źródło.

Tak się to odbyło.

5. Tym, który w końcu pomógł Chrystianowi przezwyciężyć strach, był Reverdil.

Prosił, by Chrystian przemógł swoją niechęć, żeby był twardy. Jeden jedyny raz, żeby uciszyć plotki i udowodnić, że jest mężczyzną. Później, tego samego dnia, Reverdil widział Chrystiana, jak siedzi na podłodze ze swym psem, mamrocząc do zwierzęcia intensywnie, tak jakby mu przedstawiał jakiś ważny problem; a pies uważnie obserwował twarz swojego pana. Tego samego wieczoru Chrystian odwiedził sypialną komnatę Królowej.

Niczego nie tłumaczył, ale rozumiała.

Odbył stosunek, zaciskając wściekle oczy.

Młoda królowa bezradnie próbowała go pieścić, gładząc po chudych, białych plecach, ale on krył ją, tak jak się kryje krowę. Dziewięć miesięcy później powiła syna, Fryderyka.

To był jedyny raz, gdy ją odwiedził.

Rozdział 4

Pani Wszechświata

1. Ich wizerunki z tego czasu są w pewnej mierze nieprawdziwe. Ich malowane portrety zdają się pokazywać dorosłych ludzi. Tak jednak nie było.

Gdy konflikt między królewskimi małżonkami zaostrzył się wiosną 1767, Chrystian miał lat osiemnaście, a Karolina Matylda piętnaście.

Łatwo się zapomina, że byli jeszcze nastolatkami. Gdyby te portrety odzwierciedlały rzeczywistość, wyrażałyby obawy, strach, lecz także niepewność, i poszukiwanie.

Nic jeszcze nie ustalone. Jakby wszystko jeszcze było możliwe.

Pani von Plessen stanowiła problem.

Było coś w jej przesadnej trosce, co sprawiło, że Królowa w porywie złości, czy w rozterce, kazała jej iść precz. Ale pani von Plessen była wszak jedyną osobą, która się o nią troszczyła. Co mogło ją zastąpić? Tylko milczenie albo retoryka dworu, z której niezmiennie wynikało, że Królowa jest przedmiotem. To ona przemawiała, doradzała, niepokoiła się, słuchała.

Pani von Plessen stanowiła problem, ale też była jedynym człowiekiem. Po tym przelotnym konflikcie powróciły zatem do swej uprzedniej zażyłości.

Pewne zdarzenie, pozornie bagatelne, drobne zajście, do którego doszło trzy tygodnie po pokładzinach Króla i Królowej, doprowadziło do kryzysu.

Zdarzyło się, co następuje.

68

Pewnego ranka Chrystian wszedł do Królowej, podczas gdy ta się ubierała. Królowa - w asyście pani von Plessen - owijała właśnie szyję jedwabną chustką. Król wtedy „swoją twarzą” odgarnął chustkę i przycisnął usta do jej szyi. Pani von Plessen odwróciła się z takim wyrazem twarzy, jakby to był przejaw skrajnej rozwiązłości, i dała znak Królowej, która teraz, ona także, okazała gniewną twarz i zaznaczyła, że to nie uchodzi oraz że chustka się pogniecie.

Chrystian był upokorzony. Sytuacja wydawała się dziecinnie śmieszna, nielicząca z powagą monarchy. Skarcono go za jego dziecinne zachowanie. Nie wymyślił sobie wcześniej tego gestu, ale być może ta pieszczota wydała się zbyt wyrachowana jak na zwyczajny odruch. Ośmieszył się i został skarcony, jak dziecko. Próbował złożyć pocałunek na jej szyi. To wyglądało żenująco. Skompromitował się. Pani von Plessen tryumfowała. I było oczywiste, że te dwie kobiety działały w porozumieniu.

Chrystiana rozwścieczyło to, co poczytał sobie za zniewagę, chwycił chustkę, lub raczej zdarł ją z Królowej, porwał na strzępy i odszedł, zapamiętały w gniewie.

To był ten decydujący incydent. Jeszcze raz: mieli wtedy po osiemnaście i piętnaście lat. Nazajutrz Król wydał rozporządzenie stwierdzające, że Ochmistrzyni, pani von Plessen, popadła w niełaskę, zostaje wydalona z dworu i nakazuje jej się, by niezwłocznie opuściła Kopenhagę. Dopilnowano, aby nie miała okazji pożegnać się z Królową.

Przyszło jej osiedlić się w Celle.

Królowa dowiedziała się o jej zesłaniu w dzień po jej raptownym wyjeździe.

Wtedy porwała ją gwałtowna wściekłość, wpadła do Króla i w zapamiętaniu obrzuciła małżonka stekiem wyzwisk. Chrystiana znowu ogarnęła ta nerwowość, której wyrazem były tiki i konwulsyjne ruchy rąk; jękając się, tłumaczył, że podejrzewa

69

panią von Plessen, iż jest osobą złą i perwersyjną, która do swej Królowej żywi wynaturzoną miłość. Ta wykrzyczała na to, że to kłamstwo, a ponadto, że nie obchodzi ją, co jest naturą, wynaturzeniem czy perwersją w przyjaciółce, zwłaszcza tu, na tym perwersyjnym dworze, pani von Plessen bowiem jest jedyną, z którą może rozmawiać. Jedyną, która umie jej wysłuchać, i jedyną, która przemawia do niej tak jak do żywego człowieka.

To była straszna awantura. Królowa wyszła wściekła od Chrystiana, którego do końca obsypywała wyzwiskami. W ciągu następnych tygodni okazywała mu wyłącznie pogardę i niechęć.

Wiele płakała przez najbliższy czas. Nie chciała jeść, tylko płakała. Mówiła, że najbardziej boleje nad tym, że nie było jej nawet dane pożegnać się z przyjaciółką.

Miały się jednak spotkać jeszcze raz, o wiele później, w Celle.

2. Do tego jeszcze wydarzenie z Kasią Kamaszniczką. Zaczęło się 4 maja 1767, późnym wieczorem.

Nazywała się Anna Katarzyna Beuthaken, jej ojczym był ka-masznikiem, stąd jej przezwisko, przez pewien czas była aktorką, ale „z tej profesji stoczyła się na drogę grzechu”.

Była prostytutką.

Słusznego wzrostu, mocno zbudowana, o bardzo kobiecych kształtach. Liczyła sobie, kiedy Chrystian siódmy zawarł z nią znajomość, lat dwadzieścia cztery, i była „najbardziej osławioną osobą w Kopenhadze”.

Na wizerunkach widać piękną twarz o nieco negroidalnych rysach; podobno jej matka miała domieszkę krwi kreolskiej. Była stanowcza i uparta, i znana z tego, że umiała, jeśli ją kto obraził, z niespodziewaną siłą zwalić z nóg i poturbować nawet mężczyzn, na których żadna inna kobieta nie ważyłaby się podnieść ręki.

Małżeński kryzys królewskiej pary był teraz na ustach całego dworu. Król zdawał się, w nienaturalny sposób, izolować; co-

70

raz bardziej pograżał się w melancholii, przesiadywał samotnie na krześle, mamrocząc i gapiąc się w ścianę. Miewał napady niezrozumiałej wściekłości, wydawał kapryśne rozkazy, robił się nagle podejrzliwy nawet wobec najbliższych.

Zdawało się, że coraz bardziej pochłaniają go rozmowy z jego psem. To jemu stale zwierzał się, mamrocząc coś o „winie” i o „karze”. Nikt jednak nie był w stanie się domyślić, jaką to osobliwą karę wymierzył sobie, by odkupić swoją winę.

To musiał być ktoś najukochańszy, Reverdil.

Kiedy oziębłość między młodymi małżonkami, po wypędzeniu pani von Plessen, stała się nie do zniesienia, Chrystian któregoś dnia, na przedstawieniu teatralnym, podszedł do swego dawnego szwajcarskiego gubernera Reverdila, uściskał go, zapewnił go ze łzami w oczach, że go miłuje i poważa, że Reverdil jest najbliższy jego sercu, po czym wręczył mu pewien list, prosząc, aby przeczytał go później, tego samego wieczoru.

Z owego listu wynikało, że Reverdil nie cieszy się już łaską Króla, że ma natychmiast opuścić dwór i swoje stanowisko w służbie Króla, i że nie wolno mu osiedlić się w Danii.

To było niepojęte. Reverdil z miejsca powrócił do Szwajcarii.

Nazajutrz Chrystian udał się do komnat Karoliny Matyldy, by jej powiedzieć. Usiadł na krześle stojącym przy drzwiach, dłonie trzymając między kolanami, jakby chciał ukryć ich drżenie i spazmy, po czym oznajmił, że wypędził Reverdila. Następnie umilkł, i czekał.

Królowa nie zrozumiała. Pytała tylko o przyczynę.

Dlaczego zrobił to Reverdilowi?

Odpowiedział, że to była kara. Kara za co? - spytała.

On tylko powtarzał, że to kara, i że kara była konieczna.

Wpatrywała się w niego zdumiona i powiedziała, że oszalał.

Siedzieli tak dosyć długo w komnacie Królowej, każde na swoim krześle, w milczeniu, gapiąc się na siebie. Po dosyć długiej chwili Chrystian podniósł się, i wyszedł.

71

To było kompletnie niepojęte. Nic się pomiędzy nimi nie zmieniło. Nigdy nie zrozumiała, co znaczyło słowo „kara”. Ta kara wszakże nie zmieniła nic.

3. Nazywała się Anna Katarzyna Beuthaken, na co dzień Kasia Kamaszniczka, i była prostytutką. Rozstrój i melancholia Króla były faktem. Enevold Brandt oraz pewien dworzanin nazwiskiem Holck, znany jako miłośnik teatru i włoskich komediantek, doszli wówczas do wniosku, że Kasia Kamaszniczka może być remedium na królewską melancholię.

Postanowili zaprezentować ją niespodziewanie, nie wspominając zawczasu Królowi o jej osobie. I oto pewnego wieczoru Brandt przyprowadził Kasię Kamaszniczkę do apartamentu Króla.

Była ubrana w męski strój, miała pomarańczoworude długie włosy, i co natychmiast zwróciło uwagę Chrystiana, o głowę przerastała obu dworaków.

Uważał, że jest bardzo piękna, ale wyrzucił z siebie tylko przerażone mamrotanie.

Od razu pojął, co się będzie działo.

Słowo „niewinność” pojmował bardzo niejasno. Zdaje się, że mylił je już to z „czystością”, już to z „nietykalnością”.

Uważał, że - pomijając doświadczenie, którego nabył przy pokrywaniu Królowej - wciąż jeszcze w owym czasie był niewinny. Na dworze był to częsty temat rozmów, owo niedoświadczenie „chłopca”; wieść się rozniosła. Na maskaradach różne damy, rozliczne dworskie konkubiny i zaproszone kokoty wdawały się w rozmowy z Królem i bez wahania dawały mu do zrozumienia, że są do jego dyspozycji.

Panowała powszechna opinia, że Król jest uprzejmy, nieśmiały, ale też przerażony na myśl, że w praktyce miałby zrealizować to, co mu proponowały. Wiele mówiono o tym, że swój wigor nadwątlił swoim nałogiem, i niejedna nad tym ubolewała.

72

Teraz do jego komnat wprowadzono Kasię Kamaszniczkę. Żarty się już skończyły.

Brandt przyniósł także wino i puchary, i dowcipkując usiłował rozładować bardzo napiętą atmosferę. Nikt nie wiedział, jak Król zareaguje na propozycje, które właśnie miano mu przedłożyć.

Katarzyna podeszła do łoża, oszacowała je spokojnie, i powiedziała przyjaźnie do Króla:

- No chodźmy, Wasza Wysokość.

Podeszła potem wolno do Chrystiana i zaczęła się rozbierać. Zaczęła od swego kaftana, i zrzuciła go na podłogę, następnie zdejmowała garderobę sztuka po sztuce, by w końcu stanąć całkiem nago przed Jego Wysokością.

Jej włosy wszędzie były rude, miała wydatne pośladki, duże piersi, kiedy się rozbierała, robiła to powoli i rzeczowo, i teraz stała, oczekując, przed Chrystianem, który się tylko na nią gapił.

- Chrystian? - spytała go przyjaźnie - nie chcesz?

Ta nieoczekiwana poufałość - mówiła do niego per ty - zaszokowała wszystkich, ale nikt nic nie powiedział. Chrystian obrócił się tylko na pięcie, ruszając najpierw ku drzwiom, ale przypomniał sobie może, że na zewnątrz stoi warta, więc zawrócił i podszedł do okna zasłoniętego draperiami; jego wędrówka po komnacie była zupełnie bezplanowa. Jego dłonie zaczęły teraz znowu wykonywać owe dziobiące, podniecone ruchy, tak dla niego charakterystyczne. Bębnił palcami po brzuchu, ale nie mówił nic.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Chrystian wpatrywał się uparcie w wiszące w oknie draperie.

Holck powiedział wtedy do Brandta:

- Pokaż mu.

Brandt, ogarnięty niepewnością, afektowanym głosem zaczął wygłaszać coś, co wcześniej sobie przygotował, ale co teraz, w obecności Katarzyny, zdawało się niestosowne.

- Wasza Wysokość, skoro Królowa, może ze względu na swój młody wiek, wzdraga się przed tym świętym sakramentem, któremu sposobność następcza Wasz królewski członek, można
73

odwołać się do kilku historycznych precedensów. Już wielki Paracelsus pisze w swoim...

- On nie chce? - spytała rzeczowo Katarzyna.

Brandt wtedy zbliżył się do Katarzyny, objął ją, i chichocząc cienko, niemal piskliwie, zaczął ją pieścić.

- Co ty, cholero, tu wyprawiasz - zapytała.

Przez cały czas spoglądała w stronę Chrystiana pod oknem. Chrystian odwrócił się i patrzył na Katarzynę z wyrazem twarzy, którego żadne z nich nie potrafiło rozszyfrować.

- Chcę pokazać Waszej Wysokości, na tym obiekcie, jak trzeba Królową... jeżeli ją obleci strach przed królewskim członkiem...

- Strach? - powtórzył Chrystian mechanicznie, jakby nie rozumiał.

- Wypnij dupę - powiedział Brandt do Katarzyny. - Pokażę mu.

Lecz wtedy Katarzynę, nie wiedząc dlaczego, porwała nagła złość; wyrwała się i prawie wysyczała:

- Nie widzisz, że on się boi??? Zostaw go w spokoju!

- Stul pysk! - ryknął Brandt.

Mimo że był o głowę niższy od niej, usiłował obalić ją na łożo, i zaczął ściągać z siebie ubranie; lecz wtedy rozwścieczona Katarzyna zwróciła się ku niemu i gwałtownie podnosząc kolano, trafiła Brandta między nogi, tak precyzyjnie i skutecznie, że ten, wyjąc, osunął się na podłogę.

- Nie będziesz tu niczego pokazywać na żadnym zasranym obiekcie - rzuciła mu Katarzyna zajadle.

Brandt leżał zwinięty w kłębek na podłodze, z nienawiścią w oczach, szukając oparcia, by się podnieść; a wtedy wszyscy usłyszeli, jak Chrystian zaczął się śmiać, głośno, jakby uszczęśliwiony. Po krótkiej chwili zaskoczenia Katarzyna zawtórowała mu wybuchem śmiechu.

Śmiali się tylko oni dwoje.

- Precz!!! - powiedział potem Chrystian do obu faworytów. - Wynosić się!!!

74

Wtedy w milczeniu opuścili komnatę.

Kasia Kamaszniczka najpierw się wahała, ale po chwili zaczęła się ubierać. Gdy już z powrotem osłoniła tors, lecz ciągle naga od pasa w dół, gdzie się rzucało w oczy jej rude owłosienie, znieruchomiła i w milczeniu tylko patrzyła na Chrystiana. Aż wreszcie odezwała się do Króla tonem, który nagle wydał się bardzo nieśmiały, i zupełnie nie przypominał tego, którym przed chwilą przemawiała do Brandta:

- Cholera, przestań - powiedziała. - Nie musisz się mnie bać. Wtedy Chrystian, z wyrazem zdumienia w głosie, powiedział: -Ty go... zwałaś... na podłogę.

-No.

-Oczyściłaś... oczyściłaś... świątynię. Patrzyła na niego pytająco, potem zbliżyła się, stanęła tuż przy nim i dotknęła dłonią jego policzka.

- Świątynię? - spytała.

Nie odpowiedział, nie wyjaśniał. Patrzył tylko na nią, i ciągle jeszcze drżał na całym ciele. A wtedy, bardzo cicho, powiedziała:

- Niech ci nie wyjeżdżają z takim chamstwem, Wasza Wysokość.

Nie oburzyło go, że powiedziała zarazem „ty” i „Wasza Wysokość”. Gapił się tylko na nią, ale już spokojniej. Powoli przechodziło mu drzenie rąk i wydawało się, że nie jest już tak przerażony.

- Mnie się nie musisz bać - powiedziała. - Bój się tych świń. Bo to świnię. Dobrze, że wyrzuciłeś te parszywe świnię. Pokazałeś im, kto tu silny.

- Silny?

Wzięła go wtedy za rękę i ostrożnie poprowadziła do łóża, gdzie oboje usiedli.

- Taki jesteś drobniutki - powiedziała. - Jak kwiatuszek. Spoglądał na nią z niewymownym zdumieniem. -Jak... kwiatuszek???

Zaczął szlochać, ostrożnie, jakby się wstydził; ale ona, nie zwracając na to uwagi, zaczęła powoli go rozbierać. Nie próbował jej w tym przeszkadzać.

75

Zdejmowała z niego ubranie, sztuka po sztuce. Nie powstrzymywał jej. Jego postać zdawała się taka drobna, mizerna i krucha obok jej ciała, ale pozwolił, aby to się działo.

Legli na łóżu. Obejmowała długo jego ciało, kojąc je pieszczotami, aż w końcu przestał szlochać. Przykryła ich oboje puchową kołdrą. Chrystian zasnął.

Później, nad ranem, kochali się, bardzo spokojnie, i kiedy odchodziła, smacznie spał, jak szczęśliwe dziecko.

4. Dwa dni później szukał Katarzyny, i znalazł ją.

Owinął się w szary płaszcz i wydawało mu się, że jest nie do rozpoznania; nie zważał na to, że, także teraz, postępowali za nim z dala dwaj żołnierze.

Znalazł ją w dzielnicy Christianshavn.

Obudził się, po pierwszej nocy z Katarzyną, po południu, i długo leżał nieruchomo w swojej pościeli.

Nie potrafił rozpoznać tego, co się stało. Zdawało się, że tego nie da się wyuczyć. To była dla niego nowa replika.

Może nie replika.

Zdawało mu się, że pławi się w ciepłej wodzie, jak płód w wodach płodowych, i wiedział, że to przedłużające się uczucie zostało po niej. Po pokrywaniu Królowej pozostało mu uczucie, że jest nieczysty, tak bardzo bowiem się bał. Nie był już więcej „niewinny”, ale ku jego zdumieniu nie napawało go to wcale dumą, nie, to nie była duma. Wiedział jednak, że niewinność może stracić każdy. Ale kto może ją odzyskać? On owej nocy odzyskał swoją niewinność. Teraz był płodem. Dlatego mógł się narodzić na nowo, może jako ptak, może koń, może jako człowiek, a wtedy jako wieśniak pracujący w polu. Mógł się narodzić bez winy. Z tych wód płodowych mógł zmartwychwstać. To był początek.

U Katarzyny odzyskał swoją niewinność, którą stracił u Królowej.

Te momenty, gdy wyobrażał sobie dwór jako świat, i że poza nim nie ma nic, owe momenty napełniały go przerażeniem.

Wtedy znów śnił mu się sierżant Mori.

Zanim otrzymał psa, nie był w stanie sypiać regularnie; lecz to się poprawiło, kiedy dostał psa. Pies sypiał wtedy w jego łóżku i przed psem mógł przepowiadać swoje repliki.

Pies spał, on powtarzał swoje repliki, aż strach zniknął.

Gorzej było na zewnątrz, poza światem dworu. Zawsze bał się Danii. Dania to było to, co znajdowało się poza replikami. Tam na zewnątrz nie było żadnych replik, które można by powtarzać, i to na zewnątrz nie zgadzało się z tym wewnątrz.

Na zewnątrz było tak niewiarygodnie brudno i niejasno, wszyscy zdawali się pracować, byli czymś zajęci, nie przestrzegali ceremoniału; czuł wielki podziw dla tego, co było na zewnątrz, i marzył, by tam uciec. Pan Voltaire w swoich listach i pismach opowiadał, jak w tym na zewnątrz winno być. Na zewnątrz było także coś, co można by nazwać dobrocią.

W na zewnątrz była największa dobroć oraz największe zło, tak jak przy egzekucji sierżanta Mórła. Ale, jakkolwiek było, nie dało się tego wyuczyć.

To właśnie brak ceremoniału kusił go i przerażał.

Katarzyna była wyłączną dobrocią. Wyłączną, gdyż nie było tam nic innego, oraz dlatego, że otaczała jego, a wyłączała wszystko inne.

Dlatego musiał ją odszukać. Dlatego ją znalazł.

J. Ugościła go, kiedy przyszedł, mlekiem i bułkami. To było niepojęte.

Wypił to mleko i zjadł bułkę.

To było jak Komunia Święta, pomyślał.

Nie, dwór nie był całym światem, ale zdawało mu się, że znalazł raj; raj leżał w pokoiku za burdelem na Studiestraede 12.

Tam ją odnalazł.

Nie było tapet, jak na dworze. Było jednak łóżko; i przez kilka mgnień, nieco bolesnych, mgliście roily mu się sceny rozgrywające się w tym łóżku, i kto z niego korzystał; migały przed nim jak owe rysunki, które kiedyś pokazał mu Holck, które pożyczył potem, aby ich używać do praktykowania nałogu; tego nałogu, kiedy sam dotykał swojego członka, patrząc na obrazek. Dlaczego zatem Wszechmogący Bóg obarczył go tym nałogiem? Czy był to znak, że jest jednym z Siedmiu? I jakim cudem ktoś, kto jest Bożym wybrańcem, mógł być obarczony nałogiem, który jest grzechem cięższym niż wszeteczeństwo dworu; owe obrazy migały przed nim, gdy patrzył na jej łóżko, lecz się uzbroił w nietykalność i zniknęły.

Wszak nałóg praktykował tylko wtedy, gdy ogarniał go lęk lub gdy rozważał swoją winę.

Nałóg go uspokajał. Traktował nałóg jako sposób Wszechmogącego Boga na obdarzanie go spokojem. Teraz obrazy już odeszły, odtrącił je.

Katarzyna nie była częścią tych obrazów, będących nałogiem i winą.

Widział jej łóżko, obrazy nadeszły, wtedy się oblókł w nietykalność, i zniknęły. Katarzyna dała mu znak. Mleko i bułki były znakiem. Kiedy na niego patrzyła, był znowu w ciepłych wodach płodowych, żadnych obrazów. Nie pytała. Zdjęli ubrania.

Żadnych replik, które by można zapomnieć.

Kochali się. Piął się po niej jak wąty pęd białego kwiatu Ignący do jej smągłego ciała.

Pamiętał przecież, co mu powiedziała, to niepojęte, że jest jak kwiatuszek. Jedyne ona mogła powiedzieć coś takiego, nie prowokując go do śmiechu. Dla Katarzyny wszystko było czyste.

I wypędziła w nim, i w sobie! w sobie!!!, przepukniów nieczystości.

A więc była świątynią.

Później, gdy zlany potem, pusty, leżał na niej, zaczął jej szeptem zadawać pytania. Byłem silny? - zapytał - Katarzyno, musisz powiedzieć mi, czy byłem silny, silny??? Idiota, powiedzia-

78

ła najpierw, ale w sposób, który go uszczęśliwił. Wtedy zapytał znowu. Tak, kochany, odpowiedziała, teraz cicho, musisz nauczyć się nie pytać, nic nie mówić, wy się pytacie tak, na zamku? Cicho, śpij. Czy wiesz, kim jestem, spytał, ale ona tylko się śmiała. Ja jestem! jestem! wiejskim chłopcem, który urodził się w Hirshals, przed osiemnastu laty, w biednej rodzinie, jestem kimś innym, kimś innym, niż ci się wydaje. Już dobrze, dobrze, wyszeptwała. Czy nie jestem podobny do wiejskiego chłopca, powiedz mi, przecież znasz tak wielu? Przez długą chwilę było całkiem cicho.

- Tak, powiedziała w końcu. Jesteś podobny do jednego wiejskiego chłopca, którego kiedyś znałam.

-Zanim...?

- Zanim tu przyjechałam.

- Zanim?

- Zanim tu przyjechałam.

- Katarzyno, zanim...

Pot wysechł, ale on wciąż leżał na niej, i wtedy usłyszał jej szept:

- Nie trzeba było go opuszczać. Nigdy. Nigdy.

Zaczął mamrotać, wpieryw niezrozumiale, lecz potem coraz wyraźniej i coraz bardziej rozwścieczony; nie na nią, tylko na to opuszczanie, czy może bycie opuszczonym? Jak trudno być kimś podmienionym. Mamrotał. Że jest podmieniony, i że nie może spać po nocach. I o nałogu, i że którejś nocy widział ją, jak wychodzi ku niemu z ciemności z sierżantem Mórlem, ręka w rękę, i że ten żądał, aby Chrystianowi wymierzono wielką karę. Gdyż jest zbiegiem.

- Czy wiesz - zapytał ją tuż zanim sen go zmorzył - czy jest ktoś, kto panuje we wszechświecie i stoi ponad Bogiem Kary? Wiesz, czy istnieje taki dobroczyńca?

- Tak - powiedziała.

- Kto to jest? - spytał już przez sen.

- To ja - powiedziała.

- Zechcesz być moim dobroczyńcą? Który ma czas?

79

- Ja mam czas - wyszeptwała. - Mam cały czas wszechświata. I zrozumiał. To ona była Panią Wszechświata. Miała czas. Była czasem.

Tuż po północy zaczęto kołatać do drzwi. Obstawa Króla zdążyła się zaniepokoić.

Stoczył się z jej ciała. Kołatanie trwało. Ona wstała, owinęła się szalem.

Potem do niego powiedziała:

- Szukają cię. Bądź teraz twardy, Chrystian.

Oboje szybko się ubrali. Zatrzymał się przed drzwiami, tak jakby strach doścignął go i obezwładnił. Wtedy go pogładziła po policzku. Potem ostrożnie uchylił drzwi.

Dwaj lokaje, odziani w liberie, z bezczelną ciekawością przyglądali się tej niedobranej parze, pokłonili się uniesieniu Monarsze, lecz jeden parsknął nagle śmiechem.

Dłoń Kasi Kamaszniczki powędrowała wtedy nieznacznie do kieszeni, w dłoni pojawił się bardzo wąski nóż, i ze zwinnością, która dla nich wszystkich była niespodziewana, miękko, jakby to było ptasie skrzydło, musnęła nożem po policzku tego, któremu zachciało się śmiać.

Lokaj zatoczył się do tyłu, przysiadł. Nacięcie było karminowe i krew spływała wartko i obficie; zawył z wściekłości i zdumienia, i szukał rękojeści szpady. Król Chrystian siódmy - w tym bowiem momencie wszyscy czworo tak o nim myśleli, jako o suwerennym władcy wybranym przez Boga - zaczął się jednak śmiać.

Tym samym szpada nie mogła być użyta; nie wtedy, kiedy Król raczył się śmiać w ten sposób.

- Teraz, Chrystian - spokojnie rzekła Kasia Kamaszniczka - teraz pomalujemy miasto na czerwono.

Opowiadano później wiele o tym, co się zdarzyło. Królewska wola była powszechnym prawem, a Katarzyna była królową nocy.

80

Odprowadziła go do samego domu. Po drodze się przewracał, był zablocony i nieprzytomnie pijany. Miał zakrwawioną jedną dłoń.

Ona wciąż jeszcze ubrana była porządnie. Przy bramie warty odkryły, że to przyszedł Król; mogła go zatem oddać w pewne ręce i iść sobie. Dokąd poszła, nikogo z nich nie obchodziło, ale Chrystian, gdy zauważył, że jej nie ma, sprawiał wrażenie kompletnie zdruzgotanego. Wartownikom zdawało się, że słyszą, jak mówi: „kochana... kochana”, ale nie byli potem pewni.

Wnieśli go na górę.

6. Blisko siedem miesięcy trwał ich związek. On był przekonany, że to się nigdy nie skończy. Jednak miało się skończyć.

Punkt zwrotny nastąpił na przedstawieniu Teatru Dworskiego; to była komedia Cerilla Cudowny ogród. Król coraz częściej brał z sobą Kasię Kamaszniczkę na dworskie maskarady, przesiadywała w jego łoży, grali razem w karty, w „faraona”, na oczach wszystkich, a potem przechadzali się wśród dworzan. Wtedy ona zdejmowała swoją maskę. Król przygarniał ramieniem jej kibić, śmiali się i szeptali poufale.

Dwór był w szoku.

Tu nie chodziło o obecność kokoty w ich gronie. Chodziło o kielkujące podejrzenie, że ta kobieta, jeśli by została oficjalną królewską metresą, nie zadowolili się swoimi wpływami w łóżku, lecz że ma większe i niebezpieczniejsze ambicje.

Śmiała się im prosto w twarz.

Ta nienawiść, która ich tak przerażała! Cóż to za zemstę knu-ła, jakie krzywdy skrywała w głębi duszy pod uśmiechem, co w jej przeżyciach motywowało tę nienawiść! To przejmowało wszystkich lękiem. Cóż to za blask wyzierał z jej oczu, kiedy chodziła wśród nich, z tym uwieszonym na sobie królewskim chłopcem.

Co takiego obiecywały jej oczy?

81

Ponieważ Królowa Wdowa, Juliana Maria - która była macochą Chrystiana, ale marzyła o tym, by jej własny syn, Fryderyk, odziedziczył tron - widziała, co te oczy obiecują, wezwała do siebie Ove H0egh-Guldburga na naradę, w sprawie, jak napisała mu w zawiadomieniu, niecierpiącej zwłoki.

Wyznaczyła spotkanie w Kościele Zamkowym. Wybór miejsca zdumiał Guldburga. Ale, jak pisze, „być może Jej Wysokość chciała zachować to w największej tajemnicy, co da się uczynić tylko pod czujnym okiem Pana Boga”. Gdy Guldburg nadszedł, zastał kościół pusty, i tylko z przodu, w pierwszej ławie siedziała samotna postać.

Podszedł do niej. To była Królowa Wdowa. Kazała mu usiąść.

Problemem okazała się Kasia Kamaszniczka.

Królowa Wdowa od razu wyłożyła sprawę zaskakująco brutalnie i rzeczowo, i to językiem, jakiego się bynajmniej nie spodziewał, zwłaszcza w tym kościele.

- Moje informacje są absolutnie pewne. Bywa u niej prawie co wieczór. Wieść już rozniosła się po Kopenhadze. Król, cały ród królewski, cały dwór są pośmiewiskiem w oczach wszystkich.

Guldburg siedział bez ruchu, wpatrując się w krucyfiks z męką Zbawiciela.

- Ja też słyszałem - odpowiedział. - Niestety, informatorzy Waszej Wysokości zdają się dobrze poinformowani.

- Proszę was o interwencję. Młoda małżonka nie dostaje nic z królewskiego nasienia.

Nie wierzył własnym uszom, ale tak powiedziała, a potem ciągnęła:

- Sytuacja jest poważna. Wylewa swoje królewskie nasienie w brudne łono tej Kasi Kamaszniczki. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Ale należy go też zmusić, aby pokrył Królową. Mówi się, że raz do tego doszło, to nie wystarczy. Sukcesja tronu jest w niebezpieczeństwie. Sukcesja tronu.

Popatrzył teraz na nią i odrzekł:

- Ale Wasz własny syn... mógłby wszak wtedy odziedziczyć..

82

Nie powiedziała ani słowa.

Wiedzieli przecież oboje, że było to niemożliwe. Czy może ona nie wiedziała? Albo nie chciała wiedzieć? Jej jedyny syn, Książę Fryderyk, przyrodni brat Króla, cieleśnie zdeformowany, z głową spiczastą, zniekształconą, był uważany przez życzliwych za ciamajdę, lecz przez innych za skończonego debila. Angielski poseł w pewnym liście do Jerzego trzeciego opisał jego wygląd. „Głowę miał nieforemną, ślinił się niepohamowanie, a gdy mówił, wydawał z siebie co chwila dziwaczne poch rżakiwania, przy czym uśmiechał się bez przerwy z wyrazem twarzy idioty”. To było okrutne, lecz prawdziwe. Oboje wszak o tym wiedzieli. Guldberg był jego guwernerem już sześć lat.

Znał także jej wielką miłość do tego pokracznego syna.

Widział, jak miłość ta wybacza wszystko, ale też często widywał jej łzy; ta kochająca matka nie łudziła się też chyba, że ów pokraczny nieszczęśnik, ów „potwór”, jak czasami mówiło się o nim na dworze, będzie mógł zostać królem Danii?

Nie mógł wiedzieć tego na pewno.

Ale te inne rzeczy, o których mówiła! Wszystko, co powiedziała poza tym, było, w rzeczy samej, tak osobliwe, że nie zdobył się na odpowiedź. Jej oburzenie z powodu trwonionego królewskiego nasienia zdawało się dziwne: Juliana Maria była wdową po królu, który rozlewał swoje królewskie nasienie we wszystkich niemal kurwach Kopenhagi. Nie była tego nieświadoma. Tolerowała to. Owego króla też zmuszano, by ją pokrył, i ona sama zmuszała się do tego. Tolerowała także to. I urodziła syna, który był debilem, nieszczęsne zaślinione dziecko, które kochała.

Nie tylko „tolerowała” upośledzenie swego syna. Ona go kochała.

- Mój syn - odrzekła w końcu swoim metalicznym, czystym głosem - byłby z pewnością lepszym monarchą niż ten... pomyłony i rozpustny... mój syn byłby... mój ukochany syn byłby...

Nagle nie powiedziała już nic więcej. Zaniemówiła. Długo siedzieli w milczeniu. Wreszcie się nieco obaczyła i rzekła:

83

- Guldberg. Jeśli będziecie mi podporą. I podporą... mego syna. Sowiecie wam za to zapłacę. Sowiecie. Wasz przenikliwy umysł może być tarczą dla królestwa. Jesteście, podobnie jak mój syn, co do powierzchowności... nieznaczej... postury. Lecz wasza dusza...

Nie dokończyła. Guldberg milczał.

- Od sześciu lat jesteście nauczycielem Księcia, szepnęła w końcu. Bóg go obdarzył mizerną posturą. Dlatego wielu nim pogardza. Ja jednak proszę was - czy jest możliwe, abyście pokochali go, jak ja go kocham?

Pytanie było nieoczekiwane, zdawało się też nadto ckliwe. Po chwili, gdy nie odpowiadał, powtórzyła:

- Abyście odtąd go kochali równie mocno jak ja? Wtedy was za to wynagrodzi nie tylko wszechmogący i łaskawy Ojciec. Także ja.

I po krótkiej chwili milczenia dodała:

- We troje ocalimy to biedne królestwo. Guldberg odpowiedział:

- Wasza Wysokość. Póki mego życia, niech tak będzie. Ujęła wtedy jego dłoń i uściśniła.

Guldberg pisze, że w jego

życiu była to wielka chwila, która na zawsze miała je odmienić. „Od tej chwili darzyłem nieszczęsnego Księcia Fryderyka tak szczerą miłością, że zaskarbiło mi to absolutne zaufanie, nie tylko jego, lecz także jego Pani Matki, Królowej Wdowy”.

Potem mówiła znowu o Kasi Kamaszniczce. I na koniec Królowa Wdowa powiedziała, prawie sycząc, lecz głosem dostatecznie mocnym, aby echo w Kościele Zamkowym rozbrzmiewało długo:

- Pozbyć się jej. STANOWCZO!!!

Wieczorem w wigilię Trzech Króli, 5 stycznia 1768, czterej ludzie z policji zabrali Katarzynę z jej mieszkania w dzielnicy Christianshavn. Był późny wieczór, padał zimny deszcz.

Przyszli około dziesiątej wieczorem, wywlekli ją, a potem zaciągnęli do swego krytego powozu. Żołnierze dopilnowali, by nie zbierali się ciekawscy.

84

Najpierw płakała, potem wściekle pluła na policjantów; dopiero gdy już siedziała w powozie, spostrzegła Guldberga, który osobiście sprawował nadzór nad aresztowaniem.

- Wiedziałam! - wykrzyknęła - ty mały podły szurze, ja wiedziałam!

Guldberg zbliżył się wtedy i na podłogę powozu rzucił sakiewkę ze złotymi monetami.

- Zobaczysz sobie Hamburg - powiedział cichym głosem. -I nie każdej kurwie płaci się tak dobrze.

Drzwi się zatrzasnęły, konie ruszyły, i Kasia Kamaszniczka rozpoczęła swój zagraniczny wjazd.

7. Przez pierwsze dni Chrystian nie pojął, że zniknęła. Następnie zaczął coś przeczuwać.

Ogarnęła go nerwowość.

Ku zaskoczeniu dworu, bez uprzedniego zaproszenia, odwiedził hrabiego Bernstorffa, u którego, niczego mu nie wyjaśniając, spożył obiad. Przy tym obiedzie mówił coś, całkiem od rzeczy, o kanibalach. Wy tłumaczono to sobie jako przejaw królewskiej nerwowości.

Wszystkim wszak znana była jego melancholia, nerwowość i wybuchy gwałtowności; a wszystko to bez słowa wyjaśnienia. W ciągu następnych dni bez przerwy włóczył się nocami po ulicach Kopenhagi. Zrozumiano, że poszukuje Katarzyny.

Po dwóch tygodniach, gdy zdrowie Jego Wysokości zaczęło budzić powszechną troskę, powiadomiono Króla listownie, iż Katarzyna udała się w zagraniczny wjazd, nie podając celu podróży, ale prosiła, by przekazać pozdrowienia.

Przez trzy następne dni Król izolował się w swoich komnatach. Potem pewnego ranka zniknął.

Zniknął też jego pies.

Natychmiast wszczęto poszukiwania. Już po paru godzinach nadeszła wiadomość, że Króla odnaleziono; widziano go, jak spaceruje po nadbrzeżu zatoki K0ge, i żołnierze nadzorowali

85

go z daleka. Królowa Wdowa wysłała wtedy Guldberga, by wytłumaczył Królowi sens listu i by zaklinał go, aby powrócił na zamek.

Siedział na brzegu.

To był żaloszny widok. Miał koło siebie psa, który warczał na Guldberga.

Guldberg przemawiał do Króla jak przyjaciel.

Powiedział Chrystianowi, że musi odzyskać swój królewski spokój, dla dobra kraju. Że nie ma powodu do przygnębienia i rozpacz. Że dwór i Królowa Wdowa, zresztą wszyscy!, są zdania, iż przychylność okazywana przez Króla Katarzynie stała się niepokojąca. Ze owa przychylność mogłaby przecież przyćmić te uczucia, niewątpliwie czułe, jakie Król żywi

wobec młodej królowej, i narazić tym samym na szwank przyszłość tronu. Ba, może sama panna Beuthaken rozumowała w ten sposób! Być może to jest wyjaśnienie. Może jest tak, że jej niespodziewany wyjazd wynikał z pragnienia, by służyć krajowi, duńskiemu królestwu, że doszła do przekonania, iż stoi na zawadzie pragnieniu całego królestwa, aby ciągłość sukcesji zapewnił dziedzic tronu. Powiedział, że jest niemal pewien, iż tak było.

- Gdzie ona jest - rzekł Chrystian.

Może powróci, mówił Guldberg, jeśli sukcesja będzie zapewniona? Ba, twierdził, że jest niemal pewien, że jej troska o Danię, wynikająca z jej altruizmu, jej niespodziana ucieczka, że ten niepokój byłby wtedy uśmierzony. I że wtedy by wróciła, mogłaby wtedy znów zadzierzgnąć więzy głębokiej przyjaźni z Królem, który...

- Gdzie ona jest - wykrzyknął Król - czy wy wiecie, że się z was wyśmiewają? z tego małego, mizernego... z tego... wiecie, że przezywają was Jaszczurką?

Potem zamilkł, jak gdyby porażony strachem, i spytał Guldberga:

- Muszę być teraz ukarany?

W tym momencie, jak pisze Guldberg, ogarnął go przemożny smutek, i przemożna litość. Siedział obok Chrystiana. I przecież prawdą było, co powiedział Król: że on sam, co do swojej zewnętrznej postaci, tak jak

86

Król!, tak jak Król!!!, jest mizerny, wzgardzony, że Król, na pozór pierwszy, jest w istocie jednym z ostatnich. Gdyby nie zważał na konieczność okazywania czci majestatowi, nie dbał o ceremoniał, pragnąłby opowiedzieć temu młodemu chłopcu, że jest, on także, jednym z ostatnich. Że nienawidzi nieczystości, że nieczyste musi zostać wycięte, tak jak obcina się członki, które przywodzą do grzechu, oraz że przyjdzie czas ścinania, gdy ten rozpustny dwór, gniazdo wszelkiego robactwa, będzie odcięty od wielkiego dzieła Boga, gdy marnotrawcy, ateusze, jawnogrzesznicy i opoje z dworu Chrystiana siódmego poniosą wreszcie zasłużoną karę. Stateczność państwa będzie zapewniona, władza królewska wzmocniona, oczyszczający ogień przewędruje przez to śmierzące królestwo. I że ostatni staną się pierwszymi.

I że on wtedy, wraz z Bożym wybrańcem, będzie radować się tym wielkim dziełem oczyszczenia, którego razem, we dwóch, dokonali.

Ale powiedział tylko:

- Tak, Wasza Wysokość, jestem mizernym, całkiem maluczkim człowiekiem. Lecz mimo to człowiekiem.

Król spojrział wtedy na niego z wyrazem zdumienia na twarzy. Potem ponowił pytanie:

- Gdzie ona jest?

-Może w Altonie... Hamburgu... Paryżu... Londynie... To bujna i bogata osobowość, rozdarła między niepokojem o los Waszej Wysokości... a obowiązkami wobec Danii... ale powróci może, gdy dojdą ją wieści, że Dania ma następcę tronu. Ciągłość sukcesji ocalona.

- Europa? - wyszeptał zrozpaczony Król. - Europa? -Paryż... Londyn...

Król zapytał:

- Muszę jej szukać... w Europie?

Pies zaskomlał. Mgła położyła się nad wodami Óresundu, nie było widać szwedzkiego brzegu. Guldberg przywołał skinieniem oczekujących żołnierzy. Król Danii został wybawiony 2 ciężkiej opresji i przywiedziony do opamiętania.

87

o. Żadnych zmian w usposobieniu Króla. Lecz na zwołanym niespodzianie nadzwyczajnym posiedzeniu gabinetu Król oznajmił, że pragnie odbyć dłuższą podróż po Europie.

Na stole w sali posiedzeń rozłożył mapę Europy. W komnacie było trzech ministrów, poza tym Guldberg i niejaki hrabia Rantzau; król, nadzwyczaj stanowczy i skupiony, omówił trasę podróży. To co przedstawił, to była, prawie bezsprzecznie, podróż edukacyjna. Jedyne

Guldberg zdawał się osobliwie zadumany, lecz nie powiedział ani słowa. Pozostali zgodzili się co do tego, że europejscy władcy z pewnością będą witać duńskiego monarchę jak równego sobie.

Król, gdy uzyskał aprobatę rady, przeciągnął palcem po mapie i wymamrotał:

-Altona... Hamburg... Paryż... Europa...

Po tym jak Król opuścił salę, Guldberg i Rantzau jeszcze tam zostali. Hrabia Rantzau zapytał, co sprawia, że Guldberg zdaje się tak dziwnie zamyślony.

- Nie możemy pozwolić, by Król podróżował bez odpowiednich zabezpieczeń - powiedział Guldberg po chwili wahania. -Ryzyko jest nazbyt duże. Jego nerwowość... jego nagłe wybuchy złości... to by wzbudzało zbyt wiele niepożądaną sensacji.

- Trzeba zapewnić mu opiekę konsyliarza - rzekł wtedy hrabia Rantzau. - Który będzie nad nim czuwał. I uspokajał.

- Ale kto? -Znam pewnego bardzo zdolnego lekarza - rzekł Rantzau.

-Wykształcony, obyty, praktyka w Altonie. Specjalista od zaszczepiania ospy. To Niemiec, jego rodzice to pietysci, ojciec jest teologiem. Nazywa się Struensee. Bardzo zdolny. Bardzo zdolny.

- Przyjaciel? - zapytał Guldberg z twarzą bez wyrazu. - Jeden z pańskich protegowanych?

- Otóż to.

- I pod wrażeniem pańskich... idei oświeceniowych?

- Apolityczny całkiem - powiedział Rantzau. - Całkiem apolityczny. Specjalista od ospy i od kondycji kończyn. O tym ostatnim pisał swoją dysputację.

- Nie Żyd, jak Reverdil? -Nie.

-I ładny chłopak... jak przypuszczam?

Rantzau natychmiast zaczął mieć się na baczności; ponieważ nie miał pewności co do intencji pytania, odpowiedział wymijająco, lecz z chłodem, który oznaczał, że nie zamierza tolerować podobnych insynuacji:

- Specjalista od ospy.

- Może pan za niego poręczyć? -Słowem honoru!!!

- Słowo honoru nie waży zbyt wiele w kręgach oświeceniowców.

Zapadła głucha, lodowata cisza. W końcu przerwał ją Guldberg, mówiąc z jednym ze swoich rzadkich uśmiechów: -To żart. Oczywiście. Mówi pan... Struensee? Tak właśnie wszystko się zaczęło.

i

Część II

KONSYLIARZ

Rozdział 5

Cichy z Altony

1. Przyjaciele nazywali go Cichy. Nie był zbyt mowny, nigdy bez potrzeby. Ale uważnie słuchał.

Można położyć akcent na to, że był cichy. Albo na to, że umiał słuchać.

Nazywał się Johann Friedrich Struensee.

W Holsztynie, parę mil od Hamburga i leżącego nieopodal mniejszego miasta, Altony, znajdował się majątek ziemski zwany Ascheberg. Do posiadłości należały duże tereny parkowe słynące w wielu stronach Europy, a będące własnością rodu Rantzau.

Te założenia parkowe wykończono w latach trzydziestych XVIII wieku; obejmowały sieć kanałów, aleje i kwadratowe bo-skiety rozplanowane regularnie, w układzie typowym dla wczesnego baroku.

Aschebergs Have był perłą architektury krajobrazu.

Lecz swoją sławę park zawdzięczał wykorzystaniu osobliwych formacji terenu. Natura stąpiła się tu z kulturą. Ów barokowy ogród-park, z głęboką centralną perspektywą alej i

kanalów, rozciągał się nad brzegiem jeziora. Ale poza nim wznosił się grzbiet wzgórza nazywanego tu Górą; było to z lekka pofałdowane wzniesienie, z osobliwymi dolinkami wrzynającymi się jak pręgi w jego zbocze; za główną, dość skromną budowlą teren podnosił się stromo, z pewną naturalną dzikością nietypową dla łagodnego duńskiego krajobrazu. Górę porastał las; było to naturalne wgrórze, zarazem w stanie dzikim i poddane dyscyplinie.

93

Łagodne doliny wyglądające jak parowy. Tarasy. Las. Przyroda idealna, kontrolowana i stworzona przez człowieka, a jednocześnie będąca wyrazem swobody i nieokiełznania. Ze szczytu Góry roztaczały się dalekie perspektywy. Było też widać, co człowiek potrafi stworzyć: naturalną replikę nieokiełznanej przyrody.

Góra sięgała jedną odnogą do ogrodu. Dzikość gościła w dyscyplinie. Marzenie cywilizacyjne o ujarzmieniu, i wolności.

W jednej z „fałd” Góry, w kotlinie, natrafiono na dwie bardzo stare chaty. Były to niegdyś siedliska chłopskie lub - jak sobie to wołano wyobrażać - pasterskie. Jedną z tych chat odrestaurowano, a to dla bardzo szczególnej przyczyny.

W 1762 Rousseau rozpoczął swoją tułaczkę egzula, po tym jak sąd paryski kazał katu spalić jego Emila.

Szukał schronienia w różnych zakątkach Europy, i właściciel Ascheberga, niejaki hrabia Rantzau, już podówczas sędziwy, który przez całe swoje życie był entuzjastą radykalnych idei, zaoferował temu niespokojnemu duchowi życiową przystań w Aschebergu. Miał otrzymać ową chatę na Górze, mógł w niej zamieszkać; wyobrażano sobie przypuszczalnie, że wielki filozof w tych prymitywnych warunkach, w bliskości natury, którą wszak sławił i do której pragnął wrócić, będzie mógł dalej uprawiać swoje wielkie pisarstwo, i że tym oto szczęśliwym sposobem zbiegną się jego życiowe potrzeby z jego myśleniem.

W tym celu założono nawet obok chaty mały „kapustnik”.

Tu miał hodować swoją kapustę, uprawiać swój ogródek. Czy wytyczenie kapustnika było aluzją do znanego powiedzenia o tym, „który w spokoju hoduje swoją kapustę i nie dba o politykę”, nie wiadomo. Ale kapustnik był, tak czy inaczej, przygotowany. A hrabia pewnie dobrze znał Nową Heloizę, a w niej passus brzmiący: „Natura stroni od uczęszczanych miejsc; tylko na szczytach gór, w najgłębszych kniejach, na bezludnych wyspach roztacza swój właściwy czar. Ci, którzy kochają naturę, a nie są w stanie szukać jej daleko, zmuszeni są popełniać na niej gwałt,

94

przemocą ściągać ją do siebie; a tego nie da się uczynić bez udziału odrobiny iluzji”.

Aschebergs Have był iluzją stanu naturalnego.

Rousseau nie przybył jednak nigdy do Ascheberga, pomimo to jego nazwisko związało się w przedziwny sposób z parkiem, nadając mu europejski rozgłos wśród miłośników przyrody i wolności. Aschebergs Have zdobył sobie miejsce pośród słynnych „miejsc sentymalnych” w Europie. Ów „chłopski dom”, pomyślany dla Rousseau, stał się azylem; chata w kotlinie i kapustnik, z upływem czasu coraz bardziej zapuszczony, były warte odwiedzin. Bynajmniej nie chodziło tu o żaden dom pasterza, raczej kultowe miejsce dla intelektualistów w drodze od fascynacji naturą do oświecenia. Na ścianach, drzwiach i parapetach wymalowano wyszukane cytaty z poezji, z francuskich i niemieckich poetów współczesnych, ale też z Juwenalisa.

Także ojciec Chrystiana, Fryderyk piąty, wybrał się w pielgrzymkę do chaty Rousseau. Od tego czasu Górę nazywano Königsberg - Królewską Górą.

Chata stała się w tym okresie czymś w rodzaju świętego miejsca dla duńskich i niemieckich ludzi oświecenia. Zbierali się w majątku Ascheberg, wędrowali pod górę, do chaty Rousseau, tu roztrząsali wielkie idee epoki. Nosili nazwiska Ahlefeld i Berckentin, nazywali się: Schack

Carl Rantzau, von Falken-skjold, Claude Louis de Saint-Germain, Ulrich Adolph Holstein i Enevold Brandt. Uważali się za oświeceniowców.

Jeden z nich nosił też nazwisko Struensee.

Tu, właśnie w tej chatce, miał on, dużo później, przeczytać królowej Danii, Karolinie Matyldzie, fragment z Myśli moralnych Holberga.

Spotkał ją był w Altonie. To wiadomo.

Struensee widział Karolinę Matyldę wówczas, kiedy przybyła do Altony w drodze na swoje zaślubiny, i odnotował, że była zapłakana.

95

Ona jednak nie widziała Struenseego. Był jednym z tłumu. Stali w jednym pomieszczeniu.

Ona go wtedy nie widziała. Zdaje się, że w owym czasie mało kto go widział, niewielu go opisało. Był uprzejmy i milczący. Więcej niż średniego wzrostu, blondyn, miał kształtne usta i zdrowe zęby. Współcześni mu odnotowali, że - jako jeden z pierwszych - używał pasty do zębów.

Poza tym prawie nic. Reverdil, który już latem 1767 spotkał go w Holsztynie, odnotowuje tylko, że młody niemiecki lekarz Struensee zachowywał się taktownie, nie narzucając się.

Jeszcze raz: młody, milczący, zasłuchany.

2. Trzy tygodnie po tym, jak król Chrystian siódmy powziął decyzję o swojej europejskiej podróży, hrabia Rantzau, z upoważnienia duńskiego rządu, odwiedził w Altonie niemieckiego lekarza Johanna Friedricha Struenseego, by mu zaoferować stanowisko królewskiego konsyliarza.

Znali się wszak dobrze. Wiele tygodni spędzili w Aschebergu. Pielgrzymowali do chaty Rousseau. Należeli do Kręgu.

Rantzau jednakże dużo starszy. Struensee jeszcze młody.

Struensee zajmował teraz małe mieszkanie na rogu Papagoyenstrasse i Reichstrasse, ale w dniu, gdy nadeszła oferta, nie było go, gdyż jak zwykle odwiedzał chorych. Rantzau odnalazł go, nie bez kłopotu, w jakiejś ruderze w slumsach Altony, gdzie szczepił ospę dzieciom z okolicy.

Rantzau przedstawił sprawę prosto z mostu, a Struensee natychmiast i bez wahania odmówił. Proponowane mu zajęcie uznał za nieciekawe.

Właśnie zakończył szczepienie u pewnej wdowy z trojgiem dzieci. Zdawał się być w dobrym humorze, ale nie był zainteresowany. Nie, powiedział, to nie dla mnie. Następnie zebrał swoje instrumenty, pogłaskał, uśmiechając się, główki dzieci, przy-

96

jął podziękowania ich matki i zaproszenie, aby wraz z szanownym gościem wypić w jej kuchni szklanekę wina.

Kuchnia miała glinianą podłogę, dzieci wyprowadzono.

Hrabia Rantzau czekał cierpliwie.

- Jesteś sentymentalny, przyjacielu - powiedział. - Święty Franciszek pośród ubogich z Altony. Ale pamiętaj, że jesteś człowiekiem oświecenia. Musisz mieć szersze perspektywy. Teraz widzisz tylko tych ludzi przed sobą, ale podnieś wzrok. Spójrz poza nich. Jesteś jednym z najznakomitszych mózgów, jakie znam, i masz przed sobą wielkie życiowe zadanie. Tej propozycji nie możesz odrzucić. Choroby są wszędzie. Cała Kopenhaga jest chora.

Struensee nic na to nie powiedział, tylko się lekko uśmiechał.

- Powinieneś sobie obrać większe cele. Konsyliarz króla może zdobyć wpływy. Swoje teorie możesz... wcielić w życie. W rzeczywistości.

Brak odpowiedzi.

- Bo jeśli nie, po co tyle cię uczyłem? - ciągnął Rantzau, zirytowanym teraz tonem. Te rozmowy! - Te studia! Dlaczego tylko teorie? Czemu nie zrobić czegoś naprawdę? Czegoś... rzeczywistego?

Tu Struensee zareagował, i po chwili milczenia, bardzo cicho, ale wyraźnie zaczął mówić o swoim życiu.

Najwyraźniej poczuł się sprowokowany wyrażeniem „coś rzeczywistego”.

Był uprzejmy, lecz w jego głosie pobrzmiwała nuta ironii.

- Mój przyjacielu i czcigodny preceptorze - powiedział - ja jestem jednak przekonany, że „coś” robię. Mam swoją praktykę. Ale ponadto - ponadto! - „robię” też inne rzeczy. Coś rzeczywistego. Prowadzę statystykę o wszelkich medycznych problemach w Altonie. Wizytuję te trzy apteki, które w tym mieście przypadała na osiemnaście tysięcy mieszkańców. Pomagam rannym i okaleczonym w wypadkach. Sprawuję nadzór nad azylem dla psychicznie chorych. Jestem obecny i asystuję przy wiwisekcjach

97

w Theatro Anatomico. Odwiedzam slumsy, wpelzam do ohydnych dziur, gdzie ludzie gnieźdzą się w smrodzie, żeby nieść pomoc bezsilnym. I wysłuchuję roszczeń tych bezsilnych, schorowanych. Mam pod opieką chorych w zakładzie karnym dla kobiet, w szpitalu miejskim, w więzieniu, zajmuję się chorymi w areszcie straży miejskiej i skazańcami w lochu kata. Skazani na śmierć też są chorzy, pomagam im w miarę znośnie dożyć chwili, gdy ich dosięgnie topór kata, jak wyzwolenie. Codziennie przyjmuję od ośmiu do dziesięciu biedaków, których nie stać na lekarza, za których płaci fundusz ubogich. Leczę ubogich podróżnych, za których fundusz ubogich nie płaci. Leczę najemnych robotników rolnych, których drogi wiodą przez Altonę. Leczę pacjentów zakaźnie chorych. Prowadzę wykłady z anatomii. Wydaje mi się - dorzucił na koniec swojej repliki - że można powiedzieć, iż rzeczywistość tego miasta trochę znam, od tej ciemniejszej strony. Nie całkiem oświeconej!

To a propos oświecenia.

- Skończyłeś już? - zapytał Rantzau z uśmiechem.

- Tak, skończyłem.

- Jestem pod wrażeniem - powiedział wtedy Rantzau.

To była najdłuższa przemowa, jaką kiedykolwiek usłyszał z ust Cichego. Lecz nie ustawał w perswazji. Spójrz dalej. Jako lekarz możesz uzdrowić także Danię. Dania to dom wariatów. Dwór to dom wariatów. Król jest zdolny, lecz chyba... pomyłony. Ktoś mądry, światły u jego boku mógłby zrobić porządek w Danii, tym burdelu.

Na ustach Struenseego pojawił się mały uśmieszek, ale nie mówił, tylko pokręcił głową w milczeniu.

- Dziś jesteś w stanie - mówił dalej Rantzau - czynić dobro na małą skalę. Tak jak to robisz. Jestem pod wrażeniem. Lecz możesz także zmienić ten większy świat. Nie tylko o tym marzyć. Możesz mieć władzę. Nie rezygnuj z tego.

Siedzieli długo w milczeniu.

- Mój cichy przyjacielu - powiedział w końcu Rantzau ciepłym tonem. - Mój cichy przyjacielu. Co z ciebie będzie. Tyle

98

masz szlachetnych marzeń, a strach cię obezwładnia, kiedy trzeba je realizować. Ale wszak jesteś intelektualistą, tak jak ja. Rozumiem cię. Nie chcemy brudzić naszych idei zetknięciem z rzeczywistością.

Struensee spojrział wtedy na Rantzaua, czujnie, lub jakby po smagnięciu batem.

- Intelektualiści - wymamrotał. - Intelektualiści, tak. Ale ja siebie nie uważam za intelektualistę. Jestem tylko lekarzem.

Później, wieczorem, Struensee się zgodził.

Pewien krótki wyimek z więziennych zeznań Struenseego rzuca na to zdarzenie osobliwe światło.

Twierdzi on, że nadwornym konsyliarzem został „z przypadku”, właściwie tego nie chciał. Miał całkiem inne plany. Zamierzał właśnie opuścić Altonę i wyjechać gdzieś, „do Malagi albo na Malaje”.

Żadnych wyjaśnień. Tylko pragnienie ucieczki, ku czemuś.

3. Nie, nie uważał się za intelektualistę. Wśród towarzystwa z Altony byli ludzie bardziej zasługujący na to miano.

Na przykład jego druh i nauczyciel, hrabia Rantzau. Ten był intelektualistą.

Był właścicielem majątku Ascheberg, który przejął teraz po ojcu. Majątek leżał w odległości kilkunastu mil od Altony, miasta należącego w owym czasie do Danii. Ekonomiczną podstawą majątku była pańszczyzna, czyli niewolnictwo chłopów, stavnsbandet; ale podobnie jak w wielu majątkach w Holsztynie, system ten był nie tak brutalny, zasady dość humanitarne.

Hrabia Rantzau uważał się za intelektualistę, i za człowieka oświecenia.

Przyczyny tego były następujące.

W wieku trzydziestu pięciu lat - żonaty - ojciec dziecka, otrzymał nominację na pułkownika w armii duńskiej, jako że

99

zdobył wcześniej militarne doświadczenie w armii francuskiej, pod marszałkiem Loevendahlem. Tak w każdym razie twierdził, choć niełatwo było o dowody. Jednakże armia duńska, w porównaniu z tymi doświadczeniami, była przystanią jeszcze spokojniejszą. Tam, jako dowódca pułku, nie musiał się obawiać wojny. Cenił sobie spokój w takiej pracy.

Pomimo to zakochał się w pewnej włoskiej śpiewaczce, co zrujnowało mu opinię, nie tylko bowiem uczynił z niej swoją kochankę, lecz także wybrał się z jej trupą operową na tournée po południowej Europie. Trupa jeździła od miasta do miasta, a on jak raz już stracił głowę, to nie potrafił się obaczyć. Aby zachować incognito bezprzestannie przybierał nowe tożsamości; czasami „nosił się wytwornie”, czasami był w przebraniu księdza; wszystko to z konieczności, wszędzie bowiem zaciągał długi.

W dwóch miastach na Sycylii oskarżono go o oszustwo, jednak daremnie, gdyż w tym czasie przebywał już na kontynencie, w Neapolu. W Genui wystawił pewien weksel opiewający na „mojego ojca, namiestnika Norwegii”, nie mógł jednakże zostać osądzony, gdyż w tym momencie znajdował się w Pizie, gdzie znowu został oskarżony, w drodze do Arles. Później policja już nie była w stanie go odnaleźć.

Włoską śpiewaczkę pozostawił w Arles, w następstwie scysji na tle zazdrości, po czym na krótko wrócił do swego majątku, by uzupełnić uszczuploną kasę, co zresztą umożliwił mu specjalny królewski apanaż. Po odwiedzeniu Ascheberga, gdzie mógł odświeżyć znajomość ze swoją żoną i córką, wybrał się w podróż do Rosji. Tam udał się do carycy Elżbiety, która wówczas właśnie umierała. Jak wynikało z jego rozpoznania, jej następca potrzebował go jako eksperta w kwestiach duńskich i europejskich. Dodatkowym powodem owej rosyjskiej podróży była pogłoska, wedle której wkrótce, pod rządami następcy carycy, miała wybuchnąć wojna między Rosją a Danią, a zatem mógł temu następcy zaoferować pewne usługi, posiadał bowiem sporą wiedzę o armii duńskiej i francuskiej.

100

Mimo tej tak korzystnej dla Rosji propozycji wielu niechętnym okiem spoglądało na duńskiego szlachcica. Na jego niekorzyść przemawiały rozliczne damskie koneksje, a także fakt, że wojna nie wybuchła, w związku z czym wielu traktowało podejrzliwie „duńskiego szpiega”. Po awanturze na rosyjskim dworze, która zaczęła się od sprzeczki o względy pewnej wielkiej damy, musiał uciekać, i przybył do Gdańska, gdzie skończyły mu się pieniądze.

Poznał tam pewnego fabrykanta.

Ów pragnął osiedlić się w Danii, aby móc inwestować, korzystając z opieki rządu, który sprzyjał obcokrajowcom inwestującym w przemysł. Hrabia Rantzau zapewnił fabrykanta, że przez swoje kontakty na dworze załatwi mu pożądaną protekcję. Po roztrwonieniu pewnej części kapitału fabrykanta, nie uzyskawszy jednakże protekcji duńskiego rządu, hrabia Rantzau powrócił szczęśliwie do Danii, której już więcej nie zamierzał zdradzać na rzecz carycy. Dwór przyznał mu wtedy, przez wzgląd na szacowne nazwisko, roczną pensję. Hrabia wyjaśnił, że przebywał w Rosji wyłącznie jako duński szpieg, i że zna teraz pewne sekrety, które posłużą Danii.

Zonę i córkę przez cały ten czas przechowywał w swoim majątku, w Aschebergu. To właśnie wtedy skupił wokół siebie grupę oświeceniowych intelektualistów.

Był wśród nich młody lekarz nazwiskiem Struensee.

Ów życiorys i owe rozległe międzynarodowe kontakty, a także wpływy, jakie ciągle jeszcze miał na duńskim dworze, były powodem, dla którego hrabia Rantzau uważał się za intelektualistę.

W przyszłości przyjdzie mu odegrać jedną z kluczowych ról w zdarzeniach wokół duńskiej rewolucji, rolę tak wieloznaczną, że da się ją zrozumieć tylko w świetle powyższej biografii.

Rola, którą odgrywa, to rola intelektualisty.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił dla Danii, była rekomendacja niemieckiego medyka, J.F. Struenseego, na stanowisko konsyliarza króla Chrystiana siódmego.

101

л

4. Cóż to za osobliwe miasto, ta Altona.

Leżała nad ujściem Elby, była centrum handlowym liczącym osiemnaście tysięcy mieszkańców, a prawa miejskie otrzymała w połowie XVII wieku. Rozbudowana Altona stała się pierwszym wolnym portem w Skandynawii, ale też stała się wolną przystanią różnych wyznań.

Wolność sumienia dobrze wpływała na handel.

To było tak, jakby ten intelektualny klimat ściągał ku sobie idee i pieniądze, i Altona stała się oknem Danii na Europę, po Kopenhadze najważniejszym miastem. Leżało ono tuż przy wielkim niemieckim wolnym mieście Hamburg i wśród reakcji uchodziło za gniazdo żmij, siedlisko myśli radykalnej.

To była powszechna opinia. Gniazdo żmij. Ale ponieważ radykalizm okazał się ekonomicznie opłacalny, Altona mogła zachować swoją intelektualną wolność.

Struensee był lekarzem. Urodził się w 1737, mając piętnaście lat został wpisany w poczet studentów medycyny na uniwersytecie w Halle. Jego ojcem był teolog Adam Struensee, który od młodych lat hołdował pietyzmowi, a potem został profesorem teologii na uniwersytecie w Halle. Był pobożny, uczony, sprawiedliwy, ponury i melancholijny, natomiast matka, wedle świadectw, miała żywszy temperament. Pietyzm, w wersji głoszonej przez Franckego, z naciskiem na znaczenie społecznej użyteczności, był zabarwiony kultem rozumu, jaki w tym czasie charakteryzował wszechnicę w Halle. Dom był autorytarny, ideałami były cnota i obyczajność.

Jednak młody Struensee podniósł rewoltę. Był wolnomyślicielem, i ateistą. Uważał, że człowiek, jeśli pozwoli mu się na swobodny rozwój, z pomocą rozumu będzie skłaniać się ku dobru. Później pisze, że bardzo wcześnie zaczął myśleć o człowieku „jako maszynie” - to wyrażenie charakterystyczne dla ówczesnych marzeń o racjonalności. On naprawdę to tak formułuje: i że to tylko człowieczy organizm wytwarza ducha i uczucia, dobro i zło.

102

Wydaje się, że chciał przez to powiedzieć, iż ludzki geniusz i duchowość nie są darem od jakiegś wyższej istoty, lecz są ukształtowane naszym życiowym doświadczeniem. To

obowiązki wobec bliźnich stanowią istotę wszystkiego, dają wewnętrzną satysfakcję, nadają sens życiu, i powinny determinować ludzkie czyny.

Stąd to mylące słowo „maszyna”, które z pewnością trzeba rozumieć jako poetycką metaforę. Doktoryzował się w oparciu o rozprawę O zagrożeniach przy nieprawidłowych ruchach kończyn.

Wywód jest nieco formalistyczny, lecz wzorowy. Napisana odręcznie rozprawa zawiera jednak pewną osobliwość; na marginesie, innym atramentem, Struensee wyrysował ludzkie twarze. Daje tutaj dwuznaczny i niejasny obraz swojej duszy. Pozwala, aby intelektualną klarowność wywodu mroczyły czasem ludzkie twarze.

Nawiasem mówiąc, myśl rozprawy sprowadza się do tego, że opieka profilaktyczna jest ważna, ćwiczenia fizyczne są niezbędne, lecz gdy już dojdzie do choroby lub kontuzji, koniecznie trzeba zachować ostrożność.

Sądząc po tej rozprawie, jest utalentowanym rysownikiem. Te ludzkie twarze są ciekawe. Sam tekst jest raczej mniej ciekawy.

Dwudziestoletni Struensee sprowadza się do Altony, otwiera tam własną praktykę. Zawsze chce, także później, aby widziano w nim lekarza.

Nie rysownika, nie polityka, nie intelektualistę. Lekarza.

Ma jednak i drugie oblicze, publicysty.

Choć oświecenie ma oblicze twarde i racjonalne, którym jest wiara w rozum i empiria w medycynie, matematyce, fizyce i astronomii, ma też i drugie, łagodniejsze, którym jest wolność sumienia, tolerancja i swoboda.

103

Można powiedzieć: w Altonie Struensee porusza się od owej twardej strony oświecenia, tej o rozwoju nauk w kierunku racjonalizmu i empirii, ku tej łagodnej, o konieczności swobody. Pierwsze pismo, które zakłada („Monatsschrift zum Nutzen und Vergnügen”), zawiera w pierwszym numerze obszerną analizę zagrożeń związanych z ucieczką ludności wiejskiej do miast. To analiza z zakresu medycyny społecznej.

Umieszcza tu zresztą lekarza w roli polityka.

Urbanizacja, pisze, jest zagrożeniem medycznym, którego przyczyny tkwią w polityce.

Podatki, zagrożenie poborem do wojska, nędzna opieka medyczna, alkoholizm, wszystko to rodzi miejski proletariats, którego rozrost mogłaby powstrzymać lepiej rozbudowana opieka medyczna wśród chłopstwa. Przedstawia chłodny, lecz w istocie przeraźliwy socjologiczny obraz Danii pogrążającej się w kryzysie; postępujący spadek populacji i bezustanne epidemie ospy. Odnotowuje, że „liczba żebraków wśród stanu chłopskiego przekracza teraz sześćdziesiąt tysięcy”.

Pozostałe teksty mają nagłówki typu O wędrowce dusz, O komarach i O udarze słonecznym.

Pewien artykuł satyryczny pod niewybrednym tytułem Pochwała psów oraz zbawiennych skutków zażywania psiego łajna doprowadza go jednak do klęski. Tekst zostaje odczytany, zresztą słusznie, jako napaść na osobę pewnego znanego w Altonie lekarza, który dorobił się na sprzedaży podejrzanego środka na przeczyszczenie, ekstrahowanego z psiego łajna.

Czasopismo ulega konfiskacie.

Jednak rok później zaczyna wydawać nowe. Dokłada starań, by unikać oskarżeń o obrazę czci i sformułowań zbyt otwarcie krytykujących państwo lub religię, ale to mu się nie udaje w pewnym tekście o pryszczycy, o którym nie bez racji mówi się, że jest otwarcie antyreligijny. Także to pismo ulega wtedy konfiskacie.

W swoim ostatnim tekście, pisanym w więzieniu i ukończonym na dzień przed straceniem, Struensee wspomina o tym, po-

104

wiedzmy sobie, dziennikarskim okresie swojego życia. „Moje idee moralne rozwijały się w tym czasie pod wpływem lektur pism Voltaire'a, Rousseau, Helvetiusa i Boulanger'a. Stałem

się wtedy wolnomyślicielem i uważałem, że wprawdzie jakaś wyższa zasada stworzyła świat i człowieka, lecz że nie istnieje żadne życie pozagrobowe, i że uczynki mają moralną wagę tylko wtedy, gdy we właściwy sposób oddziałują na społeczeństwo. Uznałem, że wiara w karę w jakichś zaświatach jest absurdem. Człowiek jest dostatecznie ukarany na tym świecie. Cnotliwy jest ten, kto robi rzeczy pozytywne. Pojęcia chrześcijańskie są nazbyt surowe - a prawdy zawarte w chrześcijaństwie są równie dobrze wyrażane w pismach filozofów. Grzechy cielesne uważałem co najwyżej za wybacalne słabostki, o ile tylko nie miały szkodliwych następstw dla mnie lub dla innych".

Jego adwersarz, w nazbyt sumarycznym streszczeniu jego sposobu myślenia, pisze o nim, że „Struensee uważał, iż człowiek jest li tylko maszyną".

Najważniejsze stały się jednak dla niego Myśli moralne Ludwi-ga Holberga. Odnaleziono je po jego śmierci, po niemiecku, w pozakreślonym i zaczytanym egzemplarzu.

Jeden z rozdziałów tej książki miał zmienić jego życie.

J. Dnia 6 maja 1768 rozpoczęła się wielka europejska podróż króla Chrystiana siódmego. Świta składała się w sumie z pięćdziesięciu pięciu osób; miała to być podróż edukacyjna, podróż sentymentalna w duchu Laurence'a Sterne'a (twierdzono później, że silne wrażenie wywarł na Chrystianie Tństram Shandy, księga siódma), lecz miała także, przez wspaniałość, jaką roztaczała królewska świta, robić wrażenie za granicą, sławiąc potęgę i bogactwo Danii. Początkowo w skład świty wchodziło więcej osób, lecz z czasem część się wykruszyła; jednym z tych, których odesłano, był pewien kurier nazwiskiem Andreas Hjort. Został on odesłany

105

z powrotem do stolicy, a następnie zesłany na Bornholm, ponieważ któregoś wieczoru „w stanie nietrzeźwym uchybił dyskrecji" i zdradził w pewnym towarzystwie, iż Król powierzył mu zadanie poszukiwania w trakcie tej podróży Kasi Kamaszniczki. W Altonie do królewskiej świty dołączył Struensee.

Spotkanie było nader osobliwe.

Król rozlokował się w rezydencji burmistrza; wieczorem, kiedy rozpytywał o kuriera nazwiskiem Andreas Hjort, powiadomiono go, że kurier został odwołany. Nie udzielono żadnych wyjaśnień. Wyjazd kuriera był zupełnie niepojęty, powiedziano, lecz niewykluczone, że chodziło o nagłą chorobę w rodzinie.

Chrystian dostał wtedy ataku swoich dziwacznych spazmów, a potem zaczął wściekle demolować pokój, rzucał krzesłami, tłukł szyby, a na pięknych jedwabnych tapetach kawałkiem węgla z ognia wypisywał nazwisko Guldburga, umyślnie je przekreślając. W trakcie tej całej awantury Król się skaleczył, krwawiła mu ręka, i Struensee miał teraz, przystępując do swych obowiązków, opatrywać Monarchę.

Wezwano zatem nowego nadwornego konsyliarza.

Jego pierwsze wspomnienie Chrystiana było takie: że ten niezwykle delikatny chłopiec siedział na krześle, że mu krwawiła dłoń, i tylko patrzył gdzieś przed siebie pustym wzrokiem.

Po bardzo długiej chwili milczenia Struensee spytał przyjaźnie:

- Wasza Wysokość, czy zechcielibyście wyjaśnić ten raptowny... gniew? To niekonieczne, ale...

- Nie, to niekonieczne. Potem, po chwili, dorzucił:

- Oszukano mnie. Nigdzie jej nie ma. A jeśli gdzieś jest, to my tam w każdym razie nie jedziemy. A jak jedziemy, to ją uprowadzą. Może już nie żyje. To moja wina. Muszę zostać ukarany.

Struensee pisze, że wtedy nie zrozumiał (później jednak zrozumiał) i że bez słowa tylko dalej opatrywał rękę Króla.

- Pan się urodził w Altonie? - zapytał potem Chrystian.

106

Struensee powiedział:

- W Halle. Ale szybko sprowadziłem się do Altony.

- Mówi się - rzekł Chrystian - że w Altonie są sami libertyni i oświeceniowcy, którzy chcą cały porządek społeczny obrócić w perzynę.

Struensee tylko spokojnie skinął głową.

- Obalić!!! Porządek społeczny!!!

-Tak, Wasza Wysokość - powiedział Struensee. - Tak się mówi. A inni mówią: europejskie centrum oświecenia.

- A co pan mówi, doktorze Struensee?

Ręka już była zabandażowana. Struensee klęczał przed Chrystianem.

- Ja jestem zwolennikiem oświecenia - rzekł - lecz przede wszystkim jestem lekarzem. Jeżeli Wasza Wysokość wyrazi takie życzenie, mogę natychmiast zrezygnować z mojego tu stanowiska i powrócić do moich zwykłych zawodowych obowiązków.

Chrystian^ spojrział wtedy na niego z rozbudzoną nagle ciekawością, wcale nie oburzony i nie zirytowany jego niemal prowokacyjną klarownością.

- Czy pan, doktorze Struensee, nigdy nie pragnął oczyścić świątyni z wszeteczników? - spytał ściszym głosem.

Nie dostał na to odpowiedzi. Ale Król ciągnął dalej:

- Wypędzić przekupniów ze świątyni? Porozbijać? Tak aby wszystko mogło powstać z popiołów jak... Ptak Feniks?

- Wasza Wysokość dobrze zna, jak widzę, Biblię - odrzekł wymijająco Struensee.

- Nie sądzi pan, że się nie da osiągnąć postępu! POSTĘPU!, jeśli się człowiek nie uzbroi w twardość i... nie rozbije... wszystkiego, tak żeby świątynia...

Zaczął raptownie chodzić po pokoju, gdzie wszędzie dokoła leżały krzesła i odłamki szkła.

Sprawiał na Struenseem wrażenie niemal przejmujące, jego chłopięca postać była bowiem tak drobna i mizerna, iż trudno było sobie wyobrazić, aby sam dokonał tego spustoszenia.

107

Następnie podszedł do Struenseego, bardzo blisko, i wyszeptał: -Dostałem list. Od pana Voltaire'a. Poważanego filozofa. Któremu dałem pieniądze na pewien proces. I on w tym liście składa mi hołd. Jako... jako...

Struensee czekał. Potem to nadeszło, cicho, jak pierwsza sekretna wiadomość, która ich miała ze sobą związać. Struensee wspomina później ten moment, opisuje go w swoich więziennych zapiskach jako moment absolutnego zbliżenia, gdy ten szalony młody chłopiec, ów z Bożej Łaski Król, powierzył mu swoją tajemnicę, niesłychaną i drogocenną, która ich miała połączyć na zawsze.

- ...składa mi hołd... jako człowiekowi oświecenia.

W pokoju było bardzo cicho. A Król ciągnął tym samym, szepczącym tonem:

- W Paryżu mam się spotkać z panem Voltaire'em. Którego znam. Za pośrednictwem naszej korespondencji. Czy zechce pan mi wtedy towarzyszyć?

Struensee, z cieniem uśmiechu na twarzy:

- Chętnie, Wasza Wysokość.

- Mogę panu zaufać?

I Struensee powiedział cicho i z prostotą:

- Tak, Wasza Wysokość. Bardziej niż sądzicie.

:

Rozdział 6 Towarzysz podróży

1. Czekąca ich daleka droga.

Podróż miała potrwać osiem miesięcy, owych pięćdziesiąt pięć osób miało przejechać, konno i w powozach, nieco ponad cztery tysiące kilometrów, po nędznych drogach, miało być lato, potem jesień, w końcu zima, powozy nie były ogrzewane i okazały się nieszczelne, a co do sensu tej podróży, właściwie nikt go nie rozumiał: poza tym, że trzeba ją odbyć, zatem pospólstwo i chłopstwo - rozróżniano między pospólstwem a chłopstwem - miało stać z rozdziawionymi gębami, pośród wiwatów lub w nienawistnym milczeniu, wzdłuż całej trasy przejazdu.

Podróż miała się ciągnąć i ciągnąć; i bez wątpienia miała jakiś cel.

Celem było wiezienie poprzez strugi deszczu, wciąż przed siebie, małego jedynowładcy, owego coraz bardziej pogrążonego w apatii małego króla, który nienawidził swojej roli i krył się w swoim powozie, i strzegł swoich spazmów, marząc o czymś innym, o czym - nikt nie wiedział. Mieli go wieźć w tej wielkiej kawalkadzie przez Europę, w pogoni za czymś, co kiedyś było może skrytym marzeniem, by odnaleźć Panią Wszechświata, tę, która by nadała wszystkiemu spójny sens, marzeniem, które teraz w jego duszy dogasało i zacierało się, i tylko ćmiło gdzieś jak furia, której nie wolno było mu wyrazić.

Pełzli jak pień, armia robaków, w tym europejskim deszczu - donikąd. Droga ich wiodła od Kopenhagi przez: Kolding, Got-torp, Altonę, Celle, Hanau, Frankfurt, Darmstadt, Sztrasburg, Nancy, Metz, Verdun, Paryż, Cambrai, Lille, Calaise, Dover,

109

Londyn, Oxford, Newmarket, York, Leeds, Manchester, Derby, Rotterdam, Amsterdam, Antwerpię, Gent, Nijmegen - nie, potem wszystko się już im mieszało, czy Nijmegen nie było przed Mannheimem, Amsterdam przed Metzem?

Tak, w tej kolejności.

Lecz jaki miała sens ta fantastyczna kampania w strugach europejskiego deszczu?

Tak, to się zgadzało: Amsterdam był po Nijmegen. Na początku podróży. Struensee dobrze to pamiętał. To było na początku tej niedorzecznej podróży, i gdzieś przed Amsterdamem. To wtedy Król, w powozie, przy wjeździe do Amsterdamu, i w największym zaufaniu, powiedział Struenseemu, że „zamierza teraz wyrwać się z oków monarszej godności, etykiety i obyczajaj. Chce teraz urzeczywistnić pomysł ucieczki, który omawiał niegdyś ze swym guwernerem, Reverdilem”.

I Struensee notuje: „Zaproponował mi, z całą powagą, ażebym uciekł razem z nim. Chciał potem zostać żołnierzem, aby w przyszłości nie zawdzięczać niczego nikomu, poza sobą”.

To było przy wjeździe do Amsterdamu. Struensee słuchał cierpliwie. Później przekonał Chrystiana, by zaczekał kilka tygodni, a w każdym razie do czasu spotkania z Voltaire'em i encyklopedystami.

Chrystian usłuchał, jakby na słaby zew czegoś, co kiedyś było niesłuchanie ważne, lecz teraz jest gdzieś nieskończenie daleko.

Voltaire?

Wjazd do samego Amsterdamu odbył się w milczeniu. Król popatrywał apatycznie przez okno powozu, patrzył na wiele twarzy.

- Gapią się - rzucił w stronę Struenseego. - A ja się gapię na nich. Ale nie ma Katarzyny.

Król nigdy więcej nie wrócił do tego planu ucieczki.

Akurat o tym nie pisano w raportach wysyłanych na dwór w Kopenhadze.

110

Prawie o wszystkich innych sprawach donoszono. Raportów było mnóstwo i czytano je uważnie.

Trzy razy w tygodniu trzy królowe miały w zwyczajaj grywać w karty. Grano w taroka.

Figury były sugestywne; zwłaszcza Wisielec. Owymi grającymi były królowa Zofia Magdalena, wdowa po Chrystianie szóstym, która przeżyła Jego Wysokość o dwadzieścia cztery lata, Juliana Maria, wdowa po Fryderyku piątym, i wreszcie Karolina Matylda.

Fakt, że na dworze były trzy królowe, z trzech pokoleń, nikogo nie dziwił, normalne bowiem było w tej dynastii, że królowie zapijali się na śmierć, zanim zdążyli owdowieć, a jeśli królowa, dajmy na to, zmarła przy połogu, aranżowano zawsze nowy mariaż, co regularnie i tak w końcu dawało jakąś królową wdowę, jak porzuconą w piasku muszelkę.

Potomność mówiła zawsze o wielkiej pobożności i pietyzmie królowych wdów. To nie zepsuło jednak ich języka. Zwłaszcza Juliana Maria rozwinęła w swym języku pewien niezwykle rygorystyczny, który często przybierał pozory grubiaństwa.

Można by też powiedzieć: surowy religijny wymóg prawdy i własne, przerażające przeżycia nadały jej językowi pewną szczególną wyrazistość, która wielu mogła szokować.

Podczas wieczorków przy taroku miała wiele okazji, aby młodej królowej Karolinie Matyldzie udzielać rad i informacji. Młoda królowa jawiła jej się jeszcze jako bezwolna, i pozbawiona właściwości.

Później miała ten pogląd zrewidować.

- Dostaliśmy - oznajmiła któregoś wieczoru - bardzo niepokojące raporty z podróży. Ów konsyliarz, którego najęto w Alto-nie, pozyskał sobie względy Jego Wysokości. I bezprzestannie przesiadują razem w powozie Króla. Ten Struensee to ponoć oświeceniowiec. Jeżeli tak, to jest nieszczęście dla kraju. Nic nie pomoże to szczęśliwe, niespodziewane odesłanie Reverdila. Mamy tu jeszcze jedną żmiję.

Karolina Matylda, która sądziła, że zna powód niepojętego odesłania Reverdila, nic na to nie powiedziała.

111

- Struensee? - zapytała tylko - on jest Niemcem?

- Mam obawy - odpowiedziała Królowa Wdowa. - Piszą, że jest inteligentny, umie podobać się kobietom, niemoralny, i jest z Altony, a to zawsze było gniazdo żmij. Stamtąd nie przyjdzie nigdy nic dobrego.

- Ale piszą w meldunkach - powiedziała starsza królowa wdowa, próbując oponować - że Król jest spokojny i że nie chodzi do kurew.

- Ciesz się - powiedziała wtedy Juliana Maria do Królowej - ciesz się, że przez rok będzie się trzymał od ciebie z daleka. Mój zmarły mąż musiał codziennie spuszczać się z nasienia, aby osiągnąć spokój ducha. Mówiłam mu: w kurwach się spuszcza, nie we mnie! Nie jestem dla ciebie rymsztokiem! Wiadrem na pomyje! Bierz z tego przykład, moje dziecko. O obyczajność i cnotę trzeba walczyć. Niewinność odzyskuje się przez opór.

- Jeżeli jest oświeceniowcem - spytała wtedy starsza królowa wdowa - czy w takim razie to oznacza, że popełniliśmy błąd?

- Nie my - odrzekła Królowa Wdowa. - Ktoś inny.

- Guldberg?

- On nie popełnia błędów.

Ale młoda królowa, jakby pytając o nazwisko, które, jak później wspominała, usłyszała po raz pierwszy właśnie przy tym stoliku do taroka, rzuciła tylko:

- Co za dziwne nazwisko. Struensee...?

Z. To był koszmar.

Europa była koszmarem. Gapiono się na Chrystiana. Męczył się. Czuł wstyd. Czegoś się bał, nie wiedział czego, jakiejś kary? A jednocześnie tęsknił za tą karą, by się uwolnić od poczucia wstydu.

Miał najpierw cel w tej podróży. Potem zrozumiał, że celu nie było. Wtedy się obaczył. Obaczyć się znaczyło uzbroić się w twardość, i nietykalność. Poszukiwał innych sensów tej podróży. Na

112

przykład, że europejska podróż oznacza rozkoszne ekscesy albo spotkania z ludźmi. Lecz to nie było tak, jego ekscesy nie były ekscesami innych. Spotkania budziły w nim lęk. Pozostała tylko tortura.

Nie wiedział, co ma mówić do tych, co się gapili. Reverdil nauczył go wielu przydatnych replik, którymi mógł błyszczeć. Były to krótkie aforyzmy, prawie na każdą okazję. Teraz już zaczął zapominać swoje repliki. Zabrakło Reverdila.

To było naprawdę koszarne, grać w przedstawieniu, gdy się nie zna swoich replik.

Młoda contessa van Zuylen pisze w liście, że spotkała króla duńskiego, Chrystiana siódmego, w trakcie jego europejskiej podróży, podczas jego pobytu na zamku Termeer.

Był mały i dziecinny, „prawie jak piętnastolatek”. Był bardzo szczupły i mizerny; miał chorobliwie bladą twarz, nieomal tak jakby ją pokrył białą szminką. Zdawał się sparaliżowany i nie potrafił prowadzić rozmowy. Zabłysnął w towarzystwie dworzan paroma replikami, które sprawiały wrażenie wyuczonych, lecz gdy oklaski już ucichły, wbił tylko spojrzenie w czubki swoich butów.

Wtedy ona, aby oszczędzić mu zażenowania, wyprowadziła go do parku, na małą przechadzkę.

Mżył lekki deszcz. Zamokły przy tym jej trzewiki, co okazało się dla niego deską ratunku.

„Jego Wysokość bezprzestannie, kiedy byliśmy w parku, co trwało jakieś pół godziny, wpatrywał się w moje trzewiki, które wszak mogły mi przemoknąć, i nie rozmawiał na żaden inny temat przez cały czas naszej przechadzki”.

Odprowadziła go potem na powrót do czekających dworzan.

W końcu był prawie pewien, że jest więźniem, którego w wielkiej procesji prowadzono na miejsce kaźni.

Już go to nie przerażało. Lecz ogarnęło go przemożne, bezkresne zmęczenie; zdawało mu się, że powoli pogrąża się

113

w smutku, i jedyne, co pozwalało mu się dźwignąć, to były owe regularne wybuchy wściekłości, kiedy mógł tłuc krzesłami o podłogę, aż je roztrzaskał.

Raporty i doniesienia były nadto wymowne. „W trakcie podróży niewiele było hoteli, gdzie nie stwierdzono by niejakej dewastacji, a w Londynie meble w pokojach Króla były prawie zawsze porozbijane”.

Tak brzmiało podsumowanie.

Tylko gdy miał przy sobie Struenseego, był w stanie zaznać spokoju. Sam nie wiedział czemu. Pewnego razu Chrystian napomyka, że, ponieważ „był sierotą” (matka mu zmarła, kiedy miał dwa lata, a z ojcem nie miał wszak prawie kontaktu) i dlatego nie wiedział, jak zachowują się rodzice, dopiero Struensee swoim spokojem i milczeniem dał mu wyobrażenie o tym, jaki powinien właściwie być ojciec (pisze, o dziwo: „ojciec w niebie”!).

Przy jakiejś okazji zapytał Struenseego, czy ten jest „jego dobroczyńcą”. Struensee spytał go z uśmiechem, jakie przymioty ma posiadać taki ktoś, a Chrystian odrzekł na to:

- Dobroczyńca ma czas.

Wśród podróżującego towarzystwa już powszechnie mówiono o Struenseem - Cichy.

Co wieczór czytywał Królowi do snu. Podczas pierwszej połowy podróży wybrał do lektury Historię Karola XII Voltaire'a.

„Jest on, zapisał później Struensee, jednym z najwrażliw-szych, najbardziej uzdolnionych i umysłowo chłonnych ludzi, jakich spotkałem, lecz w czasie podróży zdawał się stopniowo pogrążyć w milczeniu i smutku, a przerywały to jedynie jego niezrozumiałe wybuchy wściekłości, które wszelako kierowały się wyłącznie przeciwko niemu samemu i niewinnym meblom wydanym na pastwę jego niepojętej złości”.

Gdy Struensee czytał fragmenty z Historii Karola XII, musiał siedzieć na krześle tuż przy łożu Króla i trzymać go za lewą rękę, podczas gdy drugą ręką kartkował książkę. Potem, gdy Król

114

już zasnął, Struensee mógł, ostrożnie, wyswobodzić rękę i pozostawić go samego z jego snami.

Powoli Struensee zaczął rozumieć.

3. Gospodarzem Chrystiana siódmego w Londynie był król angielski, Jerzy trzeci, który owego roku, 1768, doszedł już do siebie po swoim pierwszym epizodzie choroby psychicznej, lecz pogrążony był teraz w depresji. Miał rządzić angielskim imperium przez sześćdziesiąt lat, do roku 1820; w czasie swojego panowania miewał nawroty choroby psychicznej, od roku 1805 był ślepy, a po 1811 niepoczytalny.

Miał opinię nieudolnego, ponurego, upartego, i był niezłomnie wierny swojej małżonce, którą obdarzył dziewięciorgiem dzieci.

Zgotował małżonkowi swojej siostry królewskie przyjęcie. Pobyt w Anglii miał potrwać dwa miesiące.

Sytuacja zaczęła z wolna wymykać się spod kontroli.

Niepokój szerzył się w szeregach królewskiej świty. Nie było jakby nic spójnego w osobie Jego Wysokości ani w tym, co się działo. Wystawność, histeria i lęk, że choroba Chrystiana wybuchnie z całą siłą i zniweczy tę wielką królewską kampanię, ów lęk wciąż narastał.

Choroba czy normalność: nikt nie wiedział, co w danej chwili przeważa.

To w czasie pobytu w Londynie Struensee zaczął rozumieć, że nie mogło być nic spójnego.

Przez całe przedpołudnia Król potrafił siedzieć jak sparaliżowany, gapić się tylko przed siebie, mamrotać coś niezrozumiale i czasami, jakby szukając ratunku, czepiać się nóg Struenseego. A czasem się przeistaczał; jak tego wieczoru w Domu Opery Włoskiej, gdzie Chrystian wydał bal maskowy dla trzech tysięcy osób, które podejmowane były w taki sposób, jakby zamierzał zdobyć sobie popularność, wystarczającą, by go wynieść na tron Anglii.

115

Taka tam panowała atmosfera! Ten niebywale hojny mały duński król!, który wygłosił po duńsku jakąś beżładną mowę (i to było zdumiewające, tak jakby nagle wypełził ze skorupy nieśmiałości), a potem, z balkonu, rozrzucał ulicznej gawiedzi złote monety.

Ta maskarada kosztowała dwadzieścia tysięcy talarów, a Struensee mógłby stwierdzić, rzecz jasna, gdyby o tym wiedział, że jego własna, bardzo hojna roczna pensja królewskiego konsyliarza wynosiła pięćset talarów.

W nocy po owej włoskiej maskaradowej orgii Struensee, kiedy Król już zasnął, długo, jak twierdzi, siedział samotnie w ciemności, rozważając sytuację.

Gdzieś tkwił jakiś fundamentalny błąd. Chrystian był chory, i to chory coraz bardziej. Jego Wysokość umiał wprawdzie w przedziwny sposób zachować pozory; lecz ci, którzy widzieli go w chwilach słabości, ci mieli też ostre języki. W komentarzach dawał się słyszeć ton pogardy, który przerażał Struenseego. Horace Walpole powiedział, że „Król jest taki mały, jakby wyskoczył z łupiny orzecha jakiejś wróżki”; mówiono o nim, że chodząc, podryguje jak filigranowa marionetka. Zauważono wyuczony gesty; co Struenseego bolało, to fakt, że nie zauważano drugiej strony, tego, co kryło się pod spodem.

Odnotowano jego spazmy, a nie jego nagłe olśniewające momenty. Ale ogólnie biorąc: wszyscy byli skonfundowani. Samuel Johnson zjawił się na audiencji u Chrystiana, posłuchał przez pół godziny, i poszedł.

W drzwiach tylko pokręcił głową.

Jedynie na ulicach Chrystian siódmy okazał się sukcesem. Mogło to być związane z tym, że każdy chór wiwatujących pochlebców pod balkonem królewskiego hotelu był nagradzany garścią złotych monet. Wszelkie limity finansowe zdawały się już bliskie przekroczenia. Punkt zwrotny nastąpił w końcu października.

116

4. David Garrick nazywał się aktor, który był także dyrektorem teatru Drury Lane; był wyśmienitym interpretatorem Szekspira i jego inscenizacje odnowiły angielską tradycję szekspirowską. Uchodził za niedoścignionego zarówno w rolach komicznych, jak tragicznych, ale szczególną sensację wzbudziła jego inscenizacja Hamleta, w której sam grał główną rolę.

Ponieważ Chrystian siódmy wyraził zainteresowanie teatrem, grano dla niego szereg poranków oraz przedstawień wieczornych. Ich kulminacją miała być inscenizacja Hamleta z Garrickiem w roli głównej.

Struensee dowiedział się o planowanym przedstawieniu trzy dni wcześniej i natychmiast złożył wizytę Garrickowi. Nie była to łatwa rozmowa.

Struensee zaznaczył, że dobrze zna akcję dramatu. Hamlet jest duńskim księciem, którego ojciec został zamordowany. Ta stara saga z Saxo Grammaticusa jest powszechnie znana, a Szekspir przekształcił ją w sposób znamionujący genialność, ale nastroczający pewien problem. Zasadniczą kwestią w sztuce jest czy Hamlet jest szalony, czy nie.

Potem spytał Garricka, czy się zgadza z tym schematycznym ujęciem dramatu. Garrick zapytał tylko, ku czemu Struensee zmierza. Problem polega na tym, powiedział Struensee, że zaproszeni Duńczycy, tak jak i reszta publiczności, mogą zadawać sobie pytanie, czy wybór tej właśnie sztuki nie jest przypadkiem komentarzem pod adresem królewskiego gościa.

Albo, by nie owijać sprawy w bawełnę, wielu uważa, że ów duński król, Chrystian siódmy, jest szalony. Czy w takim razie wskazane jest granie tej sztuki?

Jakie mogą być reakcje publiczności? I jak zareaguje sam król Chrystian siódmy?

- Czy on jest świadom swojej choroby? - spytał Garrick.

- Nie jest świadom choroby, ale jest świadom samego siebie, i to go konfunduje - powiedział Struensee. - Jego wrażliwość jest bardzo napięta. Przeżywa swoją rzeczywistość jako sceniczny dramat.

117

- A to ciekawe - powiedział Garrick.

- Być może - odrzekł Struensee. - Ale nikt nie jest stanie przewidzieć, jak on zareaguje. Czy mu się wtedy nie wyda, że jest Hamletem.

Nastąpiła długa cisza.

- Chrystian Amleth - rzekł w końcu Garrick z uśmiechem. Jednakże przystał od razu na zmianę repertuaru.

20 października 1768 dla króla Danii i jego asysty zagrano w zamian Ryszarda III.

Chrystianowi siódmemu nie dane było nigdy ujrzeć żadnego przedstawienia Hamleta. Lecz Struensee miał zawsze pamiętać replikę Garricka; Chrystian Amleth.

Nocą po przedstawieniu Chrystian odmawiał zaśnieć.

Nie chciał słuchać czytanej na głos Historii Karola XII. Chciał mówić o czymś, co wyraźnie go wzburzyło. Wypytywał Struense-ego, dlaczego planowane przedstawienie Hamleta zastąpiono inną sztuką.

Wszak dobrze znał sztukę teatralną Hamlet. I we łzach błagał Struenseego o szczerłość. Czy uważano, że on sam cierpi na obłąd? Zapewniał, że sam nie uważa się za szalonego, że jest to jego mocne przekonanie i nadzieja, co wieczór modli się do swego Dobroczyńcy, by to nie była prawda.

Lecz były plotki? Mówiło się o nim? Nie rozumiano?

Niż się nie mógł obaczyć. Nie był porwany gniewem, tym królewskim, w tym wybuchu nie było królewskiego dostojęstwa. Dostojęstwa często mu brakowało. Ale teraz, po raz pierwszy, wspomniał o podejrzeniu i przecuciu swojej własnej choroby, a to głęboko wstrząsnęło Struenseem.

- Wasza Wysokość - powiedział Struensee - Waszą Wysokość nie zawsze łatwo zrozumieć. Król wtedy wlepił tylko w niego pusty wzrok i zaczął mówić o obejrzonym przedstawieniu, Ryszardzie III. To okrucieństwo, powiedział. Król z Bożej Łaski, i to niesłychane okrucieństwo, które okazywał. To było nie do zniesienia.

118

- Tak - zgodził się Struensee. - To jest nie do zniesienia.

- Lecz kiedy byłem świadkiem tego okrucieństwa - powiedział potem Chrystian - poczułem coś... przeraźliwego. W głębi duszy.

Chrystian leżał zwinięty w kłębek na łożu, z twarzą zakrytą prześcieradłem, jakby chciał się schować.

- Wasza Wysokość - odezwał się do niego Struensee bardzo łagodnym i przyjaznym tonem - co było tak przeraźliwego?

I w końcu Król odpowiedział:

- Rozkosz - rzekł. - Rozkoszowałem się. Czy jestem chory doktorze Struensee? Proszę powiedzieć, że nie jestem chory.

Cóż miał powiedzieć.

Tej nocy doktor Struensee pierwszy raz rozpląkał się w obecności Króla. A wtedy Chrystian go pocieszał.

- Jedziemy - postanowił Chrystian. - Jedziemy, mój przyjacielu, jutro zarządzę wyjazd do Paryża. Paryż. Musimy ujrzeć światło rozumu. Voltaire'a. Musimy wyjechać z tego angielskiego domu wariatów. Inaczej wszyscy zwariujemy.

- Tak - powiedział Struensee. - Trzeba wyjechać. To jest nie do zniesienia.

J. Skrócenie angielskiej wizyty wszystkich zaskoczyło; wyjeżdżano w pośpiechu, jakby uciekając.

Nie wiadomo, jak Chrystian wyobrażał sobie Paryż. Ale opadły go wszelakie ceremonie.

Dziesiątego dnia pobytu oznajmia się, że Król jest „niedysponowany z powodu przeziębienia”; prawda była taka, że spędził ten dzień w zupełnej apatii, kompletnie ubrany, w swoim pokoju, i stanowczo odmawiał rozmowy z kimkolwiek. Struenseego, którego uważano teraz za osobę mającą, choć w niewielkim stopniu, wpływ na Króla, spytano, czy nie ma lekarstwa które by uśmierzyło melancholię Króla. Kiedy udzielił przeczącej odpowiedzi, zaczęto planować bezzwłoczny powrót do domu.

119

Następnego dnia, kiedy ów niepojęty pesymizm nadal nie opuszczał Króla, Struensee poszedł do Jego Wysokości.

Po godzinie wyszedł i oznajmił, że Jego Wysokość postanowił przyjąć nazajutrz francuskich filozofów, twórców wielkiej encyklopedii.

W przeciwnym razie konieczny jest niezwłoczny powrót do domu.

Ponieważ owo spotkanie nie było zaplanowane, powstało wielkie zamieszanie, i wielu ogarnęły złe przecucia, jako że ci francuscy ludzie oświecenia nie byli dobrze widziani na francuskim dworze; wyjątkiem był Diderot, cieszący się wcześniej protekcją kochanki Ludwika piętnastego, madame de Pompadour, którą to tym sposobem dzielił z Królem. Spotkanie zostało pośpiesznie zaaranżowane. Niedyspozycja Króla przeszła jak ręką odjął, zdawał się być w dobrym humorze, i żaden mebel przy tym nie ucierpiał.

Spotkano się 20 listopada 1768, u duńskiego posła w Paryżu, barona Carla Heinricha Gleichena.

Zjawiała się cała redakcja wielkiej encyklopedii - osiemnastu ludzi. Przewodzili im: Matran, d'Alembert, Marmontel, La Con-damine, Diderot, Helvetius, Condillac. Ale nie było tam szczególnie upragnionego gościa; pan Voltaire przebywał jak zwykle w Ferney.

Było to osobliwe zgromadzenie.

Mały, może psychicznie chory, duński nastolatek - miał dziewiętnaście lat - siedział tam w kręgu oświeceniowych filozofów, którzy mieli odmienić historię Europy na przeciąg kilkuset lat.

Najpierw był sparaliżowany strachem. Potem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, obaczył się, strach ustąpił, i ogarnęło go poczucie bezpiecznej ufności. Gdy Diderot, kłaniając się nisko, pozdrowił Jego Wysokość, ten, prawie szepcząc, powiedział:

120

-Chciałbym, abyście przekazali także waszemu przyjacielowi, wielkiemu panu Voltaire'owi, że to od niego nauczyłem się myślenia.

Głos drżał mu z wielkiego przejęcia. Ale to nie był strach. Diderot przyglądał mu się zaskoczony i zdumiony.

Chrystian był później uszczęśliwiony.

Okazał się wszak taki dzielny. Rozmawiał z tymi wszystkimi francuskimi filozofami, z każdym z osobna, potrafił dyskutować o ich dziełach, używał swojej doskonałej francuszczyzny i czuł emanującą ku niemu życzliwość.

Być może była to największa chwila w jego życiu.

Krótką przemową, jaką na koniec skierował ku niemu Diderot, także sprawiła mu radość. Sądzę, powiedział Diderot, że światło oświecenia może zabłysnąć w małej Danii. Że Dania pod panowaniem owego oświeconego Monarchy stanie się wzorem do naśladowania. Że wszelkie radykalne reformy - oparte na wolności myśli, tolerancji, humanizmie - pod przewodnictwem Jego Wysokości będą mogły zostać wcielone w życie. Ze Chrystian siódmy, król Danii, zapisze tym samym osobny rozdział w historii oświecenia.

Chrystian był tą przemową bardzo poruszony, i nie mógł wyrzec ani słowa. Wtedy pan d'Alembert dorzucił łagodnie:

- A wiemy, że pożar prerii może rozniecić jedna iskra.

Struensee odprowadził gości do powozów, podczas gdy Król przez okno machał im na pożegnanie. Diderot odciągnął wtedy Struenseego na bok, na chwilę rozmowy.

- A zatem Król niebawem wraca do Kopenhagi? - spytał, choć wydawało się, że to akurat niespecjalnie go ciekawi, lecz że zmierza ku czemuś innemu.

- Nie ma jeszcze ustalonych planów. To zależy w pewnej mierze od Króla. Od stanu jego zdrowia.

121

- A pan jest osobistym konsyliarzem Jego Królewskiej Mości? I z Altony?

Struensee odparł z lekkim uśmiechem:

- Z Altony. Jest pan dobrze poinformowany.

- A pan, jak słyszałem, jest dobrze zorientowany w ideach francuskiego oświecenia.

- I nie tylko, bo także w Holbergu, który jest wielkim duńskim filozofem oświecenia - powiedział Struensee z uśmiechem, którego francuski gość nie umiał rozszyfrować.

- Mówi się - ciągnął Diderot - że Król jest... chory? Struensee nie odpowiedział.

- Niezrównoważony?

- To bardzo utalentowany, ale wrażliwy młody człowiek.

- Tak. Jestem dość dobrze poinformowany. Szczególna sytuacja. Ale podobno pan cieszy się jego pełnym zaufaniem.

- Jestem lekarzem Jego Wysokości.

-Tak - rzekł pan Diderot. - W wielu listach z Londynu donoszono mi, że jest pan lekarzem Jego Wysokości.

Była to chwila pełna dziwnego napięcia. Konie szarpały się niecierpliwie w uprzęży, mżył lekki deszcz, ale pan Diderot chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz się wahał.

A jednak w końcu to powiedział:

- Sytuacja jest unikalna - pan Diderot mówił cichym głosem. - Formalnie władza jest w rękach zdolnego, bardzo zdolnego, ale psychicznie rozchwianego króla. Niektórzy twierdzą - ja sam bym się wahał - że jest psychicznie chory. Panu on ufa. To oznacza wielką odpowiedzialność. Niezwykle rzadko zdarza się, jak tutaj, szansa, by oświecony monarcha rozproszył mroki reakcji. Mamy Katarzynę w Rosji, ale Rosja to jest ocean mroku na Wschodzie. W Danii jest taka szansa. Nie przez oddolny bunt motłochu czy mas. Tylko przez władzę daną od Najwyższego.

Tu Struensee zaczął się uśmiechać, patrząc na niego pytająco.

122

- Od Najwyższego? Nie sądziłem, że przyjdzie mi usłyszeć z pańskich ust imię Najwyższego.

- Król Danii, Chrystian siódmy, otrzymał władzę, doktorze Struensee. Została mu dana.

Ktokolwiek mu ją dał, musi ją mieć. Prawda?

- On nie jest psychicznie chory - powiedział Struensee po chwili milczenia.

- A jeśli jest. A jeśli jest. Ja nie wiem. Pan też nie wie. Lecz jeśli jest... wtedy jego choroba pozostawia tam wewnątrz, w centrum władzy, puste miejsce. Ten, kto tam wejdzie, ma niebywałą szansę.

Stali obaj w milczeniu.

- A kto właściwie - zapytał w końcu Struensee - mógłby tam wejść?

- Jak zwykle. Urzędnicy. Szlachta. Ci, co zawsze wchodzi.

- Tak, ma się rozumieć.

- Albo ktoś inny - powiedział wtedy pan Diderot. Ucisnął rękę Struenseemu, wsiadł do powozu, potem wychylił się i rzekł:

- Mój przyjaciel Voltaire zwykł powtarzać, że historia otwiera czasami, przypadkowo, unikalną szczelinę prowadzącą w przyszłość.

-Tak?

- Wtedy trzeba się przez nią precyzyjnie przejść.

6. Było to 20 listopada 1768.

To była największa chwila Chrystiana, potem znów przyszyły celebracje i recepcje, i powoli pogrążył się z powrotem w szarość, w tę na samej krawędzi.

Wszystko zdawało się powracać. Paryż właściwie był jeszcze koszmarniejszy od Londynu.

Ale teraz jego wybuchy wściekłości zdawały się łagodniejsze. Uchodził za wielbiciela teatru, i co wieczór, jeśli nie było żadnej gali, urządzano specjalne przedstawienia.

123

Wtedy najczęściej spał.

Miał jeszcze jechać dużo dalej, do Pragi, Wiednia i Sankt Petersburga, lecz sytuacja stała się w końcu absurdalna. Aby zapobiec większej katastrofie, zdecydowano się skrócić podróż.

Dnia 6 stycznia 1769 król Chrystian siódmy znowu postawił swoją stopę na duńskiej ziemi.

W ciągu ostatnich dni podróży zezwolił tylko Struenseemu siedzieć ze sobą w królewskiej karocy.

Zrozumiano, że coś się wydarzyło. Ten młody niemiecki lekarz z blond czupryną, z wyczekującym, prędkim uśmiechem i przyjaznymi oczami stał się kimś. Ponieważ nie miał żadnego tytułu i trudno było wyznaczyć jego miejsce w ścisłej hierarchii, wywoływało to niepokój.

Próbowano go rozszyfrować. Nie był łatwy do rozszyfrowania. Uprzejmy, dyskretny, nie chciał używać swojej władzy; czy raczej tego, w czym oni dopatrywali się władzy.

Trudno z nim było dojść do ładu.

Podróż powrotna była straszna.

Tydzień śnieżnej zawiei, przez całą drogę dokuczliwy ziąb. W powozach zimno jak w lodowni. Opatulano się derkami. Wyglądało to jak odwrót pokonanej armii przez rosyjskie stepy, nie było nic świetnego ani dostojnego w tej rejteradzie duńskiego dworu. Nie rachowano już nawet, ile ta ekspedycja kosztowała; to było nazbyt przeraźliwe, ale wszak można nałożyć podatki.

Jedyne wyjście to podatki. Odsunąć to w przyszłość. A teraz trzeba było wracać.

Struensee siedział sam ze śpiącym, milczącym lub pojękującym chłopcem, zwanym królem, i miał dość czasu na rozmyślanie.

Skoro nie wierzył w żywot wieczny, zawsze czuł strach przed możliwością zmarnowania owego jedyne go życia, które miał. Medycyna dała mu w życiu jakiś cel. Wmawiał sobie, że powołanie lekarza jest czymś w rodzaju celebracji mszy, że to jedyny możliwy sakrament świętego życia. Wszak ludzkie życie było je-

124

dyną świętością, owa świętość różniła człowieka od zwierząt, poza tym żadnych różnic; i ci, którzy twierdzili, że w jego przekonaniu człowiek jest maszyną, ci nie zrozumieli.

Świętość[^] życia była jego laicką wiarą. W Altonie wykładał anatomię; ciała skazańców i samobójców służyły jako materiał poglądowy. Ciała straconych łatwo było poznać, gdyż często pozbawione były prawej dłoni i głowy. Wszelako samobójcy nie różnili się od tych umarłych w wierze, tych, których wolno było grzebać w poświęconej ziemi; w ten sposób byli jednacy. Człowiek maszyna, który leżał tam, pod jego nożem, istotnie był wtedy maszyną. To święte, życie, uleciało. Czymże więc była owa świętość?

To było to, co się czyniło, kiedy ta świętość jeszcze była.

Świętość jest tym, co świętość czyni. Doszedł do tego sam. Troszeczkę było u Holberga, ale wszak Holberg w 101 epigramie swoich Myśli moralnych jest niejasny; to zwierzęta są maszynami, pisze Holberg, to ludzka świętość czyni z człowieka nie-zwierzę.

Odczytywał to jako możliwą wskazówkę. Wydawało mu się czasami, że wszystko, co myśli, jest echem tego, co przed nim myśleli inni. Należało zatem sortować, tak aby nie był w końcu tylko komorą pogłosową; a czasami zdawało mu się, że wpada na myśl, która jest tylko jego. Wtedy mógł przyjąć zawrót głowy, jak na krawędzi otchłani, i mógł pomyśleć: oto świętość. Ta myśl, być może, jest moja własna, i niczyja inna, a zatem jest to owa świętość różniąca mnie od zwierzęcia.

Zazwyczaj sprawdzał to, sięgając po Holberga. U Holberga znajdował prawie wszystko, a potem i Holberga należało poddać kontroli, gdyż powołaniem każdego człowieka jest myśleć samodzielnie. Holberg miał prawie zawsze rację; ale czasami przychodziła myśl, która wyłącznie była jego własna, której nie było u Holberga, należała tylko do niego.

A to znaczyło zawrót głowy, i wtedy myślał, że to świętość.

Nie jestem maszyną.

Z Holbergiem sprawa miała się też tak, że można było wybrać, co się chciało: używać tego, wyłączając całą resztę. On więc

125

wyłączył Holbergowską, czasem konfundującą, metafizyczną pokorę, pozostawiając sedno rzeczy.

W końcu zdawało mu się ono bardzo proste i oczywiste.

Świętość jest tym, co świętość czyni. I że związana jest z ty wielka odpowiedzialność.

Właśnie odpowiedzialność była ważna.

Właściwie powinien był opuścić królewską switę w drodze powrotnej, w Altonie. Otrzymał był już zapłatę, tysiąc talarów, to mogło starczyć mu na długo. A jednak tego nie uczynił.

Może to była - odpowiedzialność. Polubił tego szalonego, mądrego i pomyłonego chłopca, który był wybrańcem Boga, a teraz miał być znów pozostawiony na pastwę dworskiej zgrai wilków, która, bez wątpienia, wpędziłaby go jeszcze bardziej w chorobę.

Może to było nieuchronne. Może mały Chrystian, to chu-cherko o wielkich przerażonych oczach, może był bezpowrotnie stracony. Może go należało zamknąć, aby został zwykłym królewskim ścierwem, łupem wilczej zgrai.

Tylko że on go lubił. A w gruncie rzeczy było to coś więcej; nie umiał znaleźć na to słowa. Ale było to uczucie, którego nie mógł zbagatelizować.

Nie miał wszak własnych dzieci.

Żywoć wieczny przedstawiał sobie zawsze jako posiadanie dzieci. To oznaczało dostęp do wieczności: żyć dalej przez dziecko. Ale jedynym dzieckiem, jakie teraz miał, był ten roztrzęsiony, obłąkany chłopiec, który miał szansę być tak doskonale piękną istotą; gdyby nie to, że wilki rozszarpały go prawie na sztuki.

Nienawidził wilków.

Rantzau namówił go wtedy, przed dziewięcioma miesiącami, które zdawały się wiecznością. Choroby są i w Kopenhadze, mówił -- wtedy. I miał rację. Tylko że to nie było takie proste. Nie był naiwny. Jeżeli jechał teraz dalej, do Kopenhagi, to nie po to, ażeby być lekarzem dla ubogich z Nørrebro i szczepić ospę duńskiej nędzy. Ani też dzieciom z dworu. Pojmował, co to oznaczało.

126

Ze nie opuścił ekspedycji w Altonie. Nie uciekł na Malaje. To był rodzaj poczucia odpowiedzialności. I był prawie pewien, że podjął błędną decyzję.

O ile była to decyzja.

Bo może było tylko tak, że się nie zdecydował, by zatrzymać powóz w Altonie, nie zdecydował się wysiąść, i tym samym nie zdecydował, by go zostawiono w dawnym życiu: tylko po prostu jechał dalej, w nowe życie. Jechał dalej, i nigdy właściwie nie podjął żadnej decyzji, po prostu jechał dalej.

Wylądowali na Zelandii w Korsør i pojechali dalej, przez śnieżycę, w stronę Kopenhagi.

Król i Struensee byli w powozie sami.

Chrystian spał. Leżał z głową na kolanach Struenseego, bez peruki, przykryty derką, i podczas gdy powoli, przez duńską zawieję, zdążali na północny wschód, Struensee siedział, całkiem bez ruchu, myśląc, że świętość to jest to, co świętość czyni, i jednocześnie gładząc dłońią włosy Chrystiana. Europejska podróż miała się ku końcowi, i miało się rozpocząć coś całkiem innego, o czym nie wiedział nic, i o czym nie chciał wiedzieć.

Chrystian spał. Pojękiwał cicho, lecz te dźwięki były nieczytelne: brzmiało to, jakby śniło mu się coś rozkosznego albo koszmarnego; nie dało się zrozumieć. Może coś o spotkaniu kochanków po rozłące.

Część III

KOCHANKOWIE

V

Rozdział 7 Instruktor jazdy konnej

1. Dnia 14 stycznia 1769 odwrót królewskiej ekspedycji osiągnął wreszcie Kopenhagę.

Trzy kilometry od bram miasta nadwerężone drogą, zabłocone powozy wymieniono, nowe powozy już czekały, z obszywanymi jedwabiami pledami zamiast derek, i w końcu sama Królowa zajęła miejsce w karocy swego małżonka, Chrystiana siódmego.

Tylko ci dwoje. Przyglądali się sobie uważnie, jakby z nadzieją szukając w sobie zmian, albo z obawą.

Zanim procesja mogła ruszyć, zdążył już zapaść zmrok; chłód dawał się we znaki. Wjazd odbył się przez Zachodnią Bramę. Wzdłuż drogi rozstawiono stu żołnierzy z pochodniami w rękach. Gwardia paradowała, ale bez muzyki.

Szesnaście powozów zdążyło do bram zamku. Na zamkowym dziedzińcu ustawił się dwór.

Przyszło im czekać długo, marznąc w ciemności, i nastrój nie był zbyt entuzjastyczny.

Przy pierwszym powitaniu zapomniano przedstawić sobie Struenseego i Królową.

W blasku pochodni, w lodowatym śniegu z deszczem, zaczęła się ceremonia na cześć Króla. Ten, kiedy tylko powozy stanęły, przywołał gestem Struenseego, który szedł teraz, nieco z boku, tuż za królewską parą. Na samym końcu szeregu oczekujących, tworzących komitet powitalny, stał Guldberg. Wpatrywał się uporczywie w Króla i w jego konsyliarza. Wielu się wpatrywało, szacując ich wzrokiem.

Wchodząc po schodach, Struensee spytał Króla:

- Kto to był, ten mały, co patrzył takim złym wzrokiem?

131

- Guldberg.

- Kim on jest? Król zwlekał z odpowiedzią, idąc dalej, potem odwrócił się i z wyrazem nagłej, niespodziewanej nienawiści wysyczał:

- On wie! WIE!!! gdzie jest Katarzyna! Struensee nie zrozumiał.

-Zły! - ciągnął tym samym nienawistnym tonem. - Zły!!! i mizerny!!!

- Te jego oczy - powiedział wtedy Struensee - w każdym razie nie były mizerne.

2. W powozie, sam na sarn z Królem, mała Angielka nie wyrzekła ani słowa.

Nie wiedziała, czy mierzi ją myśl o tym jego powrocie, czy może za nim tęskniła. Może to nie za Chrystianem tęskniła. Za czymś innym. Za jakąś zmianą.

Zaczęła sobie uświadamiać, że ma ciało.

Przedtem to ciało było czymś, co damy dworu z taktownie spuszczonej oczami pomagały jej ukrywać, i co następnie obnosiła na oczach dworu pod swoim opancerzeniem: jak mały okręt wojenny. Najpierw zdawało jej się, że składa się tylko z pancerza. To ów pancerz królowej był jej właściwością. Obleczona w tę rolę była małym opancerzonym okrętem, oglądanym przez tych zdumiewających Duńczyków, którzy tak kaleczyli jej język, i których higiena osobista budziła taką odrazę. Wszyscy zdawali się pokryci kurzem, cuchnęli złymi perfumami i zleżałym pudrem.

Potem odkryła ciało.

Po urodzeniu dziecka miała w zwyczaju, gdy damy dworu wieczorem już poszły, zdejmować swój nocny strój i kłaść się, bezwstydnie nago, pod lodowato zimną pościelą. Dotykała wtedy swego ciała; nie w lubieżnych intencjach, nie, to nie lubieżność,

132

? x

myślała, tylko po to, żeby powoli rozpoznawać i zgłębiać to ciało, które leżało teraz uwolnione od dworskich strojów i pudru.

Wyłącznie jej skóra.

Zaczęła lubić swoje ciało. Czują, że jakby coraz bardziej należało do niej. Odkąd się urodziło dziecko, a piersi skurczyły się do swojej właściwej wielkości, zaczęła lubić to ciało. Lubiła swoją skórę. Lubiła swój brzuch, swoje uda, umiała leżeć godzinami, myśląc: no, proszę, oto moje ciało.

Wspaniale jest go dotykać.

W czasie królewskich wojaży po Europie zaokrągliła się, i zarazem miała wrażenie, że wrasta w swoje ciało. Zaczęła wyczuwać, że jest postrzegana nie tylko jako królowa, ale też jako coś innego. Nie była wszak naiwna. Zdawała sobie sprawę, że jest coś w połączeniu jej nagiego ciała pod zbroją z jej tytułem, coś co wytwarza wokół niej niewidzialne pole promieniowania, jej krocza, rozkoszy i śmierci.

Królowa była wszak tabu, i była kobietą. Wiedziała zatem instynktownie, że mężczyźni sięgają wzrokiem pod jej ubranie, i widzą ciało, które teraz lubiła. Była pewna, że pragną w nią wtargnąć, i że to śmierć w tym ich wabi.

Był tam zakaz. To promieniowało przez pancerz. Była owocem naj surowiej zakazanym, i wiedziała, że owa seksualna strefa wokół niej jest dla nich zniewalająca.

To było absolutne tabu, to była naga kobieta, i Królowa, a zatem była to też śmierć. Pożądając Królowej, ocierało się o śmierć. Była przedmiotem pożądania, i była zakazana, a kiedy dotknie się nietykalnego, karą jest śmierć. To ich podniecało, wiedziała o tym. Widziała to w ich spojrzeniach. I kiedy sobie to uświadomiła, było tak, jak gdyby wszyscy inni także, coraz bardziej, stawali się więźniami tego cichego i intensywnego pola promieniowania. Sporo o tym myślała. Wprawiało ją to w stan szczególnej egzaltacji; że jest Świętym Graalem, i że gdyby ów święty graal został zdobyty, przyniosłoby to im najwyższą rozkosz, i śmierć.

133

Widziała to po nich. Jej krocze było cały czas w ich świadomości. To było dla nich jak swędzenie. To była dla nich udręka. Wyobrażała sobie, jak cały czas myślą o niej, chędożąc swoje me-tresy i kurwy, jak zamykają oczy, myśląc, że to nie kurwa ani żona, lecz? że wwiercają się w ciało Królowej, tak niesłychanie zakazane; i to dawało jej poczucie niesłychanej władzy.

Tkwiła w ich ciałach jako przeświadczenie, że owo ciało jest śmiercią, i Graalem.

Była swędzeniem w dworskim członku. Ale nie mogli jej dosięgnąć. Owego krocza, i śmierci, i swędzenia. I nie mogli uwolnić się od tej obsesji, choćby nie wiedzieć jak usiłowali pozbyć się jej, chędożąc, choćby nie wiedzieć jak usiłowali spuścić to swędzenie w swoje kobiety.

Jedynie ona była niedosiężna i tylko ona łączyła w ten sposób namiętność i śmierć.

To było coś w rodzaju władzy.

Ale czasem myślała: lubię moje ciało. I wiem, że jestem jak swędzenie w dworskim członku.

Lecz czy ja też nie mogłabym swobodnie używać mego ciała, i poczuć abolutny związek śmierci z moim kroczem, i sama się tym rozkoszować? I czasem nocą, gdy leżała naga, dotykała siebie sama, swego krocza, i rozkosz szła gorącą falą przez to ciało, które lubiła coraz bardziej.

I ku swojemu zdumieniu nie czuła żadnego wstydu, tylko że jest żywym człowiekiem.

3- Chrystian, jej filigranowy małżonek, który się do niej nie odzywał, kim w takim razie był on? Nie czuł tego swędzenia?

BYI tym, który znajdował się na zewnątrz. A ona próbowała pojąć, kim on jest.

W kwietniu Królowa oglądała w Teatrze Dworskim przedstawienie Zairy Francuza Voltaire'a.

134

Pan Voltaire przesłał Królowi ową sztukę, wraz z osobistym pozdrowieniem, i Król zapragnął sam wystąpić w jednej z ról. Wyuczył się zatem tej roli.

W załączonym liście pan Voltaire napomknął, iż w sztuce jest zawarte sekretne przesłanie, będące kluczem do czynów, jakich Wielce Czcigodny Król Danii, Światło Północy i wybawiciel uciśnionych, niebawem miał dokonać.

Po wielokrotnym przeczytaniu sztuki Król oznajmił, że pragnie zagrać rolę Sułtana.

I zgoła nie był złym aktorem.

Swoje repliki wypowiadał wolno, z osobliwymi akcentami, które tworzyły w tych wierszach niespodziewane napięcie. Jego zaskakujące pauzy sprawiały wrażenie, jak gdyby nagle pojmował jakiś sens i zatrzymywał się, jakby w pół kroku. I Karolina Matylda, widząc go na scenie, czuła chwilami dziwną i niechętną sympatię do męża.

Na teatralnej scenie był kimś innym. Jego repliki zdawały się prawdziwsze od jego konwersacji. To było tak, jakby dopiero teraz się objawiał.

- Cóż teraz wiem? Czego mnie nauczyło życie, jak nie tego, że fałsz i prawda są podobne do siebie jak dwie krople wody. Zwątpienie! Wszystko teraz jest zwątpieniem. I żadnej innej prawdy nie ma -jak zwątpienie.

Można powiedzieć, że wyglądał śmiesznie w swoim kostiumie. W tym orientalnym przebraniu!, w tym turbanie!, z tą zakrzywioną szablą, która zdawała się za duża na jego drobne, delikatne ciało! Lecz mimo wszystko: swoje długie monologi wygłaszał z osobliwym

przekonaniem, tak jakby teraz, na tej scenie, na oczach zebranego dworu, tworzył te repliki.
Rodziły się

135

właśnie w tym momencie. To było tak, jakby ów pomyłony mały chłopiec, który dotychczas żył w teatrze dworu, mówiąc dworskimi replikami, tu po raz pierwszy wypadł z roli. Dopiero teraz przemawiał sam z siebie.

Tak jakby stwarzał swoje kwestie właśnie w tej chwili, tu, na deskach sceny.

Zgrzeszyłem ciężko przeciw memu berłu, strwoziłem siły, próbując je dźwigać.

Grał swoją rolę spokojnie, lecz z żarem, inni zaś aktorzy zdawali się sparaliżowani jego wystąpieniem; zapominali czasem swoich kwestii i zastygali tylko w swoich pozach, zagapieni w Króla. Skąd się brała ta powściągnięta wściekłość Jego Wysokości, i ta żarliwość, która wszak nie mogła być teatralnym rekwizytem?

- Chcę być sam - tu tej piekielnej otchłani!

I sam zmyję swą hańbę - krwią!

Krwi mi trzeba!

Tu mój ołtarz, tu zemsty świątynia -

i ja - arcykapłan!

Później klaskano długo, lecz prawie z przestachem. Odnotowała, że niemiecki konsyliarz Króla, doktor Struensee, niemal natychmiast zaniechał oklasków; być może nie z braku uznania, wyobrażała sobie, lecz z jakiegoś innego powodu.

Pochylony, jakby zamierzał wstać i podejść do Króla, z wyrazem dziwnej ciekawości przyglądał się Chrystianowi, jakby na usta cisnęło mu się jakieś pytanie.

Nabrała przekonania, niemal pewności, że ten nowy faworyt, lekarz Struensee, jest dla niej najniebezpieczniejszym wrogiem. Oraz że absolutną koniecznością jest go zniszczyć.

136

4. Było tak, jakby cisza dokoła Królowej powoli nabierała magnetyzmu, odkąd pojawił się ten nowy wróg.

Nie miała żadnych wątpliwości. Coś groźnego wisiało w powietrzu, coś się działo, coś się zmieniało. Przedtem świat był tylko nieznośnie nudny; to było zniechęcenie, jakby życie na dworze i w Kopenhadze, i w Danii, przypominało jeden z tych zimowych dni, kiedy mgła z Óresundu leżała nad wodą, gęsta i absolutnie nieruchoma, i gdy ona, kazawszy zawieźć się na brzeg, stała tam na kamieniach, widząc ptaki spoczywające w czarnej, nieruchomej, połyskującej jak rtęć wodzie; a kiedy jakiś ptak poderwał się i bijąc koniuszkami skrzydeł w lustro wody, przepadł w oparach mgły, pomyślała, że ta woda to wielkie morze, a po drugiej stronie leży Anglia i gdybym była ptakiem, co ma skrzydła, lecz potem chłód i nuda zmusiły ją do powrotu.

Życie stało wtedy zamarłe, pachnące śmiercią i algami. Teraz życie stało zamarłe, lecz pachniało śmiercią lub życiem; różnica polegała na tym, że ten bezruch zdawał się teraz groźniejszy, i że napełniał ją dziwnym podnieceniem.

Co to było? Czy to ten nowy wróg?

Doktor Struensee różnił się od innych, i był jej wrogiem. Chciał ją zniszczyć, wiedziała to na pewno. Zawsze znajdował się w pobliżu Króla, i miał nad nim władzę. Władza doktora Struenseego nie uszła niczyjej uwagi. Ale co wszystkich wprawiało w konfuzję, i ją także, to że jak gdyby nie chciał korzystać z tej władzy. Wywierał wpływ, coraz większy, to było wyraźne. Lecz jakby z dyskretną niechęcią.

Czego właściwie chciał?

Widziano w nim przystojnego mężczyznę. Był jeszcze młody. O głowę wyższy od wszystkich dworzan, bardzo uprzejmy, małomówny, na dworze mówiono o nim Cichy.

Ale o czym on tak milczał?

Któregoś dnia siedziała, szydełkując, w Alei Różanej na wewnętrznym zamkowym dziedzińcu; nagle przejęła ją żałość tak ogromna, że nie umiała jej sprostać. Robótka spadła jej na kolana,

137

schyliła głowę, ukryła twarz w dłoniach, i nie wiedziała, co ma z sobą począć.

Nie po raz pierwszy płakała w Kopenhadze. Czasem zdawało jej się, że jej pobyt w Danii był jednym nieprzerwanym pasmem łez. Ale tym razem po raz pierwszy płakała poza swymi pokojami.

Siedząc tam sama, z twarzą ukrytą w dłoniach, nie spostrzegła, jak zbliża się Struensee.

Potem nagle tam był. Bardzo spokojnie i cicho podszedł do niej, wyjął z zanadrza i podał jej koronkową chusteczkę.

Tym samym dał do zrozumienia, że zauważył jej łzy. Co za impertynencja, co za brak taktu.

Przyjęła jednak chusteczkę i osuszyła łzy. Wtedy on tylko się ukłonił i cofnął o krok, jakby chciał odejść. Uznała wtedy, że koniecznie winna udzielić mu reprimendy.

- Doktorze Struensee - powiedziała. - Wszyscy się pragną skupiać wokół Króla. Ale niedługo tylko pan się będzie skupiać. Czegóż to pan tak bardzo pragnie? Dokoła czego się pan skupia? On tylko lekko się uśmiechnął, rozbawiony, pokręcił głową, skłonił się, i odszedł bez słowa. Bez słowa!

Co ją wściekało najbardziej, to ta jego uprzejma niedostępność.

Zdawał się nawet nie sięgać wzrokiem, jak inni, pod jej ubranie, do jej zakazanego ciała.

Jeżeli była absolutnym tabu, Świętym Graalem, śwędzeniem w dworskim członku, to czemu on się zdawał taki cichy, uprzejmy i obojętny?

Myślała czasem: nie kusi go nawet zew czarnej, połyskującej jak rtęć wody śmierci?

J. W kwietniu nadeszło lato.

Było wczesne, zieleń wybuchała szybko, i spacer w Parku Bernstorffa były cudowne. Damy dworu szły z tyłu, z dzieckiem w wózku. Ona chciała iść sama, dziesięć metrów przed asystą.

138

Odkąd zabrano jej panią von Plessen, nie chciała więcej mieć nikogo bliskiego. Była to pryncypialna decyzja.

To był 12 maja, gdy spotkała w parku Struenseego.

Przystanął, spacerował sam, złożył jej dworski ukłon, z tym swoim lekkim, może ironicznym uśmiechem na ustach, który tak bardzo irytował ją i zbijał z tropu.

Czemu więc, ona także, przystanęła? Ponieważ miała do niego sprawę. To było powodem.

Miała do niego pewną sprawę, w pełni uzasadnioną, oczywistą, i to dlatego przystanęła i odezwała się do niego.

Dlatego to, że przystanęła, było zupełnie naturalne.

- Doktorze... Struensee - powiedziała. - Wszak... Struensee... prawda?

Zignorował tę drobną złośliwość i odpowiedział tylko:

- Tak, Wasza Wysokość?

- Chodzi o zaszczepienie Kronprinca. Ospa grasuje w Kopenhadze, mówiono mi, że pan jest specjalistą, ale się boję, nie wiem, czy się odważymy...

Popatrzył na nią poważnie.

- Nie ma nic złego w strachu.

- Nie???

Damy dworu z dzieckiem w wózku przystanęły, jak nakazywał respekt, w odpowiedniej odległości i czekały.

— Jeżeli Wasza Królewska Wysokość wyrazi takie życzenie - rzekł wtedy - mogę dokonać szczepienia. Wydaje mi się, że mam spore doświadczenie. Przez wiele lat pracowałem, szczepiąc ospę w Altonie.

— I jest pan... naukowcem... wie o ospie wszystko?

— Moja rozprawa - odpowiedział z lekkim uśmiechem - nie traktowała o szczepieniu ospy. To była tylko praktyka. Parę tysięcy dzieci. Moja rozprawa nie była o tym.

— Tylko o...?

— O zagrożeniach przy nieprawidłowych ruchach kończyn. Zamilkł.

139

- No i... które kończyny są najbardziej zagrożone?

Nie odpowiedział. Co za dziwne napięcie w powietrzu, wiedziała, że utracił pewność siebie, to jej dało rodzaj poczucia tryumfu, teraz mogła kontynuować.

- Król się dobrze wyraża o panu - powiedziała. Skłonił się lekko.

- Kiedy się do mnie odzywa, wyraża się dobrze o panu -sprecyzowała i natychmiast tego pożałowała; po co to powiedziała? „Kiedy się do mnie odzywa”. On to zrozumiał, oczywiście, ale to wszak nie jego sprawa.

Brak odpowiedzi.

- Ale ja przecież pana nie znam - dorzuciła chłodnym tonem.

- Nie. Nikt mnie nie zna. Nie w Kopenhadze.

- Nikt?

- Tu nie.

- Czy ma pan jakieś inne zainteresowania poza... zdrowiem Króla?

Zdawał się teraz bardziej zaintrygowany, jakby skruszała jego niedostępność, i po raz pierwszy spojrzął na nią intensywnie, jakby przebudził się i ją zobaczył.

- Filozofię - powiedział.

- Aha. Coś jeszcze?

- Jazda konna.

- Aaaaa... Ja nie umiem jeździć.

- Można... nauczyć się.

- To trudne?

- Owszem - rzekł. - Ale wspaniale.

Teraz, pomyślała, ta krótka rozmowa stała się zbyt szybko zbyt intymna. Wiedziała, że zobaczył to, co zakazane. Nie miała żadnych wątpliwości; nagle porwała ją złość na samą siebie, że potrzebowała to wymusić. Powinien był zobaczyć sam. Bez pomocy. Jak inni. Zaczęła iść. Potem stanęła, odwróciła się, i szybko zapytała:

- Pan jest tu obcy, na tym dworze.

140

To nie było pytanie. To była konstatacja. Miało to określić jego miejsce.

I właśnie wtedy wypowiedział, zupełnie naturalnie, jako oczywistość, te absolutnie trafne słowa:

- Tak. Tak jak i Wy, Wasza Wysokość. Nie mogła więc tego powstrzymać.

- W takim razie - rzuciła szybko i bezbarwnym tonem - pan musi mnie nauczyć jeździć konno.

6. Hrabia Rantzau, który swego czasu, ledwie przed rokiem, zasugerował Guldbergowi, że niemiecki lekarz Struensee nadawałby się znakomicie na królewskiego konsyliarza, nie umiał już ogarnąć sytuacji.

Wyczuwał w jakiś dziwny sposób, że wymknęła się spod kontroli.

Albo wszystko było w najlepszym porządku. Albo też zawiódł się w swojej ocenie ucznia i przyjaciela, Struenseego. Ten zawsze był w pobliżu Króla, lecz wydawał się dziwnie pasywny. Tak blisko Jego Wysokości, ale dokoła tych dwóch cisza. Mówiło się, że Struensee otwiera teraz pocztę Króla, wybiera to, co najważniejsze, i projektuje królewskie dekrety.

Czymże to było, jeśli nie przedsmakiem władzy. Więcej niż przedsmakiem.

Z tej przyczyny zaproponował Struenseemu wspólną przechadzkę po mieście w celu zbadania sytuacji „w kwestii szczepienia ospy”.

Tak się wyraził. Kwestia szczepienia ospy była, tak sobie to przedstawiał, właściwym punktem zaczepienia, aby powrócić do dawnej zażyłości z przyjacielem.

Cichym z Altony.

Szli przez Kopenhagę. Struensee zdawał się beztroski w obliczu brudu i ruiny, jak gdyby znał to nadto dobrze, ale Rantzau się przeraził.

141

- Epidemia ospy może sięgnąć dworu - powiedział Rantzau. - Może się wedrzeć... zastać nas bezbronnych...

- Pomimo całej duńskiej armii - powiedział Struensee. - Pomimo dużych wydatków na obronę.

- Musimy chronić Kronprinca - odrzekł chłodno Rantzau, gdyż nie uważał tego za właściwy temat do żartów.

- Wiem - odpowiedział spiesznie Struensee, jakby odpierał jakiś zarzut. - Królowa już mnie poprosiła. Zrobię to.

Rantzau nieomal zaniemówił, ale obaczył się i szybko znalazł właściwe słowa i ton.

- Królowa? Już? To znakomicie.

- Tak, Królowa.

- Król wielbiłby cię do grobowej deski, gdyby szczepienie przebiegło pomyślnie. Już teraz przecież cię uwielbia. To wspaniale. Ufa ci.

Struensee nie odpowiedział.

- Jak się przedstawia... sytuacja Króla? Tak naprawdę?

- Jest skomplikowana - odrzekł Struensee.

Więcej nie powiedział. Tak zresztą o tym myślał. Zdawało mu się, że w ciągu tych miesięcy, które minęły od powrotu z Europy, zrozumiał, iż sytuacja Króla jest właśnie - skomplikowana.

To była niesłychana chwila, tam w Paryżu, kiedy Chrystian rozmawiał z francuskimi encyklopedystami. I przez kilka tygodni wydawało mu się, że Chrystian mógłby przyjść do siebie; że ten chłopiec ma wprawdzie przemarzniętą duszę, lecz że nie wszystko jest stracone. W ciągu owych tygodni Chrystian był jakby obudzony z odrętwienia, mówił, że jego misją jest stworzyć królestwo rozumu, że dwór jest domem wariatów, lecz że do Struensego żywi bezgraniczne zaufanie.

Ufał mu bezgranicznie. Bezgranicznie. Stale to powtarzał.

Lecz zagadkowe, czy też groźne, były motywy tego przywiązania.

142

Struensee miał być jego „trzcinką”, tak powiedział; jakby na powrót stał się dzieckiem, wyrwał laskę przeraźliwemu nadzorcy i teraz wtykał ją w ręce nowego wasala.

Struensee na to, że nie chce być „trzcinką”, nawet nie mieczem, ani młotem. Królestwa rozumu nie można budować na zemście. I czytali wspólnie, raz po raz, jak liturgię, list, który Vol-taire napisał do niego, i o nim.

Światło. Rozum. Lecz Struensee wiedział zarazem, że owo światło i ów rozum znajdowały się w rękach chłopca, który sam w sobie nosił mrok jak olbrzymią czarną pochodnię.

Jakżeby miało z tego zrodzić się światło?

A jednak było coś w obrazie „trzcinki”, co mimo woli pociągało Struenseego. Czy „trzcinką” była niezbędna do zmian? Vol-taire powiedział coś, co w nim utkwilo; o konieczności, czy też powiedział: obowiązku? przeciskania się przez tę szczelinę, która nagle mogła pojawić się w historii. A jemu zawsze marzyła się możliwość zmian, tylko zdawało mu się, że on sam, nic niezna-czący niemiecki lekarz z Altony, jest tylko małym rzemieślnikiem życia, którego misją jest, z tych wszystkich ludzi, zeskro-bywać nożem brudy życia. Nie myślał „skalpel”; to było zbyt ostre i zbyt groźne. Związane jakby z obdukcjami, kiedy rozcinał samobójców lub

straconych. Nie, on myślał o tym jako o prostym nożu rzemieślnika. Obnażać nożem czyste drewno życia. Jak rzemieślnik.

Skrobać je nożem rzemieślnika. Zeskrobywać brudy życia. Tak by powierzchnia drewna była czysta, znaczone tylko słojami, i żywa.

Ale przesłanie Diderota od Voltaire'a oznaczało coś innego.

On nie powiedział obojętne. Lecz to miał na myśli. I Struensee potrafił budzić się po nocach w swej komnacie, w tym lodowatym, strasznym zamku, leżeć bez ruchu, wpatrując się w sufit i myśleć nagle, że może to ja i oto moment, który już się nie powtórzy, lecz jeśli władza mnie usidli, jestem zgubiony i skazany na zaturę i ja nie chcę, to przyspieszało jego oddech, prawie jak nagły

143

przyływ lęku, i zaczął myśleć, że to jest odpowiedzialność, że to jest ciężar niesłychanej odpowiedzialności, i że ten moment już się nigdy nie powtórzy. Ten moment, którym była Kopenhaga.

Że to ON!!!

I było tak, jak gdyby widział, jak się otwiera szczelina historii, i wiedział, że to jest szczelina życia, i że nikt inny, tylko on, może precyzyjnie się przez tę szczelinę. Że być może - być może jest to jego obowiązek.

I zdjął go wielki strach.

Nie miał ochoty tłumaczyć Rantzauowi, jak się przedstawia sytuacja Króla. Poczł nagle jakąś oślizgłość. Rantzau był oślizgły. Nie zauważał tego przedtem, nie w Aschebergs Have, nie podczas tych cudownych letnich wieczorów w chacie Rousseau, ale teraz wyraźnie poczuł tę oślizgłość.

Chciał go odgradzić.

- Skomplikowana? - spytał Rantzau.

- Marzy mu się, by stworzyć jakieś światło - powiedział Struensee. - I królestwo rozumu. I obawiam się, że mógłbym mu w tym pomóc.

- Obawiasz się? _ powiedział Rantzau.

- Tak, boję się.

- Bardzo dobrze - rzekł Rantzau z osobliwą nutą w głosie. - Królestwo rozumu. Rozum. A Królowa?

- Dziwna kobieta.

- Oby więc tylko rozumu nie zabiła hydra namiętności - powiedział Rantzau lekkim tonem.

Do tego jeszcze pewne wydarzenie mające miejsce trzy dni wcześniej.

Struensee bał się potem, że zrozumiał je opacznie. Lecz - właśnie komplikacja - sytuacji absorbowała go od paru dni.

Może z powodu tego wydarzenia użył, wobec Rantzaua, słowa „skomplikowana”.

144

Zdarzyło się, co następuje.

Chrystian i Struensee znajdowali się samowtór w gabinecie Króla. Pies siedział, jak zazwyczaj, na kolanach Króla, a ów wolną ręką składał podpisy pod szeregiem dokumentów opracowanych, czysto językowo, przez Struenseego, na życzenie Króla.

Tak wyglądała umowa między nimi. Struensee pisał wszystko. Nalegał jednak, aby była to wyłącznie obróbka czysto językowa. Chrystian kładł z namaszczeniem wytworne podpisy, mamrocząc do siebie.

-Jaką wściekłość! to tutaj wywoła. Bernstorff. Guldberg. Guldberg! ma wiedzieć, gdzie jest jego miejsce. Teraz się dowie, to go usadzi!! Rozbiję. Radę ministrów. I wszystko.

Struensee bacznie obserwował go, lecz nie powiedział nic, dobrze już bowiem znał te maniackalne tyrady Króla o destrukcji, ptaku Feniksie, i oczyszczeniu świątyni.

-Porozbijać! Wszystko na kawałki!!! Czyż nie? Struensee, wszak słusznie myślę, nie mam racji?!

Struensee wtedy cicho i spokojnie rzekł:

- Tak, Wasza Wysokość. Coś trzeba zrobić z tym podupadłym królestwem.

- Światło! Z Północy!

Ucałował swego psa, co w Struenseem często budziło obrzydzenie, i ciągnął dalej:

-Świątynia będzie oczyszczona! Totalna destrukcja!!! Pan się z tym zgadza, czyż nie?!!

Jak dotąd wszystko przebiegało tak jak zwykle. Lecz Struensee, który przez moment poczuł coś w rodzaju zmęczenia królewskim wybuchem, niegłośnie i właściwie sam do siebie wymamrotał:

- Nie zawsze łatwo jest zrozumieć Waszą Wysokość. Sądził, że przemknie to niepostrzeżenie, uchodząc uwagi

Króla. Lecz ten odłożył swoje pióro i spojrział na Struenseego z wyrazem gwałtownego smutku czy też lęku, lub jakby usiłował sprawić, by Struensee zrozumiał.

145

A

- Так - powiedział. - Ja mam wiele twarzy.

Struensee przyjrzał mu się bacznie, posłyszał bowiem ton dla siebie nowy.

Król potem mówił dalej:

- Ale, doktorze Struensee, w owym królestwie rozumu, które chce pan stworzyć, tam może będzie tylko miejsce dla ludzi wyciosanych z jednej bryły?

A po chwili dodał:

- Ale czy w takim razie jest tam miejsce dla mnie?

7. Zdawali się wyczekiwać.

Królowa czuła po spotkaniu ze Struenseem w parku dziwną wściekłość; rozpoznawała to, bez cienia wątpliwości, jako wściekłość.

Nie była spokojna. To była wściekłość.

Nocą znów zdjęła z siebie nocny strój i intensywnie pieściła swój srom. Trzy razy przyszła rozkosz, wielką falą, ale tym razem nie przyniosła jej wcale spokoju, pozostawiając właśnie wściekłość.

Tracę kontrolę, pomyślała. Muszę odzyskać kontrolę.

Muszę odzyskać kontrolę.

Chrystian, Karolina Matylda, Struensee. Ich troje.

Zdawali się przyglądać sobie - nieufnie, z ciekawością. Dwór też się im przyglądał. Oni przyglądali się dworowi. Wszyscy zdawali się czekać.

Zdarzyło się i tak, że ktoś przyglądał się im z zewnątrz. Późną jesienią powstał list zwiastujący w pewnej mierze to, co miało się wydarzyć. Bystrooki obserwator, szwedzki następca tronu Gustaw, późniejszy król Gustaw trzeci, odbywał tego roku podróż do Paryża i na krótko zatrzymał się w Kopenhadze. On coś dostrzegł. Coś się być może nie zdarzyło, lecz coś być może się zdarzy.

W kilku listach do matki zdaje sprawę z sytuacji na duńskim dworze.

146

Wykrzywia się na duński dwór, zamek jest według niego w złym guście. Złoto, złoto, nic tylko złoto złotem malowane. Żadnego stylu. Rewie wojskowe żałosne. Żołnierze nie umieją równo maszerować, zwroty zbyt wolne, brak precyzji. Rozpusta i zepsucie obyczajów dworu, „jeszcze gorsze niż u nas”. Dania bynajmniej nie jest w stanie zagrozić militarnie Szwecji, tak brzmi jego opinia.

Zły smak i zbyt powolne zwroty.

Wszelako to królewska para oraz Struensee interesują go najbardziej.

„Lecz rzecz najosobliwsza ze wszystkiego to pan zamku, i wszystko, co go otacza. Zgrabnej figury, lecz tak mały i chuder-lawy, że łatwo można by go wziąć za dziecko, trzynastoletnie, lub dziewczynę w męskim przebraniu. Madame Du Londelle w męskim stroju byłaby bardzo do niego podobna, i wcale nie wydaje mi się, aby Król był od niej dużo większy.

To, co sprawia, że absolutnie nie przypuszcza się, że to jest Król, to okoliczność, iż nie nosi żadnych orderów, i nie dość, że nie nosi Orderu Serafickiego, to nie przypina sobie nawet jego gwiazdy. Bardzo podobny jest do naszej szwedzkiej Kronprincessy i mówi tak samo jak ona, z tą różnicą, że on mówi więcej. Sprawia wrażenie nieśmiałego i gdy coś powie, zaraz się poprawia, zupełnie tak samo jak ona, jakby obawiał się, że palnął jakieś głupstwo. Chód ma dość ekstrawagancki, wygląda, jakby się ugiął pod nim nogi.

Królowa to zupełnie coś innego. Zdaje się zdrowa, krzepka i z tupetem. W sposobie bycia swobodna i nieskrępowana. W rozmowie żywa, błyskotliwa, ale też mówi bardzo prędko. Nie jest ni ładna, ni brzydka; wzrostu jest raczej przeciętnego, ale silnie zbudowana, choć nie tłusta, ubrana zawsze jak do konnej jazdy, w sztylpach, i wszystkie damy z fraucymeru muszą ubierać się jak ona, co sprawia, że w teatrze, zresztą wszędzie, można odróżnić jej dworki od innych”.

Dokładnie przyjrzał się też Struenseemu. Ów siadywał przy stole vis-a-vis Królowej. „Z ukosa” popatrywał na Królową,

147

w sposób, który szwedzkiemu księciu nie przypadł do gustu. „Lecz najdziwniejsze jest to, że Struensee zdobył pozycję pana zamku i rządzi nawet samym Królem. Budzi to wielkie niezadowolenie, które z dnia na dzień zdaje się narastać. Gdyby w tej nacji było tyle siły, ile jest teraz niezadowolenia, bieg rzeczy mógłby przybrać dramatyczny obrót”.

Mamy więc jesień. Szwedzki następca tronu, przyszły król Gustaw trzeci - tron odziedziczy później tego roku - jest przeświadczony, że coś dostrzegł.

I w rzeczy samej coś się wydarzyło.

Rozdział 8

Żywy człowiek

1. Guldbergiowi zdawało się często, że widzi historię jako rzekę, toczącą swe nieubłagane wzbierające wody do oceanu, aby tam zjednoczyć się z tą wielką wodą, która dla niego była praobrazem Wieczności.

Ruchy tych wód to Boża wola. On sam - tylko nieznacznym świadkiem na brzegu.

Pozornie nie dawało mu to zbyt wielkiej roli w przebiegu wielkiej historii. Ale zarazem myślał sobie, że ów nieznacznym, mały świadek, Guldberg, on sam, z jasnym wejrzeniem lodowatych oczu, dzięki swej nieznacznym, i swej wytrwałości, i owym baczny, nie mrugającym nigdy oczom, otrzymał jednak pewną rolę. Nie był jedynie świadkiem nieubłaganej Bożej władzy, lecz także egzegetą wodnych wirów. Nurt rzeki był z natury swej nieprzenikniony. Lecz komuś dane było widzieć ukryte prądy rzecznych wirów, sprostać logice nieprzeniknionego, pojmować tajemnice Bożej Woli.

Właśnie dlatego, dla pewności, zorganizował sieć informatorów.

Po spotkaniu z Królową Wdową w Kościele Zamkowym zrozumiał, na czym polega jego misja. Nie miał być tylko egzegetą. Wszak egzegeza musi być ukierunkowana. Jego zadaniem było pokochać jej syna, tego małego niedojdę; i poprzez miłość do owego najmniej znaczącego miała się w Danii ostatecznie urzeczywistnić Boża wola.

Lecz Bożą wolą było, przede wszystkim, by wypalony został brud, i aby myśli oświecenia spłonęły w wielkim ogniu Boga.

149

Spotkanie w Kościele Zamkowym miało duże znaczenie. Ale nie został najemnym pacholkiem. Owo zadanie, owo powołanie, nie wzięło się z pożądanego obiecanej zapłaty. Nie

można było go kupić. Chciał to powiedzieć Królowej Wdowie w trakcie spotkania w kościele, lecz wszak nie mógł. Uraziło go słowo „zapłata”. Nie rozumiała, że nie da się go kupić. Nie pożył tytułów, zapłat, władzy; pragnął pozostać owym niepozornym,

•i

którego misją było odczytywanie wielkiej i nieprzeniknionej Bożej wody.

Bardzo go niepokoił rozwój sytuacji. Miało to związek z jego podejrzeniem, że Struenseego też nie można kupić. Jeśli w istocie dało się go kupić, to Guldberg jeszcze nie wiedział czym. Może nie dało się go kupić. Może to wielkie drzewo należało obalić czymś innym; lecz w takim razie musiał przejrzeć Struenseego, zrozumieć, gdzie jest jego słaby punkt.

Struensee był parweniuszem, pod tym względem przypominał samego Guldberga. Obaj byli małymi krzakami wśród wielkich, wyniosłych drzew. Uwielbiał te obrazy. Krzak, drzewo, powalony las. I ostateczny tryumf. Potrafił czasem nienawidzić Struenseego z miłością, niemal współczuciem, być może czułością. Ale wiedział, że jego zadaniem jest przejrzeć go na wylot.

Obawiał się, że Struensee nie jest tuzinkowym intelektualistą. Ale przeczuwał, gdzie znajduje się ów słaby punkt. Jedynie Guldberg, na brzegu rzeki, to pojął. Że, paradoksalnie, słabością Struenseego jest to, że nie pożąda władzy. Że jego zakłamany idealizm jest prawdziwy. Być może było tak, że Struensee nie chciał dać się usidlić, skorumpować, władzy. Może się umiał oprzeć pokusie wielkiej gry. Może był na wskroś czystym człowiekiem w służbie zła. Może naiwnie ludził się, że czystość jest możliwa. Może się nie chciał zbrukać władzą. Może mogłoby mu się udać - obronić się przed brudem władzy, nie zabijać, nie niszczyć, nie grać w wielką grę. Zachować czystość.

I że dlatego Struensee był skazany na zaturę.

150

L. Guldberg z dystansu śledził wielką europejską podróż, niemal dzień po dniu, przez swoich informatorów. Z kamienną twarzą czytał listy o tej szaleńczej rozrzutności. Wszelako nie czuł niepokoju aż do chwili, kiedy nadeszły pierwsze listy z Paryża.

Wtedy zrozumiał, że istnieje inne niebezpieczeństwo.

Któż mógł przeczuwać? Rantzau mógł przeczuwać. To on rekomendował Struenseego, i musiał wiedzieć. Wieść o spotkaniu Króla z encyklopedystami dopełniła miary. Dlatego w czerwcu odbył długą rozmowę z hrabią Rantzau.

Rozmowa prowadzona była rzeczowym tonem. Guldberg przypomniał w skrócie fragment curriculum vitae Rantzaua, w tym jego rzekome szpiegostwo na rzecz rosyjskiej carycy, oraz, jak jest istotne, by zapomnieć o tym drobnym incydencie, zwłaszcza że kary za zdradę ojczyzny są absurdalnie okrutne. Przedstawił z grubsza warunki gry. Zgodzili się w pewnych sprawach: że Struensee jest parweniuszem oraz że jest śmiertelnie niebezpieczny.

Rantzau, ze swojej strony, głównie milczał, albo przejawiał nerwowość.

Guldberg uzyskał potwierdzenie tego wszystkiego, co już wiedział. Rantzau był absolutnie pozbawiony charakteru.

Poza tym tkwił po uszy w długach.

Guldberg podczas rozmowy narzucił sobie najsurowszą dyscyplinę, by się nie zdradzić ze swoją pogardą. Wielkie i piękne drzewa były do kupienia, i miały zostać obalone.

Lecz małe krzaki - nie.

W maju sytuacja stała się niejasna, a więc niebezpieczna. W lipcu został zmuszony do złożenia specjalnego sprawozdania Królowej Wdowie.

Umówili się na spotkanie w Teatrze Dworskim, rozmowy przed spektaklem bowiem, w loży Królowej Wdowy, nie mogły wszak budzić podejrzeń, więc przez swój nader publiczny charakter nadawały się na sekrety.

151

Poza tym orkiestra stroiła swoje instrumenty.

Dokonał szybkiej, szczegółowej rekapitulacji. W maju wszczepiono ospę małemu kronprincowi, z pomyślnym rezultatem. To wzmocniło pozycję Cichego. Intryga wyglądała teraz tak, że Holck był w niełasce, Rantzau w łasce, ale to człowiek pozbawiony charakteru i niegroźny. Bernstorff miał do jesieni zostać zdjęty z urzędu. Struensee nie był już protegowanym Rantzaua. Struensee miał osiąść wkrótce wszelką władzę. Dlatego Rantzau nienawidził Struenseego, ale uważał się za jego jedyne i najbliższe przyjaciela. Brandt był w łasce. Król, poza wszelką kontrolą, mechanicznie podpisywał dekryty. W przyszłym tygodniu Struensee miał być nominowany na radcę dworu z roczną pensją półtora tysiąca talarów. Ów list dotyczący zakazu, albo „zaprzestania”, rozdawania odznaczeń i nagród, który Król podpisał w ubiegłym tygodniu, był autorstwa Cichego.

Należało się spodziewać zalewu „reform”.

- Skąd o tym wiecie? - spytała Królowa Wdowa. Wszak Struensee wam o tym nie powiedział.

- Ale może Rantzau - odrzekł na to Guldberg.

- Czyż nie jest on jedynym przyjacielem Struenseego?

- Struensee odmówił wydania nakazu, by umorzono jego długi - wyjaśnił krótko Guldberg.

- Zadłużony intelektualista w konflikcie z pryncypialnym człowiekiem oświecenia -

powiedziała sama do siebie zadumana Królowa Wdowa. - Tragedia dla obu.

Guldberg przeszedł następnie do dalszej części swojego raportu. To, co niedawno Struensee nazywał „obróbką językową” królewskich dekretów, stało się teraz jawnym sprawowaniem władzy. Król podpisywał wszystko, co Struensee mu wskazał. Reformy spływały wartką strugą. Plany, które niebawem miały być zrealizowane, obejmowały nieograniczoną wolność słowa, wolność wyznania, to że opłaty celne z Oresundu miały zasilać kasę państwową, nie dworską, rozwiązanie kwestii chłopskiej i likwidację poddaństwa, cofnięcie subsydiów dla nierentow-

152

nych manufaktur w rękach szlachty, reformę opieki zdrowotnej, do tego cały szereg szczegółowych planów, na przykład to, że kościelne lokale na Amaliegade mają być skonfiskowane i przekształcone w ochronkę.

- Przytułek dla bękartów - wtrąciła Królowa Wdowa z goryczą. - I oczywiście zakaz stosowania tortur w trakcie przesłuchań.

- Ten punkt - powiedziała wtedy Królowa Wdowa - powinien w każdym razie być zniesiony, kiedy się złapie i unieszkodliwi tego szczura.

Muzycy skończyli właśnie stroić instrumenty i Królowa Wdowa szeptem rzuciła ostatnie pytanie:

- A Królowa? Jaki jest jej stosunek do Struenseego?

- O niej - wyszeptał także Guldberg - nikt nic nie wie. Ale gdy ktoś się czegoś dowie, to pierwszy będę o tym wiedział.

D. Coraz częściej kazała się wozić wzdłuż wybrzeża. Wychodziła i stała, wyczekując, tuż nad wodą. Zapach był ciągle taki sam, morze i algi, lecz jednak nie ten sam. Najpierw to była tylko nuda. Potem ten mariaż rozkoszy i śmierci. Potem powstało coś innego.

Może to miało jakiś związek ze Struensem? Pragnęła wiedzieć, co to jest.

Spytała, gdzie go można znaleźć, i dowiedziała się; dlatego w ramach popołudniowej przechadzki wybrała się do dworskich stajni, gdzie w każdy wtorek i piątek doktor Struensee zwykł zażywać konnej przejażdżki.

I rzeczywiście tam był. To dlatego poszła tam bez swoich dworek. Poszła tam, aby się dowiedzieć, skąd się właściwie brała jej wściekłość, i po to, by dać mu nauczki.

Zajęty był siodłaniem swego konia, a ponieważ postanowiła dać mu nauczki i była wściekła, od razu przeszła do rzeczy.

- Doktorze Struensee - powiedziała - o, pan jest zajęty swoją konną jazdą, nie chcę przeszkadzać, taki pan zajęty.

On tylko skłonił się zdumiony i dalej siodłał konia, lecz bez słowa. To było niesłychane. Nawet najbardziej powierzchowna znajomość dworskiej etykiety nakazywała odpowiedzieć, i to z ceremonialną kurtuazją; lecz on był wszak plebejuszem.

- Obraża pan królową Danii - rzekła wtedy - mówię do pana, pan nie odpowiada. To bezczelność.

- Nie było to moim zamiarem - odpowiedział. Nie zdawał się nawet przestraszony.

- Wiecznie zajęty - dodała. - Co pan właściwie robi?

- Pracuję.

- Nad czym?

- Jestem w służbie Króla. Przygotowuję dokumenty. Rozmawiamy. Czasami służyć radą, jeśli Król sobie zażyczy.

-Pan mi obiecał dawać lekcje jazdy, pozwoliłam to sobie obiecać, a potem pan nie ma czasu! nie ma czasu! Ale radzę panu uważać, bo może pan popaść w niełaskę! W NIEŁASKĘ!!! Zaprzestał wtedy siodłać konia, odwrócił się, i tylko patrzył na nią ze zdziwieniem, może z irytacją.

- Wolno mi spytać - dodała głosem umykającym jej kontroli, do tego stopnia, że przez moment sama to słyszała i przejął ją wstyd - wolno mi spytać, czy owa PRACA jest taka niezbędna, wolno mi o to zapytać? A wolno mi!!! Cóż więc takiego...

- Mam odpowiedzieć? - spytał.

- Proszę, doktorze Struensee.

To przyszło nagle. Tego nie oczekiwała. Odpowiedział jej z nagłą wściekłością, zaskakującą dla obojga.

- Wasza Wysokość, z całym szacunkiem, ja rzeczywiście pracuję - powiedział do niej z cichą furią - chociaż nie tyle, ile powinienem. To, nad czym powinienem pracować, wymaga czasu, ja go nie mam, muszę też spać, nie nastarczam, ale nikt nie zarzuci mi, że nie próbuję. Wiem bardzo dobrze, czego nie robię, niestety, Wasza Wysokość, niestety; powinienem pracować nad tym, by ta cholerna Dania była przyzwoita, pracować nad kwestią praw chłopów, czego nie robię, nad redukcją dworu o połowę, co

najmniej! co najmniej!!!, tego też nie robię, nad zmianą praw, tak aby matki nieślubnych dzieci nie były karane, NIE KARANE!!!, nie robię tego, powinienem pracować nad zniesieniem tych obłudnych kar za niewierność, tego także nie robię, Najjaśniejsza Pani, jest takie mnóstwo rzeczy, nad którymi nie pracuję! NIE pracuję!!! tak jak powinienem, lecz nie mogę, mogę wyliczać długo, inne przykłady tego, nad czym nie!!! pracuję, mogę...

Nagle sam przerwał. Zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko. Zapanowała długa cisza, potem rzekł:

-Proszę darować. Proszę... wybaczyć mi, Pani. To z mojej strony...

-Tak?

- Niewybaczalna nierozwaga.

Nagle poczuła się całkiem spokojna. Wściekłość odeszła, nie dlatego, że właśnie dała mu nauczkę, nie dlatego, że właśnie dostała nauczkę; nie, wściekłość po prostu znikła.

- To piękny koń - powiedziała.

Tak, konie były takie piękne. Jakie to musi być cudowne pracować wśród tych pięknych zwierząt, ta ich skóra, ich chrapy, ich oczy, patrzące na nią cicho i spokojnie.

Zbliżyła się do konia, pogładziła jego bok.

- Takie piękne zwierzę. Sądzi pan, że konie lubią swoje ciała? Nie odpowiedział. Gładziła dalej: koński kłęb, łeb, szyję.

Koń stał bez ruchu, wyczekując. Nie odwróciła się do Struense-ego, powiedziała tylko cicho:

- Gardzi pan mną?

- Nie rozumiem - rzekł.

- Myśli pan: ładna dziewczynka, siedemnaście lat, głupiutka, nic nie wie o świecie, nic nie rozumiała. Piękne zwierzę. Czy tak? Pokręcił tylko głową. - Nie.

- Więc czym ja jestem? Jaka?

On zaczął zgrzebłem czyścić konia, bez pośpiechu; potem ręka mu znieruchomiła.

155

- Żywa.

- Co to znaczy?

- Żywym człowiekiem.

- Więc to pan dostrzegł?

- Tak. To dostrzegłem.

- To dobrze - powiedziała bardzo cicho. - To... dobrze. Nie ma zbyt wielu żywych ludzi w Kopenhadze.

Popatrzył na nią.

- Tego Wasza Wysokość nie może wiedzieć. Istnieje także świat poza dworem.

Pomyślała: to prawda, ale że on się waży to powiedzieć. Być może dostrzegł coś innego niż opancerzoną fregatę albo ciało. On widzi coś innego i jest odważny. Ale czy mówi to dlatego, że widzi we mnie dziewczynkę, czy mówi to, bo to prawda.

- Rozumiem - powiedziała. - Myśli pan, że ona niewiele świata widziała. Prawda? Tak pan uważa? Siedemnaście lat, nigdy nie żyła poza dworem? Nic nie widziała?

- To nie lata - powiedział wtedy. - Niektórzy dożywają i stu lat, a mimo to nigdy niczego nie widzieli.

Spojrzała mu prosto w twarz i po raz pierwszy poczuła, że się nie boi i że nie jest wściekła, tylko spokojna i zaciekawiona.

- To nic, że pan wybuchnął gniewem - powiedziała. - To było takie piękne, móc zobaczyć kogoś, kto... płonie. Kto jest żywy. Ja tego wcześniej nigdy nie widziałam. To było piękne. Teraz pan może wsiąść na konia, doktorze Struensee.

4. Rada ministrów była zgromadzona, rzecz wyjątkowa, w komplecie, kiedy Król podał do publicznej wiadomości, że dr med. J.F. Struensee jest mianowany Królewskim Lektorem z przysługującym mu tytułem Radcy Dworu.

Nie była to niespodzianka. Nikt nie uniósł brwi.

W dalszym ciągu oznajmił, iż nie ma powodu, aby zwoływać dodatkowe posiedzenia Rady do końca września, i że królewskie

156

dekrety, które w tym czasie podpisze, nie wymagają zatwierdzenia przez Gabinet.

Zapanowała lodowata, porażająca cisza. To była niespodzianka. Cóż to oznaczało w praktyce?

- Jednocześnie pragnę łaskawie oznajmić - zakończył Król - że dnia dzisiejszego raczyłem mianować mego psa, Vitriusa, na stanowisko członka Rady, i że ma być on odtąd traktowany z całym szacunkiem przynależnym piastowanej przez niego godności.

Było cicho jak makiem zasiał, bardzo długo.

Potem Król wstał bez słowa, wszyscy powstali wraz z nim, i opuszczono salę.

W korytarzu na zewnątrz potworzyły się na moment małe grupki, które po chwili się rozeszły.

W tym krótkim czasie Guld-berg zdążył jednak zamienić parę słów z marszałkiem dworu, hrabią Holckiem, i z ministrem spraw zagranicznych, hrabią Bern-storffem.

- Kraj - powiedział - stoi teraz w obliczu najgłębszego kryzysu w historii. Spotkanie wieczorem u Królowej Wdowy, o dziesiątej.

Była to osobliwa sytuacja. Guldberg wykroczył, jak się zdaje, poza należne mu z racji tytułu uprawnienia, i poza etykietę. Lecz żaden z tamtych dwóch się nie obruszył. On zaś jeszcze, jak potem sam uznał, „całkiem niepotrzebnie”, dodał:

- Absolutna dyskrecja.

Nazajutrz, na przedpołudniowym spotkaniu, obecnych było tylko trzech.

Był król Chrystian siódmy, był jego pies, nowo mianowany członek Rady, sznaucer Vitrius, który ułożył się i spał na stopach Króla, i Struensee.

Struensee brał dokument za dokumentem i przekazywał je Królowi, który jednak, po chwili, dał znać gestem dłoni, że chciałby zrobić przerwę w pracy.

Król wpatrywał się uporczywie w blat stołu, nie bębnił palcami, nie miał żadnych spazmów, jedynie jego twarz zdawała się

157

wyrażać smutek tak ogromny, że Struenseego przez moment zdjął strach.

A może był to bezmiar samotności?

Nie podnosząc wzroku, głosem całkiem spokojnym, pełnym koncentracji, Król po chwili powiedział:

- Królową dręczy melankolia. Jest samotna, jest obca w tym kraju. Pojąłem, że nie jestem w stanie złagodzić tej melankolii. Pan musi zdjąć to brzemię z moich barków. Pan musi! się nią zająć.

Struensee rzekł po chwili milczenia:

- Moim jedynym życzeniem jest, aby relacje między małżonkami nie były tak napięte jak obecnie.

Król wtedy tylko powtórzył:

- Pan musi zdjąć to brzemię z moich barków.

Struensee utkwiał spojrzenie w leżących przed nim papierach. Chrystian nie podniósł wzroku.

Pies twardo spał na jego stopach.

5. Nie mógł z nią dojść do ładu.

Struensee widział ją w Altonie, gdzie zatrzymała się przed przybyciem do Kopenhagi, a jednak wcale jej nie widział. Niewątpliwie była wtedy tylko dzieckiem, przerażonym.

To go wzburzyło. Jak można było traktować ludzi w ten sposób? Ale jej nie widział.

Później ją zobaczył. Nagle zrozumiał, że ona oznacza wielkie niebezpieczeństwo. Wszyscy mówili o niej „urocza” i „czarująca”, ale tak przecież musiano mówić o królowych. To nic nie znaczyło. Zakładano, iż jest bezwolna i czarująca, i że jej życie będzie piekłem, chociaż na wyższym poziomie niż to przeznaczone dla mieszczek, i na całkiem innej planecie w porównaniu z ludem. Ale coś w niej kazało mu przypuszczać, że pomyłono się w ocenie małej Angielki.

Jej skóra była fantastyczna. Miała cudownie piękne ręce. Pewnego razu przyłapał się na tym, że wyobraża sobie jej dłoń obejmującą jego członek.

158

Jej życzenie, aby nauczyć się jeździć konno, było zdumiewające.

Zdumiewała go prawie zawsze, przy każdym z ich nielicznych spotkań. Zdawało mu się, że widzi, jak rośnie, lecz nie wiedział, ku czemu to zmierza.

Przygotowanie pierwszej lekcji jazdy nie nastęczało problemu. Ale gdy nadszedł wyznaczony czas, zjawiała się ubrana w męski strój; żadna kobieta z rodziny królewskiej nie jeździła nigdy konno jak mężczyzna, to jest z nogami rozłożonymi po obu bokach konia.

Uważano to za obsceniczne. A jednak przyszła ubrana w męski strój do konnej jazdy.

Powstrzymał się od komentarzy.

Ujął ją miękko za rękę, podprowadził do konia na pierwszą lekcję.

- Pierwsza zasada - powiedział - to ostrożność.

- A druga?

- Śmiałość.

- Wolę tę drugą - powiedziała wtedy.

Koń był wybrany specjalnie, bardzo spokojny. Przez godzinę jeździli po Parku Bernstorffa.

Koń szedł łagodnym stępem. Wszystko poszło świetnie. Jeździła konno, po raz pierwszy w życiu. Odkryte pola. Zagajniki.

Struensee jechał u jej boku. Rozmawiali o zwierzętach.

Jak się poruszają, czy zwierzęta mogą śnić, czy mają jakieś wyobrażenia o własnym życiu.

Czy ich miłość jest zastrzeżona dla kogoś specjalnego.

Czy same mogą odczuwać własne ciała, jak widzą ludzi, o tym, jak wyglądają końskie sny.

Królowa opowiadała, że wyobraża sobie konie inaczej niż inne zwierzęta. Ze rodzą się jako nieznaczące, ze zbyt długimi nogami, ale że bardzo szybko stają się świadome swego życia, swego ciała, i zaczynają śnić, że potrafią przeżywać strach albo miłość,

159

że mają swoje tajemnice, które można wyczytać im z oczu, kiedy się w nie zajrzy. Trzeba koniecznie zajrzeć im w oczy, aby zrozumieć, że konie nocami śnią, na stojąco, spowite w swoje tajemnice. On powiedział:

- Wygląda na to, że sam nigdy w życiu nie odważyłem się zajrzeć w końskie sny.

A wtedy Królowa wybuchnęła śmiechem, po raz pierwszy podczas niespełna trzech lat, które spędziła w Kopenhadze.

Już następnego dnia fama się rozniosła.

Przechodząc przez krużganek zamku, Struensee natknął się na Królową Wdowę; zatrzymała go.

Miała kamienną twarz. Ściśle rzecz biorąc, zawsze miała kamienną twarz; ale teraz pod spodem czaiła się wściekłość, co sprawiało, że była niemal przerażająca.

- Doktorze Struensee - powiedziała - doniesiono mi, że Królowa jeździła konno ubrana w męski strój i siedząc na koniu okrakiem. Czy to prawda?

- Tak, to prawda - odpowiedział.

- To jest wbrew etykiecie, i niegodne.

- W Paryżu - odrzekł - damy jeżdżą zawsze w ten sposób. Na kontynencie nikt nie uważa tego za niegodne. W Paryżu jest to...

- W Paryżu - odparła szybko - wiele jest zepsucia. Nie musimy tego wszystkiego importować do Danii.

Skłonił się, lecz nie odpowiedział.

- Jeszcze tylko jedno pytanie, doktorze Struensee, o te kontynentalne... myśli.

Skłonił się lekko.

- Jaki jest ostateczny cel tych... ludzi oświecenia? Tak mnie to tylko... zastanawia?

Starannie dobrał swoje słowa.

- Stworzenie nieba na ziemi - powiedział z lekkim uśmiechem. - A co się wtedy stanie z tym... prawdziwym... niebem?

Mam tu na myśli Boże niebo.

160

Z równie łagodnym uśmiechem odrzekł:

- Ono będzie wtedy... ich zdaniem... mniej konieczne. Królowa Wdowa tym samym spokojnym tonem powiedziała:

- Rozumiem. I to dlatego właśnie ci bluźniercy muszą szczeznąć. Potem się odwróciła, i odeszła.

Struensee długo stał nieporuszony, patrząc za nią. Myślał: właściwie nie należę do odważnych. Czuję na karku zimny dotyk strachu, gdy nagabuje mnie stara kobieta. Kiedy się widzi szczelinę w historii i wie, że należy się w nią wcisnąć - czy wtedy słuszne jest, by to zadanie brał na siebie człowiek, który potrafi się przestraszyć starej kobiety?

Później pomyślał: opór zaczyna być widoczny. Nie tylko ta stara kobieta. Szlachta. Guldberg. Niemało ich. Opór niebawem zarysuje się bardzo wyraźnie.

Ci, co są przeciw. Tych będę umiał odróżnić. Ale kto jest za?

Rozdział 9

Chata Rousseau

1. Coraz trudniej zrozumieć, co się dzieje.

Krąg światła zdaje się kurczyć wokół garstki aktorów na teatralnej scenie. A jednak stoją ciągle z odwróconymi od siebie twarzami.

Za krótką chwilę gotowi do repliki. Wciąż jeszcze odwrócone twarze, i milczenie.

Gdy Chrystian pewnego wieczoru, po raz kolejny, opowiadał Struenseemu o swych koszmarnych snach związanych z męczeńską śmiercią sierżanta Mórła, i gdy zagubił się w szczegółach, Struensee niespodzianie zaczął krążyć po pokoju i z furią wezwał Króla, aby przestał.

Chrystian był zdumiony. Kiedy był jeszcze Reverdil, nim został odesłany w ramach kary, mógł o tym mówić. Teraz Struensee zdawał się wytrącony z równowagi. Chrystian spytał, dlaczego. Struensee powiedział tylko:

- Wasza Wysokość nie rozumie. I nigdy też nie starał się zrozumieć. Mimo iż znamy się tak długo. Ale nie jestem odważnym człowiekiem. Panicznie boję się bólu. Nie chcę myśleć o bólu. Łatwo mnie przestraszyć. Tak już jest, o czym Wasza Wysokość by wiedział, gdyby to interesowało Waszą Wysokość.

Chrystian przyglądał się zdziwiony Struenseemu w trakcie jego wybuchu, a potem rzekł:

- Ja także boję się śmierci.

-Ja się nie boję śmierci!!! - powiedział wtedy Struensee zniecierpliwionym tonem. - Tylko bólu. Tylko bólu!!!

162

Z późnego lata 1770 zachował się rysunek wykonany ręką Chrystiana, przedstawiający małego Murzynka.

Skądinąd rysował bardzo rzadko, lecz zachowane rysunki świadczą o wielkim talencie.

Rysunek przedstawia Morantiego, murzyńskiego pazia, darowanego Królowi, aby złagodzić jego melancholię, i „aby miał się z kim bawić”.

Nikt nie powinien wyrażać się w ten sposób. Melancholia była właściwym słowem, towarzysz zabaw nie. Lecz Brandt, który wpadł na ten pomysł, wyraża się właśnie w ten sposób: towarzysz zabaw dla Jego Wysokości. Niełatwo było znaleźć wśród dworaków towarzyszy zabaw. Energia Króla w ciągu dnia zdawała się skoncentrowana w tej godzinie, gdy podpisywał dokumenty i papiery prezentowane mu przez Struenseego; lecz gdy się potem rozstawali, ogarniała go apatia i pogrążał się w swoim mamrotaniu. Brandt miał już dosyć towarzystwa Króla i kupił murzyńskiego pazia, jako zabawkę dla Jego Wysokości. Kiedy wystąpił o zgodę na zakup, Struensee tylko pokręcił głową z rezygnacją, lecz się zgodził. Jego pozycja na dworze była teraz tak niepodważalna, że wymagano także jego zgody na zakup murzyńskich niewolników.

Brandt podkreślał, że trudno mu się dziwić, iż ma dosyć. Dotrzymanie wesołej kompanii Królowi wszak trudno było zaliczyć do jego oczywistych obowiązków jako szefa teatru. W istocie rzeczy Brandt był wycieńczony i wściekły. Dotrzymanie kompanii Królowi stawało się coraz bardziej monotonne, ten bowiem często spędzał całe dnie siedząc na krześle, gestykulując żywo, mamrocząc do siebie albo wpatrując się tępo w ścianę. Jego Wysokość miał zresztą w zwyczaju stawiać to krzesło tuż przy ścianie, i odwrócone ku ścianie, aby nie widzieć otoczenia.

Cóż Brandt miał począć? Konwersacja była trudna. Nie mógł wszak stawać między krzesłem a ścianą, tłumaczył się Struenseemu.

- Może pan robić, co pan chce - powiedział Struensee. -Wszak to i tak dom wariatów.

Murzynkowi nadano imię Moranti.

163

Moranti miał odegrać pewną rolę w przyszłych wydarzeniach, także w kwestii dyplomatycznych raportów.

Później, tej samej jesieni, gdy sytuacja uległa zaostrzeniu i niepokojące raporty o władzy Struenseego dotarły także do obcych mocarstw, poseł francuski złożył wniosek o audiencję u Króla. Lecz kiedy ambasador przybył, zastał w komnacie tylko Struenseego, który wyjaśnił, iż król Chrystian siódmy jest dzisiaj niedysponowany, ale że chce zapewnić wysłannika rządu Francji o swym szacunku i niezmiennej przychylności.

- Doktorze Struensee... - zaczął francuski poseł, lecz Struensee natychmiast go skorygował.
- Radco dworu.

Atmosfera była napięta i wroga, lecz kurtuazyjna.

- ...dotarły do nas wieści o niemal... rewolucyjnych planach duńskiego monarchy. To interesujące. Interesujące. Wszak my w Paryżu dobrze znamy te idee. I jesteśmy wobec nich krytyczni. Jak pan zapewne wie. Chcielibyśmy, z całym szacunkiem, upewnić się, że nie zostaną przy tym rozpetane - niechący! niechący! - żadne mroczne... rewolucyjne... siły. U was. I w Europie. Aby zaraza oświecenia... - tak, tak trzeba to chyba wyrazić, zaraza! -nie rozpełzła się dookoła. A ponieważ jest nam wiadome, że młody monarcha użycza wam chętnie swego ucha, chcielibyśmy...

Struensee, wbrew nakazom etykiety, nie poprosił posła, by usiadł; stali teraz obaj, naprzeciw siebie, w odległości circa dziesięciu stóp.

- Boicie się? W Paryżu? - zapytał Struensee z lekką ironią. -Boicie się małego, nieznacznego państewka, jakim jest Dania? Czy to chce pan powiedzieć?

- Powiedzmy raczej: chcemy wiedzieć, co się dzieje.

- To, co się dzieje, jest wewnętrzną sprawą Danii.

- Która nikogo nie powinna...?

- Otóż to.

Francuski poseł wbił zimne spojrzenie w Struenseego, a potem rzucił ostrym tonem, jakby na moment przestał się kontrolować:

164

- Oświeceniowcy jak pan, doktorze Struensee, winni wystrzegać się bezczelności!

- Jesteśmy tylko rzeczowi.

- Lecz jeśli władza królewska jest zagrożona...

- Nie jest zagrożona.

- Dochodzą nas inne słuchy.

- To nie słuchajcie.

Nagle z dziedzińca zamkowego dobiegły dzikie krzyki. Struensee drgnął i podszedł do okna.

To, co zobaczył, to był król, Chrystian siódmy, bawiący się ze swoim paziem. Chrystian udawał wierzchowca, a mały Murzynek siedział mu na plecach i krzycząc dziko, wymachiwał szpicrutą. Jego Wysokość zaś pełził przed siebie na czworakach.

Struensee odwrócił się, lecz było już za późno. Francuski poseł podążył za nim do okna, i zobaczył. Wtedy Struensee, z wyrazem zacięcia na twarzy, zaciągnął na okno draperie.

Lecz sytuacja nie wymagała komentarzy.

-Panie Struensee - rzekł francuski poseł z nutą pogardy i wściekłości - nie jestem idiotą. Ani mój król, ani też inni panujący w Europie. Mówię to jasno, z całą rzeczowością, którą podobno tak pan ceni. Igra pan z ogniem. Nie dopuścimy, by w tym małym zasranym grajdole ktoś rozniecił rewolucyjną pożogę.

A potem: precyzyjnie odmierzony ukłon, jak przystoi.

Sytuacja na dole, na dziedzińcu, nie wymagała absolutnie komentarzy. Poza tym była prawdziwa. Trudno i darmo, tak już było.

Byłże to absolutny władca z pochodnią rozumu w dłoni? Czy też wariat. Co miał z nim począć?

Nie, nie wiedział, co ma począć z Chrystianem.

Problem narastał cały czas. W końcu zdawało się, że jest to problem kwestionujący jego samego. Czy był tym właściwym człowiekiem? Czy może także w nim płonęła czarna pochodnia?

Tydzień przedtem, zanim murzyński paż pojawił się na dworze, Struensee popadł w desperację. Może powinien posłuchać

165

głosu rozsądku. Może najmądrzej byłoby wydać Chrystiana na pastwę jego choroby, pozwolić, aby pogąrzył się w mroku.

Czy światło mogło zrodzić się z mroku czarnej pochodni? Wszak rozum miał być tym lewarem, który ruszy z posad dom świata. Lecz bez stałego punktu? Jeżeli rozum nie odnajdzie swojej osi obrotu?

Ale on lubił wszak to dziecko. Nie chciał porzucić Chrystiana, który być może był jednym z niepotrzebnych, jednym z tych, dla których nie było miejsca w wielkim planie. Ale czyż ci niepotrzebni nie byli sami częścią wielkiego planu?

Czyż to nie przez wzgląd na nich, niepotrzebnych, plan został stworzony?

Długo rozmyślał nad własnym niezdecydowaniem. Chrystian był okaleczony, miał przemarznątą duszę, ale zarazem jego władza była konieczna. On sam czego pożywał, a w każdym razie, czym się posługiwał? Choroba Chrystiana stworzyła puste miejsce w centrum władzy. Zjawił się tam z wizytą. Powinna istnieć jakaś szansa, by uratować i chłopca, i własne marzenie o przekształconym społeczeństwie.

Tak sobie powiedział. Nie wiedział wtedy, czy, przede wszystkim, broni Chrystiana, czy siebie.

Nie odstępował go obraz czarnej pochodni rozsiewającej mrok. W młodym monarsze płonęła czarna pochodnia, teraz to wiedział, i jej blask zdawał się gasić rozum. Czemu ten obraz nie dawał mu spokoju? Może w nim samym też była czarna pochodnia. Nie, może nie.

Lecz w takim razie, co w nim było?

Światło, pożar prerii. To były takie piękne słowa.

Lecz Chrystian był zarazem światłem i szansą, i czarną pochodnią, rozrzucającą po świecie swój mrok.

Czy tym właśnie był człowiek. Zarazem szansą i czarną pochodnią.

Chrystian napomknął kiedyś, w jednej ze swoich przytomnych chwil, o ludziach wyciosanych z jednej bryły; sam nie jest wyciosany z jednej bryły, stwierdził. Ma wiele twarzy. A potem

166

Chrystian spytał: czy w takim razie dla takich jak ja znajdzie się miejsce w królestwie rozumu?

Takie naiwne, dziecinnie proste pytanie. Które sprawiło nagle Struenseemu taki ból.

Powinno znaleźć się miejsce także dla Chrystiana. Czyż nie o to w tym wszystkim chodziło?

Czyż to nie dlatego miała otworzyć się przed Struensem szczelina w historii; czyż to nie było także częścią jego misji?

Czym zatem była jego misja. Mógł sam na siebie spojrzeć oczami potomności jako na niemieckiego lekarza, który przyszedł z wizytą do domu wariatów.

Którego obarczono misją?

„Wizyta” była lepszym słowem, lepszym niż misja i powołanie. Tak, zaczął w ten sposób myśleć. To w nim rosnęło. Wizyta, wypełnianie misji, zadania, które przed nim postawiono, szczelina, która otworzyła się w historii; zatem powinien się w nią wcisnąć, a potem zniknąć.

Trzymając za rękę Chrystiana. Może to właśnie było ważne. Aby nie zgubić po drodze Chrystiana. Tego, który miał wiele twarzy, i nie był wyciosany z jednej bryły, i w którego wnętrzu teraz coraz gwałtowniej płonęła czarna pochodnia oblepiająca wszystko swoim mrokiem.

My dwaj, myślał czasami Struensee. Wspaniała para. On ze swoją czarną pochodnią, która rozsiewa mrok, a ja z moim trzeźwym spojrzeniem i straszliwym lękiem, który tak umiejętnie ukrywam.

I oto ci dwaj mają podsadzić lewar pod dom świata.

Z. Wiedział, że nie powinien był wyrazić zgody na ten podarunek.

Murzynek był zabawką. To nie zabawki potrzebne były Królowi; to prowadziło go w złą stronę, tak jak niezgrabne uderzenie w bilardową kulę.

167

Powodem, dla którego - jak potem myślał - „uległ”, było zdarzenie z pierwszego tygodnia czerwca 1770.

Chrystian zaczął chodzić za nim jak pies: paplając, łaszcząc się albo jedynie z wyrazem niemej prośby. Coś należało zrobić, aby wyrwać Króla z letargu. Struensee postanowił więc zorganizować jakąś podróż, niedaleką, nie na żadne europejskie dwory, tylko do rzeczywistości. Rzeczywistość miała wydobyć Króla z jego melancholii. Celem podróży miała być duńska wieś; wyprawa miała dać Królowi obraz sytuacji duńskiego chłopstwa; ale prawdziwy i realistyczny, bez „odrabiania dworszczyzny”, tak by ci pańszczyźniani chłopcy nie wiedzieli, że Król jest w pobliżu i przypatruje się ich życiu.

Dlatego podróż należało odbyć incognito.

Wszelako na dzień przed podróżą, której plan Król przyjął bez zastrzeżeń, nie został bowiem poinformowany o jej właściwym celu, który go zresztą nie obchodził, pogłoski o tym planie dotarły do osób trzecich. Doszło więc do gwałtownej scysji z Rantzauem, który podówczas, jak się zdaje, odzyskał pozycję na dworze, znowu był w łasce Króla i zaliczał się do najbliższych przyjaciół Struenseego.

Struensee udał się tego ranka do stajni, aby odbyć wczesną przejażdżkę; było to tuż po wschodzie słońca. Osiodłał konia, wyjechał przed stajenne wrota, ale tam złapał go Rantzau, chwytając za końską uzdę. Struensee spytał go wtedy, z lekką irytacją, czego chce.

- Z tego, co słyszę - rzucił Rantzau z furją, której nie umiał opanować - to ty podobno wiele chcesz. Co to ma być. CO TO MA BYĆ? Król ma się włóczyć gdzieś wśród chłopstwa.

Zamiast odwiedzać władców albo ludzi potrzebnych nam dla naszych reform. Ale nie. Tylko chłopów. Żeby zobaczyć... co?

- Rzeczywistość.

- On ma do ciebie zaufanie. Ale to, co chcesz zrobić, to błąd. Przez moment mało brakowało, by Struenseego poniosły

nerwy, ale obaczył się. Tłumaczył, że należy wyrwać Króla z je-

168

go letargu i depresji. Król od tak dawna przebywał w tym domu wariatów, że stracił rozum.

Król nic nie wiedział o Danii.

- Co na to Królowa - spytał Rantzau.

- Jej nie pytałem - odrzekł Struensee. - Puść konia.

- Popelniasz błąd - wykrzyknął wtedy Rantzau, tak głośno, że mogli to usłyszeć wszyscy znajdujący się w pobliżu - jesteś naiwny, niedługo skupisz wszystko w swoim ręku, ale ty nie rozumiesz tej gry, zostaw tego wariata, nie możesz...

- Puszczaj - powiedział Struensee. - I nie zamierzam tolerować nazywania go wariatem.

Rantzau nie puścił jednakowoż, a tylko dalej perorował podniesionym głosem.

Struensee spiął wtedy konia ostrogami, Rantzau zrobił krok w tył, potknął się i upadł, a Struensee wyjechał, nie oglądając się za siebie.

Nazajutrz rano Król i Struensee wyruszyli w swoją edukacyjną podróż wśród duńskiego chłopstwa.

Pierwsze dwa dni przebiegły nader pomyślnie. Trzeciego dnia zdarzyła się katastrofa.

Było to późnym popołudniem, w okolicach Hillerød. Ze swego powozu, z pewnej odległości, dostrzegli grupę chłopów zebranych wokół - czegoś. Jakieś niewinne całkiem zgromadzenie. Powóz podjechał bliżej i sytuacja się wyjaśniła.

Gromada ludzi otaczała pewien przedmiot. Kiedy powóz się zbliżył, powstał niepokój, grupa się rozproszyła, ktoś puścił się biegiem w stronę dworu leżącego opodal majątku.

Powóz przystanął. Z wnętrza powozu Król i Struensee patrzyli na człowieka siedzącego na jakiejś drewnianej konstrukcji. Król rozkazał, by powóz podjechał bliżej, i teraz można było lepiej przyjrzeć się tej postaci.

Na drewnianym koniu, zrobionym z dwóch kozłów połączonych grubo ociosaną belką, siedział młody wiejski chłopak, nagi, z rękami związanymi z tyłu i ze stopami spętanymi pod belką.

169

Mógł mieć szesnaście, siedemnaście lat. Miał zakrwawione plecy, musiał być wcześniej wychłostany, krew już zdążyła zakrzepnąć.

Trząśł się gwałtownie i zdawało się, że lada chwila zemdleje.

- Prawdopodobnie - powiedział Struensee - próbował zbiec. Wtedy sadzają ich na drewnianego konia. Ci, co przeżyją, więcej już nie uciekają. Ci, którzy umrą, są wyzwoleni z poddaństwa. Tak to jest w Waszym królestwie, Najjaśniejszy Panie.

Chrystian wpatrywał się w torturowanego, przerażony, z rozdziawionymi ustami. Tłumek zebranych zniknął przez ten czas.

- Cały stan chłopski siedzi tam, na tym drewnianym koniu - rzekł Struensee. - Oto jest rzeczywistość. Uwolnij ich. Uwolnij ich.

Gdy w 1733 wprowadzono poddaństwo, stavnsbandet, było to prawo, które pozwalało szlachcie kontrolować, czy raczej uniemożliwiać, przepływ siły roboczej. Chłopu urodzonemu w jakimś majątku nie wolno było go opuścić do czterdziestego roku życia. Wszelkie warunki - pracy, płacy i mieszkania - określał właściciel majątku. Po tych czterdziestu latach można było poszukać szczęścia gdzie indziej. W rzeczywistości większość chłopów była już wtedy tak przyzwyczajona do bierności, rozpita, zagrzebana w długach i fizycznie wyniszczona, że rzadko ktoś się ruszał z miejsca.

Tak wyglądała duńska forma niewolnictwa. Funkcjonowała znakomicie jako podstawa zamożności szlachty; gorsze warunki panowały na północy niż na południu Jutlandii, ale było to niewolnictwo.

Niewolnicy czasami uciekali. Tu Struensee miał rację. I dlatego należało ich ukarać.

Ale Chrystian zdawał się nie rozumieć; było tak, jakby ta scena przypominała mu jedynie o czymś innym, co przeżył wcześniej. Zdawał się nie pojmować wyjaśnień Struenseego, zaczął dziko poruszać szczękami, mełł coś w ustach, tak jakby słowa nie chciały z nich wyjść; i po paru zaledwie sekundach począł

170

wyrzucać z siebie chaotyczną, krzykliwą tyradę, która następnie przeszła w mamrotanie.

- Ale ten wiejski chłopiec - może podmieniony - jak ja!!! Za co mnie karzą? W ten sposób!!! Struensee!!! Co ja zrobiłem, czy to jest sprawiedliwa kara, Struensee, czy jestem karany dlatego...

Mamrotanie Chrystiana wciąż przybierało na sile.

- On jest zbiegiem, a karą jest drewniany koń - próbował wytłumaczyć Struensee, lecz paroksyzmy Króla, coraz bardziej niejasne i niedorzeczne, mimo to nie ustawały.

- Wasza Wysokość musi się uspokoić - prosił usilnie Struensee. - Spokojnie. Spokojnie.

Ale nie.

Zapadał zmierzch, plecy związanego były czarne od skrzepłej krwi, wyglądało na to, że siedział tak już dłuższy czas. Struensee, który w końcu musiał zaniechać prób uspokojenia

Króla, zobaczył jak torturowany chłopiec, bardzo powoli, osuwa się do przodu, okręca wokół belki, i zawisa z głową ukośnie w dół.

Chrystian zakrzyczał dzikim głosem, bez słów. Chłopiec na drewnianym koniu był wciąż cichy. Teraz wszystko wymknęło się spod kontroli.

Nie dało się uspokoić Króla. Od strony dworu nadbiegali ludzie. Król ciągle krzyczał przeraźliwym, ostrym głosem, nie pozwalając się uciszyć.

Chłopiec wciąż zwisał cicho z drewnianego konia, z twarzą zaledwie o stopę od ziemi. Struensee krzyknął do stangreta, aby zawrócić powóz. Król był niezdrow, musieli koniecznie wracać do Kopenhagi. Lecz właśnie wtedy, kiedy już pośpiesznie zawrócono powóz, Struensee pomyślał o chłopcu zwisającym z drewnianego konia. Nie mogli go wszak zostawić. Wtedy by umarł. Wyskoczył z powozu, by, jeśli się da, wyjednać jakieś ulaskawienie; lecz powóz, nie czekając, ruszył z miejsca, rozpaczliwe wołania Chrystiana stały się jeszcze głośniejsze.

171

Chłopiec wisiał bez ruchu. Zbliżający się ludzie zdawali się groźni. Lęk zdjął Struenseego. Nad tym nie można było zapanować. Był sam w duńskiej dziczy. Rozum, reguły, tytuły czy władza nie miały w tej dziczy znaczenia. Tu ludzie byli zwierzętami. Rozszarpałiby go na kawałki.

Poczuł, jak go zdejmują nieopisany strach.

Dlatego Struensee porzucił myśl o ocaleniu chłopca na drewnianym koniu.

Konie i powóz, z krzyczącym wciąż Królem, który wychylał się przez okno, oddalały się, tonąc w zmierzchu. Wcześniej spadł deszcz. Droga była rozmokła. Struensee biegł, wołając do stangreta, by zaczekał, potykając się w błocie, biegł w ślad za powozem.

To był koniec podróży do duńskich niewolników.

3. Król coraz częściej bawił się z murzyńskim paziem Mo-rantim.

Nikogo to nie dziwiło. Król uspokajał się w zabawie.

Z początkiem sierpnia Morantiego złożyła nagła choroba; przez trzy tygodnie leżał w łóżku, trawiony gorączką, nieprędko dochodząc do siebie; Król wtedy był nadzwyczaj niespokojny i miał nawroty swojej melancholii. W ciągu dwóch dni, kiedy choroba Morantiego zdawała się zagrażać jego życiu, usposobienie Króla było nader niestabilne. Nadsekretnarz B.W. Luxdorff, który przez okno budynku kancelarii miał sposobność widzieć to wydarzenie, notuje zwięźle w swym dzienniku, iż „między godziną 11 a 12 z zamkowego tarasu zrzucane były figurki porcelanowe, książki, półki, nuty etc. Ponad czterystu ludzi zebrało się pod tarasem. Każdy łapał co swoje, i w nogi”.

Po wyzdrowieniu Morantiego Król zrobił się spokojniejszy, wszelako owa scena powtórzyła się raz jeszcze, z niebagatelną różnicą: tym razem nie był na balkonie sam. O tym zdarzeniu donosił pewien dyplomata, używając oględnych sformułowań:

172

„Król, który jest młody i usposobiony filuternie, w piątkowy ranek uznał za stosowne wyjść na balkon w asyście swojego Murzynka, po czym zabawiał się, zrzucając na dół wszystko, co tylko wpadło mu w rękę. Butelką trafił w nogę sekretarza rosyjskiej legacji, ciężko go przy tym raniąc”.

Żadnych zapisów o tym, czy Moranti sam także rzucał przedmiotami.

Owe wybuchy określano jako zupełnie niepojęte.

Krażyli wciąż wokół siebie, zataczając coraz ciaśniejsze kręgi. Kołując, zmierzali ku sobie. Królowa Karolina Matylda i królewski konsyliarz Struensee przestawali ze sobą coraz częściej.

Chodzili często po lesie.

W lesie mogli ze sobą rozmawiać, w lesie towarzysząca im asysta mogła nagle zostać gdzieś w tyle; Królową bawiło chodzenie po lesie w towarzystwie Struenseego.

Był to las bukowy.

Struensee mówił o znaczeniu ćwiczeń fizycznych dla wzmocnienia kończyn małego kronprinca; ów miał już teraz dwa lata. Królowa mówiła o koniach. Struensee podkreślał, jak ważne jest, aby mały nauczył się bawić tak jak zwykłe dzieci. Ona opowiadała mu o morzu i łabędziach na lustrze wody, która była jak rtęć. On uważał, że mały jak najwcześniej powinien poznać arkana sztuki rządzenia państwem; Królowa na nowo pytała, czy drzewa potrafią myśleć.

Odpowiedział: jedynie w sytuacjach najwyższego zagrożenia. Ona na to: jedynie wtedy, kiedy drzewo jest całkiem szczęśliwe, drzewo to umie myśleć.

Kiedy chodziło się po lesie, gdzie były gęste zarośla, asyście często zdarzało się nie nadać. Królowa lubiła spacerować po lesie. Zdawało jej się, że buki potrafią kochać. Bo to, że drzewa potrafią marzyć, było dla niej oczywiste. Wystarczyło tylko przypatrzeć się drzewom o zmierzchu, aby wiedzieć.

173

On spytał, czy drzewo potrafi także czuć strach.

Nagle mogła powiedzieć mu prawie wszystko. Nie, nie wszystko. Mogła go zapytać, dlaczego wszyscy oburzyli się, kiedy jeździła konno w męskim stroju; wtedy mógł odpowiedzieć. Ale nie mogła spytać, czemu ją wybrano na tę królewską krowę, która miała być pokryta. Nie mogła powiedzieć: czemu ja mam się cielić, dostarczając władców. Dlaczego jestem pierwsza i najwyższa, będąc jedynie krową rozplodową, najniższą i ostatnią.

Szła szybko. Wychodziła czasami przed niego, starała się o to, aby wysuwać się przed niego. Łatwiej było zadawać niektóre pytania, kiedy nie mógł zobaczyć jej twarzy. Nie odwracała się, pytała zwrócona do niego plecami:

- Skąd w panu tyle cierpliwości dla tego pomyłonego szaleńca? Tego nie rozumiem.

- Dla Króla?

- On jest chory.

- Nie nie - powiedział. - Nie chcę, Pani, byście mówili w ten sposób o Waszym małżonku.

Wszak go kochacie.

Wtedy raptownie przystanęła.

Las był gęsty. Zobaczył, że jej plecy zaczęły się trząść. Płakała, bezgłośnie. Daleko z tyłu słyszał damy dworu, ich głosy, stamtąd, gdzie ostrożnie przedzierały się przez gąszcz.

Zbliżył się do niej. Zatkąła rozpaczliwie i oparła się o jego ramię. Stali przez parę chwil zupełnie nieruchomo. Głosy dam dworu coraz bliżej.

- Wasza Wysokość - rzekł cicho. - Musi Pani zachować ostrożność, aby...

Podniosła wzrok, nagle wydała się spokojna.

- Czemu?

- Można... opacznie to zrozumieć... Głosy już teraz bardzo blisko, a ona wciąż stała tuż przy nim,

przytulona do jego ramienia; podniosła wzrok i powiedziała prawie zupełnie bez wyrazu:

- Niech rozumieją, jak chcą. Ja się nie boję. Niczego. Niczego.

174

A wtedy dostrzegł już, pośród gałęzi drzew i krzaków, pierwsze wypatrujące ich twarze; zaraz tuż-tuż, za moment już za blisko. Ale Królowa, jeszcze przez parę chwil, nie bała się niczego; ona też przez gęstwinę gałęzi widziała te twarze, ale się nie bała.

Wiedział to - ona się nie boi, i to sprawiło, że poczuł nagły lęk.

- Pani nie lęka się niczego - powiedział ścisłym głosem. Potem ruszyli dalej w las.

4. Regularne niegdyś spotkania trzech królowych na karcianych wieczorach ustały; Królowa Wdowa nie otrzymała żadnego wyjaśnienia. Karolina Matylda już nie chciała. Bez wyjaśniania, dlaczego. Tarokowe wieczory po prostu ustały.

Królowa Wdowa jednak знаła powód. Nie znajdowała się już w centrum.

Wszelako, aby dostać jakieś wyjaśnienie, czy po to, aby raz na zawsze wyjaśnić sobie sytuację, Królowa Wdowa odwiedziła Karolinę Matyldę w jej pokojach.

Królowa Wdowa nie raczyła usiąść. Stała pośrodku komnaty.

- Pani - rzekła Królowa Wdowa lodowatym tonem - zmieniła się od czasu przyjazdu do Danii. Nie jest już pani tak urocza. Nie jest już pani, w żadnej mierze, tak czarująca jak ongi. To nie jest tylko moje zdanie, to jest powszechna opinia. Unika pani towarzystwa. Nie umie pani się zachować.

Karolinie Matyldzie twarz nawet nie drgnęła, odrzekła tylko:

- To prawda.

- Proszę panią - upraszam - by nie jeździła pani konno w męskim stroju. Nigdy dotąd kobieta z królewskiego rodu nie ubierała się jak mężczyzna. To gorszące.

- Mnie to nie gorszy.

- A ten doktor Struensee...

- Jego to też nie gorszy.

- Proszę panią.

175

- Robię to, co chcę - odrzekła wtedy Karolina Matylda. - Ubieram się, jak chcę. Jeżdżę, jak chcę. Rozmawiam, z kim chcę. Jestem królową. Więc to ja stwarzam reguły. Jak ja się zachowuję, taki też jest dobry obyczaj. Nie zazdrościcie mi, pani?

Królowa Wdowa nie odpowiedziała, patrzyła tylko na nią oniemiała i zeszywniała z wściekłości.

- No proszę, czyż nie mam racji? - dorzuciła Karolina Matylda. - Pani mi zazdrości.

- Proszę uważać - powiedziała Królowa Wdowa.

- Z całą pewnością - rzekła wtedy Królowa z uśmiechem - nie omieszkam. Lecz tylko, kiedy sama zechcę.

- Jest pani bezczelna.

- Niedługo - powiedziała Karolina Matylda - będę jeździć na oklep. To podobno bardzo ciekawe. Nie zazdrościcie mi, pani? Mnie, która wiem, jak świat wygląda? Myślę, że pani mi zazdrości.

- Proszę uważać. Pani jest dzieckiem. Nic pani nie wie.

- Ale niektórzy dożywają i stu lat, a mimo to nigdy niczego nie widzieli. Nic nie wiedzą. A poza dworem też istnieje świat.

Wtedy Królowa Wdowa wyszła, rozwścieczona.

Królowa pozostała sama. Pomyślała: a więc on miał rację. Niekórzy dożywają i stu lat, ale niczego nigdy nie widzieli. Istnieje świat poza dworem; a gdy to mówię, pęka błona, rodzi się strach i wściekłość, i jestem wolna.

5. Dnia 26 września królewska para wybrała się, w asyście Struenseego oraz nielicznej świty, na niewielką, rekreacyjną wycieczkę do Holsztynu. Mieli odwiedzić Ascheberg, a Struensee chciał pokazać Królowej słynną chatę Rousseau.

Jesień wszak była taka piękna. Parę dni chłodu zabarwiło liście na żółto i karmazynowo; gdy po południu skręcili w stronę Ascheberga, Góra świeciła wszystkimi barwami jesieni, a powietrze było łagodne i cudowne.

176

Było to babie lato 1770. Już nazajutrz rozpoczęli spacerować.

Tego lata zaczął jej czytać na głos. Na jej życzenie miał wybrać na tę podróż książkę, która szczególnie go zaabsorbowała. Miał wybrać książkę, która byłaby dla niej dystrakcją, która by ją zaciekawiła, przydając jej nowej wiedzy, która by nauczyła ją czegoś o samym Struenseem, i która pasowałaby do miejsca, gdzie się wybierali.

- Wybór jest prosty - powiedział jej, ale nie zdradził nic bliższego. To ma być dla niej niespodzianka, rzekł, gdy już będą na miejscu i usiądą w chacie Rousseau.

Wtedy miała zrozumieć.

Drugiego dnia powędrowali sami do chaty na wzgórzu.

Chata była starannie i z pietyzmem urządzona i utrzymana, składała się z dwóch małych izb: w jednej filozof miał pracować, w drugiej spać. O kuchni zapomniano; zakładano, że te prymitywne warunki złagodzi nieco okoliczność, iż jedzenie będą donosić tam służący z majątku Ascheberg.

Z wielkim zaciekawieniem przeczytała cytaty z wierszy wypisane na ścianach i na suficie, a Struensee jej opowiadał o Rousseau.

Czuła, że jest absolutnie szczęśliwa.

Potem on wyjął książkę. Usiedli na bardzo pięknej barokowej sofie stojącej w pokoju do pracy; Rantzau senior kupił ją w roku 1755 w Paryżu, a potem kazał umieścić w chacie, przed spodziewanym przybyciem Rousseau. Książką, którą zamierzał jej czytać, były Myśli moralne Ludwiga Holberga.

Dlaczego wybrał właśnie tę?

Najpierw stwierdziła, że ta książka i ten wybór wydają jej się zbyt ponure; wtedy poprosił, by na chwilę zapomniała o owym niespecjalnie może egzaltującym tytule i pozwoliła mu przeczytać nagłówki samych epigramów, które, jak dał do zrozumienia, dawały obraz czegoś całkiem odmiennego.

- Zakazanego? - zapytała.

177

- Jak najbardziej - odrzekł.

Nagłówki, w rzeczy samej, rozbudziły jej ciekawość. „Nie marnuj czasu na próżną aktywność. Tylko szaleni są szczęśliwi. Nie chcę się żenić. Porzucaj obalone stanowiska. Wszelkie zbrodnie i grzechy nie są sobie równe. Jedynie ignorantom zdaje się, iż wiedzą wszystko. Jesteś szczęśliwy, gdy uroisz sobie, żeś szczęśliwy. Niektórzy grzeszą i modlą się na przemian. Czas i miejsce stanowią o tym, co jest obyczajne. Występek i cnota z upływem czasu zamieniają się miejscami. Zlikwiduj rymy w sztuce poetyckiej. Poeta żyje w uznaniu i w nędzy. Reformy łatwo kończą się fiaskiem. Rozważ dokładnie konsekwencje danej reformy. Nauczyciel niech nie poucza, lecz odpowiada na pytania. Zgoda znieczula, konflikty stymulują. Wiele pożytku ze złego smaku. Najbardziej pociąga nas to, co zakazane”.

Tu, przy tym ostatnim nagłówku, wpadła mu nagle w słowo.

- To prawda - powiedziała. - Wielka prawda. I chcę wiedzieć, co Ludvig Holberg o tym mówi.

- Jak Pani sobie życzy - rzekł.

Rozpoczął jednak od innego epigramu.

Zaproponowała, aby wybierał epigramy do czytania wedle własnego uznania, tak aby w końcu dojść do tekstu o tym, co zakazane. Chodziło o to, by kontekst i styl myślenia Holberga były już wtedy zrozumiałe. Przeczytał na początek epigram 84, z nagłówkiem: „Czas i miejsce stanowią o tym, co jest obyczajne”. Zaczął czytanie w owo drugie popołudnie po przybyciu do chaty Rousseau, w owym tygodniu w końcu września, w Aschebergu, w tej posiadłości, którą znał tak dobrze ze swego wcześniejszego życia, owego życia, o którym prawie zapomniał, lecz do którego próbował teraz nawiązać.

Próbował nadać swoim życiom spójny sens. Wiedział, że taki sens istnieje, lecz jeszcze nad nim nie panował.

178

Trzeciego popołudnia czytał epigram zaczynający się od zdania: „Obyczajnością nazywa się to, co pozostaje w zgodzie z aktualnie panującą modą, zaś nieobyczajnością to, co owej modzie się sprzeciwia”. Potem przeczytał epigram 20 z Księgi IV, ten, którego pierwsze

zdanie brzmi: „Najosobliwszą z ludzkich cech jest ta, że człowiek najusilniej pożąda tego, co najsurowiej zakazane”.

Ma taki piękny głos, myślała.

Podobał jej się także Ludvig Holberg. Było tak jakby głosy Struenseego i Holberga stapiały się w jedno. I był to ciemny, ciepły głos mówiący jej o świecie, jakiego wcześniej nie znała; ten głos otaczał ją zewsząd, jakby płała się w letniej wodzie, i to izolowało ją od dworu i od Danii, i od Króla, od wszystkiego - jak woda, było tak, jakby pływała w ciepłym morzu życia, wyzbyta lęku.

Ma taki piękny głos, myślała. Powiedziała mu to.

- Ma pan piękny głos, doktorze Struensee. On czytał dalej.

Miała na sobie wieczorową suknię, z lekkiej tkaniny, gdyż schyłek lata był ciepły, bardzo lekką, wybraną specjalnie na ten łagodny letni wieczór. Czuła się w niej swobodniej. Suknia miała dekolt. Jej skóra była bardzo młoda i czasami, kiedy podnosił wzrok znad książki, jego spojrzenie spoczywało na tej skórze; potem się zatrzymało na jej dłoniach, i przypomniała mu się nagle myśl o jej dłoni obejmującej jego członek, myśl, która kiedyś przyszła mu do głowy, a potem czytał dalej.

- Doktorze Struensee - powiedziała nagle - kiedy pan czyta, musi pan dotykać mego ramienia.

- Dlaczego - spytał po krótkiej chwili.

- Inaczej słowa stają się zbyt suche. Musi pan dotykać mojej skóry, wtedy lepiej zrozumieć sens słów.

Dotknął jej ramienia. Było odkryte, i bardzo miękkie. Od razu wiedział, że jest bardzo miękkie.

- Proszę poruszać dłonią - powiedziała. - Powoli.

- Wasza Wysokość - rzekł - obawiam się, że...

179

- Poruszaj - powiedziała.

Czytał, a jego dłoń sunęła miękko po jej nagim ramieniu. Powiedziała wtedy:

- Wydaje mi się, że Holberg chce powiedzieć, iż to, co jest najbardziej zakazane, jest granicą.

- Granicą?

- Granicą. A tam, gdzie jest granica, powstaje życie i śmierć, stąd to największe pożądanie.

Jego dłoń poruszała się powoli, wzięła ją wtedy do ręki i położyła na swojej szyi.

- Największa rozkosz - wyszeptła - jest na granicy. To prawda. To prawda, co pisze Holberg.

- Gdzie jest ta granica? - spytał szeptem.

- Poszukaj - powiedziała. Wtedy książka wypadła mu z ręki.

To ona, a nie on, zaryglowała drzwi.

Nie bała się, nie zwlekała niepotrzebnie, gdy ściągali z siebie ubranie; zdawało jej się, że wciąż jest w tej ciepłej wodzie życia, całkiem bezpieczna, a śmierć jest tuż, i wszystko jest, właśnie dlatego, tak podniecające.

Legli przy sobie, nadzy, na łożu ustawionym w alkowie w głębi chaty, tam, gdzie niedys miał leżeć francuski filozof Rousseau, chociaż nigdy nie leżał. Teraz leżeli tam oni. Napęniało ją to podnieceniem, to było święte miejsce, a oni mieli przekroczyć granicę, złamać najświętszy zakaz, absolutne tabu. To miejsce było zakazane, i ona była zakazana, to było bliskie perfekcji.

Dotykali się nawzajem. Dotykała swoją dłonią jego członek. Podobał jej się, był twardy, ale zwlekała, ponieważ bliskość granicy była tak podniecająca, a ona chciała zatrzymać czas.

- Poczekaj - powiedziała. - Jeszcze nie.

Leżał przy niej i pieścił ją, oddychali w siebie nawzajem, całkiem spokojnie i radośnie, i zrozumiała od razu, że on jest jak

180

ona. Ze potrafi oddychać jak ona. Tym samym oddechem. Ze jest w jej płucach i że oddychają jednym powietrzem.

Chciał w nią wejść, odrobinę, był już bardzo blisko, a ona, pieszcząc jego szyję, wyszeptwała:

- Nie całkiem. Jeszcze nie.

Czuła, jak jego członek jej dotyka, wsuwa się odrobinę, cofa się, powraca.

- Nie całkiem - powiedziała - czekaj.

On czekał, prawie wewnątrz niej, lecz czekał.

- Tam - wyszeptwała. - Jeszcze nie. Kochany. Musisz poruszać się na samej granicy.

- Na granicy? - spytał.

- O tam. Czujesz granicę?

- Nie ruszaj się - powiedział. - Nie poruszaj się. Zrozumiał. Mieli czekać, dotykać się ostrożnie, tak jak konie

obwąchujące wzajem swoje pyski, wszystko się miało dziać niemal bez ruchu, on zrozumiał.

A ją porwała fala szczęścia, on zrozumiał, i zaczeka, już zaraz da mu znak, już zaraz; on zrozumiał.

- Granica - szeptała raz za razem, podczas gdy rozkosz powoli, powoli wzbierała w jej ciele - czujesz? Ta największa rozkosz, jeszcze, tam jest granica.

Na zewnątrz zapadający zmierzch. Leżał na niej, niemal bez ruchu, poruszając się niemal niedostrzegalnie.

-Tam - wyszeptwała. - Już zaraz. Teraz przekrocz granicę. Wejdz. O, teraz wejdz.

I w końcu wślizgnął się, bardzo spokojnie, aż do środka, przekraczając najświętszą granicę, i było tak, jak być powinno.

Teraz jest, pomyślała, jak w raj.

Kiedy było po wszystkim, leżała z zamkniętymi oczami i uśmiechała się. On ubrał się po cichu i przez moment stanął przy oknie, zapatrzony.

181

Był zmierzch, spoglądał na olbrzymi park w dolinie, jezioro, kanały, drzewa, to, co poddane dyscyplinie, i to, co dzikie.

Byli na Górze. I to się stało.

- Musimy wracać do nich na dół - rzekł półgłosem.

Tutaj przyroda była idealna. Tu była dzikość, i dyscyplina. Pomyślał nagle o tym, co zostawili za sobą, o dworze, o Kopenhadze. Jak to jest, gdy lekki opar mgły stoi nad Óresundem. To był ten drugi świat. Tam, tego wieczoru, woda z pewnością była całkiem czarna, łąbędzie spały zawinięte same w siebie, pomyślał o tym, co opowiadała, o wodzie jak rtęć i o ptakach, które spały spowite w swoje sny. A potem nagle, jak jakiś ptak poderwał się, koniuszki skrzydeł uderzały w lustro wody, jak się uwolnił, i przepadł we mgle.

Mgła, woda i śpiące ptaki spowite w swoje sny.

I jeszcze zamek, jak złowrogie prastare grodzisko wyczekujące, aż wybije jego godzina.

Część IV

IDEALNE LATO

Rozdział 10

W labiryncie

1. Przejęcie władzy nastąpiło szybko, nieomal spontanicznie. Ukazał się po prostu komunikat. Potwierdzał on jedynie to, co było już rzeczywistością.

Formalnym zatwierdzeniem duńskiej rewolucji był dekret. Nikt nie wie, kto napisał czy podyktował ów dokument, który miał taki wpływ na dzieje Danii. Nadszedł królewski rozkaz dotyczący pewnych zmian w wewnętrznych liniach decyzyjnych; można by je nazwać konwulsjami w bliskim sąsiedztwie nieprzeniknionego, mrocznego serca władzy.

J.F. Struensee został mianowany „Ministrem Tajnego Gabinetu”, a królewski rozkaz w dalszej części głosił: „Wszelkie rozkazy, które wydaję mu ustnie, ma on sporządzać wedle

mych intencji oraz przedkładać mi, parafowane, do podpisu, lub też wystawiać je w moim imieniu opatrzone pieczęcią gabinetu". Dalej mówiło się wprawdzie, gwoli uściślenia, iż raz w tygodniu Król ma otrzymywać resume z dekretów wydawanych przez Struenseego, lecz zaznaczono także, w charakterze wyjaśnienia, gdyby ktoś nie zrozumiał istotnej treści zawartej we wstępnej sentencji, iż dekrety z podpisem Struenseego „mają tę samą moc, co podpisane ręką Króla”.

Tytuł „Ministra Tajnego Gabinetu”, który był nowy i stał się ekskluzywny, gdyż nowo mianowany Struensee pozostał sam wśród całej rzeszy „wyłączonych”, nie znaczył może zbyt wiele. Wielkie znaczenie miał za to przywilej wydawania praw, bez podpisu Króla. „Lub też wystawiać je w moim imieniu opatrzone pieczęcią gabinetu”, jak brzmiało to sformułowanie. 185

W praktyce oznaczało to, że absolutny władca, król Chrystian siódmy, przekazał wszelką władzę w ręce niemieckiego eskulapa, J.F. Struenseego. Dania znalazła się w rękach niemieckich.

Lub oświeceniowych; w kręgach dworskich nie potrafiąco jednoznacznie zdecydować, co jest gorsze.

Przejęcie władzy było faktem. Patrząc wstecz, nikt nie mógł pojąć, jak do tego doszło. Może uznali to obaj za praktyczne. O rewolucji nie było mowy.

Pewna praktyczna reforma. Praktyczne było to, że Struensee miał sprawować wszelką władzę.

Kiedy decyzja już zapadła, Chrystian sprawiał wrażenie, jakby mu ulżyło; jego tiki zelżały, wybuchy agresji na pewien czas ustały całkowicie, momentami wydawał się całkiem szczęśliwy. Pies i murzyński paź Moranti absorbowali Króla coraz bardziej. Król teraz mógł się im poświęcić. Struensee mógł poświęcić się swej pracy.

Istotnie, to było praktyczne.

Nastał czas po wydaniu dekretu, kiedy praktycznie wszystko układało się pomyślnie, a ich związek stopniowo się zacieśniał. Ich zbliżenie miało podłoże praktyczne i irracjonalne, myślał często Struensee. Miał wrażenie, że Chrystian, on sam, Murzynek Moranti i pies są coraz mocniej ze sobą związani: jak sprzy-siężeni uczestnicy tajnej ekspedycji do mrocznego serca rozumu. Wszystko było klarowne i rozumne, lecz oświecone szaleństwem Króla, tą osobliwą czarną pochodnią, która rozbłyskiwała i gasła, kapryśnie i bezlitośnie, i której migoczący mrok stał się ich całkiem naturalnym otoczeniem. Z wolna poczęli zamykać się we własnym kręgu, jak w bezpiecznej skalnej kryjówce, cofać się do dzieciństwa, powracać do czegoś, co mogło być całkiem normalnym rodzinnym życiem, gdyby nie okoliczności. Gdyby nie okoliczności.

Zdarzało się, że siedział w gabinecie, za zamkniętymi drzwiami i z wartą na zewnątrz, za stosami papierów na stole i z gotowymi przyborami do pisania, podczas gdy chłopcy razem z psem

186

bawili się dokoła niego. Chłopcy byli dla niego zbawiennym wręcz towarzystwem. Tak łatwo mógł się skoncentrować, gdy się bawili. To były długie popołudnia absolutnego spokoju i niemal szczęśliwej samotności; nie licząc tego, że chłopcy, jak miał w zwyczaju ich nazywać myśląc o nich, a zatem Król i jego paź Murzynek, przebywali w tym samym pokoju.

Chłopcy bawili się pod stołem, cicho i spokojnie. Pies, sznaucer, zawsze był z nimi.

Podczas gdy pisał i pracował, słyszał ich poruszenia w pokoju, ich szepczące głosy; nic więcej. Myślał: traktują mnie jak ojca, któremu nie wolno przeszkadzać. Bawią się u moich stóp, słysząc skrzywienie mego pióra, i szepczą.

Szepczą, aby nie przeszkadzać. Jakie to miłe. I czasem czuł, jak wzbiera w nim całkiem spokojna i łagodna fala ciepła; pokój był taki cichy, jesień za oknem taka piękna, odgłosy miasta takie dalekie, dzieci takie ufałe, pies taki zabawny, wszystko to było takie miłe. Nie

chcieli mu przeszkadzać. Bawili się pod gigantycznym dębowym stołem, przy którym już nie zasiadali możni tego kraju, a tylko jeden Możny. Lecz oni nie widzieli w nim Możnego, a tylko tego życzliwego, milczącego; jedynie obraz ojca obecnego skrobaniem pióra po papierze.

Milczący. Cichy. Vati. Lieber Vati, ich mag Dir, wir spielen, lieber lieber Vati.

Może jedyne dzieci, jakie będę miał.

Czy takie właśnie ma być życie, myślał czasem. Cicha praca, skrzywienie pióra, niesłuchane reformy, które zupełnie bezboleśnie przenikają do prawdziwego życia, moi chłopcy bawiący się z psem pod stołem.

Jakie to miłe, w takim razie.

Zdarzały się wszak chwile przy tym stole zawierające moment lęku.

Chrystian oderwał się od swoich cichych zabaw. Przysiadł na krawędzi stołu i w zamyśleniu spoglądał na Struenseego,

187

nieśmiało, lecz z ciekawością. Perukę cisnął gdzieś w kąt, ubranie miał potargane; pomimo to, albo właśnie dlatego, wyglądał nader ujmująco.

Siedział tam tylko i patrzył, potem spytał nieśmiało, co Struensee pisze, i co on sam ma potem podpisać.

- Wasza Wysokość redukuje właśnie siły zbrojne - powiedział na to Struensee z uśmiechem. - Nie mamy zewnętrznych wrogów. To bezsensowne wojsko będzie teraz mniejsze i tańsze, roczne oszczędności wyniosą szesnaście tysięcy talarów.

- Czy to prawda? - powiedział Chrystian. - Nie mamy żadnych zewnętrznych wrogów?

- To prawda. Rosja nie, Szwecja też nie. I nie mamy zamiaru napadać na Turcję. Nie zgadzamy się w tej materii?

- A co na to generałowie?

- Ci będą teraz naszymi wrogami. Ale z tym sobie poradzimy.

- A co z wrogami, których będziemy mieć na dworze?

- Przeciwno nim - powiedział Struensee z uśmiechem - trudno używać tej wielkiej armii.

- To prawda - rzekł wtedy z wielką powagą Chrystian. - A zatem chcemy okroić armię?

- Tak, tego chcemy.

- Ja w takim razie też chcę - zgodził się Chrystian z tą samą wielką powagą.

- Nie wszystkim się to podoba - dodał Struensee.

- Ale panu się to podoba, doktorze Struensee?

- Tak. I zrobimy jeszcze dużo, dużo więcej.

To wtedy Chrystian go poprosił. Tego Struensee nigdy nie miał zapomnieć; dopiero miesiąc upłynął od chwili, gdy książka wypadła mu z ręki, a on pogwałcił najświętszy zakaz.

Chrystian usiadł tuż obok niego przy stole, blade październikowe słońce rzucało na podłogę duże świetlne czworokąty, i wtedy właśnie to powiedział.

- Doktorze Struensee - powiedział Chrystian przyciszonym głosem i tak poważnie, jakby nigdy nie był owym szalonym chłopcem, który bawił się pod stołem ze swym murzyńskim

188

paziem i swym psem. - Doktorze Struensee, zaklinam pana. Królowa jest samotna. Proszę się nią zająć.

Struensee całkiem zeszywniał.

Odłożył pióro, a po chwili rzekł:

- Co Wasza Wysokość ma na myśli? Nie bardzo rozumiem.

- Pan wszystko rozumie. Proszę się nią zająć. Temu brzemieniu nie podołam.

- Jak mam to rozumieć?

- Pan wszystko rozumie. Kocham pana. Na to już Struensee nie odrzekł nic.

Zrozumiał, i nie zrozumiał. Czyżby Król wiedział? Lecz Chrystian tylko miękkim ruchem dłoni dotknął jego ramienia, spojrział nań z uśmiechem tak boleśnie niepewnym, i pięknym zarazem, że ów na zawsze wrył się w pamięć Struenseego, a następnie, niedostrzegalnym niemal ruchem ciała, ześlizgnął się z krawędzi stołu i wrócił do pазia Murzynka, i psa, tam pod stołem, gdzie ból nie był widoczny, nie płonąła czarna pochodnia, byli tylko piesek i Murzynek.

I gdzie wszystko było spokojnym szczęściem i oddaniem, w tej jedynej rodzinie, jakiej kiedykolwiek miał zaznać król Chrystian siódmy.

Z. Gdy rozbrajano Gwardię Królewską, Guldberg był obecny i spostrzegł ku swemu zdumieniu, że Rantzau też przyszedł, aby zobaczyć egzekucję tej najnowszej decyzji oszczędnościowej.

Zdawanie broni, umundurowania. Zwolnienie do domu.

Guldberg podszedł do Rantzaua i przywitał się; razem, w milczeniu, przyglądali się tym ceremoniom.

- Dania w toku przemian - rzucił Rantzau na próbę.

- Zaiste - odrzekł Guldberg - sporo ich teraz. Wszystko w szalonym tempie, jak pan wie.

Rozumiem, że pana to cieszy. Pański przyjaciel, Cichy, nie próżnuje. Dzisiaj rano czytałem także dekret o „Wolności myśli i wolności słowa”. To bardzo nieostrożne z waszej strony.

Zniesienie cenzury. Bardzo nieostrożne.

189

- Co pan ma na myśli?

- Ten Niemiec nie rozumie, że ta wolność może zostać użyta przeciw niemu. Da się swobodę ludziom, to zaczną pisać pamflety. Może też przeciwko niemu. To znaczy, przeciwko wam. Jeżeli jest pan jego przyjacielem.

- A co - zapytał wtedy Rantzau - będą zawierać te pamflety. Jak pan sądzi? A może pan wie?

- Naród jest tak nieobliczalny. Może powstaną pamflety głoszące prawdę i podburzające nieoświeczone masy.

Rantzau nic nie odpowiedział.

- Przeciwko wam - powtórzył Guldberg.

- Nie rozumiem.

- Masy niestety nie pojmują zbawiennych skutków oświecenia. Niestety. Dla was. Jedyne, co interesuje masy, to brudy. Pogłoski.

- Jakie pogłoski - spytał wtedy Rantzau, bardzo ozięble teraz i z czujnością.

- Pan przecież wie.

Guldberg przyglądał mu się swym spokojnym wilczym wzrokiem, i przez moment odczuwał coś w rodzaju tryumfu. Jedyne ci bardzo nieznaczeni, i wzgardzeni, jak on sam, nie znali strachu. Wiedział, że to Rantzaua przerażało. Tego Rantzaua, z jego pogardą dla honoru, obyczajów, i dla parweniuszy. Jakżeż pogardzał, w duchu, swoim przyjacielem Struensem! Parweniuszem Struensem! To było takie wyraźne.

Pogardzał parweniuszami. Z Guldbergiemi włącznie. Synem przedsiębiorcy pogrzebowego z Horsens. Chociaż różnica polegała na tym, że Guldberg nie umiał się bać. I dlatego mogli tu stać, parweniusz z Horsens i hrabia, oświeceniowy bubek, jako nienawidzący się wrogowie, i Guldberg mógł powiedzieć wszystko, spokojnym głosem, jakby niebezpieczeństwo nie istniało. Tak jakby władza Struenseego była tylko, zabawnym lub przerażającym, marginalnym zdarzeniem w historii; i on wiedział, że Rantzau wie, co to lęk.

190

- Jakie pogłoski - powtórzył Rantzau.

- Pogłoski na temat Struenseego - rzekł wtedy Guldberg swoim suchym głosem - mówią, że rozpustna młoda królowa otworzyła dla niego swe łono. Potrzebujemy jedynie dowodów. Ale będziemy je mieli.

Rantzau spoglądał oniemiały na Guldberga, tak jakby nie był w stanie pojąć, że ktoś odważył się wysunąć to niesłychane oskarżenie.

- Jak pan śmie! - wyrzekł w końcu.

- Oto różnica, panie Rantzau. Oto różnica między nami. Bo ja śmiem. I zakładam - powiedział Guldberg, zupełnie neutralnym tonem, zanim odwrócił się i odszedł - że teraz, już za moment, będzie pan zmuszony opowiedzieć się po którejś ze stron.

5. Leżał zupełnie nieruchomo wewnątrz niej i czekał na jej puls. Zaczął rozumieć, że najwyższa rozkosz pojawia się, gdy wyczekuje, głęboko w niej, uderzeń tętna, kiedy ich błony oddychają i poruszają się miarowo, w takt, miękko pulsując. To było absolutnie fantastyczne. Nauczył się jej wyczekiwać, i podobała mu się ta nauka. Nie musiała mu nigdy nic mówić, nauczył się prawie od razu. Umiał leżeć całkiem spokojnie, długo, z członkiem głęboko w niej, i nasłuchiwać jej śluzówek, jakby ich ciała znikły i zostały tylko ich przyrodzenia. Nie poruszał się prawie wcale, leżał spokojnie, nie było ciała ani myśli, oboje byli skupieni bez reszty na wsłuchiwanie się w to nadchodzące sekretne tętno i rytm. Nie było nic, tylko jej mokre, miękkie błony, poruszała biodrami niemal niedostrzegalnie, nieskończenie wolno, on błędził członkiem wewnątrz niej, ostrożnie, jakby to był wrażliwy czubek języka, poszukujący czegoś, tych uderzeń pulsu, i leżał cicho i czekał, tak jakby szukał wewnątrz niej tych pulsujących powierzchni, z którymi jego członek miał kołatać w zgodnym rytmie, potem poruszył się ostrożnie, zaczekał, za chwilę miał nadejść ów moment, kiedy czuł, jak ona kurczy się

191

i rozpręża, kurczy się i rozpręża, jego członek spoczywał, wyczekując, w ciasnej pochwie, i już wyczuwał jakby pewien rytm, czy pewien puls. Jeśli zaczeka, zjawi się jej puls, a kiedy go odnajdzie, wszystko się będzie mogło dziać w tym samym rytmie, co jej wewnętrzne pulsowanie. Leżała pod nim z zamkniętymi oczami i czuł, że ona także wyczekuje uderzeń tego tętna, czekali oboje, on głęboko w niej, lecz było tak, jakby ich ciała już przestały istnieć i wszystko było tylko wewnątrz niej, tulące się do siebie błony, które nieznacznie, z wolna, nabrzmiwały i opadały z powrotem, poszukujące tego pulsowania, które powoli zestrajały się ze sobą i poruszały się pospołu, bardzo wolno, i kiedy poczuł, że jej błony i jego członek oddychają w jednym rytmie, mógł zacząć ruszać się powoli, w tym rytmie, który czasem znikał, a wtedy znowu musiał leżeć nieruchomo, póki nie znalazł tego tętna, i jego członek znowu mógł oddychać w tym samym rytmie, co jej błony, więc powoli; tego go nauczyła: powolnego oczekiwania na pulsowanie jej sekretnych błon, nie rozumiał, skąd mogła to wiedzieć, ale gdy zjawiał się ten rytm i błony oddychały równomiernie, mogli powoli zacząć się poruszać i stawała się ta niesłychana rozkosz, i znikali we wspólnym, nieskończonym, powolnym oddechu.

Bardzo cicho. Wyczekiwanie tych wewnętrznych uderzeń tętna, tego rytmu, a potem ich ciała znikają i wszystko było tylko wewnątrz niej, a on oddychał swoim członkiem w tym samym wolnym rytmie, co jej błony, i nigdy w życiu nie przeżywał czegoś podobnego.

Miał wcześniej wiele kobiet, ona nie była najpiękniejsza. Lecz żadnej, która by go nauczyła wyczekiwania rytmu błon, i najintymniejszego pulsu ciała.

Postarali się, by położenie ich pokojów ułatwiało tajne schadzki, i owej zimy mniej dbali o ostrożność, kiedy się kochali. Coraz częściej jeździli też konno, na mrozie, wśród wirujących płatków śniegu, przez zmarznięte pola. Zaczęli jeździć wzdłuż morskiego brzegu.

192

Ona wjeżdżała na skraj wody, krusząc przybrzeżny lód, z rozwianym włosiem, i nie dbając o nic.

Ważyla trzy gramy i tylko ciężar konia wstrzymywał jej lot. Dlaczego miała chronić twarz przed rozpędzonym śniegiem, skoro była ptakiem. Sięgała wzrokiem dalej niż kiedykolwiek

przedtem, mijając wydmy Zelandii i brzegi Norwegii, aż po Islandię, aż do wysokich gór lodowych bieguna północnego.

Miała tę zimę zapamiętać; a Struensee na swoim koniu jechał tuż za nią brzegiem morza, całkiem cichy, ale tuż przy jej każdej myśli.

Dnia 6 lutego 1771 powiadomiła Struenseego, że jest w ciąży.

Kochali się. I wyznała mu to, potem.

- Jestem w ciąży - powiedziała. - I wiemy, że to twoje dziecko.

Odkryła, że chce kochać się codziennie.

Każdego ranka pożądanie rosło, a gdy zbliżała się dwunasta, było bardzo silne, wtedy właśnie było to nieodzowne i najlepsze, więc zażyczyła sobie, aby wtedy robił w pracy przerwę i podczas krótkiej konferencji, sam na sam, zdawał jej sprawę z pracy wykonanej tego ranka. W ten sposób stało się to naturalne. Przedtem nic nie było naturalne, a teraz stało się zupełnie naturalne.

On się do tego dostosował. Najpierw ze zdziwieniem, później z wielką radością, odkrył bowiem, że jego ciało podziela jej radość, i że jej rozkosz rodzi jego rozkosz. Tak było. Nigdy by nie pomyślał, że jej rozkosz do tego stopnia może nim zawładnąć. Zdawało mu się, że rozkosz jest tylko czymś zakazanym. To też tam było. Lecz że tę rozkosz i to zakazane, co dla niej stało się naturalne, i co każdego dnia rosło tak, że o dwunastej pożądanie było palące i nieokiełznane, że to naturalne można wyzwać codziennie, to go zdziwiło.

Dopiero dużo później zaczął się bać.

Kochali się w jej sypialni, a potem leżała na jego ramieniu i uśmiechała się, nie otwierając oczu, jak mała dziewczynka, która spłodziła i powiła jego rozkosz, a teraz leżała tuląc jego

rozkosz, jakby to było dziecko należące tylko do niej. Dopiero dużo później zaczął się bać.

Jednak powiedział:

- Musimy być ostrożni. Wiem, że krążą plotki. I będzie się plotkować też o dziecku. Musimy być ostrożni.

- Nie - powiedziała. - Nie?

- Bo teraz już niczego się nie boję. Cóż na to mógł odpowiedzieć?

- Ja wiedziałam - mówiła. - Cały czas byłam pewna, że to ty. Już kiedy pierwszy raz cię zobaczyłam i bałam się ciebie, i myślałam, że jesteś wrogiem, którego trzeba zniszczyć. Ale to był znak. Znak w twoim ciele. Który jest we mnie wypalony, jak żelazem na zwierzęciu. Ja wiedziałam.

- Nie jesteś zwierzęciem - powiedział. - Ale musimy być ostrożni.

- Przyjdiesz jutro? - spytała, nie słuchając. - Przyjdiesz jutro o tej samej porze?

- A jeżeli nie przyjdę, bo to niebezpieczne? Oczy miała zamknięte. Nie chciała otwierać oczu.

- To niebezpieczne. I wiesz o tym. Och, pomyśl, co by było, gdybym powiedziała, że mnie zbecześciłeś. O, gdybym tak ich zawołała. I powiedziała rozsłochana, że mnie zbecześciłeś. A oni by cię wzięli i stracili, i połamaliby cię kołem, i mnie też. Nie, mnie nie. Mnie by skazali na zesłanie. Ale nie wołam, mój kochany. Bo jesteś mój i mam cię, i codziennie będziemy się kochać.

Nie chciało mu się odpowiadać. Nie otwierając oczu, odwróciła się ku niemu, pieściła jego ramiona i pierś, i wreszcie wyruszyła dłonią w dół, do jego członka. Widział to kiedyś w swoich skrytych marzeniach, jej dłoń obejmującą jego członka, a teraz było tak naprawdę, i wiedział, że w tej dłoni kryje się straszliwa pokusa i siła, której nigdy nie byłby w stanie sobie wyobrazić, że to nie tylko jego członek obejmuje ta dłoń, lecz także jego samego, że ona zdaje się silniejsza, niż mógł przypuszczać, i że to go napełnia radością, lecz także czymś, co jeszcze nie, lecz może wkrótce, miało przypominać strach.

194

- Kochanie moje - wymamrotał - nigdy bym nie przypuszczał, że twoje ciało ma... taki...

-Taki...?

- ... taki wielki dar miłości.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się lekko do niego. Wiedziała, że to prawda. To stało się tak niesłychanie szybko.

- Dziękuję - powiedziała.

Czuł nadchodzącą rozkosz. Nie wiedział, czy chce. Wiedział tylko, że jest w jej mocy, i że nadchodzi rozkosz, i że jest coś, co go przeraża, chociaż nie wiedział jeszcze co.

- Kochanie moje - wyszeptał - i co my teraz zrobimy?

- To - powiedziała. - Teraz i zawsze.

Nie odpowiedział. Za moment znowu miał przekroczyć tę absolutną granicę, teraz to było już inaczej, ale nie wiedział, w jaki sposób.

-I nigdy się ode mnie nie uwolnisz - wyszeptała, tak cicho, że prawie nie dosłyszał. - Bo jesteś we mnie wypalony. Jak żelazem na zwierzęciu.

Ale usłyszał to. I może właśnie tego dnia - właśnie w momencie, kiedy pozwoliła mu znów w siebie wejść i mieli jeszcze raz wsłuchiwać się w sekretny puls, który ich w końcu miał zjednoczyć w swym niesłychanym rytmie - doznał pierwszego przeczucia strachu.

Któregoś razu długo leżała obok niego, naga, palcami przeczesując jego blond włosy, a potem z lekkim uśmiechem powiedziała:

- Będiesz moją prawą ręką.

- To znaczy? - spytał.

I po szelmowsku, lecz z prostotą, wyszeptała:

- Ręką. Ręka robi to, czego zapragnie głowa, nie jest tak? A ja mam tyle pomysłów.

Dlaczego czuł strach?

195

Czasami myślał: powinienem był wysiąść z powozu Chrystiana w Altonie. I wrócić do swoich.

Pewnego ranka, bardzo wcześnie, kiedy udawał się do pracy, w Marmurowej Galerii dogonił go Król, ubrany w szlafrok, z rozwichrzonymi włosami, bez skarpet i butów, pochwycił go za ramię i żarliwie domagał się wysłuchania.

Przysiedli w jakimś pustym salonie. Po chwili Król się uspokoił, jego zdyszany oddech powrócił do normy, i wtedy zwierzył się Struenseemu z czegoś, co nazwał „tajemnicą objawioną mi tej nocy, kiedy dręczyły mnie koszmary”.

Król opowiedział rzecz następującą.

Istnieje tajne grono siedmiu mężczyzn. Ci są wybrani od Boga, aby na świecie sprawić zło. A zatem siedmiu apostołów zła. On sam jest jednym z nich. Potworne jest to, że może darzyć miłością jedynie kogoś, kto sam także należy do tego kręgu. Jeżeli darzy kogoś miłością, znaczy to, że ta osoba też należy do siedmiu aniołów zła. Tej nocy pojął to jasno, i bardzo go to przeraziło, a ponieważ darzy miłością Struenseego, chciał teraz spytać, czy to prawda, i czy Struensee naprawdę należy do owego sekretnego kręgu zła.

Struensee próbował go uspokoić, i prosił, by mu opowiedział więcej o tym „śnie”. Wtedy Chrystian swoim zwyczajem zaczął mamrotać, na wpół niezrozumiale, ale powiedział nagle, że dzięki temu zyskał także pewność, iż wszechświatem w tajemny sposób włada pewna kobieta.

Struensee spytał go, jak to wszystko ze sobą się wiąże.

Król nie potrafił na to odpowiedzieć. Powtarzał tylko, że pewna kobieta włada wszechświatem, że wszelkie zło jest dziełem kręgu siedmiu złych, że sam jest jednym z nich, ale że być może będzie wybawiony przez tę kobietę, która włada wszystkim we wszechświecie; i że byłaby ona wówczas jego dobroczyńcą.

Następnie długo, uporczywie wpatrywał się w Struenseego, potem spytał:

- Ale pan nie jest jednym z Siedmiu?

196

Struensee tylko pokręcił głową. A na to Król, z rozpaczą w głosie, spytał:

- Dlaczego zatem pana kocham?

Jeden z pierwszych dni wiosny w kwietniu 1771.

W pałacu Fredensborg Król Chrystian siódmy, jego małżonka Karolina Matylda i królewski konsyliarz J.F. Struensee pili herbatę na małym balkonie wychodzącym na pałacowy park. Struensee mówił o ideowej koncepcji parku. Sławił zalety tego fantastycznego założenia, którego alejki tworzyły labirynt, i gdzie szpalery żywopłotów kryły symetrię ogrodowej kompozycji. Zaznaczył, że ów labirynt był zakomponowany w taki sposób, iż istniał tylko jeden punkt, z którego logika systemu parkowego była widoczna. Tam na dole wszystko było zagadką, gmatwaniną, alejki wiodły w ślepe korytarze i uliczki, panował chaos. Ale z jednego punktu wszystko stawało się jasne, logiczne i rozumne. Z balkonu, na którym właśnie siedzieli. Był to balkon Władcy. Jedyne z tego punktu czytelny był cały schemat. Ów punkt, punkt rozumu oraz nadrzędnego, jednoczącego wszystko sensu, był dostępny jedynie dla Władcy.

Królowa, uśmiechając się, spytała, co to znaczy. Powiedział dobitniej.

- Punkt Władcy. A więc władzy.

- Czy to jest... kuszące?

Odpowiedział jej uśmiechem. Po krótkiej chwili pochyliła się ku niemu i powiedziała mu szeptem, do ucha, tak aby Król nie posłyszał:

- Zapominasz o jednym. Że ja mam nad tobą władzę.

4. Miał zapamiętać tę rozmowę, i tę groźbę.

Balkon Władcy był punktem widokowym, który nadawał sens symetrii tego labiryntu, ale na tym się kończyło. Inne związki i zależności pozostawały chaosem.

197

Minęła wiosna, postanowiono spędzić lato w pałacu Hirsch-holm. Rozpoczęto już pakowanie. Struensee i Królowa byli jednomyślni. Króla o zdanie nikt nie pytał, ale miał jechać wraz z nimi.

Uważał to za naturalne, że nikt nie pyta go o zdanie, ale że może jechać z nimi, i być jednomyślny.

W dzień przed wyjazdem zdarzyło się, co następuje.

Z balkonu, na którym siedział teraz sam, Chrystian widział młodych kochanków, jak wyjeżdżają, jak co dzień, na swoją konną przejażdżkę, i nagle poczuł się bardzo samotny. Próbował wołać Morantiego, wszelako ten się gdzieś zapodział.

Wszedł do środka. Był tam pies, sznauzer; pies spał na podłodze w kącie komnaty. Chrystian położył się wtedy na podłodze, z głową na ciele psa; ale po paru chwilach pies się podniósł, przeszedł do innego kąta i tam się ułożył.

Chrystian poszedł za nim i jeszcze raz położył się, i użył psa zamiast poduszki; pies znowu wstał i przeniósł się do innego kąta.

Chrystian już tak pozostał, leżąc i gapiąc się prosto w sufit. Tym razem nie poszedł za psem. Uśmiechnął się na próbę do sufitu; znajdowały się tam cherubiny zdobiące przejście między ścianą a sufitem. Dołożył starań, aby jego uśmiech nie był skrzywieniem ust, lecz aby był spokojny i życzliwy; cherubiny spoglądały na niego pytająco. Z drugiego końca komnaty usłyszał głos psa, który, mamrocząc, zwrócił mu uwagę, by nie irytował cherubów. Wtedy się przestał uśmiechać.

Zdecydował się wyjść; postanowił dotrzeć do centrum labiryntu, tam bowiem czekała na niego wiadomość.

Był przekonany, że znajdzie ją w centrum labiryntu. Już od dłuższego czasu nie miał żadnych wieści od Siedmiu; Struensee, zapytany, nie chciał odpowiedzieć. Lecz jeśli Struensee także

należał do Siedmiu, to obaj wszak byli sprzysiężeni i miał się komu zwierzyć. Był przekonany, że Struensee jest jednym z nich. Przecież go kochał; to był znak.

198

Może Moranti też był jednym z Siedmiu, no i pies; w takim razie jest ich czterech. W takim razie rozpoznał czterech z nich.

Zostało trzech. Katarzyna? Ale wszak ona była Panią Wszechświata, nie, trzech pozostawało, lecz nie potrafił znaleźć jeszcze trzech.

Nie takich trzech, których by kochał. Gdzie ich szukać? Poza tym pies był niepewny; kochał psa, i kiedy pies do niego mówił, nie miał wątpliwości, ale pies wydawał się jedynie wyrażać miłość, przywiązanie, i znudzenie. Co do psa nie miał pewności. Ale pies przecież mówił do niego; to go czyniło wyjątkowym. Wszak psy, poza nim, nie umiały mówić. Wszak mówiące zwierzęta to absurd, rzecz nie do pomyślenia: ale skoro pies mówił, był to znak. Był to znak prawie wyraźny, lecz jedynie prawie wyraźny.

Co do psa nie był pewien.

Owych Siedmiu miało oczyścić świątynię z nieczystości. A wtedy on sam miał powstać jak Ptak Feniks. To właśnie stanowiło płonący ogień oświecenia. Stąd owych Siedmiu. Zło było konieczne, aby stworzyć czystość.

Nie było całkiem jasne, jak to wszystko wiązało się w całość. Ale on wierzył, że tak jest. Owych Siedmiu to były strącone z nieba anioły. Oczekiwał niezbędnej instrukcji, co ma robić. Jakiegoś znaku. Wiadomości. Na pewno była w centrum labiryntu, wiadomość od Siedmiu, albo od Pani Wszechświata.

Drepcząc niepewnie, wbiegł do labiryntu strzyżonych szpalerów i usiłował odtworzyć w pamięci schemat alejek, widok z góry, z tego balkonu, gdzie chaos był rozumem.

Po chwili zwolnił. Był zdyszany, wiedział, że musi się uspokoić. Skręcił w lewo, w prawo, pamiętał schemat labiryntu bardzo dobrze, był pewien, że pamięta bardzo dobrze. Po kilku minutach znalazł się w ślepych korytarzu. Żywopłot stał przed nim jak mur, zawrócił, skręcił w prawo, znowu w prawo. Teraz zapamiętany obraz nie był już tak jasny, ale próbował się obaczyć,

199

i znowu nagle zaczął biec. Znow był zdyszany. Gdy się spocił, zerwał z głowy perukę i biegł dalej, tak było łatwiej.

Zapamiętany obraz całkiem teraz zniknął. Nic już nie było jasne. Mury dokoła niego były zielone i cierniste. Przystanął. Powinien teraz znajdować się bardzo blisko centrum. W centrum miała być jasność. Stał całkiem nieruchomo, nasłuchując. Żadnych ptaków, żadnych dźwięków, spojrzał na swoją dłoń, która krwawiła, nie rozumiał, jak to się stało. Wiedział, że jest już bardzo blisko centrum. Tam, w samym środku miała być wiadomość, albo Katarzyna. Absolutna cisza. Dlaczego nawet ptaki nie śpiewały?

Nagle posłyszał głos, szept ledwie. Stał jak skamieniały. Rozpoznał wszak ten głos, dobiegający spoza muru żywopłotu, z miejsca, które musiało być centrum.

- To tu - powiedział głos. - Chodź tu.

Był to, bez cienia wątpliwości, głos Katarzyny.

Spróbował zajrzeć przez żywopłot, lecz okazało się to niemożliwe. Zapanowała teraz głucha cisza, ale nie było już najmniejszych wątpliwości, to był głos Katarzyny, a ona znajdowała się po drugiej stronie. Zaczepnął głęboko tchu, musiał być teraz spokojny, ale musiał się tam przedrzeć. Postąpił krok, wchodząc w żywopłot, zaczął rozchyłać gałęzie. Były cierniste, pojął nagle, że to będzie bardzo bolało, ale był teraz spokojny, to się musi stać, musi być silny i twardy. Uzbroić się w nietykalność. Nie było innego wyjścia. Pierwsze decymetry poszły łatwo, dalej zielona ściana gęstniała, pochylił się do przodu, jakby chciał upaść na drugą stronę. I rzeczywiście osunął się w głąb, lecz opór był bardzo silny. Ciernie jak małe nożyki rysowały jego twarz, a to parzyło, spróbował unieść ramię, aby się uwolnić, lecz wtedy zapadł

się jeszcze głębiej. Teraz żywopłot był absolutnie szczelny, i chociaż musiał znajdować się tuż obok środka labiryntu, to jednak nie mógł nic zobaczyć. Rozpaczliwie wierzgnął nogami, ciało wtargnęło w gąszcz jeszcze dalej, ale na dole gałęzie były dużo grubsze, nie dało się ich już odginać,

200

nie były to gałęzie, tylko pnie. Spróbował wstać, ale udało mu się tylko połowicznie. Paliły go ręce, paliła go twarz. Wciąż szarpał machinalnie co cieńsze gałęzie, lecz wszędzie były ciernie, małe nożyki teraz cały czas parzyły mu skórę, przez moment krzyczał, ale potem się obaczył i jeszcze raz spróbował wstać. Lecz się nie dało.

Zawisł tak, unieruchomiony. Krew mu spływała po twarzy. Zaczął szlochać. Było zupełnie cicho. Nie słyszał więcej głosu Katarzyny. Był bardzo blisko centrum, wiedział to, lecz unieruchomiony.

Dworacy, którzy widzieli, jak wchodził do labiryntu, zdążyli się zaniepokoić, i po godzinie wszczęto poszukiwania. Znaleźli go leżącego wewnątrz żywopłotu; wystawała stamtąd tylko jedna stopa. Przywołano pomoc. Oswobodzono wtedy Króla, ale on nie miał zamiaru się podnieść.

Zdawał się całkiem apatyczny. Rozkazał jednak słabym głosem, by sprowadzono Guldburga. Guldburg przyszedł. Krew schła na twarzy Króla, na dłoniach i na ramionach, ale on leżał na ziemi nieruchomo, patrząc w niebo. Guldburg rozkazał, aby przyniesiono nosze, nakazał też oddalić się asyście, tak aby mógł pomówić z Królem.

Guldburg usiadł przy Królu, przykrył go własnym płaszczem, i przemawiając szeptem do Chrystiana, próbował ukryć wzburzenie.

Początkowo, w tym swoim wzburzeniu, które sprawiało, że usta drżały mu gwałtownie, szeptał tak cicho, że Chrystian nie dosłyszał. Potem stał się słyszalny. Wasza Wysokość, szeptał, proszę się nie bać, ja wybawię Was od tego upokorzenia, kocham Was, wszyscy ci wszetecznicy (i tu jego szept nabrał mocy), wszyscy ci wszetecznicy upokarzają nas, lecz pomsta ich dosięgnie, gardzą nami i lekceważą nas, nieznaczących, lecz my poobcinamy te kończyny grzechu, uwolnimy od nich Danię, przyjdzie czas winobrańca, śmieją się z nas i szydzą z nas, ale ostatni raz

201

już szydzą, dotknie ich pomsta Boża, a my, Wasza Wysokość, ja będę Waszym... my będziemy...

Wtedy Chrystian, raptownie wyrwany z apatii, wbił spojrzenie w Guldburga, i usiadł.

-My?!!! - krzyknął, patrząc na Guldburga obłąkańczym wzrokiem - NAS???, o kim pan mówi, pan oszalał, pan oszalał!!!, jestem Bożym wybrańcem, a pan śmie... pan śmie...

Guldburg wzdrygnął się, jak od smagnięcia batem, i w milczeniu pochylił głowę.

Wtedy Król podniósł się powoli; Guldburg na zawsze miał zapamiętać ten widok: tego chłopca z głową i twarzą w pocerniałej skrzepłej krwi, ze sterczącymi i skudlonymi włosami, w podartym ubraniu, który wyglądał jak uosobienie obłąkańca pokrytego brudem i krwią; wszelako mimo wszystko, mimo wszystko, zdawało się, że emanuje z niego jakiś spokój i autorytet, jakby nie był szaleńcem, lecz wybrańcem Boga.

Może był jednak człowiekiem.

Chrystian dał Guldburgowi znak, by wstał. Podał mu jego płaszcz. I rzekł, bardzo spokojnym, pewnym głosem:

- Jedynie pan wie, gdzie ona jest.

Nie czekał potem na odpowiedź, tylko ciągnął dalej:

- Chcę by pan jeszcze dziś wystawił świadectwo ułaskawienia. A ja je podpiszę. Sam. Nie Struensee. Ja sam.

- Kto ma być tym ułaskawionym, Wasza Wysokość? - spytał Guldburg.

- Kasia Kamaszniczka.

A jego głos nie znosił sprzeciwu ani żadnych pytań; i teraz nadeszli dworacy z noszami. Lecz okazały się zbędne; Chrystian sam, bez pomocy, wyszedł z labiryntu.

Rozdział 11

Dziecko rewolucji

1. Rany Chrystiana przemyto i opatrzone, przesunięto wyjazd do Hirschholmu o trzy dni, skonstruowano wiarygodne wyjaśnienie nieszczęśliwego upadku Króla w krzak różany; powoli wszystko wróciło do normy. Znowu zaczęto się pakować i przygotowywać, i o dziesiątej rano ekspedycja gotowa była ruszyć do Hirschholmu.

Nie wyjeżdżali z całym dworem. Jechała bardzo mała jego część, wszelako było tego sporo: olbrzymi tabor składający się z dwudziestu czterech powozów, asystę osiemnastu dworzan uważano za nieliczną, do tego dochodziła garść żołnierzy (kilku z nich odesłano, jak się zdaje, po pierwszym tygodniu) oraz personel kuchni. Trzon stanowili jednak królewska para, Struensee i mały Kron-princ, który miał teraz trzy lata. To była ta bardzo mała grupka. I Enevold Brandt. Ten był „królewską niańką”, jak określali to złośliwcy. Do tego jeszcze kilka kochanek dworzan niższych rangą. Dwóch stolarzy.

Kiedy wyjeżdżali, po figurze Królowej widać było wyraźnie, że jest w ciąży. Na dworze nie mówiło się o niczym innym. I nikt nie żywił wątpliwości, kto jest ojcem.

Cztery powozy stały tego ranka już na zamkowym dziedzińcu, gdy hrabia Rantzau odwiedził Struenseego, aby z nim odbyć, jak to wyraził, „rozmowę w pilnej kwestii”.

Najpierw zapytał, czy on sam ma jechać razem z nimi. Struensee odrzekł, z życzliwym ukłonem: Jeżeli sobie tego życzysz. Ale czy ty sobie życzysz, żebym jechał? - spytał natychmiast

203

Rantzau, który wydawał się dziwnie spięty i powściągliwy. Bacznie się sobie przyglądali. Brak odpowiedzi.

Rantzau oznajmił, iż pojmuję wymowę tego milczenia. Zapytał, „bez ogródek”, czy to aby na pewno rozważne spędzać lato, a może i jesień, w Hirschholmie, w tak nielicznym gronie. Struensee chciał wiedzieć, czemu pyta. Rantzau odrzekł, iż w kraju panuje niepokój. Że ten zalew dekretów i reform płynących teraz z ręki Struenseego (chciał podkreślić, że świadomie użył tego zwrotu, „z ręki Struenseego”, zna bowiem stan psychiczny Króla, a poza tym, jak stwierdził, nie jest wszak idiotą) - że te reformy są zapewne z korzyścią dla kraju. Często są mądre, dokonywane w dobrych intencjach, i czasem w zgodzie z najlepszymi zasadami dyktowanymi przez rozum. Bez wątplenia. Krótko mówiąc, dobrze sformułowane. Lecz, też ujmując sprawę krótko, nazbyt liczne! Nieomal niezliczone!

Kraj nie był na to przygotowany, a w każdym razie nie administracja!, ergo stwarzało to śmiertelne zagrożenie dla Struenseego i wszystkich jego przyjaciół. Lecz, ciągnął Rantzau niedający Struenseemu cienia szansy, aby coś wtrącił albo odpowiedział, po co ta uparta nierozwaga! Czyż ów zalew reform, owa rewolucyjna w swej istocie fala, przetaczająca się obecnie przez królestwo duńskie, czyż owa nagła rewolucja nie stanowi dostatecznego powodu, czy w każdym razie taktycznie dostatecznego, aby Struensee i Król, lecz przede wszystkim Struensee!!!, zbliżyli się cokolwiek do obozu wroga.

Aby móc w pewnej mierze wroga śledzić. To jest: jego myślenie i jego posunięcia.

Było to zdumiewające wynurzenie.

- Mówiąc krótko, czy to rozsądne tam jechać? - podsumował.

- Krótko to nie zostało powiedziane - odrzekł Struensee. -I nie wiem, kto to mówi - przyjaciel, czy wróg.

- Ja to mówię - powiedział Rantzau. - Przyjaciel. Może jedyny, jakiego masz.

204

- Mój jedyny przejaciel - rzekł Struensee. - Jedyny przyjaciel? To nie wróży nic dobrego.

Taki był ton owej rozmowy. Formalny i głęboko wrogi. Nastąpiła długa cisza.

- Pamiętasz Altonę? - zapytał potem Struensee ściszym głosem.
 - Pamiętam. To było, zdaje się, bardzo dawno temu.
 - Trzy lata? To tak dawno?
 - Zmieniłeś się - powiedział Rantzau chłodno-
 - Ja się nie zmieniłem - rzekł Struensee. - Nie ja- W Altonie byliśmy zgodni prawie we wszystkich kwestiach- I odziviałem cię, naprawdę. Wszystko czytałeś. I wiele mnie nauczyłeś. Za to ci jestem wdzięczny. Byłem wszak wtedy taki młody
 - A teraz jesteś stary i zmądrzałeś. I już na pewno nie podziwiasz.
 - Teraz wprowadzam to w życie. W rzeczywistość.
 - Wprowadzasz w życie?
 - Tak. A tak. Nie tylko same teorie.
 - Zdaje mi się, że słyszę ton pogardy - powiedział Rantzau. - „Nie tylko same teorie”.
 - Gdybym wiedział, po czyjej jesteś stronie, odpowiedziałbym ci.
 - Coś „rzeczywistego”. Nie żadne teorie. Nie żadne gabinetowe spekulacje. A to ostatnie - rzeczywiste - co to jest.
- Była to nieprzyjemna rozmowa. A powozy czekały; struensee powoli wyciągnął rękę po plik papierów na stole? wziął je, jak gdyby chciał pokazać. Ale nie zrobił tego. Popatrzył tylko na trzymane w ręku pisma, melancholijnie i w milczeniu, i przez chwilę poczuł się, jakby oładnął nim wielki smutek albo przemożne zmęczenie.
- Pracowałem dziś w nocy - powiedział.
 - Tak, mówi się, że nocami ciężko pracujesz. Udał, że nie usłyszał tej insynuacji.

205

Nie mógł być wobec Rantzaua szczery. Nie mógł powiedzieć mu o oślizgłości. Ale w słowach Rantzaua było coś, co sprawiło, że poczuł się nieswojo. I pojawiło się dawne poczucie niższości w stosunku do znakomitych kolegów z Aschebergs Have. Milczący lekarz z Altony wśród swych znakomitych przyjaciół. Być może nigdy nie pojęli właściwej przyczyny owego milczenia.

Teraz by może zrozumieli. Był bezzasadnie i bezprawnie wywyższonym praktykiem! To właśnie sugerował Rantzau. Jesteś za głupi. Milczałeś, bo nie miałeś nic do powiedzenia. Powinieneś być zostać w Altonie.

I to była prawda: czasami życie przedstawiało mu się jako zbiór punktów zestawionych na papierze, katalogowa lista zadań poprzedzonych numerami, którą zestawili ktoś inny, ktoś inny!!!, życie numerowane hierarchicznie, gdzie numery od jedynki do dwunastki, jak na cyferblacie, były najważniejsze, potem od trzynastki do dwudziestki czwórki, jak godziny doby, a potem numery od dwudziestu pięciu do stu, w długim cyklicznym wykresie, z coraz mniej istotnymi zadaniami, choć ważnymi. I po każdym z numerów, po wykonanej pracy, musiał postawić ptaszek, pacjent po kuracji. A kiedy życie się skończyło, miał być sporządzony końcowy bilans, i miała być jasność. I mógł iść do domu.

Zmiana odfajkowana, zadanie wykonane, pacjenci poddani kuracji, potem statystyka i dysertacja zawierająca wnioski.

Ale gdzie byli ci pacjenci. Byli gdzieś tam, na zewnątrz, nigdy ich nie spotkał. Musiał polegać na teoriach wymyślonych przez kogoś innego: tych błyskotliwych, bardziej odczytanych, wybitnych filozofów, na teoriach opanowanych tak świetnie przez przyjaciół z chaty Rousseau.

Pacjentów w duńskim społeczeństwie, któremu niósł rewolucję, tych musiał sobie wyobrażać: jak owe małe główki, które rysował kiedyś, pisząc swoją rozprawę o szkodliwych ruchach ciała. Byli to ludzie wewnątrz mechanizmu. Bo przecież musi być możliwe, myślał zawsze, kiedy w bezsenne noce czuł na pier-

206

siach, jak ołowiany ciężar, Duński Monstrualny Zamek Królewski, możliwe! możliwe!!!, zarazem przejrzeć tajniki mechanizmu, zawładnąć nim - i widzieć ludzi.

Człowiek nie był maszyną, lecz znajdował się wewnątrz maszyny. To na tym polegała cała sztuka. Na zawładnięciu maszyną. Wtedy te twarze, które rysował, uśmiechnęłyby się do niego życzliwie i z wdzięcznością. Rzecz tylko w tym, i to było najtrudniejsze, że oni wcale nie wydawali się wdzięczni. Że te złośliwe ludzkie główki między punktami, które już odfajkował! załatwił! rozwiązał!!!, że te wyglądające stamtąd twarze były niechętne i złośliwe, i niewdzięczne.

Przede wszystkim nie były to twarze przyjaciół. Społeczeństwo było maszyną, a twarze złe. Nie, nic nie było już klarowne.

Patrzył teraz na swego ostatniego przyjaciela Rantzaua, o którym wiedział, że może jest wrogiem. Albo, co gorsza, zdrajcą. Cóż, Altona istotnie była bardzo daleko.

- To „rzeczywiste” - zaczął z wolna - w tym tygodniu to zniesienie prawa przeciwko niewierności, potem redukcja zawyżonych pensji urzędniczych, zakaz tortur, przygotowuję przeniesienie opłat celnych z Oresundu z kasy królewskiej do kasy państwowej, powołanie funduszu na rzecz nieślubnych dzieci, które mają być chrzczone zgodnie z obrządkiem kościelnym, poza tym...

- A poddaństwo? Czy może chcesz się zadowolić dekretem moralności?

Oto znów twarz spomiędzy paragrafów; podejrzliwa, uśmiechająca się złośliwie. Poddaństwo było wszak tą wielką sprawą! tą największą!, której miejsce było wśród tych dwudziestu czterech punktów, nie, tych dwunastu! tych dwunastu!!!, jak cyfry na tarczy zegara. Zostawił chłopca na drewnianym koniu na pastwę nieubłaganej śmierci, i pobiegł w zmięchu za powozem; bał się. Można powiedzieć, że uciekał od największego zadania, od poddaństwa. W powozie uparcie powtarzał sobie, że przecież ważne jest, że przeżył.

207

I mógł, z determinacją. Wydać dekret. Jeśli. I mógł. Z determinacją.

To, co robił teraz, to przecież tylko mała rzecz, moralność; stanowił prawa, aby poprawić moralność, prawodawstwem stwarzał dobrego człowieka; nie, źle myślał, wszak było odwrotnie. Nie można było za pomocą prawodawstwa pozbyć się złego człowieka. Napisał nawet: „Obyczajów nie da się poprawić prawami policyjnymi”.

Pomimo to, i wiedział, że to jego słabość, poświęcał tyle czasu i energii obyczajom, moralności, zakazom, wolności ducha.

Czyżby dlatego, że to drugie było takie trudne?

- Poddaństwo? - padło znów pytanie, bezlitośnie.

- Wkrótce - odpowiedział.

- A jak?

- Reverdil - zaczął powoli - który był guwernerem Króla, miał pewien plan, zanim go egzulowano. Napisałem do niego, z prośbą, żeby wrócił.

- Ten Żydek - powiedział Rantzau rzeczowym, lecz nienawistnym tonem - ten mały obrzydliwy Żydek. Więc to on ma wyzwolić duńskich chłopów. Wiesz, ilu wrogów przysporzysz sobie w ten sposób?

Struensee odłożył dokumenty z powrotem na stół. Nie miało sensu przedłużanie tej rozmowy.

Rantzau uklonił się w milczeniu, zrobił w tył zwrot i ruszył ku drzwiom. I zanim zamknął je za sobą, pojawiła się ostatnia z tych złośliwych ludzkich twarzy: twarz Rantzaua, który mienił się jego ostatnim przyjacielem, i może nim był, w jakiejś mierze, ten wielki nauczyciel teoretyk, który teraz przyglądał mu się tak krytycznie, jego przyjaciel lub były przyjaciel, jeżeli był nim kiedykolwiek.

- Nie masz już wielu przyjaciół. I w tej sytuacji jechać na lato do Hirschholmu to szaleństwo. Ale twój problem polega na czymś innym.

- Mianowicie - zapytał Struensee.

- Nie masz zdolności wybierania sobie właściwych wrogów.

208

Z. To nie była ucieczka, mieli potem myśleć, lecz skąd w takim razie ten wściekły pośpiech, te pośpieszne ruchy, te śmiechy, trzaskające drzwi?

To nie była ucieczka, tylko wyjazd na cudowne lato w Hirschholmie.

Trwał załadunek. Pierwszego dnia miały odjechać tylko cztery ekwipaże. Nazajutrz reszta wielkiego taboru. Proste wiejskie życie wymagało wszechstronnych przygotowań.

W pierwszym powozie Królowa, Struensee, król Chrystian siódmy, paż Murzynek Moranti i pies Króla.

Jechano w milczeniu.

Chrystian był bardzo spokojny. Spoglądał na towarzyszy podróży z tajemniczym uśmiechem, którego nie umieli rozszyfrować. Był tego pewien. Myślał, że gdyby razem z nimi nie siedziała, słuchająca, królowa Karolina Matylda, to w tym powozie byłoby jedynie czterech z Siedmiu - nikogo więcej. A wtedy mógłby bez obawy radzić się Struenseego, Morantiego albo psa, tych trzech, których kochał, w obliczu tych przemożnych przeciwności i wyrzeczeń, których czas niewątpliwie miał nadejść.

Wiedział to. I to, że na wskazówki i rady jego Dobroczyńcy, Pani Wszechświata, przyjdzie poczekać jeszcze pewien czas.

Tutaj stał kiedyś pałac. Tak trzeba to powiedzieć: tu stał, i tu go pochłonęła duńska rewolucja. I nic po nim nie zostało.

Pałac Hirschholm był zbudowany na wyspie, otoczony wodą, leżał na środku jeziora; nocami wodę pokrywały śpiące ptaki, które ona tak bardzo kochała, zwłaszcza gdy spały, spowite w swoje sny. Pałac ten budowano przez pół wieku, i właściwie nie był gotowy do roku 1746; był wspaniały i piękny, Wersal Północy, ale podzielił losy bardzo krótkich snów: żył tylko jedno lato, właśnie to, 1771. Potem sen się skończył, a pałac stał samotny i niezamieszany, i powoli zamieniał się w ruinę.

Nie spłonął. Nie został zdewastowany. Umarł tylko ze smutku, i już go nie było. Bo było tak, jakby to nieskończenie

209

szczęśliwe lato zadzumiło pałac; to był pałac Karoliny Matyldy i Struenseego, i gdy nadeszła katastrofa, nikt nie chciał więcej stąpać po tej ziemi skażonej zarazą grzechu.

Już w 1774 wstrzymano wszelkie roboty w pałacu, na przełomie wieków był kompletną ruiną, i kiedy spłonął Christians-borg, postanowiono zburzyć Hirschholm, a materiału użyć do odbudowy. Rozebrano wszystko. Splądrowano i wywieziono „komnaty urządzone zbytkownie i ze smakiem”, zniszczono fantastyczną wielką Salę Rycerską w centralnej części pałacu, zabrano każdy kamień, każdy blok marmuru, wszelki ślad po parze kochanków miał zostać zatarty. Pokoje Karoliny Matyldy przypominały gabinety osobliwości, jej pasją była chińszczyzna, i tego lata wypełniła komnaty chińskimi wazonami i figurynkami, które sprowadziła przez Kompanię Wschodnioazjatycką. Także wspaniały piec kaflowy w Sali Audiencyjnej Hirschholmu był sprowadzony przez nią, ten, który „wyobrażał chińską niewiastę z Parasolem”, wszystko zostało zburzone.

Pałac był plamą na honorze, skażony przez uzurpatora i jego kochankę, musiał być usunięty, tak jak się wymazuje z fotografii jakąś niepożądaną twarz, tak by historia była wolna od czegoś obrzydliwego, czego nigdy nie było, nie powinno być. Wyspa musiała zostać oczyszczona z tego grzechu.

W 1814 po pałacu nie było już śladu; żył zatem życiem człowieka, od 1746 do 1814, dożył lat sześćdziesięciu ośmiu. W ten sposób Hirschholm jest jedynym pałacem utożsamianym całkowicie z jednym latem, z miłością i śmiercią, i ostateczną granicą zakazanego, który

właśnie dlatego skazany został na zagładę; i dziś na wyspie pałacowej jest tylko mały, wzniesiony w XIX wieku, kościółek w stylu empire.

Jak modlitwa. Jak ostatnia modlitwa o przebaczenie do wielkiego Boga; modlitwa o łaskę odpuszczenia grzechów, których się dopuściła para występnych ludzi.

Poza tym tylko trawa i woda.

210

Ale ptaki, oczywiście, ciągle są, te, które zobaczyła w tamten późny wieczór, gdy przyjechała do Hirschholmu, i w których dojrzała znak, że nareszcie jest w domu, bezpieczna, wśród śpiących ptaków spowitych w swoje sny.

Tutaj stał kiedyś pałac. Tu przyjechała. Była w ciąży. I wiedziała, że to jego dziecko.

Wszyscy wiedzieli.

Jestem w ciąży, powiedziała. I wiemy, że to twoje dziecko.

Pocałował ją, lecz nic nie odpowiedział.

Wszystko stało się tak szybko. W osiem miesięcy przeprowadził duńską rewolucję, reformy były podpisane i miały dalej być podpisywane z tego siedliska grzechu, które nosiło nazwę pałac Hirschholm, i dlatego musiało potem być zniszczone, tak jak się pali pościel po zmarłym na dżumę.

W ciągu tego pierwszego roku zdążył już rozesłać pięćset sześćdziesiąt cztery rozporządzenia.

W końcu zdawało się, że nie ma żadnych barier. Wszystko szło łatwo, naturalnie. Rewolucja przebiegała bez zakłóceń, pióro skrzypiało, potem to wykonywano, a on się kochał z tą dziwną dziewczyną mieniającą się królową Danii. Kochał się, pisał, i podpisywał. Królewski podpis już nie był konieczny. Wiedział, że kancelarie i urzędy huczały od wściekłych reakcji, ale nikt nie odważył się przyjść do niego. Robił więc dalej to, co robił.

Papierowy rewolucjonista, myślał czasem. Zawsze pogardzał tym określeniem. Ale teraz wszystko zdawało się rodzić na papierze. Właśnie na papierze. I zamieniało się w rzeczywistość.

Wszak nie opuszczał nigdy swego gabinetu, a rewolucja mimo to się dokonywała. Być może wszystkie rewolucje powinny przebiegać w ten sposób, myślał. Nie trzeba było żadnych wojsk, żadnej przemocy, terroru, żadnych gróźb; wystarczył tylko szalony król posiadający wszelką władzę, i jej cesja.

211

Miał świadomość, że jest całkowicie uzależniony od tego szalonego chłopca. Czy od niej był uzależniony w ten sam sposób?

Gdy powiedziała mu o dziecku, ucieszył się, i pojął natychmiast, że koniec mógł być bardzo bliski.

Tak długo już kochali się, nie zachowując ostrożności.

Nigdy nie spotkał takiej kobiety jak owa młoda dziewczyna; to było niepojęte, zdawała się nie wiedzieć, co to strach i nieśmiałość, była niedoświadczona i nauczyła się wszystkiego jakby jednym tchem. Zdawała się kochać swoje ciało, i uwielbiała używać jego ciała. Pierwszej nocy w Hirschholmie siedziała na nim i ujeżdżała go powoli, i z lubością, jakby bez przerwy wsłuchiwała się w tajne sygnały z wnętrza jego ciała, i była im posłuszna, i kontrolowała je; nie, nie rozumiał, gdzie ta mała dwudziestoletnia angielska dziewczynka nauczyła się tego wszystkiego. W końcu miękko jak kot stoczyła się do jego boku i powiedziała:

- Jesteś szczęśliwy?

Wiedział, że jest. I że katastrofa była teraz bardzo blisko.

- Musimy być ostrożni - odpowiedział.

- Na to już dawno jest za późno - odrzekła w ciemności. - Jestem w ciąży. I to jest twoje dziecko.

- A duńska rewolucja? Dowiedzą się, że to moje dziecko.

- Spłodziłam z tobą dziecko rewolucji - odpowiedziała. Wstał, podszedł do okna, wyjrzał na wodę. Zmierzchało teraz

wcześniej, lecz było wilgotno i ciepło, i znad jeziora dokoła pałacu, pełnego roślin i ptaków, niosła się ciężka woń, rozkoszna, nasyciona śmiercią. Wszystko stało się tak prędko.

- Spłodziliśmy przyszłość - posłyszał z ciemności jej głos.

- Albo zabiliśmy - powiedział cicho.

- Czemu tak mówisz?

Ale nie wiedział, skąd przyszły mu te słowa.

Wiedział, że ją kocha.

212

To nie było tylko jej ciało, jej fantastyczny talent do miłości, to co nazywał w myślach erotycznym darem; to było także to, że ona rosła tak szybko, że co tydzień mógł ją zobaczyć już inną, to co w tej małej angielskiej niewinnej dziewczynce przypominało eksplozję, że rosnąc, wkrótce go miała dogonić i może prześcignąć, stać się kimś, kogo nie umiał sobie wyobrazić; nie przypuszczał, że coś takiego jest możliwe. Miała doprawdy wiele twarzy, ale żadnej szalonej, jak Chrystian. Nie miała w sobie czarnej pochodni, która rzucałaby na niego swój śmiertelny mrok, nie, była nieznajomą kuszącą go właśnie w tej chwili, gdy wydawało mu się, że ją widzi, lecz nagle pojął, że nie widział.

Pamiętał jej wyrażenie „jak żelazem na zwierzęciu”.

Ale czy miłość ma być taka? Nie chciał, żeby tak było.

- Wszak jestem tylko lekarzem z Altony - powiedział.

- No? I co z tego?

- Czasami mam wrażenie, że pewien idealista, czystego serca, niezbyt chętny i niedostatecznie wykształcony, lekarz z Altony, otrzymał zbyt wielkie zadanie - powiedział cichym głosem.

Stał odwrócony do niej plecami, pierwszy raz bowiem odważył się jej to powiedzieć i trochę było mu wstyd, dlatego stał odwrócony do niej plecami, nie ważąc się na nią spojrzeć. Ale powiedział, i wstydził się, choć czuł, że mówiąc to, postąpił słusznie.

Nie chciał wynosić się nad innych. Wynosić się nad innych to był prawie grzech śmiertelny, nauczył się tego jako dziecko. On był tylko lekarzem z Altony. To była podstawa. Ale do tego brak pokory: to, że zrozumiał, iż został obdarzony misją i że nie uznał się za niegodnego, chociaż powinien był się uznać.

Pyszni panowie z dworu nigdy by się nie wahali. Ci, co nie byli parweniuszami. Brak pokory był dla nich całkiem naturalny, wszystko bowiem, co mieli, było odziedziczone, a nie zdobyte własnym trudem. Ale on nie był pyszny, bał się.

Tego się właśnie wstydził. Mówili o nim Cichy. Może się tego bali. Był cichy, rosły, umiał milczeć, to ich przerażało.

213

Nie rozumieli jednak, że w istocie był tylko lekarzem z Altony, który miał czelność wierzyć w swoje powołanie.

Inni się nigdy nie wstydzili. Dlatego stał odwrócony do niej plecami.

Któregoś razu, pod koniec lata, gdy urodziła już dziecko, weszła do niego i powiedziała, że Bernstorff, który został odsunięty i zaszył się w swoich prywatnych włościach, powinien zostać przywrócony.

- On nas nienawidzi - powiedział Struensee.

- To bez znaczenia. Potrzebujemy go. Trzeba go udobruchać, żeby go używać. Wróg czy nie.

A potem dodała:

- Musimy chronić nasze flanki.

Zamurowało go. „Chronić flanki”. Skąd ona wzięła to słowo. Była niesamowita.

3. To było fantastyczne lato.

Znieśli wszelką etykietę, czytali Rousseau, zmienili styl ubioru, żyli po prostu, w zgodzie z naturą, kochali się, zdawali się opętani pragnieniem skondensowania wszystkich komponentów szczęścia, by nie uronić ani godziny. Odwiedzający byli zaszokowani panującą tam swobodą obyczajów, która jednakże, co ze zdziwieniem notowali w swoich listach, nie wyrażała się w nieprzyzwoitej mowie. Poniechano przestrzegania wszelkich reguł. Służący usługiwali przy posiłkach często, lecz nie zawsze. Rozdzielono odpowiedzialność za przyrządzanie posiłków. Urządzano wycieczki, spędzano czas pod gołym niebem do późnych wieczorów. Któregoś razu Królowa, kiedy wybrali się nad morze, wciągnęła go między wydmy, obluzowała swoją odzież, i kochali się. Piasek na ich ubraniu nie uszedł uwagi świty, ale wcale się nie dziwiono. Odłożono na bok tytuły. Zniknęła hierarchia rang. Zwracano się do siebie po imieniu.

214

To było jak sen. Odkryto, że wszystko stało się prostsze, spokojniejsze.

To właśnie odkryto w Hirschholmie: że wszystko jest możliwe, i że możliwe jest wyjście z domu wariatów.

Chrystian też był szczęśliwy. Zdawał się błędzić gdzieś bardzo daleko, a jednak blisko. Pewnego wieczoru, przy wieczerzy, z uśmiechem na twarzy, szczęśliwy, powiedział do Struenseego:

- Już późno, czas, aby król Prus odwiedził łożnicę Królowej. Wszyscy zamilkli, jakby w nich piorun strzelił, a Struensee zapytał lekkim tonem:

- Król Prus, a kto to taki?

- To przecież pan? - odrzekł zdumiony Chrystian.

Jej ciąża była coraz bardziej widoczna, ale ona uparła się, aby jeździć konno po lasach, i nie słuchała niespokojnych protestów jej otoczenia.

Stała się z czasem wytrawną amazonką. Nie zdarzały się jej upadki. Jeździła szybko, bez wahania, on jeździł za nią, z niepokojem. Któregoś popołudnia przytrafił się jednak upadek. To Struensee został zrzucony z konia. Koń się szarpnął, on spadł, leżał długo i bardzo bolała go noga. W końcu podniósł się z mozołem.

Wspierała go, póki się nie zjawili przywołani pomocnicy.

- Kochany - powiedziała - bałeś się, że spadnę? Ale nie spadłam. Nie chcę stracić dziecka.

Dlatego to ty spadłeś.

On powiedział tylko:

- Być może szczęście przestało mi sprzyjać.

Sam odbierał jej poród.

Na kulach, przy łożu Królowej i na kulach, Struensee był świadkiem narodzin córeczki.

Wyciągnął dziecko, tak to zapamiętał, wyciągnął swoje dziecko, i nagle poczuł zawrót głowy; odbierał już wcześniej porody, ale to, to dziecko!!! Chciał się oprzeć na kuli pod pachą, lecz kula

215

upadła, chora noga musiała bardzo zboleć, przypuszczał, nie pamiętał, i nagle zaczął szlochać.

Nikt go takim wcześniej nie widział, i długo się o tym mówiło; i dla niektórych był to dowód. Ale szlochał. To było to dziecko. Ten wieczny żywot wyciągnięty z jej żywota, ich dziewczynka, jego żywot wieczny.

Potem obaczył się, i zrobił, co do niego należało. Poszedł do króla Chrystiana siódmego i oznajmił, że jego królowa, Karolina Matylda, urodziła mu spadkobierczynię, powiła córeczkę. Król nie wydawał się zainteresowany i nie chciał zobaczyć dziecka. Później, wieczorem, znowu dostał ataku swojej nerwowości i razem z Murzynkiem Morantim zabawiali się, wywracając parkowe posągi.

Dziewczynkę ochrzczono imieniem Luiza Augusta.

4. W ciągu dwudziestu czterech godzin dwór w Kopenhadze został powiadomiony, że urodziło się dziecko Struenseego i Królowej. Królowa Wdowa wezwała natychmiast Guldburga.

Siedziała ze swym zaślinionym i bełkoczącym synem, któremu teraz, w momencie zagrożenia, nie poświęcała uwagi, lecz cały czas mocno trzymała jego lewą rękę. Rozpoczęła, mówiąc, że bękart jest hańbą dla kraju i dla rodziny królewskiej, ale że teraz chce mieć całościową perspektywę.

Zażądała analizy sytuacji, i otrzymała ją.

Guldburg złożył sprawozdanie.

Po algierskiej awanturze, gdy duńska flota wysłana na Morze Śródziemne została w dużej części zniszczona, potrzeba odbudowy marynarki była nagląca. Struensee, któremu przedłożono sprawę, odpowiedział na to dwoma pismami. Jedno zakazywało produkcji gorzałki z jęczmienia oraz pędzenia samogonu. W drugim obwieszczał, iż pragnie nie tylko okroić o połowę budżet dworu, lecz zredukować też wydatki na flotę wojenną. Oznaczało to, że stocznia na Holmie musi wstrzymać roboty.

216

Wśród robotników, zwłaszcza ściągniętych z Norwegii marynarzy, wzbudziło to gniew.

Guldburg miał z nimi kilkakrotnie kontakt. Przyjął też ich delegację.

Zapytywali, czy prawdziwe są pogłoski, wedle których Struensee więzi Króla i ma zamiar go uśmiercić.

Wtedy Guldburg, za pomocą „min i gestów”, dał im do zrozumienia, że to prawda, ale że kroki w celu obrony królestwa i dynastii muszą być dobrze przemyślane i zaplanowane. Powiedział im, iż podziela ich oburzenie spowodowane stratą pracy w stoczni. Co zaś się tyczy wszetecznika Struenseego, to co wieczór modli się do Boga, aby go raził karzący grom z niebios, dla dobra Danii.

Planowali teraz rewoltę. Robotnicy mieli ruszyć pochodem na Hirschholm.

- A tam? - spytała Królowa Wdowa. - Zabiją go? Guldburg rzekł na to tylko, bez uśmiechu:

- Gdy zbuntowany lud wszczyna rewoltę przeciw tyranowi, niczego nie da się przewidzieć.

I, jakby mimochodem, dodał:

- Można tylko zainicjować i sterować.

Dziewczynka spała, tak cichutko, że jej oddech był wyczuwalny tylko wtedy, kiedy przyłożył do niej ucho. Uważał, że jest taka śliczna. Więc jednak, w końcu, urodziło mu się dziecko.

I wszystko było takie ciche tego lata.

O, jakże pragnął, aby zawsze mogło tak być.

Lecz około dziewiątej wieczorem 8 września 1771 przez most wiodący do pałacu na wyspie w Hirschholmie wjechał powóz; był to hrabia Rantzau, który natychmiast chciał rozmawiać ze Struen-seem. Rantzau był wściekły, chciał „wiedzieć, na czym stoi”.

- Chyba kompletnie zwariowałeś - powiedział. - Kopenhaga jest zarzucona pamfletami, które otwarcie dyskutują twój związek z Królową. Wstydu już nie ma za grosz. Ten zakaz gorzelniany ich rozwścieczył. Na części wojska można by polegać, lecz

217

właśnie te oddziały rozpuściłeś. Czemu siedzicie tutaj, a nie w Kopenhadze? Muszę wiedzieć.

- Po czyjej jesteś stronie - spytał Struensee.

- Ja też chcę o to zapytać. Wiesz, że jestem w długach. I dlatego - dlatego!!! - wprowadzasz prawo mówiące, że „wszelkie wierzytelności mają być egzekwowane bez względu na przynależność stanową i osobisty status dłużnika”, co brzmi bardzo pięknie, ale zdaje mi się, że wprowadziłeś je jedynie po to, żeby mnie zrujnować. Taka była najgłębsza intencja!

Intencja! Po czyjej stronie ty sam jesteś? Chcę wiedzieć, teraz, zanim... zanim...

- Zanim wszystko runie?

- Najpierw odpowiedz.
- Nie piszę żadnych praw przez wzgląd na ciebie. Ani nie zmieniam przez wzgląd na ciebie. Moja odpowiedź brzmi nie.
- Nie? -Nie. Nastąpiła długa cisza. Potem Rantzau powiedział:
- Przeszedłeś długą drogę od Altony, Struensee. Niewiarygodnie długą. Dokąd zamierzasz pójść teraz?
- Dokąd ty sam zamierzasz pójść? Rantzau na to wstał, i powiedział tylko:
- Do Kopenhagi.

I poszedł, zostawiając Struenseego samego. Ten wszedł do swojej komnaty, leżał na łóżku, utkwiał wzrok w sufit i próbował nie myśleć o niczym.

Mimo to raz za razem powracała jedna myśl. Myślał: nie chcę umrzeć. Co mam począć. „Chronić flanki”, powiedziała.

Ale ileż było tych flank do obrony. I jeszcze to zmęczenie. Nie opuścił w Altonie królewskiej ekspedycji. Zdecydował się odwiedzić rzeczywistość. Jak miał podołać.

Rozdział 12

Flecista

1. Z grupy młodych ludzi oświecenia, którzy niegdyś spotykali się w Altonie, przy Struensem pozostał teraz tylko jeden. Był to Enevold Brandt.

On był ostatnim przyjacielem. Był flecistą.

„Ten mały obrzydliwy Żydek” - jak to wyraził Rantzau - Elie Salomon Francois Reverdil został wezwany ze swojego zesłania w Szwajcarii. W latach spędzonych na wygnaniu, w swej ojczyźnie, korespondował żywo z przyjaciółmi w Danii, szczerze rozpaczał nad tym, co się stało, nie rozumiał intencji swojego kochanego chłopca, nie rozumiał kompletnie niczego; lecz gdy nadeszła oferta powrotu, nie wahał się ani przez chwilę. Jego zadaniem miało być zreferowanie zastopowanych niegdyś planów zniesienia poddaństwa.

Otrzymał jednak inne zadania. I wszystko miało być inaczej, niż sądził.

Powodem, dla którego przydzielono mu inne zadania, było pewne dziwne zdarzenie, które sprawiło, że Enevold Brandt został wykluczony jako towarzystwo dla Chrystiana. To, co zaszło, incydent z palcem wskazującym, Brandt miał przypłacić życiem.

Było to jednak pół roku później.

Po tym „incydencie” Reverdil został ochroną osobistą Króla. Przedtem był nauczycielem i przyjacielem Króla, teraz stał się jego nadzorcą. Była to rozpaczliwa sytuacja. Wilki rozdarły na strzępy jego ukochanego chłopca, Chrystian był teraz kimś innym. Nic nie było takie jak przedtem. Chrystian przywitał

219

swojego dawnego nauczyciela, lecz bez serdeczności i ciepła, mówił coś i mamrotał jakby spod warstwy lodu. Wizja, którą skuszono Reverdila do powrotu, ziszczenie wielkiej reformy, tej dotyczącej stavnsbundet, wkrótce zbladła.

Ustały polityczne wpływy Reverdila. Poddaństwo nie ustało.

W trakcie owego zajścia Król został lekko skaleczony.

W dniu kiedy zaszło ów bulwersujący incydent - „incydent z palcem wskazującym”, jak potem go nazywano - tego dnia Struensee, kurierem do Kopenhagi, wysłał dekrety o regionalnych Stacjach Szczepienia Ospy, o finansowaniu Fundacji na rzecz Sierot, szczegółowe rozporządzenia w kwestii zarządzanej teraz wolności wyznania dla Reformowanych i Katolików, prawo zezwalające sektom hennhuckim na swobodne osiedlanie się w Szlezwiku, oraz wytyczne do planów stworzenia duńskiego odpowiednika niemieckich „Real-Schulen”.

Tym razem jeden posłaniec zabierał pracę z całego tygodnia. Wszystko, co się przez tydzień nazywało. W normalnym trybie zwykły posłaniec wyjeżdżał co drugi dzień.

To, co małe, wchodziło, w całkiem naturalny sposób, w skład tego, co wielkie. Małe były reformy. Tym, co wielkie, miał się okazać wskazujący palec.

Brandt był flecistą.

Struensee stykał się z nim w czasach altońskich, zwłaszcza w Aschebergu. To właśnie wtedy wędrowało się na Górę, do chaty Rousseau, czytało się na głos i rozprawiało o czasach, które miały nadejść: gdy ludzie dobrzy obejmą przywództwo i władzę, przepędzi się hydrę reakcji, urzeczywistni się utopię. Brandt z entuzjazmem przyswajał sobie wszelkie nowe idee, ale one zdawały się przysiadac na nim jak motyle; połyskiwały kolorami, odfrwały i wracały, a on zdawał się nimi niewzruszony. Zdobiły go. Ku swej radości odkrył, iż damy w jego otoczeniu są nimi oczarowane, co miało może największe znaczenie.

220

Był zatem, w oczach Struenseego, artystyczną duszą, człowiekiem chwiejnych zasad, lecz godnym miłości.

Oświecenie miało dla niego powab seksualny i nadawało życiu barwy, sprawiało, że jego noce były pełne emocji i urozmaiceń. Oświecenie było w życiu Brandta czymś takim jak włoskie aktorki, czy, przede wszystkim, gra na flecie.

To flet sprawia, myślał Struensee za czasów chaty Rousseau że daje się z nim wytrzymać. Było coś w jego cichym opętaniu fletem, co pozwalało Struenseemu tolerować jego trzpiotowatość. Gra na flecie opowiadała o innym Brandcie; i z czasów altońskich, z wieczorów w chacie w Aschebergu, pamiętał nie trzepotliwe romansowanie Brandta z „polityką” i „sztuką”, lecz ową samotność, którą gra na flecie stwarzała wokół tego młodego oświeceniowca.

Który, z byle powodu, mógł przyjąć byle pogląd za własny.

Byle błysnąć kolorem.

Może to jego gra na flecie, na swój sposób, naznaczyła owo fantastyczne lato 1771.1 coś z tego tonu z Hirschholmu rozprzestrzeniło się. Ton beztroski, swobody i fletu, w to ciepłe i roznamiet-nione lato, pobrzmiwał zmysłowo także w Kopenhadze. Wielkie królewskie parki, zgodnie z dekretem Struenseego, udostępniono zwykłej publiczności. Przybyło rozrywek, co w pewnej mierze wynikało z faktu, że policji zakazano inspekcji burdelów. Wszedł dekret, który położył kres policyjnemu zwyczajowi „wizytowania” po godzinie dziewiątej wieczorem burdelów i knajp, to jest wdzierania się i sprawdzania, czy nie szerzy się tam deprawacja.

Kontroli tych systematycznie używano do szantażowania klientów. Nie chodziło o walkę z występkiem, lecz o dochody policjantów. Płaciło się, na miejscu, by uniknąć aresztowania. Ale ważniejsze dla mieszkańców miasta było uwolnienie parków.

„Profanowanie parków Króla” - to jest nocne współżycie płciowe w przypałacowych parkach Kopenhagi - karane było dotąd utratą kawałka palca, jeśli ktoś nie był w stanie zapłacić na miejscu, co w końcu stało się regułą - wszyscy byli w stanie.

221

Teraz parki zostały otwarte: zwłaszcza Rosenborg Have stał się, w te ciepłe, kopenhaskie letnie noce, fantastycznym ogrodem erotycznych zabaw. Na trawnikach i w krzakach, w ciemnościach, które kryły i wabiły, powstało rozszeptane, roześmiane, pojękujące i swawolne erotyczne miejsce spotkań, choć wkrótce jeszcze większą popularność zdobył sobie Frederiksberg Have, nocami tylko częściowo oświetlony.

Przez trzy wieczory w tygodniu ów park był otwarty specjalnie dla par w maskach.

Proklamowano prawo ludu do maskarad, i to w publicznych parkach, i nocami. W rzeczywistości oznaczało to, iż pod osłoną pewnej anonimowości (maski) można kopu-lować na wolnym powietrzu.

Maski na twarzach, rozwarte łona i szept. Przedtem królewskie parki były zastrzeżone dla dam dworu, które niezmiernie wolno przemierzały je pod swoimi parasolkami. Ale teraz były

otwarte dla publiczności, i to nocami! Nocami!!! Fala chuci runęła na parki, uprzednio święte i zamknięte. Tej przeludnionej Kopenhadze, gdzie w niemożliwie zatłoczonych slumsach wszelkie cielesne pożądanie ścieśnione było w przepelnionych izbach, gdzie rozkosz była słyszalna i ocierała się chutliwie o pożądanie i wstyd innych, całej tej sprasowanej Kopenhadze udostępniono teraz nowe, królewskie terytoria chuci.

Parki, noce, nasienie, zapach żądz.

Było to wyuzdane, skandaliczne, szalenie podniecające, i wszyscy wiedzieli, że to ta zaraza grzechu, która zaczęła się od królewskiego wszeteczeństwa. W istocie winę ponosili Struensee i Królowa. Co za skandal! i co za pokusa!!! Lecz jak długo??? To było tak, jakby nad Kopenhagą zalegał ciężki i ekscytujący, zdyszany oddech: czas! się kończy!!!

Chodziło o to, by korzystać, póki czas. Zanim się znów pojawią kary, zakazy i zrozumiałe oburzenie. To było coś jak wyścig z czasem. To wyuzdanie wkrótce miała ugasić karząca pożoga.

Lecz póki co! tych parę tygodni!! póki co!!!

222

To flet Brandta nadawał ton. Zniknęły pietystyczne zakazy starego reżymu zabraniające balów, widowisk i koncertów w soboty i niedziele, w czas postu i w czas adwentu. Kiedy zresztą cokolwiek było dozwolone? Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zakazy zniknęły.

A w parkach teraz owe cienie, ciała, maski, owa żądza; a pod tym wszystkim tajemniczy flet. 2. Brandt przybył do Hirschholmu trzy dni później niż inni, i ku swojemu przerażeniu dowiedział się, że został wyznaczony na adiutanta Króla.

Niańkę, jak mówiono. Odkrył, że jest osadzony w pałacu, na wyspie, z dala od teatralnych intryg i maskarad, skazany na przypatrywanie się zabawom Chrystiana i jego maniakalne litanie. Wszystko było bez sensu i budziło jego wściekłość. Wszak był Maitre de plaisir! Ministrem kultury! A co w tym było kulturą? Królewski żłobek? Wycieczki na łono przyrody uznał za nazbyt męczące. Miłość Królowej i Struenseego uznał za frustrującą, i pozbawioną wszelkiego znaczenia dla niego samego. Skazany był na rozłąkę ze swymi włoskimi komediantkami. Zabawy Struenseego i Karoliny Matyldy z jej synkiem i ich zachwyty nad córeczką uznał za idiotyczne.

Brakowało mu dworu, Kopenhagi, teatru. Uznał, że jest bezsilny. Jego zadaniem było zabawianie Króla, którego zachowanie było groteskowe, jak zwykle. Został strażnikiem chorego psychicznie monarchy.

Miał większe ambicje. Doszło do konfliktu.

W porównaniu z konsekwencjami, jakie pociągnął za sobą ten incydent, to, co zaszło, było zabawną drobnostką.

Któregoś dnia, podczas lunchu Królowej, Król, który w trakcie posiłku nie uczestniczył w rozmowie, tylko swoim zwyczajem

223

mamrotał do siebie, nagle wstał, wskazał na Brandta, i dziwnie egzaltowanym tonem, jakby był aktorem na scenie, zawołał:

- Teraz solidnie wam przetrzępię łaską skórę, obję was, boście na to zasłużyli! Do was się zwracam, hrabio Brandt, czy pan zrozumiał?

Zapadła cisza; po chwili Struensee i Królowa odciągnęli na bok króla Chrystiana i rozmawiali z nim, żywo gestykulując, jednakże tak, że inni słyszeli, co mówili. Król wybuchnął wtedy płaczem. Potem przywołał gestami, wciąż jeszcze trzęsąc się od płaczu, swego dawnego gubernera Reverdila; wyszli razem do przedpokoju, gdzie Reverdil przemawiał do Króla, uspokajając go i pocieszając. Być może wspierał też Chrystiana, udzielając mu poparcia, Reverdil zawsze bowiem gardził Brandtem, i może uznał, że atak Chrystiana był w jakimś sensie na miejscu.

Tak czy inaczej, Reverdil nie udzielił Królowi admonicji, za co potem poddano go krytyce. Pozostali przy stole ustalili, że Królowi należy się teraz nauczka, aby zapobiec tego typu niemiłym zajściom w przyszłości. Struensee z całą surowością oznajmił Królowi, że Brandt żąda przeprosin i zadośćuczynienia, jako że został publicznie znieważony.

Król tylko zgrzytał zębami, nerwowo skubał się po ciele, i odmawiał.

Później, już po wieczerzy, Brandt wszedł do komnaty Króla. Rozkazał, by Moranti oraz Phebe, dworka Królowej, która się z nim bawiła, oddalili się. Następnie zamknął drzwi i spytał Króla, jaką wybiera broń na pojedynek, który musi być teraz stoczony.

Król przerażony i w śmiertelnym strachu tylko potrząsał głową, po czym Brandt stwierdził, że w takim razie wystarczy pięści. Chrystian, który z ochotą, często, mocował się dla zabawy, był przekonany, że uda mu się wykpić w ten może żartobliwy sposób, lecz Brandta porwała zupełnie niepojęta i zaskakująca furia, bezlitośnie powalił Chrystiana i wyrzaskiwał obelgi pod adresem szlochającego monarchy. Doszło do tego, że zaczęli się mocować na podłodze; a kiedy Chrystian usiłował odpychać

224

go dłońmi, Brandt ugryzł go we wskazujący palec, aż popłynęła krew.

Potem Brandt zostawił na podłodze płaczącego Króla, poszedł do Struenseego i oznajmił, iż otrzymał zadośćuczynienie. Pośpiesznie zwołani dworzanie opatrzyli zraniony palec Chrystiana.

Struensee zakazał wszystkim nadawania tej sprawie rozgłosu. Gdyby ktoś pytał, oficjalne stanowisko miało głosić, że życie Króla nigdy nie było zagrożone, że hrabia Brandt nie usiłował zabić Króla, że Król ma zwyczaj uprawiać na żarty zapasy, że to ćwiczenie dobrze wpływa na kondycję kończyn; ale należy zachować ścisłą dyskrecję o tym, co się wydarzyło. Wszelako do Królowej bardzo stroskany Struensee powiedział:

- Po Kopenhadze krąży plotka, że chcemy zamordować Króla. Jeśli to się rozniesie, będzie źle. Zupełnie nie rozumiem tego Brandta.

Nazajutrz w roli pierwszego adiutanta zastąpił Brandta Re-verdil. Brandt miał tym samym więcej czasu na swoją grę na flecie. Reverdil nie miał za to czasu, by opracować swój plan zniesienia poddaństwa chłopów. Więcej czasu na grę na flecie, co odbiło się na polityce. Brandt zapomniał niebawem o tym epizodzie.

Później miał powód, by sobie przypomnieć.

I. Jesień nadeszła późno tego roku; popołudnia były ciche; przechadzano się, popijano herbatę i czekano.

Tamtym razem, przed rokiem, u schyłku lata w Aschebergs Have, wszystko było takie urzekające, i nowe; próbowano teraz odtworzyć ten stan. To było tak, jakby nad latem i Hirschhol-mem usiłowano umieścić szklany klosz: przeczuwano, iż tam na zewnątrz, w mroku, w duńskiej rzeczywistości, rośnie liczba wrogów. Nie. Wiedziano. Wrogowie byli liczniejsi niż tamtego późnego lata w Aschebergs Have, gdzie istniała jeszcze niewinność. Teraz znajdowali się jakby na scenie, a wokół nich powoli

225

kurczy! się krąg światła; mała rodzina w świetle, a wokół nich mrok, w który nie chcieli wkroczyć.

Dzieci były najważniejsze. Chłopiec miał trzy lata i Struen-see zastosował w praktyce wszystkie zasady wychowania dzieci, jakie sam wcześniej sformułował; to znaczy zdrowie, naturalna odzież, kąpiele, rekreacja na wolnym powietrzu i naturalne zabawy. Dziewczynka miała niebawem pójść w ślady braciszka. Póki co, była jeszcze za mała. Taka cacana.

Dziewczynka była słodka. Dziewczynka wzbudzała powszechne zachwyty. Dziewczynka była jednak, o czym wszyscy wiedzieli, lecz nikt o tym nie mówił, owym centrum, przeciwko któremu zwracała się teraz duńska nienawiść do Struenseego.

Bękart. Otrzymywano wszak raporty. Wszyscy zdawali się wiedzieć.

Struensee i Królowa siadywali często na wąskim trawniku przed lewą flanką pałacu, gdzie wystawiono meble ogrodowe i parasole chroniły od słońca. Mieli stąd dobry widok na park po drugiej stronie. Któregoś wieczoru obserwowali z daleka króla Chrystiana, jak zwykle w towarzystwie pазia Murzynka i psa, jak się przechadza, po drugiej stronie wody, zajęty przewracaniem posągów.

Działo się to w części parku, gdzie stały posągi. Parkowe rzeźby były stałym celem jego napadów furii albo żartów.

Próbowano przytwierdzić posągi sznurami, aby nie dały się wywrócić, lecz bez skutku. Nie miało to sensu. Musiano stawiać je z powrotem po niszczycielskich rajdach Króla, nie usiłując nawet naprawiać uszkodzeń i utraconych części: deformacji, które powstawały, gdy Króla nachodziła melancholia.

Struensee i Królowa siedzieli długo i bez słowa obserwowali jego walkę z posągami.

Wszystko to dobrze już znali.

- Dla nas to nic nowego - powiedziała Karolina Matylda -ale nikt spoza dworu nie powinien tego widzieć.

- Wszyscy i tak wiedzą.

226

- Wszyscy wiedzą, ale nie wolno o tym mówić - powiedziała Karolina Matylda. On jest chory. Mówi się w Kopenhadze, że Królowa Wdowa i Guldberg chcą go zamknąć w domu wariatów. Ale to by znaczyło dla nas koniec.

- Koniec?

- Dziś ten wybraniec Boży obala posągi. Jutro obali nas.

- Tego nie robi - powiedział Struensee. - Lecz bez Chrystiana jestem niczym. Jeżeli naród duński dowie się, że ten wybraniec Boży jest szaleńcem, wtedy nie będzie więcej mógł wyciągnąć swojej ręki w moją stronę, wskazując na mnie, i powiedzieć: TY! TY masz być moją dłońią, i moim ramieniem, i TY masz samowładnie, własną ręką, sygnować prawa i dekrety. On przekazuje Boże namaszczenie. Jeśli nie będzie mógł, wtedy zostanie tylko...

- Śmierć?

- Albo ucieczka.

- Raczej śmierć niż ucieczka - powiedziała wtedy Królowa po chwili milczenia.

Przez wodę dobiegły ich głośnie śmiechy. Moranti gonił teraz psa.

- Taki piękny kraj - powiedziała. - A tacy szpetni ludzie. Mamy jeszcze jakichś przyjaciół?

- Jednego czy dwóch - odrzekł Struensee. - Jednego albo dwóch.

- Czy on naprawdę jest szalony? - spytała wtedy.

- Nie - odpowiedział Struensee. - Ale nie jest człowiekiem wyciosanym z jednej bryły.

- Jak to okropnie brzmi - powiedziała. - Człowiek wyciosany z jednej bryły. Jak jakiś posąg.

Nie odpowiedział. Wtedy dodała:

- A czy ty jesteś?

Zacząła przesiadywać u Struenseego, gdy pracował. Początkowo sądził, że chciała być blisko niego. Potem zrozumiał, że interesuje ją jego praca.

227

Musiał wyjaśniać jej, co pisze. Najpierw to robił z uśmiechem. Później, kiedy zrozumiał, z jaką powagą ona to traktuje, zaczął się przykładać. Któregoś dnia weszła do niego z listą osób, które chciała zwolnić; najpierw się śmiał. Potem mu wyjaśniła. Wtedy zrozumiał. To nie nienawiść ani zazdrość kazały jej sporządzić listę. Dokonała lustracji struktur władzy. Jej analiza wprawiła go w zdumienie.

Przypuszczał, że jej bardzo trzeźwy, bardzo brutalny pogląd na mechanizmy władzy zrodził się na angielskim dworze. Nie, powiedziała, wychowałam się w klasztorze. Więc, gdzie się tego nauczyła? Nie była jedną z tych, o których Brandt zwykł pogardliwie mawiać „intrygantki”. Struensee pojął, że widziała inne struktury niż on sam.

Marzenie o godziwym społeczeństwie opartym na rozumie i sprawiedliwości było jego. Jej obsesją były instrumenty. To właśnie używanie instrumentów nazywała „wielką grą”. Kiedy mówiła mu o wielkiej grze, poczuł się nieswojo. Wiedział dlaczego. To był ton z tamtych rozmów, tamtym razem, wśród błyskotliwych, znamienitych oświeceniowców w Altonie, kiedy pojął, że jest tylko lekarzem, i milczał.

Słuchał, i milczał także teraz.

Pewnego wieczoru przerwała mu, gdy czytał na głos Myśli moralne Holberga i oświadczyła, że to abstrakcje.

Że wszystkie te zasady są słuszne, lecz on musi zrozumieć instrumenty. Że musi widzieć mechanizmy, że jest naiwny. Że jego serce jest zbyt czyste. Ludzie czystego serca są skazani na ztratę. Że nie potrafi wykorzystać szlachty. Musi poróżnić swoich wrogów. Że odebranie Kopenhadze jej administracyjnej autonomii było głupstwem i przysporzyło niepotrzebnych wrogów; on tylko patrzył na nią zdumiony, w milczeniu. Wszelkie reformy, uważała, muszą być skierowane ku czemuś i zarazem przeciw czemuś. Jego dekrety spływają spod pióra, ale brakuje im planu.

Musi wybierać sobie wrogów, powiedziała.

228

Rozpoznał te słowa. Słyszał je już wcześniej. Wzdrygnął się zaszokowany, i spytał, czy rozmawiała z Rantzauem.

- Poznaję te słowa - powiedział. - Nie wzięły się chyba z powietrza.

- Nie - odpowiedziała - ale być może on dostrzegł to samo, co ja.

Struensee poczuł się skonfundowany. Angielski poseł Keith powiedział do Brandta, iż dobrze wie, że „Najjaśniejsza Pani teraz sama sprawuje władzę przez Ministra”. Brandt przekazał to dalej. Czyżby to była prawda, której nie chciał uznać? Któregoś dnia wydał dekret, wedle którego kościół na Amaliegade miał być opróżniony i zamieniony na szpital dla kobiet; i nie spostrzegł prawie, że to był jej projekt. To był jej projekt, on go sformułował i podpisał, i wydawało mu się, że jest jego własny. Lecz był to jej projekt.

Czyżby utracił kontakt z rzeczywistością i kontrolę? Nie miał pewności. Nie chciał tego uznać. Siedziała naprzeciw niego przy biurku, słuchała, i komentowała.

Muszę nauczyć cię wielkiej gry, mawiała do niego czasami, wiedziała bowiem, że nie znosi tego wyrażenia. Kiedyś przypomniał, na pozór żartobliwie, jej dewizę: O, keep me innocent, make others great.

- To było wtedy - powiedziała. - To było onegdaj. To było tak dawno.

„Onegdaj” zwykła często mówić, w swoim dziwnym języku. Wiele rzeczy było „onegdaj”.

4. Jak nieskończenie cichy zrobił się ten pałac. Było tak, jakby cisza pałacu, jeziora i parków stała się częścią wewnętrznej ciszy Struenseego.

Siadywał często przy łóżku dziewczynki, kiedy spała, i patrzył na jej twarzyczkę. Taką niewinną, taką piękną. Jak długo miało to trwać?

229

- Co ci jest? - rzuciła niecierpliwie w jego stronę Karolina Matylda któregoś wieczoru. - Zrobiłeś się taki cichy.

- Nie wiem.

- Nie wiesz?!!

Nie potrafił wytłumaczyć. Kiedyś marzył o tym, by móc wszystko zmienić, dzierżyć wszelką władzę; ale teraz życie się uciszyło. Może tak jest, gdy się umiera. Starczy porzucić wszystko, zamknąć oczy.

- Co ci jest? - powtórzyła.

- Nie wiem. Czasami marzy mi się, żeby tylko spać. Po prostu zasnąć. Umrzeć.

- Marzysz o tym, by umrzeć? - powiedziała ostrym tonem, którego wcześniej u niej nie słyszał. - Ale ja nie. Ja jeszcze jestem młoda.

- No, wybacz.

- Ja tak naprawdę - powiedziała, jak gdyby powściągnając wybuch furii - dopiero co zaczęłam żyć!!!

Nie umiał znaleźć odpowiedzi.

- Zupełnie cię nie rozumiem - powiedziała wtedy.

Tego dnia wkraść się między nich cień zniechęcenia, który ulotnił się wszelako, gdy się znaleźli w sypialni Królowej.

Kochali się.

Kiedy kochali się pod koniec tego lata, często zdarzało się, że zaraz potem chwycił go niezrozumiały niepokój. Nie miał pojęcia, co to jest. Wstał z posłania, rozsunął w oknie draperie, wyjrzał na wodę. Słyszał dźwięk fletu, i wiedział, że to Brandt. Dlaczego zawsze pragnął wyrzec, wybiec daleko wzrokiem, po tym jak się kochali? Tego nie wiedział. Nos przyklejony do szyby; był ptakiem, który chce wylecieć? Nie miał prawa. Musiał dopełnić. Zostało może dwóch przyjaciół. Jeden lub dwóch. Ucieczka albo śmierć. Pan Voltaire też był naiwny.

- O czym myślisz? - spytała. Nie odpowiedział.

230

- Ja wiem - powiedziała. - Jesteś z siebie dumny. Wiesz, że jesteś fantastycznym kochankiem. O tym myślisz.

- Niektórzy to potrafią - powiedział rzeczowo - ja zawsze umiałem.

Zbyt późno sam usłyszał, co powiedział, i pożałował tych słów. Lecz ona słyszała, rozumiała sens, i najpierw nic nie powiedziała. Potem rzekła:

- Jesteś jedynym, jakiego miałam. Więc nie mam z czym porównywać. To jest różnica.

- Wiem.

-Z wyjątkiem tego szaleńca. Zapomniałam. Ja w pewnym sensie go kocham, wiesz?

<

Obserwowała jego plecy, żeby zobaczyć, czy go to dotknęło, ale niczego nie dostrzegła.

Miała nadzieje, że go tym urazi. Byłoby tak zabawnie, gdyby poczuł się dotknięty.

Brak odpowiedzi.

- On nie jest taki doskonały jak ty. Nie taki fantastyczny. On wcale nie był takim złym kochankiem, jak ci się zdaje. Obraziłeś się teraz? On był jak dziecko, tamtym razem. To było prawie... podniecające. Obraziłeś się?

- Mogę pójść sobie, jeśli chcesz. -Nie.

- Ale ja chcę.

- Kiedy ja zechcę, żebyś poszedł - powiedziała tym samym cichym i przyjaznym tonem - wtedy zechcesz. Ale nie wcześniej. Ani chwilę wcześniej.

- Czego chcesz? Słyszę to w twoim głosie. O co chodzi?

- Chcę, żebyś tutaj przyszedł.

Stał w miejscu, wiedząc, że nie chce się ruszyć, ale że jednak być może to zrobi.

- Chcę wiedzieć, o czym myślisz - powiedziała po długim milczeniu.

- Myślę, że kiedyś wydawało mi się, że mam kontrolę. Teraz już mi się tak nie zdaje. Gdzie to się podziało.

231

Nie odpowiedziała.

- Pan Voltaire, z którym ja także wymieniałem parę listów - zaczął - otóż pan Voltaire uważał, że mogę być tą iskrą. Która roznieci pożar prerii. Gdzie to się podziało.

- Roznieciłeś go we mnie - powiedziała. - We mnie. I teraz razem będziemy płonąć. Chodź.

- Wiesz o tym - odrzekł wtedy - wiesz o tym, że jesteś silna? I czasem się ciebie boję.

J. Najlepiej było, kiedy Chrystian mógł bawić się w świętym spokoju.

Ci, którzy mogli bawić się w świętym spokoju, to byli Chrystian, paź Murzynek Moranti, mała Phebe, i pies. Bawili się w sypialni Króla.

Łoże było bardzo szerokie, starczyło miejsca dla całej czwórki. Chrystian owinął Morantiego w prześcieradło, które go całkiem zakrywało; bawili się w dwór.

Moranti był królem. Miał sobie siedzieć zawinięty u wezglowia, z zupełnie zasłoniętą twarzą, miał być spowity jak w kokon, a po przeciwnej stronie, w nogach łoża, siedzieli Chrystian i Phebe, i pies. Mieli przedstawiać dwór i wysłuchiwać poleceń i rozkazów.

Moranti wydawał rozkazy i polecenia. Dwór bił pokłony.

To było takie zabawne. Wszyscy zrzucili z siebie peruki i garderobę i siedzieli ubrani jedynie w koronkową bieliznę.

Spod prześcieradła dobiegały przytłumione słowa i polecenia. Dwór wtedy kłaniał się tak śmiesznie. Wszystko było takie wesołe.

Najlepiej było, kiedy było właśnie tak.

17 września, gdy za dnia Chrystian i jego towarzysze bawili się w najlepsze w Króla i jego śmieszny Dwór, przyjechał do Hirsch-holmu kurier z Kopenhagi, przywożąc przesyłkę z Paryża.

232

Przesyłka zawierała odę pana Voltaire'a na cześć króla Chrystiana siódmego. Owa oda miała być potem opublikowana jako list 109, zyskać rozgłos i zostać wydana w wielu językach. Ale tym razem wiersz był napisany odręcznie, składał się ze 137 wersów i nosił tytuł O wolności prasy.

Ale był skierowany do Chrystiana, i był odą na jego cześć. Asumpt do ody dały wieści, które doszły do Voltaire'a, o tym, że duński król wprowadził w Danii wolność słowa.

Poeta nie mógł wszak wiedzieć, że Chrystian pograżył się w innym wielkim śnie, nie o wolności, tylko o ucieczce, że chłopiec, który bawił się swoimi małymi żywymi lalkami, nie był świadomy reformy przeprowadzonej przez Struenseego, i że skądinąd skutkiem owej nowo zdobytej wolności słowa było tylko mnóstwo pamfletów, inspirowanych i kierowanych przez reakcję, która planowo teraz pracowała nad kampanią obrzucającą błotem Struenseego. W atmosferze swobody, jaka obecnie panowała, pamflety atakowały rozwiążłość Struenseego i dostarczały pożywki dla pogłosek o jego grzesznych nocach z Królową.

Nie temu miała służyć wolność. Lecz Struensee nie chciał się cofnąć. I stąd ów zalew nieczystości skierowanych przeciwko niemu samemu. A ponieważ to wszystko nie było wiadome panu Voltaire'owi, pan Voltaire stworzył wiersz o Chrystianie. O słusznym zasadach, którym Voltaire hołdował, a które przydały splendoru duńskiemu królowi.

Wszystko wyszło tak pięknie tego wieczoru w Hirschholmie.

Dopilnowano, aby Chrystian przerwał swoje zabawy i aby został ubrany; potem zebrano się na wieczór recytacji. Najpierw Struensee przeczytał wiersz wszystkim zebranych. I wszyscy potem bili brawo, i z sympatią patrzyli na Chrystiana, który był zawstydzony, lecz się cieszył. Później proszono samego Chrystiana o przeczytanie wiersza. I początkowo nie chciał. Ale potem ustąpił, i przeczytał odę Voltaire'a; czytał swoją wytworną, świetną francuszczyzną, powoli i ze swymi specjalnymi akcentami.

233

Monarque vertueux, qu'oique ne despotique, crois-tu regner sur moi de ton golfe Baltique?
Suis-je un de tes sujets pour me traiter comme eux, Pour consoler ma vie, et me rendre
heureux?

Monarcho prawy, choć wychowany na despotę, czy znad Bałtyku swego rządzić mną miałbyś ochotę? Mam zostać jednym z twych poddanych, by jak oni zaznać pociechy, być uszczęśliwiony?

To było tak pięknie napisane, Voltaire wyrażał swoją radość z tego, że oto na Północy panuje teraz wolność słowa, oraz że ludzkość składa teraz podziękowanie jego głosem.

Des deserts du Jura ma tranquille vieilllesse ose sefaire entendre de ta sage jeunesse; et libre avec respects, hardi sans etre vain, je mejette a tes pieds; au nom du genre humain. Ilparle par ma voix.

W pustkowiach Jury, gdzie dozywam lat starosci, dobiegl mnie mlody glós twojej mądrości; i wolny, więc z respektem, śmiały, bez próżności, do stóp twych padam, w imieniu ludzkości. Ona to mówi moim głosem.

I tak się ciągnął dalej ten długi, piękny wiersz o niedorzeczności cenzury i o znaczeniu książek, o tym, że mogą one zasiewać strach w sercach władców, a z drugiej strony, że cenzura jest bezradna, nigdy nie może bowiem sama zrodzić żadnej myśli. I że zwycięskiej myśli nie da się uśmiercić. Est-il bon, tous les vis ne peuvent l'ecraser! (Jeśli książka jest dobra, wszyscy królowie razem wzięci jej nie zmożą!). Jeżeli myśl jest gdzieś prześladowana, 234

to mimo to wynurza się zwycięska w innym miejscu. Znienawidzona w jednym kraju, jest podziwiana w innym.

Qui, dufond de son puits tirant la Verite, a su donner une ame au public hebete? Les livres ont toutfait.

Kto umiał Prawdę wyjąć z dna studni omszałej, stawiając ją przed oczy tłuszczy osłupiałej? Wszystko to uczyniły książki.

Chrystianowi drżał głos, gdy wreszcie doczytał do końca. A wtedy znów mu bili brawo, bardzo długo.

A Chrystian znowu usiadł, pośród nich, i był taki szczęśliwy; patrzyli na niego z sympatią, nieomal z miłością, a on był taki zachwycony.

Z pałacowego balkonu, prawie każdego wieczoru tego lata, rozlegały się dźwięki fletu. To był Brandt, flecista.

To był ton szczęścia i wolności tego lata. Flet w pałacu Hirschholm, w tym fantastycznym letnim pałacu, który żył tylko przez to jedno lato. Coś miało się być może zdarzyć, ale jeszcze nie. Wszystko czekało. Flecista, ostatni z przyjaciół, grał dla nich wszystkich, chociaż ich nie widział.

Król się bawił. Królowa pochylona nad dzieckiem, w czułym geście. Struensee, cichy i zamknięty w swym odosobnieniu, ptak koniuszkami skrzydeł oparty o okno, ptak, który prawie się poddał.

Rozdział 13

Bunt marynarzy

1. Nie, w odzie pochwalnej Voltaire'a nie było wcale nic śmiesznego. To jeden z najpiękniejszych hymnów na cześć wolnego słowa, jakie napisano.

Ale akurat do Chrystiana? Wszędzie szukano przecież iskry, która miała rozniecić pożogę.

Już w 1767 Voltaire napisał do niego, że „od tej pory to na północ trzeba jechać w poszukiwaniu myśli kształtujących wzorce; i gdyby tylko moja słabość i nadwątlone zdrowie nie stały mi na przeszkodzie, zadośćuczyniłbym pragnieniu mego serca, jadąc do Was, by się pokłonić i paść do stóp Waszej Wysokości”.

Voltaire u stóp Chrystiana. Lecz taka była sytuacja. Takie były warunki. Młodzi północni monarchowie stanowili niespodziewane, lecz kuszące możliwości. Także ze szwedzkim następcą tronu, przyszłym królem Gustawem trzecim, encyklopedyści pozostawali w kontakcie. Gustaw cieszył się admiracją Diderota, czytał wszystkie dzieła Voltaire'a; małe królestwa na północy były dziwnymi niewielkimi ogniskami oświecenia. A raczej, mogły być.

Bo na co mogli mieć nadzieję filozofowie oświecenia na swym wygnaniu w Szwajcarii czy w Sankt Petersburgu? Z książkami, które im palono, i z dziełami, które im wciąż cenzurowano. Wolność słowa i wolność druku były wszak kluczowe.

I oto istnieli owi, dziwnie przejęci, młodzi monarchowie w tych małych zacofanych społeczeństwach na północy. Wolność słowa zaprowadzono nagle w Danii. Czemuz więc pan

Voltaire,

236

bez przerwy narażony na ataki i prześladowany, nie miał napisać desperackiej, pełnej nadziei ody?

Nie mógł wszak wiedzieć, jak w istocie wyglądała sytuacja.

2. Jesienią 1771 przysłała reakcja. Nadeszła kilkoma falami.

Pierwszą falą był bunt norweskich marynarzy.

Zaczął się od tego, że przygarbiony, chudy szwajcarski guwerner Reverdil udzielił Struenseemu pewnej rady, która tyczyła się rozwiązania problemu algierskiego. Reverdil to, mimo wszystko, rozsądny człowiek, zwykł myśleć Struensee. Tylko jak wykorzystać rozsądnych w tym domu wariatów? Do pilnowania chorych?

To był błąd - obsadzenie Reverdila w roli nadzorca Chrystiana. Ale Król nienawidził teraz Brandta. Ktoś musiał sprawować nadzór. Cóż mieli począć.

Stanęło na Reverdilu.

Reverdil posiadał jednak wiedzę o domu wariatów, której czasami można było użyć, także owego późnego lata 1771 w Hirsch-holmie. Zlecono mu, by „w sposób zwięzły i klarowny” zdał sprawę z problemów powstałych wskutek algierskiej awantury, i by przedstawił ich możliwe rozwiązania. Ale problemy wokół „algierskiej awantury” przez te miesiące narastały lawinowo, nic już nie było jasne i klarowne, z wyjątkiem logiki domu wariatów.

Wszak Struensee otrzymał katastrofę w spadku. Na długo, zanim przyszedł jego czas, wyposażoną świetnie duńską flotę wysłano do Algieru. Wypowiedziano wojnę. Mijał rok za rokiem. Aż w końcu katastrofa stała się dla wszystkich oczywista. Kiedy konsyliarz zjawił się z wizytą, to katastrofa już tam była, on ją odziedziczył. Jasny blask rozumu przyćmiony był blaskiem szaleństwa. Struensee czuł się bezsilny.

Logicznie biorąc, w tym domu wariatów, zdawało się, że Dania wypowiedziała wojnę Algierii, i że wysłała flotę na Morze

237

Śródziemne. Logika ta już dawno poszła w zapomnienie, ale to było coś, co dotyczyło politycznej wielkiej gry, Turcji i Rosji. Logiczne było też, że to szaleńcze przedsięwzięcie skończyło się fiaskiem.

Wnioski z raportów Reverdila, sprawę znał od dawna i był szczęśliwy, mogąc na parę dni uwolnić się od towarzystwa Chrystiana, były ponure. Cóż począć?!! Poza zatopionymi okrętami, stratami w ludziach, gigantycznymi kosztami, które groziły narastaniem długów państwa i podkopaniem wszelkich reform; poza tym wszystkim była gorycz, że to przejęte w spadku szaleństwo może zachwiać wszystkim.

Przejrzyście raporty Reverdila były bezlitosne.

Sytuacja wyglądała teraz tak, że niewielka duńska eskadra pozostawała na Morzu

Śródziemnym, pod komendą admirała Hooglandta. Były to resztki dumnej floty, która ongiś wypłynęła. Zadaniem owej floty było teraz ściganie algierskich korsarzy, w oczekiwaniu na posiłki. Owe posiłki, które miały ratować honor duńskiej floty, miały wypłynąć z Kopenhagi, ale najpierw należało je zbudować. Budować miano w stoczni Holm. Owa nowo zbudowana eskadra miała składać się z wielkich liniowców oraz galiotów uzbrojonych w solidne działa i moździerze, którymi można by bombardować Algier. W skład eskadry, wedle dowództwa marynarki, miało wchodzić przynajmniej dziewięć liniowców, nie licząc fregat, szebek i galiotów.

Aby zbudować niezbędne okręty, dokonano w Norwegii zaciągu sześciuset marynarzy. Ci od pewnego czasu oczekiwali beczynnie w Kopenhadze na sygnał do startu. Stopniowo rosła wśród nich irytacja. Nie dostawali wypłaty. Kurwy liczyły sobie słono, a bez wypłaty nie

mieli kurew. Darmowa gorzałka nie uśmierzyła ich nastrojów, spowodowała za to spore szkody w kopenhaskich gospodach.

Norwescy marynarze byli poza tym bardzo oddani Królowi, zgodnie z tradycją nazywali duńskiego monarchę „Ojczulkiem”, i nauczyli się w Norwegii używać tego pojęcia jak mitycznego

238

zakłęcia, grożąc lokalnym władzom norweskim ingerencją władzy centralnej.

Norweskich marynarzy wzburzyły pogłoski, że Niemiec Struensee uwięził Ojczulka Chrystiana. Nowo wydane, i liczne, krążące swobodnie pamflety także zrobiły swoje. Święte łoże Ojczulka było zbezczeszczone. Wszystko dokoła było katastrofą. Brak pracy. Kurwy niechętne. W końcu i głód zaczął zaglądać w oczy. Nie było kurew ani wypłat, ani pracy, Ojczulek w niebezpieczeństwie; ich wściekłość narastała.

Reverdil zajął jednoznaczne stanowisko, radził wycofać się z algierskiej awantury. Struensee usłuchał. Odwołano budowę liniowców. Lecz marynarze pozostali, i nie dawali się odtransportować do Norwegii.

To z nimi utrzymywał kontakt Guldberg. W październiku zdecydowali się ruszyć pochodem na Hirschholm.

Nie ulegało żadnej wątpliwości: raporty przedstawiały się ponuro, koniec zdawał się bliski. Wieści o marszu zbuntowanych marynarzy natychmiast dotarły do Hirschholmu. Struensee wysłuchał ich w milczeniu, a potem poszedł do Królowej.

- Za cztery godziny tu będą - powiedział. - Zabiją nas. Mamy piętnastu żołnierzy do obrony, ładne mundury, ale niewiele poza tym. Prawdopodobnie już uciekli. Nikt nie przeszkodzi marynarzom nas tu zabić.

- Co robimy - spytała.

- Możemy uciec do Szwecji.

- To tchórzostwo - powiedziała. - Ja się nie boję śmierci, i nie zginę.

Patrzyła na niego wzrokiem, który sprawił, że atmosfera między nimi stała się napięta.

- Ja też się śmierci nie boję - odpowiedział.

- To czego się boisz. Odpowiedź znał, ale zmilczał.

239

Zauważył, że słowo „lęk”, albo „strach”, stale się teraz pojawiało w ich rozmowach. Było coś w „strachu”, co miało związek z jego dzieciństwem, bardzo dawno temu, „onegdaj”, jak mawiała w swej osobliwej duńszczyźnie.

Dlaczego słowo „strach” zjawiało się tak często właśnie teraz? Czy to wspomnienie bajki, którą czytał jako dziecko, o chłopcu, co wyruszył w świat, by poznać strach?

To była bajka, to pamiętał. Opowiadała o mądrym człowieku, inteligentnym humaniście, którego paraliżował strach. Lecz ten inteligentny chłopiec miał brata. Co było z tym bratem? Brat był głupi i był człowiekiem czynu. Ale nie wiedział, co to strach. Był pozbawiony zdolności odczuwania strachu. To on był bohaterem bajki. Wyruszył w świat, by się nauczyć, co to strach, lecz nic nie było w stanie go przerazić.

Był nietykalny.

Czym był „strach”? Czy to zdolność widzenia, co jest możliwe, i niemożliwe? Czy to wrażliwe czułki, czy to sygnały ostrzegawcze w jego wnętrzu, czy paraliżujące przerażenie, które, jak przeczuwał, miało obrócić wniwecz wszystko?

Powiedział, że się nie boi śmierci. I zaraz spostrzegł, że ją ogarnia furia. Nie uwierzyła mu, w tej nieufności było coś z pogardy.

- Właściwie tęsknisz za tym, żeby umrzeć - powiedziała wtedy, całkiem niespodziewanie. -

Ale ja nie chcę umrzeć. Jestem za młoda, by umierać. I ja nie tęsknię. I ja się nie poddałam.

Uznał, że to niesprawiedliwe. I wiedział, że dotknęła bolesnego punktu.

- Musimy się szybko zdecydować - rzekł, ponieważ nie chciał odpowiadać.

To tylko ludzie wyciosani z jednej bryły nie potrafili czuć strachu. Ten głupi brat, który nie wiedział, co to lęk, pokonał cały świat.

Ludzie czystego serca byli skazani na zaturę.

Podjęła szybką decyzję za nich oboje.

240

- Zostajemy tutaj - powiedziała krótko. - Ja tu zostaję. Dzieci tu zostają. Ty zrobisz, jak zechcesz. Uciekaj do Szwecji, jak chcesz. Właściwie dawno już miałeś ochotę uciec.

- To nieprawda.

- To zostań.

- Zamordują nas.

- Otóż nie.

Opuściła następnie komnatę, by zaplanować przyjęcie zrewoltowanych marynarzy.

D. Struensee myślał później, że było to najbardziej upokarzające z jego przeżyć. Nic z tego, co się wydarzyło potem, nie było równie okropne.

A przecież wszystko przebiegło tak gładko.

Królowa Karolina Matylda przeszła ze swoją świtą przez most i za przyczółkiem mostu powitała zrewoltowanych marynarzy. Wygłosiła do nich mowę. Wywarła na nich przemożne wrażenie, uroczą i czarującą. Podziękowała im serdecznie za przybycie i wskazała na króla Chrystiana, który, oniemiały, stał trzy kroki za nią, trzęsąc się ze strachu, ale zupełnie cicho i bez właściwych sobie spazmów czy teatralnych gestów; w jego imieniu podała ekskuzę, tłumacząc, iż ból gardła i silna gorączka nie pozwalają mu do nich przemówić.

O Struenseem nie napomknęła ani słowem, lecz była nader czarująca.

Zapewniła ich o łasce i przychylności Króla, zdementowała stanowczo pogłoski, jakoby statków nie miano budować. Król już przed trzema dniami zdecydował, iż dwa nowe liniowce mają być zbudowane w stoczni Holm, by wzmocnić flotę przeciwko wrogom kraju, wszystko inne było wysaną z palca plotką. Wyraziła ubolewanie z powodu zwłoki w wypłatach, użaliła się nad ich głodem i pragnieniem po tak długim marszu, oznajmiła, że w oficynach przygotowano właśnie dla nich poczęstunek

241

złożony z wieprzów pieczonych na rożnie i piwa, życzyła im smacznego, i zapewniła ich, iż jej marzeniem było odwiedzić kiedyś piękną Norwęgę z jej, jak głosiła fama, „porywającymi” górami i dolinami, o której tyle ongiś jej opowiadano.

Albo „onegdaj”, jak się wyraziła.

Marynarze wzniesli gromkie wiwaty na cześć królewskiej pary i poszli raczyć się posiłkiem.

- Oszalałaś - powiedział jej - dwa nowe liniowce, nie ma pieniędzy, nawet na ich wypłaty.

Zamki na piasku, to przecież niemożliwe. Oszalałaś.

- Nie oszalałam - powiedziała wtedy. - I jestem coraz mądrzejsza.

On siedział z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Nigdy nie czułem się tak upokorzony - rzekł. - Musisz mnie upokarzać?

- Nie upokarzam cię - odpowiedziała.

- Upokarzasz - rzekł.

Z brzegu po drugiej stronie dobiegały ich dzikie wrzaski coraz bardziej pijanych zbuntowanych norweskich marynarzy, którzy teraz już nie byli zbuntowani, tylko oddani królowi. Stru-enseego tu nie widzieli. Może go wcale nie było. Zapowiadała się długa noc. Piwa było pod dostatkiem, nazajutrz mieli wracać, rewolta była stłumiona.

Usiadła wtedy obok niego i wolno pogładziła jego włosy.

- Ale przecież cię kocham - wyszeptowała. - Kocham cię tak nieprzytomnie. Lecz nie zamierzam się poddać. Dać się zabić. I zrezygnować z nas. To tylko to. Tylko, tylko to. Tylko to. Nie zamierzam z nas zrezygnować.

4. Guldberg przekazał informację o rezultacie rewolty Królowej Wdowie, która słuchała go z kamienną twarzą, i Księżciu Fryderykowi, który ślinił się swoim zwyczajem.

242

- Nie powiodło wam się - powiedziała Guldbergowi. - I chyba pomyliliśmy się w rachubach. Ta mała angielska kurewka jest twardsza, niż nam się zdawało.

Niewiele było do dodania, Guldberg wymijająco stwierdził tylko, że Bóg jest po ich stronie i z pewnością im pomoże.

Długo siedzieli w milczeniu. Guldberg spoglądał na Królową Wdowę. Jeszcze raz wstrząsnęła nim jej niepojęta miłość do syna, którego dłoń trzymała cały czas, jakby nie chciała go wypuścić. To było niepojęte, ale ona go kochała. I rzeczywiście uważała, z niezłomną, zimną desperacją, która budziła w nim lęk, że ten upośledzony syn miał być Bożym wybrańcem, że miał otrzymać wszelką władzę nad tym krajem, że można było nie zważać na jego nędzną posturę, jego zdeformowaną głowę, jego podrygi, jego żalną wyuczoną paplaninę, jego piruety; było tak, jakby zupełnie nie zważała na te zewnętrzne pozory, i widziała jakieś wewnętrzne światło, któremu, jak dotąd, nie pozwolono się objawić.

Widziała, że Boży płomień płonął w tej niepozornej powłoce, że on jest Bożym wybrańcem, i że ich zadaniem było teraz tylko utorować mu drogę. Tak aby światło mogło się objawić.

Jakby usłyszała i zrozumiała jego myśli, pogładziła dłonią po policzku Księcia, spostrzegła, że jest lepki, wyjęła koronkową chusteczkę, otarła mu z brody ślinę, i powiedziała:

- Tak. Bóg nam dopomoże. A ja widzę Boże światło także w jego mizernej postaci.

Guldberg zachłysnął się powietrzem, porażony. Boże światło w owej mizernej postaci.

Mówiła o swoim synu. Lecz wiedział, że to dotyczyło także jego. Owi ostatni, ci najmniejsi z ludzi, nosili w sobie Boże światło.

Guldberg zachłysnął się powietrzem, to brzmiało jak szloch; lecz przecież nie mógł to być szloch.

Obaczył się. I zaczął referować dwa plany, które wymyślił, i które miały być wypróbowane, jeden po drugim, gdyby rewolta marynarzy okazała się chybiona, co już niestety było faktem;

243

ale wówczas owi najmniejsi i najbardziej niepozorni, którzy nosili w sobie jednak Boże światło, mieli prowadzić dalej swoją walkę w imię czystości.

5. Tego samego wieczoru do Hirschholmu wysłano Rantzaua, aby zrealizować mały plan, ten, który miał zastąpić bunt norweskich marynarzy.

Był on bardzo prosty; zdaniem Guldberga proste plany czasami mogły być skuteczne, te, w których brało udział bardzo mało osób; bez koncentracji wojsk, bez tłumów, tylko paru wybranych.

Ów prosty plan obejmował dwóch przyjaciół Struenseego, Rantzaua i Brandta.

Spotkali się potajemnie w pewnej oberży, dwa kilometry od Hirschholmu. Rantzau tłumaczył, że sytuacja jest krytyczna, koniecznie trzeba coś przedsięwziąć. Zakaz pędzenia samogonu, sam w sobie może i mądry, był jednak głupim posunięciem. Lud demonstrował teraz na ulicach. Obalenie Struenseego to była tylko kwestia czasu. Panował chaos, wszędzie pamflety, satyry, drwiny ze Struenseego i Królowej. Wszędzie wrzało.

- Jemu się zdaje, że reprezentuje lud - powiedział gorzko Brandt - a oni go nienawidzą.

Wszystko, co zrobił, to dla nich, a oni go nienawidzą. Lud pożera swoich dobroczyńców.

Jednak zasłużył sobie na to. Chciał wszystko zrobić naraz.

- Zniecierpliwienie dobrych ludzi - odrzekł Rantzau - jest gorsze niż cierpliwość złych.

Wszystkiego!, wszystkiego go nauczyłem. Tylko nie tego.

Rantzau przedstawił potem plan. Brandt miał oznajmić Królowi, że Struensee i Królowa planują go zabić. Dlatego trzeba go ratować. Król był kluczem. Gdyby się znalazł w Kopenhadze, poza kontrolą Struenseego, cała reszta byłaby prosta.

- A co potem?

- Potem Struensee musi umrzeć.

244

Nazajutrz plan nie wypalił; to, co zaszło, było tak absurdalnie komiczne, że nikt nie mógł brać tego w rachubę.

Wydarzyło się, co następuje.

Około piątej po południu Król, z niewyjaśnionych przyczyn, dostał napadu wściekłości, wybiegł na most łączący wyspę z brzegiem i krzyczał, że chce się utopić; gdy nadbiegł Struensee, padł nagle na kolana, objął za nogi Struenseego i zachłystując się od płaczu, pytał, czy prawdą jest, iż musi umrzeć. Struensee usiłował go ukoić, głaszcząc po czole i ciemieniu, lecz wtedy Chrystian wpadł w jeszcze większą histerię i stale pytał, czy to prawda.

- Co Wasza Wysokość ma na myśli - zapytał Struensee.

- Czy to prawda, że chce mnie pan zabić? - spytał jęklwym głosem Król. - Nie jest pan jednym z Siedmiu? Proszę powiedzieć, nie jest pan jednym z Siedmiu?

Od tego się zaczęło. Stali we dwóch na środku mostu. A Król przyzywał jego imię, raz za razem.

- Struensee? - szeptał - Struensee Struensee Struensee?

- Co takiego, przyjacielu? - powiedział wtedy Struensee.

- Czy to jest prawda, co mi zwierzył Brandt?

- Cóż on takiego Wam zwierzył?

- On chce mnie wywieźć po kryjomu do Kopenhagi. Po zapadnięciu zmroku. Dziś wieczorem!!! Żeby pan nie mógł mnie zabić. Potem chcą pana zabić. Czy to prawda, że chce mnie pan zabić?

Tym to sposobem ów mały, bardzo prosty plan spalił na panewce. Nie rozumieli, że Struensee należy do kręgu Siedmiu. Nie rozumieli też innej zależności; dlatego plan nie wypalił, dlatego okazali swą naiwność, dlatego wola Króla udaremniła ich zakusy.

Jedynie Struensee zrozumiał, ale dopiero wtedy, gdy zapytał:

- Czemu mówicie mi o tym, skoro sądzicie, że pragnę Was zabić?

Na to Chrystian rzekł tylko:

245

- Brandt był wrogiem Kasi Kamaszniczki. Oczerniał ją, obrzucał błotem. A ona jest Panią Wszechświata. Dlatego go nienawidzę.

W ten oto sposób spalił na panewce drugi plan.

Wezwał Brandta na przesłuchanie, a ten natychmiast się przyznał.

Brandt, chociaż nikt mu tego nie nakazał, padł na kolana.

Tak wyglądała sytuacja w komnacie z lewej strony gabinetu Struenseego w pałacu Hirschholm. Był późny dzień listopadowy: Brandt klęczał z pochyloną głową, a Struensee stał odwrócony do niego plecami, jak gdyby nie był w stanie patrzeć na poniżenie przyjaciela.

- Powinienem kazać cię zabić - powiedział. - Wiem.

- Rewolucja pożera swoje dzieci. Ale jeżeli pożre także ciebie, to nie zostanie mi już nikt z przyjaciół.

-Nie.

- Nie chcę cię zabijać.

Nastąpiła długa cisza; Brandt ciągle pozostawał na kolanach, i czekał.

- Królowa chce - powiedział potem Struensee - jak najszybciej wracać do Kopenhagi. Żadne z nas nie żywi zbyt wiele nadziei, ale ona chce wracać. Królowa ma takie życzenie. Ja nie mam innych życzeń. Pojedziesz z nami?

Brandt nie odpowiedział.

- Jak cicho się zrobiło wokół nas - powiedział wtedy Struensee. - Jeżeli chcesz, możesz nas opuścić. Możesz pojechać do... Guldburga. I Rantzaua. Nie będę miał ci tego za złe.

Brandt na to nic nie odpowiedział, lecz począł gwałtownie szlochać.

- To jest rozdroże - rzekł Struensee. - Stanałeś, jak to mówią, na rozdrożu. Co wybierasz?
Tu nastąpiła bardzo długa cisza, potem Brandt podniósł się powoli.

246

- Pojadę z tobą - powiedział.

- Dziękuję. Zabierz swój flet. I zagraj dla nas w karocy.

Nim, następnego wieczoru, wsiedli do powozów, zebrali się na chwilę rozmowy, przy herbacie, w wewnętrznym salonie.

Zapalono ogień w kominku, ale poza tym żadnych świateł. Byli gotowi do podróży. Był król Chrystian siódmy, była królowa Karolina Matylda, był Enevold Brandt, i Struensee.

Jedynie światło z kominka.

- Gdyby nam było dane inne życie - zapytał w końcu Struensee - gdybyśmy mieli dostać nowe życie, nową szansę, kim wtedy chcielibyśmy być?

- Malarzem witraży - powiedziała Królowa. - W jakiejś katedrze w Anglii.

- Komediantem - odpowiedział Brandt.

- Człowiekiem, co sieje na roli - rzekł Król. Potem zapadła cisza.

- A ty? - zwróciła się Królowa do Struenseego - kim chcesz być? Ale on spoglądał tylko długo, po kolei, na twarze przyjaciół,

w ów ostatni wieczór w Hirschholmie, podniósł się i powiedział:

- Lekarzem. A później:

- Powóz już zajeżdżał.

Tej samej nocy jechali do Kopenhagi.

Siedzieli wyszyscy czworo w jednej karocy: Król, Królowa, Brandt i Struensee.

Pozostali mieli udać się za nimi później.

Sylwetka powozu w mroku nocy.

Brandt grał na swoim flecie, bardzo cicho i łagodnie, to było jak msza żałobna lub elegia, lub, dla jednego z nich, jak hymn na cześć Pani Wszechświata.

Część V

MASKARADA

0^

Rozdział 14

Ostatnia wieczerza

1. Teraz Guldberg widział to coraz wyraźniej. Rzeczne wiry dały się interpretować. Przydały mu się doświadczenia z analizy Raju utraconego Milтона. Nauczyło go to interpretować obrazy i jednocześnie zachowywać do nich krytyczny dystans. Obraz pochodni rzucającej czarny mrok, obraz choroby Chrystiana, jak ją pojmował Struensee, ów obraz mógł być, primo: odrzucony, jako urągający logice, ale secundo: zaakceptowany jako obraz oświecenia.

Pisze, że ów sposób rozumienia metafory pokazuje różnicę między poetą a politykiem. Poeta tworzy fałszywy obraz, zrodzony z prostoty ducha. Polityk przegląda na wylot, i stwarza nowe, zaskakujące dla poety, pole zastosowania.

Tym sposobem polityk staje się pomocnikiem poety, i jego dobroczyńcą.

Czarne światło pochodni mogło więc być obrazem Nieprzyjaciół Czystości, tych, którzy mówili o oświeceniu, którzy mówili o świetle, ale stwarzali mrok.

Z braku logiki powstaje w ten sposób krytyka braku logiki. Brud życia z marzenia o świetle.

W ten sposób on rozumiał ten obraz.

Mógł dać przykłady z własnego doświadczenia.

Tego, że sam może się stać ofiarą zarazy grzechu, był świadomy. To była zaraza pożądania.

Jego wniosek: może to ta mała angielska kurewka jest czarną pochodnią.

Na Akademii w Sor0 Guldberg wykładał historię krajów skandynawskich. Robił to z wielką radością. Obce wpływy na

dworze traktował jako chorobę, gardził językiem francuskim, którym sam władał doskonale, i marzył o tym, aby kiedyś spisano o nim pośmiertną runę. Miała ona nosić tytuł „Czasy Guldberga”, i zaczynałaby się od formuły zapożyczonych z islandzkiej sagi.

„Guldberg nazywał się mąż”. Tak miało brzmieć to pierwsze zdanie.

Dlatego, że te pierwsze słowa miały narzucić pewien ton. Miały otwierać opowieść o człowieku, który sam zdobył swoją sławę. Ale on nie rósł, zdobywając sławę innych, tak jak w islandzkich sagach. Lecz broniąc sławy bohaterów, honoru wielkich. W Bożym wybrańcu widział bohatera, jednego z wielkich. Nawet jeżeli w mizernej postaci.

Honoru Króla należało bronić. To była jego misja. Guldberg miał etat wykładowcy na Akademii w Sor0 do momentu, kiedy zdobyła tam przyczółek zaraza pietyzmu. Gdy smród hernhutów i pietystów zrobił się nie do wytrzymania, porzucił swe nauczycielskie powołanie po tym, jak jego rozprawa o Miltonie stworzyła szansę na karierę polityczną. Porzucił też swoje zadanie dziejopisa, wydawszy jednak przedtem szereg studiów historycznych.

Największy rozgłos zdobył jego przekład Mowy na cześć Trajana Pliniusza, którą opatrzył wstępem o rozwoju ustroju państwa rzymskiego.

Zaczął od czasów najdawniejszych i zatrzymał się przy Pliniuszu. Pliniusz był tym, który stworzył chwałę Trajana, i bronił jego honoru.

Pliniusz nazywał się mąż.

Wszelako Guldberg był człowiekiem gorącej krwi. Nienawidził angielskiej kurewki z pasją, która może była cielesną namiętnością. Kiedy dotarła do niego nowina o jej deprawacji, ogarnęło go wściekłe podniecenie, jakiego nigdy wcześniej nie zaznał. W owo ciało, którego miał używać Król, Boży pomazaniec, wbijał się teraz brudny niemiecki kutas. Największą czystość i niewinność splugawił największy występki. Jej ciało, któ-

252

re było święte, stało się teraz źródłem największego grzechu. To go podniecało, i nienawidził swego podniecenia. Zdawało mu się, że traci kontrolę. Nienawiść i namiętność stopiły się w nim w jedno, nigdy przedtem nie doznał czegoś takiego.

Jednak na zewnątrz żadnych zmian. Przemawiał zawsze cichym i spokojnym głosem.

Wszystkich wprawiło to w konfuzję, gdy, w trakcie planowania ostatecznego zamachu, przemówił nagle bardzo głośnym, niemal krzykliwym głosem.

Musiał, tak jak w islandzkich sagach, bronić honoru Króla. Lecz kiedy ta pochodnia zaczęła rzucać swój mrok w jego duszę? To był punkt zwrotny jego sagi. Może zaczęło się to tamtym razem, kiedy angielska kurewka nachyliła się ku niemu, i szepcząc, zadała to swoje bezwstydne pytanie o pożądanie i udrękę. Jakby on był odcięty od pożądania i udręki! Lecz od tej pory pamiętał jej skórę, która zdawała się tak biała i ponętna, i jej piersi.

Pewnego razu, w nocy, tak intensywnie myślał o niej, jej wia-rołomstwie wobec Króla, i nienawiści, którą do niej żywił, że dotknął swojego członka; wtedy nim owładnęła tak przemożna rozkosz, że nie mógł powstrzymać nasienia; wstyd z tej przyczyny był niemal nie do zniesienia. Szlochając, upadł na kolana, przy swym łożu, i długo błagał Wszechmogącego o zmiłowanie.

Tym razem pojął, że jest tylko jedno wyjście. Zaraza grzechu dosięgła także jego. Trzeba ją było wykorzenić.

To nie Struensee był siedliskiem zarazy. To ta angielska kurewka, królowa Karolina Matylda. Mały plan się nie powiódł. Ten wielki, a więc trzeci, nie mógł chybić celu.

Z. Powóz królewskiej pary przybył na zamek Frederiksberg około północy, a ponieważ zjawili się bez zapowiedzi, nie wywołali początkowo zamieszania. Potem wieść szybko się rozeszła i zrobiło się zamieszanie.

253

Gdy już ucichło, na zamku zapanował bardzo wielki i nieprzyjemny spokój.

Królowa Wdowa wezwała Rantzaua i Guldburga.

Najpierw dokładnie wypytała, jakimi dysponują dowodami; nie tylko pogłoskami o deprawacji Królowej, ale dowodami.

Guldburg zdał sprawę ze swoich rezultatów.

Dwie spośród pokojówek, które codziennie sprzątały komnaty Królowej, już przed wyjazdem do Hirschholmu zajęte były szpiegowaniem. Wtykały wosk w dziurki od klucza, a czasami strzępki papieru w szpary w drzwiach. Nad ranem stwierdzały, że wosku nie było, i że papierki spadły na podłogę. W późne wieczory rozsypywały mąkę przy drzwiach i na schodach wiodących do sypialni Królowej. Nazajutrz rano oglądały znalezione ślady stóp i bez wątplenia mogły stwierdzić, że są to ślady Struense-ego. Sprawdzały łożo Królowej i znajdowały je w nieładzie, widziały zmietoszoną pościel i że musiała w niej leżeć jeszcze jedna osoba. Chrystian, co było oczywiste, nie mógł być tą osobą. W pościeli znajdowały plamy, które wzbraniała im bliżej określić ich niewieścia skromność. Na chusteczkach i na serwetkach znajdowały ten sam rodzaj plam, z pewnej wyschniętej ciecicy. Pewnego ranka zastały Królową leżącą w łożu nago, jeszcze na wpół śpiącą, a jej ubranie rozrzucone po podłodze.

Dowodów było bez liku.

To, co się wtedy wydarzyło, było, na swój sposób, zdumiewające. Jedną z owych dam dworu ogarnęły wyrzuty sumienia, czy też może fałszywe współczucie, i pośród łez wyznała Królowej, iż wie, a także co i dlaczego robiła. Królowa wpadła we wściekłość, groziła jej natychmiastowym wyrzuceniem, wybuchła płaczem, lecz - i właśnie to było zaskakujące - przyznała się pośrednio do grzesznych czynów, prosząc następnie o dyskrecję. Potem Królowa dała się porwać sentymentom, i otworzyła swoje serce przed pokojówkami. Jej Wysokość pytała je, czy one same żywią do kogoś miłość albo afekt; „bo gdy się czuje taki

254
afekt, pójdzie się za kimś takim wszędzie, choćby na męki i łamanie kołem, ba, nawet do samego piekła”.

Poza tym ta ohyda trwała dalej, tak jakby nic się nie zdarzyło, albo jakby Królowa w swojej pysze ignorowała zagrożenie, którego wszak musiała mieć świadomość. To było zdumiewające.

Jednak trwała. Jednak ignorowała zagrożenie. To było, na swój sposób, niepojęte.

Guldburg przypuszczał, że nie powiedziała o tym swojemu niemieckiemu kochankowi. Jak ta chytra angielska kurewka właściwie rozumowała? Niełatwo było to zrozumieć. Skończona naiwność, i skończona siła woli.

Powinna była się domyślić, jak to będzie. Po tygodniu panna służąca, jak było do przewidzenia, złożyła raport Guldburgowi, ze wszystkiego, tym razem także wśród łez.

Istniały zatem dowody. I istniał świadek, gotów wystąpić na procesie.

- Oznacza to - rzekła Królowa Wdowa w zamyśleniu - że można go osądzić w majestacie prawa.

- A Królowa? - zapytał wtedy Guldburg.

Nic na to nie odpowiedziała, jakby ta kwestia jej nie obchodziła, co zaskoczyło Guldburga.

- W majestacie prawa zostanie zgładzony - ciągnęła dalej w zamyśleniu, smakując jakby każde słowo - w majestacie prawa utniemy mu rękę i głowę, poćwiartujemy go, utniemy mu członek, którym plugawił Danię, pogruchoczymy mu kości, i wystawimy go, wplecionego w koło. I sama będę...

Rantzau i Guldburg obserwowali ją zdziwieni, aż w końcu Rantzau wtrącił pytająco:

- Patrząc na to wszystko?

- Patrząc na to wszystko.

- Królowa? - zapytał Guldburg po raz wtóry, dziwił się bowiem, iż Królowa Wdowa tak się zajęła losem Struenseego, a pomijała angielską kurewkę, która wszak była początkiem

wszystkiego. Ale Królowa Wdowa zwróciła się tym razem do Rantzaua i z osobliwym uśmiechem powiedziała:

- Z Królową postąpimy tak, że wam, hrabio Rantzau, jako temu, który w Altonie był bliskim przyjacielem Struenseego i podzielał jego poglądy, i który był pochlebcą, przyjacielem i konfidentem Królowej, ale! który jest teraz nawrócony i wyznał swoje grzechy przeciw Bogu i przeciw honorowi Danii, to wam przypadnie delikatna misja aresztowania Królowej. Wtedy zajrzycie głęboko w te jej piękne, grzeszne oczy, jak bratnia dusza bratniej duszy, i oznajmicie jej, że to koniec. Tak jej powiecie. To jest koniec.

Rantzau tylko milczał.

- I to - dodała - nie będzie wam się podobało. Ale to będzie wasza jedyna kara. Nagród zaś będzie wiele. Ale wszak o tym wiecie.

3. Chrystian odwiedzał Struenseego coraz rzadziej.

Przyjęła się wszak zasada, że podpis Króla nie jest już niezbędny. Wystarczał podpis Struenseego. Jednak pewnego razu w tym okresie Chrystian odwiedził Struenseego by, jak powiedział, przekazać mu ważną wiadomość.

Struensee prosił Króla, aby usiadł, a sam oderwał się od pracy, aby go wysłuchać.

- Dziś rano - powiedział mu Chrystian - dostałem wiadomość od Pani Wszechświata.

Struensee przyjrzał mu się z łagodnym, lekkim uśmiechem i spytał:

- A skąd nadeszła ta wiadomość?

- Z Kilonii.

- Z Kilonii!?? I cóż zawiera ta wiadomość?

- Pani Wszechświata zawiadamia - powiedział Chrystian - że jest moim dobroczyńcą i że roztacza nade mną swą opiekę.

Był całkiem spokojny, nie skubał się po ciele, nie trąkotał jak maszyna, nie miał drgawek.

256

- Przyjacielu - powiedział Struensee - mam właśnie teraz nawał pracy; chętnie bym o tym porozmawiał, ale musimy to przełożyć. A Wszechmogący Bóg wszystkich nas ma pod swą opieką.

- Wszechmogący - odrzekł Król - nie ma dla mnie czasu. Ale mój Dobroczyńca, Pani Wszechświata, doniosła mi, że gdy nikt inny nie ma czasu albo gdy Pan Bóg jest nazbyt zajęty, Ona ma zawsze dla mnie czas.

- To znakomicie - powiedział Struensee. - A któż jest tą Panią Wszechświata?

- Ta, która ma czas - odrzekł Król.

4. Ów ostateczny plan, ten, który nie miał prawa zawieść, także wymagał prawnego uzasadnienia.

Aby obalić „krwawy i rozwiązły reżym” Struenseego, wykazał Guldberg Królowej Wdowie, trzeba koniecznie zdemaskować plan haniebnego zamachu stanu, uknuty przez Struenseego i jego małą angielską kurewkę. Plan Struenseego obejmował zamordowanie Chrystiana siódmego, króla Danii.

Wprawdzie ów plan nie istniał w rzeczywistości, lecz można było go teoretycznie zrekonstruować i ożywić.

Dlatego Guldberg sam napisał ten plan Struenseego. Potem sporządził jego poświadczoną kopię i zniszczył oryginał; dokument miał posłużyć przekonaniu niedowiarków. Chodziło o to, aby w porę zapobiec haniebnemu zamachowi.

Ów napisany przez Guldberga plan, przypisany Struensee-mu, był jasny i zniewalająco logiczny. 28 stycznia 1772 był według niego dniem, w którym Struensee zamierzał przeprowadzić swój pałacowy przewrót. Król Chrystian siódmy miał być tego dnia zmuszony do abdykacji, królowa Karolina Matylda miała zająć jego miejsce, a Struensee miał zostać mianowany koregentem.

To były główne zarysy.

257

Do planu, który sprawiał wrażenie autentycznego, Guldberg dołączył komentarz, który miał przekonać sceptyków o konieczności niezwłocznego przeciwdziałania.

„Nie było czasu do stracenia - pisał Guldberg - albowiem ten, kto się nie waha przywłaszczyć sobie władzę, nie zawaha się także i przed większą zbrodnią. Jeżeli Król zostanie zabity, Struensee może wymusić sobie prawo do łoża Królowej Karoliny Matyldy, a wtedy Kronprinz albo zostanie usunięty, albo złamany surowym wychowaniem, ustępując tym samym miejsca swojej siostrze, owej siostrze, która, ponad wszelką wątpliwość, jest owocem ich wszetecznego związku. Bo z jakiejż innej przyczyny Struensee zniósł prawo, które kobiecie rozwiedzionej zabraniało łączyć się węzłem małżeńskim z tym, z którym popełniła cudzołóstwo?”.

Czas jednak naglił. Należało się pośpieszyć, i plan musiał być zachowany w tajemnicy.

Dnia 15 stycznia zebrano się u Królowej Wdowy; Guldberg sporządził wówczas szereg nakazów aresztowania, do których podpisania miano zmusić Króla.

16 stycznia rano jeszcze raz omówiono plany, wprowadzono kilka nieznaczących poprawek, postanowiono dokonać zamachu tej samej nocy.

Noc miała być długa. Najpierw kolacja. Potem herbata. Następnie maskarada. Potem zamach stanu.

5. Reverdil, mały szwajcarski nauczyciel, mały Żyd ukrywający swoje imię, ten ukochany niegdyś gubernator Chrystiana, egzulowany z dworu, lecz później przywrócony, kronikarz, autor pamiętników, bardzo ostrożny szermierz oświecenia, znający umiar reformator, Reverdil siedział co rano parę godzin przy swym biurku, aby dokończyć swój wielki plan, plan uwolnienia duńskich chłopów od poddaństwa.

258

Robił to na zlecenie Struenseego. Miała to być kulminacja reformatorskiej pracy.

Wśród praw i rozporządzeń Struenseego, jak dotąd sześćset trzydziestu dwóch, znalazło się wiele ważnych. Lecz to sześćset trzydzieste trzecie miało być najważniejsze. Reverdil miał być tym, kto je sformułował; nie pisano by o tym w książkach do historii, ale on sam by wiedział. To wystarczało.

Siedział także owego ranka, ostatniego za czasów Struenseego, i pracował nad swoim wielkim tekstem o wyzwoleniu. Nie skończył go. Nigdy go nie miał dokończyć. Píše, że tego ranka był całkiem spokojny, nie nękało go żadne przecucie. Nie pisze, że czuł się szczęśliwy. W swych pamiętnikach nie używa słowa „szczęśliwy”, a w każdym razie nie o sobie.

Jest anonimowym pisarzem, którego wielki tekst, ten o wyzwoleniu, pozostanie niedokończony.

Wszelako zanim to zrozumie, owego ostatniego dnia przed katastrofą, jest szczęśliwy. Projekt był wszakże tak olbrzymi, myśl tak słuszna. Tak słuszną rzeczą było pracować nad tym projektem, także w ów ranek przed katastrofą. Pracując nad nim, był szczęśliwy.

Wiele lat później spisuje swoje wspomnienia, lecz nie używa wtedy słowa „szczęście”, a w każdym razie nie o sobie.

Jest chyba nieśmiały.

Cały czas jest krytyczny wobec Struenseego, który „zbyt prędko pędzi do przodu”. Jednak on sam ostrożne wyzwolenie uważa za możliwe. Jest nieśmiały, ostrożny, jego marzenia nie przyćmiewa żaden mrok z wewnętrznej czarnej pochodni. Wydaje mu się, z perspektywy czasu, iż wie, jak to wszystko powinno było przebiegać.

Należało zachować wielki umiar.

O. Owego ranka „nie przeczuwa nic złego”. Nieczęsto, jak się zdaje, miewał złe przecucia, niepokój tylko budzili w nim ci, którzy za prędko pędzili do przodu.

O czwartej tego dnia je kolację w kompanii osób z wewnętrznego kręgu, do których mimo wszystko się zalicza. „Królowa sprawiała wrażenie radosnej jak nigdy, nigdy też z równym wdziękiem nie udzielała się w rozmowie”.

To jest ostatnia wieczerza.

Dokumentacja dotycząca tej wieczerzy jest olbrzymia. Było tam jedenaście osób: królewska para, generałowa Gahler, hrabiny Holstein i Fabritius, Struensee i Brandt, pierwszy marszałek dworu Bjelke, koniuszy Biilow, pułkownik Falkenskjold, oraz Reverdil. Jedli w „białej komnacie” Królowej. Pokój zawdzięczał nazwę białym boazeriom, ale niektóre ściany miały obicia z czerwonego aksamitu. Rzeźbione ornamenty były połączane. Błat stołu z granitu norweskiego. Nad kominkiem wisiał wysoki na cztery łokcie obraz Niezlomność Scypiona francuskiego malarza historycznego Pierre'a. Dwadzieścia dwie stearynowe świece oświetlały salę. W odróżnieniu od wcześniejszej etykiety, nakazującej, by panowie siedzieli z prawej strony Monarchy, damy zaś z lewej, usadzono się przemiennie. To było radykalne. Odbyło się ciągnięcie losów o miejsca przy stole. Obsługę dostosowano do rozporządzenia Struenseego, „nowego urzędnika” z 1 kwietnia 1771, co oznaczało, iż liczbę lokajów zredukowano o połowę. Pomimo to grupa lokajska składała się z dwudziestu czterech osób. Biesiada odbywała się jednakże en retraite, co oznaczało, że służba przebywała w komnacie obok albo w kuchni, i że lokajów wnoszących tace wpuszczano tylko pojedynczo. Posiłek składał się z dziewięciu dań, czterech sałatek oraz dwóch releues - alternatywnych dań głównych. Królowa była, jak zauważa Reverdil, czarująca. Rozmowa zesła przez moment na „rozpustną” księżnę Prus, którą mąż od siebie oddalił, i która obecnie więziona była w Szczecinie. Królowa powiedziała krótko, iż owa księżna w swym odosobnieniu, mimo wszystko, „przez to, że wywalczyła sobie wewnętrzną wolność”, mogła żyć z podniesionym czołem.

260

To wszystko. Gdy zasiadali do stołu, na zewnątrz panował już mrok. Stearynowe świece tylko częściowo rozświetlały pokój. Brandt i Struensee byli obaj dziwnie milczący. Reverdil robi uwagę, że może coś przeczuwali, albo zostali uprzedzeni.

Ale nie miało to żadnych konsekwencji. Żadnych działań, tylko oczekiwanie, i czarująca biesiada. Poza tym wszystko było tak jak zwykle. Wąski krąg, który topniał coraz bardziej. Świece, i mrok dokoła. I Królowa, niezwykle urocza, albo zrozpaczona.

O siódmej, jeszcze tego wieczoru, ale po biesiadzie, Reverdil, co ciekawe, złożył wizytę Królowej Wdowie.

Rozmawiali ze sobą godzinę. Nie zauważa nic niepokojącego w Królowej Wdowie, która wszak kilka godzin wcześniej wydała rozkaz, by zamachu dokonano tej samej nocy, zamachu, który obejmował także aresztowanie Reverdila. Siedzieli sobie, gawędząc uprzejmie i popijając herbatę.

Na zewnątrz było zimno, szalała wichura. W milczeniu patrzyli na mewy, które wiatr znosił wstecz, za ich oknem. Królowa Wdowa powiedziała, że im współczuje, nie rozumieją bowiem, jak beznadziejna jest ich walka z wichurą. Reverdil później interpretuje to metaforycznie. Królowa Wdowa, jak sądzi, chciała udzielić mu przestrogi: wichura miała porwać także jego, jeśli nie podda się, gdy przyjdzie czas, i nie polecą z nawałnicą.

Nie wbrew niej.

On nie rozumiał. Powiedział tylko, że podziwia te mewy w ich sytuacji. Nie poddawały się, walczyły dalej, chociaż wichura pchała je do tyłu.

Być może później, w swoich pamiętnikach, nadał też swojej odpowiedzi piętno metafory.

Wszak był nieśmiały. Nie był tym, który się sprzeciwia. On był tym cichym, pochylonym nad swoimi papierami, czasem zsyłanym, czasem przywracanym, tym, który, milcząc, patrzy zasmucony, jak wilki rozszarpują jego

ukochanego chłopca, a także tym, który uważał, że oświecenie winno być jak niespieszny i ostrożny brzask jutrzeńki.

Podczas kolacji Struensee i Królowa siedzieli obok siebie i bez żenady trzymali się za ręce. Król nie wyrażał sprzeciwu. Król zdawał się obezwładniony niepewnością.

Reverdil, który siedział naprzeciwko Króla, miał sporo czasu, aby mu się przyjrzeć.

Wzbudziło to w nim „wielki smutek”. Przypomniawszy sobie, jaki był, gdy mu go niegdyś powierzono: tego młodego, wrażliwego i nadzwyczaj uzdolnionego chłopca, którego kiedyś poznał. Ten, na którego teraz patrzył, był szarym, apatycznym cieniem, starcem, obezwładnionym, zdałoby się, strachem, którego przyczyny nikt nie znał.

Wszak Chrystian miał zaledwie dwadzieścia dwa lata.

Potem wstali od stołu po kolacji i rozeszli się, by przysposobić się do maskarady. Reverdil opuścił salę jako ostatni. Przed nim szedł Brandt. Ten się odwrócił wtedy w stronę Reverdila i rzekł z lekkim, dziwnym uśmiechem:

- Wydaje mi się, że nasz czas jest teraz bardzo bliski końca. To już nie może długo potrwać.

Reverdil nie zażądał wyjaśnienia. Rozeszli się.

7. Plan był bardzo prosty.

Guldberg był zawsze przeświadczony, iż właśnie prostota w skomplikowanych planach decyduje o ich sukcesie. Należało wziąć Króla. Należało też wziąć Struenseego. Ci dwaj, uważano, nie będą w stanie się opierać, ani sprawiać trudności.

Po trzecie, należało wziąć Królową.

W tym punkcie wszelako niepokój - trudniejszy do wyjaśnienia. Ujęcie jej nie mogło nastęrczać trudności. Ale nie wolno, pod żadnym pozorem, dopuścić, aby nawiązała kontakt z Królem. Nie wolno go narażać na naciski. Trzeba go zmusić, by zrozumiał, że grozi mu straszliwe niebezpieczeństwo, że

Struensee i Królowa chcą go zabić. Lecz pod spojrzeniem pięknych oczu tej małej angielskiej kurewki Chrystian, być może, miałby wątpliwości.

To angielska kurewka stanowiła największe ryzyko. Od niej się wszystko zaczynało i na niej się kończyło. Guldberg zrozumiał to, jako jedyny. Dlatego miał ją unicestwić; wtedy już nigdy więcej nie dotknie go zaraza pożądania, i nie rzuci, płaczącego w mroku nocy, z nasieniem żądzylepiącym się do ciała, na kolana.

Silny mróz tej nocy.

Wichura, która w ciągu dnia ciągnęła ze wschodu, pod wieczór ucichła. Wilgoć ściał mróz, i Kopenhagę pokryła cienka warstewka lodu.

Wszystkie diariusze i wspomnienia mówią, że tej nocy panował wielki spokój.

Żadnej wichury. Żadnych odgłosów wojsk zajmujących posterunki. Żadnych ptaków znoszonych do tyłu przez wiatr.

Zachowały się listy artykułów spożywczych, zamówionych na ową ostatnią wieczerzę. Sześć gęsi, trzydzieści cztery węgorze, trzysta pięćdziesiąt ślimaków, czternaście zajęcy, dziesięć kur; dzień wcześniej zamówiono oprócz tego dorsze, fladry i drobne ptaszki łowne.

W zupełnie naturalny sposób, przez tych parę godzin, raczono się tą obfitością, na tej ostatniej już biesiadzie za czasów duńskiej rewolucji, w przytomności dwudziestu czterech zaledwie lokajów.

Rozeszli się do swoich komnat na zamku. Przebrali się w maskaradowe kostiumy.

Chrystian, Struensee i Królowa jechali na maskaradę jednym powozem. Struensee był bardziej milczący niż zwykle; nie uszło to uwagi Królowej.

- Nie jesteś zbyt rozmowny - powiedziała.

- Szukam jakiegoś rozwiązania. Nie widzę żadnego.

- W takim razie - powiedziała - chcę, byśmy jutro sformułowali list ode mnie do carycy Katarzyny. Ona jedyna spośród wszystkich panujących jest oświecona. Pragnie postępu. Może być naszym sprzymierzeńcem. Wie, czego dokonano w Danii w ciągu ostatniego roku. Podoba jej się to. Mogę napisać do niej jak kobieta do kobiety, orędowniczki oświecenia. Może moglibyśmy zawrzeć alians. Potrzeba nam wielkich sojuszy. Musimy myśleć w szerszych kategoriach. Tu mamy tylko wrogów. Katarzyna może być moją przyjaciółką. Struensee tylko patrzył na nią.

- Wybiegasz myślą daleko - rzekł. - Pytanie, czy mamy na to czas.

-Musimy przestać myśleć zaściankowo - rzuciła wtedy chłodnym tonem. - W przeciwnym razie jesteśmy zgubieni.

Gdy Ich Królewskie Mości, w towarzystwie Struenseego, przybyły do Teatru Dworskiego, tańce się już rozpoczęły.

Rozdział 15

Taniec śmierci

1. Struensee nagle przypomniał sobie przedstawienie Zairy, z Chrystianem w roli Sułtana. To było też w Teatrze Dworskim. Czy to nie było zaraz po powrocie do Kopenhagi z tamtej długiej europejskiej podróży? A może miesiąc później, nie pamiętał; lecz wspominał nagle Chrystiana w tej roli. Ową szczupłą, kruchą dziecięcą postać, która z tak wyrazistą dykcją, z tak osobliwie żywymi pauzami i zagadkowym frazowaniem poruszała się w stylizowanych dekoracjach, pośród francuskich aktorów, jakby w powolnym rytualnym tańcu, z dziwacznymi ruchami rąk, które zdawały się zupełnie naturalne na tej scenie, w tej teatralnej sztuce, podczas gdy w strasznym prawdziwym życiu Chrystiana wydawały się afektowane. Był doskonale wyrazisty. Właściwie najlepszy spośród tych aktorów. Dziwnie spokojny, wiarygodny, jakby ta scena oraz ta profesja, aktora, były dla niego czymś zupełnie naturalnym, a także jedynie możliwym.

Właściwie nigdy przecież nie potrafił rozróżnić rzeczywistości i gry. Nie z winy braku talentu, lecz z winy reżyserów.

Czy Struensee sam stał się reżyserem Chrystiana? Przyszedł z wizytą i otrzymał pewną rolę, a Chrystianowi przydzielił inną. Być może była jakaś lepsza rola dla tego biednego, przerażonego chłopca. Być może Struensee winien był tamtym razem słuchać uważniej, być może Chrystian miał jakieś przesłanie, które pragnął przekazać, właśnie jako aktor, za pośrednictwem teatru.

To było tak niewiarygodnie dawno temu. Prawie trzy lata.

265

Teraz, dnia 16 stycznia 1772, Chrystian tańczył menueta. Zawsze był dobrym tancerzem. Miał ciało lekkie, ciało dziecka, a w tańcu mógł poruszać się zgodnie z ustalonymi replikami tańca, lecz mimo to swobodnie. Dlaczego nie mógł zostać tancerzem? Dlaczego nikt nie widział, że jest aktorem, lub tancerzem, lub kimkolwiek: tylko nie suwerennym władcą, Bożym pomazańcem.

W końcu tańczyli oni wszyscy. Mieli swoje kostiumy, i swoje przebrania; także Królowa tańczyła. To tu, w Teatrze Dworskim, podczas maskarady, dała Struenseemu pierwszy sygnał. Musiało to być wiosną. Tańczyli, a ona cały czas tylko patrzyła na niego, z tak intensywnym wyrazem twarzy, jakby coś miała powiedzieć. Może powodem było to, że Struensee mówił do niej po ludzku, i że była wdzięczna. Może to było coś więcej. Owszem, było. Pociągnęła go potem ze sobą, nagle znaleźli się w jednym z korytarzy. Rozglądnęła się szybko, a potem go pocałowała.

Bez słowa. Tylko go pocałowała. I ten jej lekki zagadkowy uśmiech, który z początku wziął za wyraz czarującej dziecięcej niewinności, ale już wtedy, natychmiast, dobrze wiedział, że jest to uśmiech dorosłej kobiety, i że oznacza on: kocham cię. I nie wolno ci mnie lekceważyć.

Byli tam wszyscy, poza Królową Wdową, i Rantzauem.

Wszystko było zupełnie normalne. Po pewnym czasie Król porzucił tańce, i zasiadł do gry w wilka (Loup), między innymi z generałem Gahlerem. Od chwili gdy porzucił tańce, który na moment sprawił, że był żywy, Król wydawał się nagle pogrążony w roztargnieniu i melancholii. Grał nierozważnie, jak zwykle nie miał pieniędzy, i przegrał trzysta trzydzieści dwa talary, którą to sumę generał musiał wyłożyć, lecz której, niestety, po katastrofie nikt mu nie zrefundował.

W innej łoży siedział pułkownik Kóller, który miał dowodzić wojskową częścią nocnego zamachu. Grał w taroka z intendentem dworu Bergerem. Twarz Kóller miał opanowaną. Nic w niej nie zdradzało podniecenia.

266

Wszyscy byli na miejscu. Poza Królową Wdową, i Rantzauem.

Maski były te same, co zwykle. Ta Struenseego, półmaska, przedstawiała zapłakanego kuglarza. Potem mówiono, że był w masce trupiej czaszki.

Otóż nie. Przedstawiał zapłakanego kuglarza.

Tańce skończyły się około drugiej.

Już potem wszyscy byli zgodni co do tego, iż maskarada przebiegła zupełnie zwyczajnie. To właśnie było osobliwe, jeśli się weźmie pod uwagę, że owa maskarada miała być tak żywo dyskutowana, i tak ważna, że wszyscy się zgadzali co do tego, iż nic się nie wydarzyło. Nic.

Wszyscy byli normalni, tańczyli, i nie czekali na nic.

Struensee i Królowa przetańczyli trzy tańce. Wszyscy odnotowali ich spokojne i uśmiechnięte twarze, i ich beztroską konwersację.

O czym mówili. Potem już nie pamiętali.

Struensee miał przez cały ten wieczór dziwne wrażenie oddalenia, albo snu na jawie, jakby to kiedyś już przeżył, a teraz śnił to wszystko znowu, krótkie sekwencje, powtórzone. Wszystko w tym śnie poruszało się nieskończenie powoli, z ustami, które otwierały się i zamykały, lecz bezgłośnie, jak spowolnione ruchy w wodzie. Jakby się unosili w wodzie, a jedyne, co powracało raz za razem, to zapamiętane obrazy Króla w roli Sułtana w Zairze, i jego ruchy, i dziwnie błagalne gesty, podobne może do ruchów aktora, ale prawdziwsze, jakby tonącego, a jego usta otwierały się i zamykały, jak gdyby chciał przekazać coś ważnego, ale nic nie docierało. I jeszcze druga część owego snu na jawie: Królowa, której twarz zbliżała się do jego twarzy, i która nieskończenie cicho całowała go, potem cofała się o krok, i ten jej lekki uśmiech, który mówił, że go kocha i że nie wolno mu jej lekceważyć, i że to tylko sam początek czegoś fantastycznego, że są o krok od granicy, i że tam, na granicy, jest i największa rozkosz, i nęcąca śmierć, i że on nigdy, przenigdy nie pożałuje, jeśli przekroczą tę granicę.

267

I było tak, jakby ci dwoje, Chrystian aktor, i Karolina Matylda obiecująca rozkosz i śmierć, stąpiali się w jedno w owym tańcu śmierci w Teatrze Dworskim.

Odprowadził ją.

Towarzyszyły im dwie damy dworu. W korytarzu przed sypialnią Królowej pocałował ją w rękę, bez słowa.

- Śpimy dziś? - spytała Królowa.

- Tak, kochana. Dziś w nocy sen. Dzisiaj sen.

- Kiedy się widzimy?

- Zawsze - powiedział. - Po wieki wieków.

Spojrzeli na siebie, uniosła dłoń ku jego policzkowi, i dotknęła go, z lekkim uśmiechem.

To był ostatni raz. Potem jej nigdy więcej nie zobaczył.

2. O 2.30, pół godziny po tym, jak orkiestra skończyła grać, drugiej kompanii grenadierów pułku Falsterskiego rozdano ostrą amunicję i rozesłano żołnierzy na ustalone pozycje.

Wszystkie wyjścia z zamku zostały obsadzone.

Dowódca operacyjny zamachu, pułkownik Kóller, który godzinę wcześniej zakończył swoją partię taroka z intendentem dworu Bergerem, doręczył dwóm ze swoich poruczników pisemny rozkaz Królowej Wdowy z wykazem nazwisk osób, które miały być aresztowane. Rozkaz mówił między innymi, że „ponieważ Jego Wysokość Król pragnie zapewnić bezpieczeństwo państwu i swojej osobie, oraz ukarać pewne osoby ze swojego otoczenia, porучzył to zadanie nam. Rozkazujemy zatem panu, pułkowniku Kóller, abyście tej nocy w imieniu Króla, z całą mocą, spełnili Królewską wolę. Król życzy sobie także, aby wszystkie wyjścia z apartamentu panującej Królowej zostały obsadzone silną strażą”. List był sygnowany przez Królową Wdowę, i Księcia Fryderyka, a napisany przez Guldburga.

268

Decydujące dla przebiegu operacji było szybkie zdobycie kontroli nad Królem i Królową, i utrzymanie ich w separacji. Kluczową rolę odgrywał tu Rantzau. Ten wszakże gdzieś przepadł.

Hrabiego Rantzaua opadła nerwowość.

Rantzau mieszkał w królewskim pałacu, który od zamku Christiansborg był oddzielony kanałem, a który dziś jest nazywany Prinsens Pañar, i cały dzień nikomu się nie pokazywał. Ale gdy bal maskowy jeszcze trwał, przy wejściu do Teatru Dworskiego zatrzymano pewnego posłańca; ów zachowywał się dość osobliwie, był niestychanie nerwowy, i twierdził, że ma ważną wiadomość od hrabiego Rantzaua dla Struenseego.

Posłaniec został zatrzymany przez wartowników sprzysiężo-nych, i przywołano Guldburga. Guldburg, nie pytając bynajmniej o zgodę i pomimo protestów posłańca, wyrwał mu list, i otworzył go. I przeczytał. List zawiadamtiał, że Rantzau chce się zobaczyć ze Struensem przed dwunastą, „i proszę pamiętać, że jeżeli nie zaaranżuje Pan tego spotkania, gorzko Pan tego pożałuje”.

Tylko tyle. A z drugiej strony, dostatecznie dużo. Hrabia Rantzau szukał dla siebie rozwiązania dylematu, drugiego wyjścia z lisiej nory.

Guldburg przeczytał, i uśmiechnął się, na co pozwalał sobie bardzo rzadko.

- Mały Judasz, któremu pewnie marzy się tytuł landgrafa na Lollandzie, jako nagroda. Ale nic z tego.

Włożył list do kieszeni, i polecił oddalić posłańca i trzymać go pod strażą.

Trzy godziny później wszyscy sprzysiężeni byli już na miejscu, wojsko czekało gotowe, ale Rantzaua nie było. Wtedy Guldburg, w asyście sześciu żołnierzy, pośpiesznie udał się do mieszkania Rantzaua, i zastał go kompletnie ubranego, siedzącego w fotelu, przy filiżance herbaty, i palącego fajkę.

269

- Brakuje nam was - powiedział Guldburg.

Rantzau położył nogę na taborecie i z nieszczęśliwą i nerwową miną wskazał na swoją stopę. Dostał ataku, jąkał się, swojej podagry, palec mu bardzo spuchł, ledwie co mógł opierać się na stopie, i było mu doprawdy bardzo przykro, i był niepokieszony, lecz z tej przyczyny nie mógł wywiązać się ze swoich zadań.

- Śmierdzący tchórze - rzekł Guldburg spokojnym głosem, i nie próbując złagodzić nietaktu w takim sposobie zwracania się do hrabiego. - Próbujesz się wykręcić.

Guldburg konsekwentnie mówił mu per „ty”.

- Nie, nie! - zaprotestował Rantzau rozpaczliwie - wszystko zgodnie z umową, tylko ta moja podagra, jestem zrozpaczony...

Guldburg nakazał wtedy pozostałym opuścić pokój. Gdy już wyszli, wyciągnął list, trzymając go pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym, jakby cuchnął, i rzekł tylko:

- Czytałem twój list, szczerze. Po raz ostatni. Jesteś z nami? Czy przeciwko nam?

Rantzau blady jak trup wbił oczy w list, i zrozumiał, że nie ma specjalnie wyboru.

- Ma się rozumieć, jestem z wami - powiedział wtedy Rantzau - może mogą mnie zanieść, gdzie będę potrzebny... wporte-chaise...

- Dobrze - powiedział Guldberg. - A ten list sobie teraz zachowam. Nikt poza mną nie musi go widzieć. Ale tylko pod jednym warunkiem. Takim oto, że po tym, jak dzieło oczyszczenia się dokona i Dania będzie ocalona, nie będziesz mnie irytować. Ale ty nie chcesz mnie już więcej irytować, czyż nie tak? Żebyśmy nie musiał pokazywać innym tego listu?

Na chwilę zapadło milczenie, potem Rantzau powiedział całkiem cicho:

- Ma się rozumieć, że nie. Ma się rozumieć.

- Nigdy?

- Nigdy.

270

- Dobrze - powiedział Guldberg. - To ustaliliśmy zasady na przyszłość. Dobrze jest wiedzieć, że ma się sprzymierzeńców, na których można polegać.

Guldberg przywołał potem żołnierzy i dwóm z nich rozkazał zanieść hrabiego Rantzaua na jego pozycję wyjściową w północnej galerii. Przenieśli go przez most, lecz potem Rantzau zapewnił, że chce spróbować pójść sam, pomimo nieznośnego bólu, i pokuśtykał już o własnych siłach na swoje stanowisko dowodzenia w północnej galerii.

3. O 4.30 nad ranem 17 stycznia 1772 przystąpiono do akcji.

Dwie grupy grenadierów, jedna pod komendą Kóllera, druga - Beringskjolda, jednocześnie wtargnęły do komnat Struenseego i Brandta. Struensee spał spokojnie, gdy nadeszli; usiadł na łóżku, spoglądał ze zdziwieniem na żołnierzy, a gdy pułkownik Kóller oznajmił mu, że jest aresztowany, poprosił, by mu pokazano nakaz.

Nie pokazano mu nakazu, ponieważ takiego nie było.

Przyjrzał się im wtedy apatycznie, powoli ubrał się w najpotrzebniejsze rzeczy, i ruszył z nimi bez słowa. Wsadzono go do wynajętego powozu i zawieziono do aresztu w Cytadeli.

Brandt nie zapytał nawet o nakaz aresztowania. Poprosił tylko, by mu było wolno zabrać ze sobą flet.

Także jego wsadzono do powozu.

Zbudzono komendanta Cytadeli, który nie był przygotowany, lecz stwierdził, że tych dwóch przyjmie z radością. Wszyscy zdawali się zdziwieni, że Struensee poddał się tak łatwo.

Siedział w powozie i tylko wpatrywał się w swoje ręce.

Tak jakby był przygotowany.

Jeden z wielu rysunków, później wykonanych, przedstawiających aresztowanie Struenseego, opisuje akt pełen większej gwałtowności.

271

Jakiś dworzanin oświetla komnatę trójramiennym kandelabrem. Przez wyważone drzwi wpadają żołnierze z podniesionymi karabinami i z nasadzonymi bagnietami, które groźnie kierują się ku Struenseemu. Pułkownik Kóller stoi obok łóża, rozkazującym gestem, lewą ręką, przedstawia nakaz aresztowania. Na podłodze leży maska, po maskaradzie,

przedstawiająca trupią czaszkę. Ubrania rozrzucone po podłodze. Zegar wskazuje czwartą.

Półki zapchane książkami. Pulpit, przybory do pisania. I Struensee na łóżu: siedzi prosto, ubrany tylko w nocną koszulę, wyciąga desperacko obie ręce, jak do kapitulacji lub jakby błagał Wszechmogącego, którego zawsze się zapierał, by w owej czarnej godzinie zechciał zmiłować się nad biednym grzesznym człkiem, pogrążonym w ciężkiej opresji.

Lecz obraz ten nie mówi prawdy. Pozwolił się prowadzić bez sprzeciwu, jak baranek na rzeź. Króla, rzecz jasna, nie zamierzali aresztować.

Z królem Chrystianem siódmym rzecz miała się wszak odwrotnie: miał być uratowany przed morderczym spiskiem, a więc podpisać tylko dokumenty prawnie uzasadniające pozostałe aresztowania.

Łatwo się zapomina, że był jedynowładcą, Bożym pomazańcem.

Tych, którzy weszli do jego mrocznej sypialni, była spora gromada. Byli to Królowa Wdowa, jej syn Fryderyk, Rantzau, Eichstedt, Keller i Guldberg oraz siedmiu grenadierów z Gwardii Królewskiej, którym wszakże, z powodu hysterii i panicznego strachu Króla na widok żołnierzy i broni, kazano wyjść i czekać przed drzwiami.

Chrystian sądził, że mają go zamordować, i zaczął przeraźliwie krzyczeć i płakać, jak dziecko. A jednocześnie pies, jego sznaucer, który tej nocy też spał w jego łóżku, począł wściekle ujadać. W końcu udało się wyrzucić psa. Paź, Murzynek Moranti, który spał zwinięty w nogach posłania, zaszył się przerażony w jakimś kącie.

272

Na prośby Króla, aby psa pozostawiono przy nim w łóżku, nikt nie zwracał uwagi.

Wreszcie udało się Monarchę uspokoić. Jego życiu nic nie zagrażało. Nie mieli zamiaru go zabić.

Wszelako to, co mu opowiedziano, sprawiło, iż ponownie zaczął zanosić się płaczem.

Powodem tej nocnej wizyty, wytłumaczono mu, był spisek przeciw osobie Króla. Struensee i Królowa dybali na jego życie. Chciano go teraz uratować. Dlatego musi podpisać szereg dokumentów.

Te dokumenty, w zarysie, opracował Guldberg. Doprowadzono Chrystiana do biurka, w szlafroku. Podpisał tam siedemnaście dokumentów.

Szłochał przez cały czas, trząsał się i drżała mu ręka. Tylko przy jednym dokumencie zdawało się, że twarz mu pojaśniała. Był to nakaz aresztowania Brandta.

- Oto jest kara - wymamrotał - za próbę pohańbienia Pani Wszechświata. Kara.

Nikt, może z wyjątkiem Guldburga, nie był w stanie zrozumieć, co miał na myśli.

4. To Rantzau miał aresztować Królową.

Miał ze sobą pięciu żołnierzy i podporucznika. Z podpisanym przez Króla nakazem aresztowania ruszył do sypialni Królowej. Jedną z dam dworu wysłano, by obudziła Królową, albowiem, jak pisze Rantzau w raporcie, „respekt zabraniał mi stanąć przy łóżu Królowej”; lecz podporucznik Beck dostarcza żywszej relacji z tego, co się wydarzyło. Królowa, zbudzona przez dworkę, wypadła natychmiast, ubrana w samą koszulę, i rozwścieczona spytała Rantzaua, co się dzieje. Ten tylko wyciągnął przed siebie Królewski rozkaz.

Tekst brzmiał: „Uznałem za konieczne odesłać Panią do Kronborga, gdyż zmusza mnie do tego Pani postępowanie. Niezmiernie ubolewam nad tym krokiem, którego nie ja jestem przyczyną, i pragnę, by zechciała Pani okazać szczerą skruchę”.

273

Podpisano: Chrystian.

Królowa zmięta wtedy w dłoniach rozkaz, krzyżąc, że Rantzau tego pożałuje, i zapytała, kto poza tym został aresztowany. Nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Potem wbiegła do swojej sypialni, a za nią Rantzau, podporucznik Beck oraz paru żołnierzy. Złorzecząc z furią Rantzauowi, ściągnęła koszulę, biegała nago po komnacie, szukając ubrania; wówczas Rantzau, zginając się w ukłonach, oraz z właściwą sobie elegancją, rzekł:

- Wasza Wysokość raczy mnie uchronić przed czarodziejską mocą swoich wdzięków.

- Nie stój i nie wytrzeszczaj na mnie gał, padalcu - wybuchła wtedy Królowa, tym razem w swoim ojczystym języku; lecz w tym momencie pokojówka, panna von Arensbach, nadbiegła, niosąc halkę, suknię i parę trzewików, więc Królowa pośpiesznie zaczęła się ubierać.

Ani na chwilę w tym czasie nie przestała napadać z furią na Rantzaua, który przez moment był zmuszony bronić się swoją laską, wystawiając ją przeciw ciosom Królowej, jedynie w celu obrony, ową laską, której używał, aby móc pewniej wspierać się na stopie, która akurat owej nocy bolała go od podagry, czego Królowa w swojej złości wcale nie brała pod uwagę. W swoim raporcie Rantzau twierdzi, iż ze względu na dyskrecję, i by nie kłać Jej Królewskiej Mości swym spojrzeniem, przez cały czas zasłaniał sobie oczy kapeluszem, aż do momentu, gdy Królowa była kompletnie ubrana. Podporucznik Beck twierdzi jednakże, iż

on sam, Rantzau i czterej żołnierze przez cały czas dokładnie obserwowali Królową w jej wścieklej, skonfundowanej nagości, i przyglądali jej się, gdy się ubierała. Wylicza też wdziwane przez Królową części garderoby.

Nie płakała, lecz cały czas lżyła Rantzaua, i, co ten szczególnie podkreśla w swym raporcie dla Komisji Inkwizycyjnej, oburzał go „jej pogardliwy sposób wyrażania się o Królu”.

Gdy tylko była już ubrana - wzięła trzewiki na gołe nogi, bez pończoch, co wszystkich zaszokowało - wypadła jak burza

274

z komnaty, zanim ktokolwiek zdołał ją powstrzymać. Zbiegła na dół po schodach, i chciała wtargnąć do komnaty Struenseego. Na zewnątrz jednak stał wartownik, który oznajmił jej, że hrabia Struensee jest uwięziony, i osadzony w areszcie. Pomknęła dalej, szukając pomocy, i dobiegła do apartamentu Króla. Rantzau i żołnierze jej nie zatrzymywali.

Zdawało im się, że Królowa posiada niesłychaną siłę, a jej brak wstydu, nagie ciało i jej wściekłe ataki także ich przerażyły.

Lecz ona w lot pojęła, co się stało. Zastraszili Chrystiana. Wszelako Chrystian pozostawał jej jedyną szansą.

Szarpięciem otworzyła drzwi jego sypialni, i od razu dojrzała jego drobną postać skuloną u wezgłowia łoża, i pojęła. Owinął się w prześcieradło, całkiem się zakrywając, zasłonił twarz, tułów i nogi, i gdyby nie niepewny, kołyszący ruch, można by sądzić, że to jakaś opakowana rzeźba, postawiona tam, biała i zawinięta w zmięte prześcieradło.

Jak biała mumia, kołysząca się niepewnie i nerwowo, drżąca, ukryta, a pomimo to dostępna dla niej.

Rantzau przystanął w drzwiach i dał znak żołnierzom, by pozostali na zewnątrz.

Zbliżyła się do owej małej, odzianej w biel, drżącej na łożu mumii.

- Chrystian - zawołała. - Chcę z tobą porozmawiać! Teraz!

Brak odpowiedzi, tylko te niepewne drgnięcia pod białym prześcieradłem.

Usiadła na skraju łoża, i spróbowała mówić spokojnie, chociaż była zdyszana i niełatwo przyszło jej opanować głos.

-Chrystian - powiedziała cicho, tak aby Rantzau przy drzwiach jej nie słyszał - ja nie dbam o to, co podpisałeś, to nie szkodzi, zostałeś oszukany, ale musisz ratować dzieci! Musisz, do jasnej cholery, ratować dzieci, gdzieś ty miał głowę? Wiem, że mnie słyszysz, musisz słuchać, co mówię, wybaczam ci, co podpisałeś, ale musisz ratować dzieci! inaczej zabiorą nam dzieci i wiesz, jak to jest, sam wiesz, jak to będzie, musisz ratować dzieci!

275

Odwróciła się nagle w stronę Rantzaua przy drzwiach i niemal wrzasnęła: **WYNOŚ SIĘ STĄD, TY SZCZURZE, KRÓLOWA DO CIEBIE MÓWI!!!**, lecz potem znów błagalnym szeptem przemówiła do Chrystiana, oooo Chrystian, wyszeptwała, tobie się zdaje, że cię nienawidzę, ale to nieprawda, właściwie zawsze cię lubiłam, to jest prawda, naprawdę, słuchaj mnie, ja wiem, że słuchasz! ja mogłabym cię kochać, gdyby nam wtedy dano jakąś szansę, ale nie dało się przecież w tym cholernym domu wariatów, **W TYM KOSZMARNYM DOMU WARIATÓW!!!**, wykrzyknęła do Rantzaua, a potem znowu szeptwała: i moglibyśmy być szczęśliwi, ale gdzieś indziej, tylko my, to mogłoby się udać Chrystian, gdyby cię tylko nie zmusili, żebyś mnie pokrył jak maciorę, i to nie była twoja wina, to nie była twoja wina, ale musisz pomyśleć o dzieciach, Chrystian, i nie chowaj się, wiem, że słuchasz! **NIE CHOWAJ SIĘ** - ale ja jestem człowiekiem, nie maciorą, i musisz ratować małą, oni chcą ją zabić, ja to wiem, tylko dlatego, że to dziecko Struenseego, i ty też to wiesz. **TY WIESZ** i nigdy nie protestowałeś, sam tego chciałeś, ty też tego chciałeś, ja tylko chciałam, żeby to ciebie też troszeczkę zabolowało, żebyś zobaczył, że istnieję, żebyś widział, tylko troszeczkę, a wtedy moglibyśmy, Chrystian, wtedy moglibyśmy, ale musisz ratować dzieci, ja ciebie zawsze właściwie lubiłam, i mogliśmy być tacy szczęśliwi,

Chrystian, słyszysz, co mówię, Chrystian, POWIEDZ COŚ, CHRYSYTIAN, musisz odpowiedzieć, CHRYSYTIAN, ty zawsze się chowałeś, nie możesz chować się przede mną, CHRYSYTIAN, ODPOWIEDZ MI!!!

I zdarła prześcieradło z jego ciała.

Ale to nie był Chrystian. Był to mały Murzynek Moranti, który gapił się na nią szeroko rozwartymi ze strachu oczami.

Ona zaś wpatrywała się w niego, jak sparaliżowana.

- Zabierzcie ją - rzekł Rantzau do żołnierzy.

Kiedy mijała w drzwiach Rantzaua, przystanąła, długo patrzyła mu w oczy, a potem całkiem spokojnie powiedziała:

276

- W najniższym kręgu piekieł, gdzie przebywają zdrajcy, będziesz dręczony całą wieczność. I to mnie cieszy. To jedyne, co mnie w tej chwili bardzo, bardzo cieszy.

A na to on nic nie potrafił odrzec.

Pozwolono jej, w drodze do Kronborga, wziąć do powozu córeczkę. Była dziewiąta rano, kiedy wyjeżdżali przez Północną Bramę. Jechali Szlakiem Królewskim, mijając Hirschholm - ale go mijając.

W powozie, jako strażniczkę, posadzili damę dworu, której najbardziej nie lubiła.

Karolina Matylda podała małej pierś. Dopiero wtedy mogła zacząć płakać.

Więść szybko się rozniosła; aby pogłoskę o uratowaniu Króla przed knowaniami Struenseego poświadczyć oficjalnie, Guldberg zarządził, aby Król pokazał się publicznie.

Kazano wyprowadzić przeszkloną karocę, ciągnęło ją sześć białych koni, dwunastu konnych dworzan otaczało powóz. Przez całe dwie i pół godziny jeżdżono ulicami Kopenhagi. W powozie siedzieli jednak tylko Chrystian i księżę Fryderyk.

Księżę był uszczęśliwiony, rozdziawiał usta i ślinił się, jak miał w zwyczaju, i machał ręką do wiwatujących tłumów. Chrystian siedział skulony w kącie powozu, śmiertelnie błądzący ze strachu, i wpatrywał się w swoje ręce.

Entuzjazm kolosalny.

J. Tej nocy Kopenhaga wybuchła.

To ów tryumfalny orszak z sześcioma białymi końmi i przerażonym, ocalonym i do cna upokorzonym Królem, był sygnałem. Nagle to stało się tak oczywiste: że miała miejsce rewolucja i że oto ją stłumiono, krótka wizyta królewskiego konsyliarza

277

w powstałym w centrum władzy pustym miejscu dobiegła końca, skończyła się duńska rewolucja, Niemiec był uwięziony, Niemiec zakuty w kajdany, stary reżym, czy raczej ten nowy, został obalony, i ludzie zdali sobie sprawę, iż są oto w momencie zwrotnym historii; i rozpętało się szaleństwo.

Zaczęto się od zwykłych zamieszek wśród pospólstwa; norwescy marynarze, którzy przed paru miesiącami tak spokojnie wracali z Hirschholmu po spotkaniu z uroczą małą królową, owi norwescy marynarze uznali, że nie obowiązują już żadne reguły i prawa. Na ulicach, jak wymiótł, ani śladu policji i wojska, więc droga do burdela i knajp stała otworem. Zaczęto od burdela. Powód był taki, argumentowano, iż owi Żli Ludzie, pod przewodnictwem Struenseego, którzy o mało co nie pozbawili żywota Ojczulka, że owi ludzie byli Opiekunami Burdela.

Reżym burdela się skończył. Wybiła godzina zemsty.

Bo wszak to Ojczulka, Króla, Dobrego Pana i Władcę, na którego zawsze się powoływali tam na północy, w Norwegii, jako na najwyższego Opiekuna, to Jego uratowano. Teraz Ojczulek był uratowany. Ojczulek przejrzał na oczy i odrzucił swoich fałszywych przyjaciół, teraz miano oczyścić burdele. Na czele szło tych pięciuset norweskich marynarzy, i nikt ich nie zatrzymał. Potem wybuchło wszędzie, i masy wyroiły się na miasto, ubodzy, którzy nigdy nie

śnili o rewolucji, lecz którym dano teraz miły czas przemocy, bezkarnej i bezrozumnej. Wolno było wszcząć bunt, ale bez celu, nie licząc wołania o czystość. Grzech miał zostać zgwałcony, a tym samym czystość przywrócona. Wybijano okna w burdelach i wyważano drzwi, meble i sprzęt domowy wyrzucano, półubrane nimfy, gwałcone za darmo, biegały z krzykiem po ulicach. W ciągu jednej doby zdemolowano, zniszczono, spalono ponad sześćdziesiąt lupanarów, a z rozpędu sponiewierano także kilka zupełnie przyzwoitych domów, i przyzwoitych kobiet, przez pomyłkę, jako część owej fali zbiorowego szaleństwa, która w ciągu tych dni przetoczyła się przez Kopenhagę.

278

Było tak, jakby pietystyczna przyzwoitość dostała zbiorowego orgazmu i trysnęła swym mściwym nasieniem na libertyńską Kopenhagę Struenseego. Zaczęto, co charakterystyczne, od Niemca Gabela, który odpowiadał za wyszynk alkoholu w Ro-senborg Have, owym parku, który dekretem Struenseego udostępniono publiczności, i który w dniach długiego lata i cieplej jesieni 1771 był centrum rozpusty ludu Kopenhagi. Dom Gabela uznano zatem za centrum rozpusty, stamtąd szerzyła się zaraza grzechu, tam na pewno płodzili nierząd Struensee i jego klika, należy go oczyścić. Sam Gabel uszedł z życiem, ale świątynię istotnie oczyszczono z przekupniów. Zamek był wszak świętością, nie wolno było go tknąć, nie wolno atakować, atakowano za to punkty związane z Zamkiem i z dworem. Dom włoskich komediantek był następnym celem; został oczyszczony, ale przynajmniej kilku aktorek nie zgwałcono, mówiono bowiem, iż to Ojczulek ich używał, a tym samym były niejako uświęconymi przedmiotami. Kilka wszelako zgwałcono gruntownie, a to na cześć Ojczulka; ale powody całej tej przemocy nie były już takie wyraźne, nic zresztą nie było. Wydawało się, że nienawiść do dworu, i respekt dla dworu, doprowadziły do wielkiego, wściekłego i obłąkańczego gwałtu na Kopenhadze; coś się zdarzyło na górze, wśród władców, coś sromotnego i nieprzystojnego, a teraz dano znak do oczyszczenia, i czyszczono, wolno było hańbić i czyścić, i wódka była za darmo, i paliła gardła, i mszczono się okrutnie, za coś, może za jakieś tysiącletnie krzywdy, lub za bezprawie Struenseego, to, które stało się symbolem wszelkich krzywd. Oczyszczono pałac Schimmelmana, z niejasnych powodów, które wszelako miały jakiś związek ze Struensem i Grzechem. I nagle cała Kopenhaga była pijanym, druzgoczącym i gwałcącym piekłem, paliło się w wielu miejscach, wszędzie szkło na ulicach, nie ocalała żadna spośród setek miejskich knajp. Darmo szukać policji. Żadnego wojska wysłanego na ulice. Było tak, jakby autorzy zamachu, Królowa Wdowa i zwycięscy sprzysiężeni, chcieli powiedzieć: grzech

279

w tej duńskiej stolicy będzie spalony teraz w wielkim, rozpustnym karnawale zemsty. Bóg miał na to przyzwolić. Bóg miał posłużyć się tą rozpętaną samowolą ludu jako narzędziem oczyszczenia burdela i knajp, i wszystkich tych przybytków grzechu, których użyli ci, co zrujnowali cnotę i obyczajność. Trwało to dwie doby. Potem ruchawka powoli wygasła, jak w wycieńczeniu, lub w żałobie. Coś się skończyło. Pomsty dokonano. Skończył się czas oświeceniowych zbrodniarzy. Ale w tym wycieńczeniu był także jakiś wielki żal, miało już nie być więcej tych otwartych, oświetlonych parków, teatry i rozrywki miały zostać zakazane, panować miała czystość, bogobojność, i tak musiało być. Nie wyglądało to wesoło. Ale było konieczne. Rodzaj żalu. To było to. Rodzaj sprawiedliwego, karzącego żalu. A nowy reżym, ten przyzwoity, nie miał zamiaru karać ludu za ten mściwy, lecz dziwnie desperacki, żal. Trzeciego dnia policja wyszła na ulice, i było już po wszystkim. Królową, pod silną strażą, ośmiu konnych dragonów, przewieziono do Kronborga. Wewnątrz powozu tylko Królowa, małe dziecko, i ta jedyna dama dworu, która teraz była jej całą świtą. Oficer siedział na koźle, przy woźnicy, cały czas z obnażoną szablą.

Komendant von Hauch musiał naprędce ogrzać kilka komnat w owym starym zamku Hamleta. Zima była mroźna, znad Oresundu wiały lodowate wiatry, on zaś nie był przygotowany. Królowa nic nie powiedziała, ale tuliła dziecko cały czas do siebie i osłaniała szczerze swoim futrem, którego nie zdjęła.

Wieczorem długo stała przy południowym oknie, patrząc w kierunku Kopenhagi. Tylko raz odezwała się do swojej damy dworu. Spytała, skąd bierze się na niebie, na południu, ta dziwna, migocząca słabo łuna.

- To Kopenhaga - powiedziała Dama Dworu - jest iluminowana, a lud świętuje wyzwolenie od tyrana Struenseego i jego kliki.

280

Wtedy Królowa odwróciła się na pięcie i wymierzyła jej policzek. Potem się rozpląkała, prosiła o wybaczenie, lecz powróciła do okna i, tuląc śpiące dziecko, długo patrzyła w mrok, na słabą łunę migoczącą nad iluminowaną Kopenhagą.

Rozdział 16

Klasztor

1. Kiedy podciągał nogi i opuszczał je ostrożnie, nie czuł prawie ucisku kajdan; łańcuchy miały prawie trzy łokcie długości, więc mógł się poruszać. Właściwie były całkiem niepotrzebne, bo jakże mógł uciec, dokądże ujdę przed duchem Twoim i dokąd od Twego oblicza ucieknę - jak na ironię, pojawiły się reminiscencje z godzin spędzanych nad Biblią z ponurym ojcem, Adamem Struensee, jak mógł pamiętać? - czyż to nie było strasznie dawno temu? Ale tortura kajdan była bardziej psychiczna, nie potrzebował wiele czasu, aby oswoić się z fizycznym bólem. Dokładał starań, aby być uprzejmy. Istotne było, by zachować spokój i nie pozwalać sobie na rozpacz czy krytykę. Okazywano mu, stwierdzał stanowczo i raz po raz, pełną szacunku rzeczowość i traktowano go dobrze, co pragnął podkreślić, ale nocami, gdy od wewnątrz ogarniał go chłód, jakby to jego strach zamarzał w nim, tworząc bryłę lodu, nocami nie miał więcej siły być pozytywny i życzliwie nastawiony. Wtedy już nie miał siły grać. Zdarzało się to także w ciągu dnia, gdy obserwował, jak na suficie, całkiem pozbawionym sensu, krople wilgoci zbierają się do ataku i w końcu odrywają się i atakują, wtedy mu ręce drgały tak, że nie mógł ich opanować, istniała gorsza tortura niż to, że się nie wie, co z Karoliną Matyldą i z małą, czy ona będzie w stanie go ocalić, O Panie, Boże, którego nie ma, którego nie ma, pytam cię, czy poddadzą mnie ostrej inkwizycji i czy będą mi wbijać igły w przyrodzenie i czy wytrzymam, ale poza tym wszystko było w najlepszym porządku, jedzenie było smaczne i pożywne, personel aresztu życzliwy i nie znajdował doprawdy powodów, by krytkować lub uskarżać się na traktowa-

282

nie, i rozmawiając z kierownictwem wyraził nawet zdziwienie humanitarnym traktowaniem, które go tu spotkało, lecz że nie doszło jednak do podróży, która mnie miała zabrać hen daleko, na Malaję, gdzie tak bardzo brakuje lekarzy i gdybym tylko opuścił ich wtedy w Altonie, i wciąż od nowa, wciąż to samo, nocami też, doszło do tego, że zaczęły się pojawiać koszarne sny o sierżancie Morlu, to było tak jak z Chrystianem, zaczął rozumieć to, o czym śnił Chrystian, owe koszarne sny o Mórle, owe koszarne sny, i to nie było wcale tak jak spoczywanie w ranach Baranka, tylko wbijali mu igły, a on krzyczał w dzikiej rozpacz, mówił Chrystian, ale on pozostawał wciąż bardzo spokojny i życzliwy, i niekiedy pozwalał sobie wobec wartowników na drobne żarty, co spotykało się, jak sądził, z powszechną aprobatą.

Trzeciego dnia przyszedł z wizytą Guldberg.

Guldberg zapytał, czy wszystko jest jak należy, na co padła odpowiedź twierdząca. Guldberg miał ze sobą listę skonfiskowanych przedmiotów, i prosił go o potwierdzenie sygnaturą, że jest kompletna. To była ta, która zaczyna się zapisem „35 stk danische Dukaten”, wylicza

dalej „tubę pasty do zębów” (po duńsku!), a kończy się pozycją „Ein Haar Kam”, z dziwnym komentarzem „Struensee prawie zawsze ma włosy splecione, upięte z tyłu grzebieniem jak Niewiasta”; zignorował tę uwagę, położył tylko podpis i skinął głową na znak akceptacji.

Niewiele wszak mógł zabrać z sobą przy aresztowaniu. Stali tam nagle w migotliwym świetle, a on myślał tylko: to przecież było nieuchronne. Tak się musiało stać. Nie przypominał sobie nawet, jak to przebiegało. Był tylko zamroczony strachem.

Guldberg zapytał, w jaki sposób powstała rana, którą Struensee miał na głowie. Nie odpowiedział. Wtedy Guldberg ponowił pytanie. Potem Guldberg powiedział, że wedle relacji strażników Struensee usiłował pozbawić się życia, rzucając się, głową do przodu, na kamienną ścianę.

- Znam pewien sposób - rzekł Guldberg - by wam przywrócić chęć do życia w tej nowej sytuacji.

283

Następnie wręczył mu książkę. Był to Opis Żywota nawróconego Libertyna, pióra Ovego Guldberga, wydany w 1760. Struensee podziękował.

- Dlaczego? - spytał po długim milczeniu. Potem dodał:

- Wszak i tak mam umrzeć. Obaj to wiemy.

- Wiemy - rzekł Guldberg.

- Po co więc pan przychodzi?

To było tak osobliwe spotkanie.

Guldbergowi zdawało się zależeć na przychylności Struenseego, był zatroskany okazywaną przez więźnia apatią. Chodził dokoła po więziennym lochu, jakby węszył, jak pies, niespokojny i zatroskany, albo inaczej: to wyglądało jakby ukochany pies otrzymał nową budę, a właściciel psa przeprowadzał teraz inspekcję i niepokoił się. Wniesiono krzesło dla Guldberga, który następnie usiadł. Patrzyli na siebie.

Bezwstydnie, pomyślał Struensee. „Bezwstydnie” mi się przypatruje.

- Skromna książeczka - rzekł Guldberg uprzejmie, napisana, kiedy byłem na Akademii w Sor0. Ale zawiera ciekawą historię nawrócenia.

- Nie boję się śmierci - powiedział Struensee. - I raczej trudno mnie nawrócić.

- Lepiej się nie zarzekać - odpowiedział Guldberg.

Tuż przed swym wyjściem wręczył Struenseemu pewien obrazek. Był to miedzioryt przedstawiający Karolinę Matyldę oraz córeczkę Struenseego, czteromiesięczną nieledwie księżniczkę.

- Czego pan chce - zapytał wtedy Struensee.

- Proszę to sobie przemyśleć - powiedział Guldberg.

- Czego pan chce - powtórzył Struensee.

Dwa dni później Guldberg pojawił się ponownie.

284

- Dni są krótkie i światło jest marne - powiedział Struensee. - Nie zdążyłem przeczytać książki. Nawet nie zacząłem.

- Rozumiem - powiedział Guldberg. - Zamierzacie zacząć?

- Powtarzam, że trudno mnie nawrócić - odpowiedział Struensee.

Było to po południu, cęła bardzo zimna, obu im z ust buchały kłęby pary.

- Chcę - powiedział Guldberg - żebyście dobrze się przyjrżeli portretowi tej dziewczynki. To bękart. Ale urocze, ładne dziecko.

Potem wyszedł.

Do czego zmierzał?

Te regularnie powtarzające się krótkie wizyty. Poza tym tylko cisza. Strażnicy nic mu nie mówili, okna celi były za wysoko, ta książka, którą dostał, oprócz Biblii, to jedyne, co miał

do czytania. W końcu, nieomal w gniewie, zaczął czytać traktat Guldburga. Była to wzruszająca historyjka, niemal nieznośna w swojej ubogiej szarości, język kazania, akcja nieciekawa. Chodziło w niej o pewnego na wskroś dobrego człowieka, uzdolnionego, uczciwego, otoczonego przez przyjaciół i kochanego przez wszystkich, oraz o to, jak człowiek ów popada w libertynizm. A potem pojmuje swój błąd.

To było wszystko.

Z mozołem przebrnął przez owych sto osiemdziesiąt sześć stron, po duńsku, co już samo w sobie sprawiało mu pewien kłopot, i nie zrozumiał z tego nic.

Czego on chciał?

Cztery dni później Guldburg zjawił się z powrotem, wniesiono mu jego krzeselko, usiadł i patrzył na więźnia w jego barłogu.

- Przeczytałem - rzekł Struensee.

Guldburg nie odpowiedział. Siedział tylko bez słowa, a potem, po długim milczeniu, powiedział bardzo cichym, lecz wyraźnym głosem:

- Wasz grzech jest wielki. Wasz członek splugawił tron tego kraju, powinniście oderżnąć go i z obrzydzeniem odrzucić

285

od siebie, ale macie też na sumieniu inne grzechy. Kraj pogrążony był w zamięcie, jedynie Wszzechmogąca Łaska Boża nas uratowała. Dania jest teraz ocalona. Wszystkie wasze dekrety są odwołane. Kraj ma stabilne kierownictwo. Musicie teraz, na piśmie, wyznać haniebną grzech intymnego pożycia z Królową, musicie przyznać się do winy. Następnie pod kierunkiem pastora Baltha-sara Miintera, który jest Niemcem, tak jak wy, sporządźcie pisemną deklarację, gdzie opiszeć wasze nawrócenie, i że od tej chwili odżegnujecie się od wszelkich heretyckich oświeceniowych idei, i wyznajecie miłość Zbawiciela Jezusa Chrystusa.

- To wszystko? - spytał Struensee z powściąganą, jak mu się zdawało, ironią.

- To wszystko.

- A jeśli odmówię?

Guldburg siedział tam, mały i szary, i uparcie się w niego wpatrywał, jak zwykle, bez mrugnięcia okiem.

- Nie odmówicie. I dlatego, ponieważ chętnie przystaniecie na to nawrócenie, dając tym samym budujący przykład, taki jak ten opisany w mojej skromnej książeczce, sam, osobiście dopilnuję, żeby waszemu małemu bękartowi nie stała się krzywda. Żeby go nie uśmiercono. Żeby ci, którzy pragną jej przeszkodzić w pretendowaniu do duńskiego tronu, nie postawili na swoim. A jest ich wielu, wielu!!!

Wtedy Struensee wreszcie zrozumiał.

- Wszak wasza córka - dorzucił Guldburg przyjaznym tonem - to wasza wiara w wieczność.

Czyż nie na tym polega wiara libertyna w żywot wieczny? Że można go osiągnąć tylko poprzez dzieci? Że wasze wieczne życie jest tylko w tym dziecku?

- Nie odważą się zabić niewinnego dziecka.

- Odwagi im nie brakuje.

Długo siedzieli, milcząc. Potem Struensee, z gwałtownością, która samego go zdumiała, wybuchnął:

- A sam w co pan wierzy? Że Bóg wybrał Chrystiana? czy tego zaślinionego księcia Fryderyka???

286

Wtedy Guldburg całkiem spokojnie i cicho powiedział:

- Ponieważ macie umrzeć. Wiedźcie, że nie podzielam waszego osądu, wedle którego owe „królewskie niedojdy” - oto prawdziwy sens waszych słów! właściwy sens! - są wyłączone z Bożej łaski. Otóż ja wierzę, że ci maluczcy także mają jakąś misję, którą być może

powierzono właśnie im. A nie pysznym, rozpustnym, podziwianym i pięknym istotom jak wy. Którzy ich macie za niedojdy.

- Nie ja!!! - gwałtownie wtrącił Struensee.

- I ponadto!, że Bóg powierzył mi zadanie: mam ich bronić przed wysłannikami zła, do których wy się zaliczacie. Oraz że moją, moją, historyczną misją jest ocalenie Danii.

W drzwiach powiedział:

- Proszę to sobie przemyśleć. Jutro pokażemy wam maszyny.

Zaprowadzili go do pomieszczeń, gdzie przechowywano maszyny używane do „ostrych przesłuchań”.

Pewien kapitan z oddziału wartowników posłużył za cicerone i szczegółowo przedstawił zastosowanie poszczególnych instrumentów. Zdał też relację z przypadków, kiedy delikwent już po paru zaledwie minutach był gotów do współpracy, lecz regulamin nakazywał kontynuować ostre przesłuchanie w pełnym wymiarze czasowym. Takie były zasady, i istotne było, aby znały je obie strony; w przeciwnym razie istniało ryzyko, że przesłuchiwany uzna, iż może przerwać męczarnie natychmiast, gdy tylko tego zapragnie. Ale to nie przesłuchiwany decydował o tym, jak długo trwać ma ostre przesłuchanie. Raz rozpoczęte nie mogło być skrócone, nawet kompletnym wyznaniem; to zależało jedynie od decyzji komisji przesłuchującej, a tę decyzję podejmowano zawczasu.

Po obejrzeniu instrumentów odprowadzono Struenseego z powrotem do jego celi.

W nocy leżał bezsennie, co pewien czas wstrząsany gwałtownym płaczem.

287

Długość łańcuchów nie pozwalała mu rzucić się na ścianę, głową do przodu.

Nie miał żadnego ruchu i zdawał sobie z tego sprawę.

Nazajutrz zapytano go, czy może go odwiedzić niejaki pastor Munter, duszpasterz, który pragnął zostać jego duchowym przewodnikiem oraz spisać historię jego nawrócenia.

Struensee wyraził zgodę.

2. Brandt, któremu w jego celi przydzielono pastora superintendenta Hee, zadeklarował natychmiast gotowość pełnej współpracy przy spisywaniu broszury o nawróceniu; chciał opowiedzieć publicznie o swoim radykalnym nawróceniu, o swoich grzechach i o tym, jak kaja się teraz u stóp Zbawiciela, Jezusa Chrystusa.

Ponadto, nieproszony o to, zadeklarował chęć odcięcia się od wszelkich oświeceniowych idei, a zwłaszcza od poglądów, jakie rozpowszechnia niejaki pan Voltaire. O tym ostatnim mógł poza tym mówić z tym większą znajomością rzeczy, że swego czasu, to było jeszcze przed europejską podróżą Króla, odwiedził Voltaire'a i przemieszkał u niego całe cztery dni.

Wszelako nie chodziło wówczas o dyskusje nad ideami oświecenia, tylko o kwestie teatralno-estetyczne, które pasjonowały Brandta bardziej niż polityka. Superintendent Hee nie pragnął wszakże poznać bliższych szczegółów owych rozmów o teatrze, stwierdził tylko, że bardziej go zajmuje dusza Brandta.

Brandt uważał skądinąd, że nie może być skazany.

W liście do matki zapewniał, iż „nikt nie potrafi żywić do mnie złości dłuższy czas.

Odpuściłem wszystkim ich winy, tak jak Bóg odpuścił mi moje”.

W ciągu pierwszych tygodni spędzał czas, pogwizdując i wyśpiewując operowe arie, co uważał za naturalne dla kogoś z tytułem Maitre deplaisir, czyli w późniejszej nomenklaturze Ministra kultury. Po 7 marca wydano mu zatem jego flet i mógł zachwycać wszystkich swoją grą.

288

Uważał, że jego uwolnienie jest wyłącznie kwestią czasu, i w pewnym liście do króla Chrystiana siódmego, wysłanym z więzienia, upraszał go o jakieś, „choćby skromne”, urzędnicze stanowisko.

Dopiero wtedy, gdy jego adwokat oznajmił, iż głównym, być może jedynym, zarzutem wysuniętym wobec niego ma być to, że naruszył cielesność Króla, a więc wykroczył przeciw królewskiej władzy, ogarnął go, jak się zdaje, niepokój.

Była to ta historia z palcem.

Historia tak kuriozalna, że sam prawie o niej zapomniał; ale wszak ugryzł Chrystiana, aż do krwi. Teraz wróciła. Dlatego coraz więcej sił poświęcał, wspólnie z pastorem Hee, możliwie żywej prezentacji swojej apostazji od libertynizmu, tudzież swojej odrazy do francuskich filozofów; owa historia nawrócenia mogła, dzięki temu, ukazać się niebawem w Niemczech. W jednej z niemieckich gazet owo wyznanie Brandta recenzował młody student z Frankfurtu, niejaki Wolfgang Goethe, liczący sobie wówczas dwadzieścia dwa lata, który, zbulwersowany, nazwał to wszystko religijną hipokryzją i sugerował, że owo nawrócenie jest rezultatem tortur albo innych form nacisku. Wszelako w wypadku Brandta nie była to prawda; lecz młody Goethe, który później przejął się także losem Struenseego, sporządził do artykułu rysunek tuszem przedstawiający Brandta w celi, zakutego w kajdany, i stojącego przed nim pastora Hee, który z pomocą zamaszystych gestów naucza go o konieczności nawrócenia.

Rysunek był ilustrowany krótkim satyrycznym wierszem, czy dramatycznym szkicem, być może pierwszym, jaki Goethe opublikował, który brzmiał in extenso:

Propst Hee:

- Bald leuchtest du O Graf im engelheitern Schimmer. Graf Brandt:

- Mein lieber Pastor, desto schlimmer.

289

Jednakże wszystko pozostawało pod kontrolą.

Fizyczna kontrola więźniów była efektywna, lewa stopa złączona z prawą ręką łańcuchem, długim na półtora łokcia, a ów łańcuch przytwierdzony do muru ciężkim żelaznym kółkiem. Kontrola prawna też szybko się rozwijała. 20 stycznia powołano sąd inkwizycyjny, a potem organ wykonawczy, Komisję Inkwizycyjną, w której zasiadło ostatecznie czterdziestu dwóch członków.

Był tylko jeden problem.

Struensee musiał zostać skazany na śmierć, to było jasne. Ale na wszystkim kładł się cieniem konstytucyjny dylemat.

Dylemat stanowiła angielska kurewka.

Osadzona była w Kronborgu, jej czteroletni synek, Kron-princ, został jej odebrany, mogła zatrzymać przy sobie córeczkę, „dopóki jeszcze karmiła”. Ale Królowa była z innej, twardszej gliny niż pozostali więźniowie. Nie przyznawała się do niczego. Poza tym była, mimo wszystko, siostrą króla Anglii.

Usiłowano przeprowadzić wstępne przesłuchania. Nie były one zbyt zachęcające.

Królowa była właściwym problemem.

Do zamku Hamleta wysłano Guldburga i pomocniczą delegację trzech członków komisji, aby sprawdzić, co da się zrobić.

Pierwsze spotkanie było bardzo krótkie i formalne. Kategorycznie zaprzeczyła, jakoby łączył ją ze Struensem intymny związek, i aby dziecko było jego. Była wściekła, ale w najwyższym stopniu oficjalna, i zażądała rozmowy z ambasadorem Anglii w Kopenhadze.

W drzwiach Guldburg odwrócił się i spytał:

- Zapytam Was jeszcze raz: czy dziecko jest Struenseego?

- Nie - powiedziała, krótko, jak smagnięcie batem. Lecz nagle strach w jej oczach. Guldburg go dostrzegł. To był koniec pierwszego spotkania.

Rozdział 17

Winobraniec

1. Pierwsze przesłuchanie Struenseego odbyło się 20 lutego, trwało od dziesiątej do drugiej, i nie dało nic.

Dnia 21 lutego przesłuchanie kontynuowano i przedstawiono teraz Struenseemu dalsze dowody na to, że łączył go z Królową intymny i gorszący związek. Świadczenia były, podkreślono, nie do podważenia. Zeznawali także najwierniejsi słudzy; jeżeli dotąd czuł się otoczony wewnętrznym kręgiem chroniących go istot, które broniły jego wersji, teraz zmuszony był zdać sobie sprawę, że ów wewnętrzny krąg był urojeniem. Trzeciego dnia, pod koniec długotrwałego przesłuchania, gdy Struensee zapytał, czy Królowa nie każe wkrótce przerwać tej haniebnej farsy, oznajmiono mu, iż Królowa jest aresztowana i osadzona w Kronborgu, że Król chce wszcząć postępowanie rozwodowe, i Struensee w każdym razie, jeżeli żywił takie nadzieje, nie może liczyć na wsparcie z jej strony.

Struensee patrzył na nich jak rażony gromem, potem pojał. Wybuchnął nagle dzikim, konwulsyjnym płaczem, i prosił, by odprowadzono go do celi, gdyż chce przemyśleć swoją sytuację.

Komisja Inkwizycyjną, rzecz jasna, zignorowała tę prośbę, uznano bowiem, iż Struensee jest teraz wytracony z równowagi, i że niewiele trzeba, by się przyznał; zdecydowano więc przedłużyć przesłuchanie tego dnia. Struensee nie mógł opanować płaczu, był zdesperowany, a potem nagle przyznał się, „zupełnie zdruzgotany i pogrążony w rozpacz”, iż rzeczywiście pozostawał w intymnym związku z Królową, że obcowanie cielesne (Beiwohnung) miało miejsce.

291

25 lutego podpisał akt całkowitego przyznania się do winy.

Wieść szybko się rozniosła po Europie.

Komentarze wyrażały oburzenie i pogardę. Postępowanie Struenseego potępiono, to znaczy nie jego intymny związek z Królową, tylko sam fakt, że się przyznał. Pewien francuski obserwator na wieść o tym zdarzeniu napisał, że „Francuz rozgłosiłby całemu światu, ale nie przyznałby się nigdy”.

Oczywiste było także, że tym samym Struensee podpisał na siebie wyrok śmierci.

Do Kronborga wysłano komisję złożoną z czterech osób, aby przedstawić Królowej pisemne zeznanie Struenseego. Zgodnie z dyrektywami Królowa miała dostać do czytania jedynie poświadczony odpis. Oryginał też miał być zabrany, postanowiono pozwolić jej na sprawdzenie autentyczności odpisu, ale pod żadnym pozorem nie mogła mieć fizycznego kontaktu z oryginałem; ten miał być trzymany przed Królową, lecz nie mógł trafić do jej rąk. Znano jej determinację, i obawiano się jej furii.

Z. Siedziała zawsze przy oknie i wyglądała na Óresund, który po raz pierwszy w czasie całego jej pobytu w Danii był skuty lodem i pokryty śniegiem.

Śnieg często sunął po lodzie cienkimi pasmami, to było nawet dość ładne. Zdecydowała, że śnieg gnany wiatrem po lodzie jest ładny.

Niewiele było teraz w tym kraju, myślała, rzeczy ładnych.

Właściwie wszystko było brzydkie, lodowato szare i wrogie, ale ona skupiała się na tym, co mogło być ładne. Ten śnieg gnany wiatrem po lodzie był ładny. W każdym razie czasami, zwłaszcza w to jedno popołudnie, kiedy przebiło się słońce i na parę minut sprawiło, że wszystko stało się, no cóż, po prostu ładne.

292

Lecz brakowało jej ptaków. Nauczyła się je kochać w czasach sprzed Struenseego, kiedy stała na brzegu, patrząc jak leżą „wwiercone w swoje sny” - tak wyrażała to później, opowiadając Struenseemu - a czasami podrywały się i znikwały w wiszącej nisko mgłę. To, że te ptaki śniły, stało się tak ważne: że miały tajemnice i śniły, i umiały kochać, tak jak kochać umieją drzewa, i że te ptaki „oczekiwały” i miały nadzieję, i nagle podrywały się i biły koniuszkami

skrzydeł w rtęciowo szarą tafłę wody i znikają, odlatując ku czemuś. Gdzieś. Ku jakiemuś innemu życiu. To było takie piękne uczucie.

Ale teraz ptaków nie było.

To był zamek Hamleta, a ona widziała przedstawienie Hamleta w Londynie. Szalony król, który zmusił swą ukochaną do samobójstwa; płakała, gdy oglądała tę sztukę, a kiedy pierwszy raz była w Kronborgu, zamek wydawał jej się taki wielki. Teraz nie był wielki. Był tylko koszmarem, w którym ona sama tkwiła uwięziona. Nienawidziła Hamleta. Nie chciała, by jej życie pisał teatralny dramat. Myślała, że to życie chce napisać sama.

„Schwytała w potrzask miłości” Ofelia umarła, a ona? W czym ona sama była teraz uwięziona? Czy tak jak Ofelia, w miłości? Tak, to była miłość. Ale nie miała zamiaru oszaleć i umrzeć. Nie miała zamiaru zostać, pod żadnym warunkiem, Ofelia.

Nie chciała stać się teatrem.

Nienawidziła Ofelii, jej kwiatów we włosach i jej ofiarnej śmierci, i jej szalonej piosenki, jedynie śmiechu wartej. Mam zaledwie dwadzieścia lat; stale to sobie powtarzała, miała dwadzieścia lat i nie została uwięziona w duńskiej sztuce napisanej przez Anglika, nie była więzieniem cudzego szaleństwa, i była jeszcze młoda.

O, keep me innocent, make others great. To był ton Hamletowej Ofelii. Śmiechu warte.

Ale ptaki ją porzuciły. Czy to był znak?

293

Nienawidziła też wszystkiego, co było klasztorem.

Dwór był klasztorem, jej matka była klasztorem, Królowa Wdowa była klasztorem, Kronborg był klasztorem. W klasztorze było się bez właściwości. Holberg nie był klasztorem, ptaki nie były klasztorem, jeżdżenie konno w męskim stroju nie było klasztorem, Struensee nie był klasztorem. Piętnaście lat żyła w klasztorze matki i była pozbawiona właściwości, teraz znów tkwiła w czymś w rodzaju klasztoru, pośrodku był czas Struen-seego. Siedziała w oknie, patrząc na śnieżną kurzawę, i próbowała zrozumieć, czym był czas Struenseego.

Był dorastaniem: od dziecka, które sądziło, że ma piętnaście lat, do tej, co dożyła stu lat, i wiedziała.

Przez cztery lata zdarzyło się wszystko.

Najpierw ten koszmar z małym szalonym królem, który ją pokrył, jak kryje się krowę, potem dwór, umyślowo chory, tak jak Król, którego jednak czasami kochała; nie, niewłaściwe słowo. Nie kochała. Nie chciała teraz o tym myśleć. Najpierw klasztor, potem te cztery lata. Zatem to stało się tak szybko; zrozumiała, że nie jest pozbawiona właściwości i, co najbardziej fantastyczne, pokazała im - im!!! - że nie jest pozbawiona właściwości, i nauczyła ich tym samym, co znaczy strach.

Dziewczynka, która wyruszyła w świat, żeby nauczyć ich, co to strach.

Struensee opowiedział jej kiedyś starą niemiecką baśń ludową. O chłopcu, który nie wiedział, co to strach; wyruszył w świat, „aby nauczyć się, co strach jest”. Właśnie tak, po niemiecku sztywno, i zagadkowo, to brzmiało. Uznała wtedy, że baśń jest dziwaczna, i prawie jej nie pamiętała.

Lecz pamiętała tytuł: „Chłopiec, który wyruszył w świat, aby nauczyć się, co strach jest”.

Opowiadał ją po niemiecku. Chłopiec, który wyruszył w świat, aby nauczyć się, co strach jest. Wypowiedziane jego głosem, po niemiecku, słowa te brzmiały jednak pięknie, niemal magicznie. Dlaczego jej to opowiadał? Czy w ten sposób chciał

294

opowiedzieć o sobie? Przekazać jakiś tajny znak? Później myślała, że opowiadał o sobie. Był bowiem w baśni jeszcze inny chłopiec. On był tym mądrym, uzdolnionym, dobrym i kochanym; ale porażał go strach. Przed wszystkim, przed wszystkimi. Wszystko go przerażało. Miał mnóstwo cennych właściwości, lecz strach je paraliżował. Ten uzdolniony chłopiec był sparaliżowany strachem.

Lecz jego Głupi Brat nie wiedział, co to strach.

To Głupi Brat był zwycięzcą.

Jaką historię Struensee chciał jej opowiedzieć? O sobie samym? Czy usiłował opowiedzieć o niej? Czy o ich wrogach, i o tym, co to znaczy żyć; o warunkach, o tych warunkach, które należało spełnić, lecz których oni nie chcieli zaakceptować? Po co ta śmieszna dobroć w służbie dobra? Dlaczego nie eliminował wrogów, nie zsyłał ich na wygnanie, nie korumpował, nie dostosował się do wielkiej gry?

Czy to dlatego, że bał się zła, do tego stopnia, że nie chciał pobrudzić sobie nim palców, i to dlatego teraz przegrał wszystko?

Przybyła czteroosobowa delegacja; opowiedzieli jej, że Struensee został wtrącony do więzienia, że przyznał się do winy.

Prawdopodobnie poddali go torturom. Prawie nie miała co do tego wątpliwości. A wtedy, rzecz jasna, przyznał się do wszystkiego. Struensee nie musiał wyruszać w świat, aby nauczyć się, co strach jest. W głębi duszy zawsze się bał. Widziała to. Nie lubił nawet sprawowania władzy. Tego nie rozumiała. Czuła wszak swoją własną radość, gdy po raz pierwszy zrozumiała, że sama może budzić strach.

Ale on nie. Zabrakło mu czegoś podstawowego. Dlaczego zawsze do czynienia dobra wybierani byli niewłaściwi ludzie? To się nie mogło dziać za sprawą Boga. To Diabeł musiał być tym, który wybiera narzędzia dobra. Brał więc szlachetnych, którzy wiedzieli, co to strach. I jeśli dobrzy nie umieli zabijać i niszczyć, wtedy dobro było bezradne.

295

Jakie to straszne. Czy tak naprawdę musi być? Czy było tak, że ona sama, która nie знаła strachu, i lubiła sprawować władzę, i czuła się szczęśliwa, wiedząc, że budzi w nich lęk, że to ludzie tacy jak ona powinni byli przeprowadzić duńską rewolucję?

Żadnych ptaków za oknem. Czemu nie było żadnych ptaków, teraz, kiedy ich potrzebowała?

On opowiedział jej historię o młodym chłopcu, co miał wszystko, lecz czuł strach. Lecz to ten drugi chłopiec był bohaterem baśni. Ten zły, złośliwy i bezmyślny, ten który nie znał strachu - to on był zwycięzcą.

Jak można było pokonać cały świat, będąc jedynie dobrym, i nie mając odwagi być złym? Jak można było w takim razie podsadzić lewar pod dom świata?

Zima bez końca. Śnieżna kurzawa nad Oresundem.

Kiedy to miało się skończyć?

Przez cztery lata żyła. Właściwie krócej. Zaczęło się w Teatrze Dworskim, kiedy się zdecydowała, i kiedy go pocałowała. Czy to nie było wiosną 1770? To znaczyło, że żyła tylko przez dwa lata.

Jak szybko można było rosnąć. Jak szybko można było umrzeć.

Czemu musiała kochać tak straszliwie właśnie Johanna Friedricha Struenseego, skoro dobro było skazane na ztratę, a nie-znający strachu musieli zwyciężyć.

O, keep me Innocent, make others great. Tak nieskończenie dawno temu.

3. Delegacja czterech nie osiągnęła niczego.

Cztery dni później Guldberg wrócił.

Guldberg zjawił się sam, dał znak strażnikom, by pozostali za drzwiami, usiadł na krześle i patrzył na nią prosto i nieustępliwie. Nie, ten mały człowiek to nie Rantzau, to nie tchórzliwy

296

zdrajca, jego nie wolno było lekceważyć, z nim nie było żartów. Przedtem myślała, że jest niemal groteskowy w swojej szarej małości; ale teraz wydawał się zmieniony, co się właściwie w nim zmieniło? Nie był nieznaczny. Był śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem, którego nie doceniała, a teraz siedział na krześle i patrzył na nią nieustępliwym wzrokiem. Co to było z jego oczami? Mówiono, że nigdy nie mruga, lecz czy chodziło tylko o to? Przemówił do niej bardzo cicho i spokojnie, skonstatował chłodno, że

Struensee się przyznał, jak już jej o tym doniesiono, i że Król teraz chce rozwodu, i że konieczne jest wyznanie winy z jej strony.

- Nie - odpowiedziała mu równie spokojnie.

- W takim razie - rzekł - Struensee spotwarzył królową Danii. Więc jego kara musi ulec zaostrzeniu. Musimy zatem skazać go na śmierć przez powolne łamanie kołem.

Patrzył na nią zupełnie spokojnie.

- Ty świnió - powiedziała. - A dziecko?

- Zawsze trzeba zapłacić jakąś cenę - rzekł. - Zapłacić!

- A to znaczy?

- Że Wasz bękart i bastard musi Wam być odebrany. Wiedziała, że nie wolno dać się sprowokować. Chodziło

o dziecko, musiała zachować spokój i zdolność jasnego myślenia.

- Jednego tylko nie rozumiem - powiedziała swoim najbardziej opanowanym głosem, który pomimo to wydał się jej wątły i drżący - nie rozumiem tej mściwości. Co z was za człowiek, ulepiony z jakiej gliny. Przez Boga? Czy przez Diabła?

Patrzył na nią długo.

- Rozwiążność ma swoją cenę. A moim zadaniem jest skłonić Was do podpisania wyznania winy.

- Ale to nie jest odpowiedź - powiedziała.

- Naprawdę mam odpowiedzieć?

- Tak. Naprawdę.

Wtedy, bardzo spokojnie, wyjął z kieszeni jakąś książkę, szukał w niej czegoś, kartkując z namysłem, a potem zaczął czytać.

297

Była to Biblia. Właściwie ma piękny głos, pomyślała nagle, lecz było coś strasznego w owej ciszy, w owym spokoju, i w tekście, który odczytywał. To jest, powiedział, Izajasz, rozdział trzydziesty czwarty, może przeczytam fragment, rzekł: Bo oto Pan zapłonął gniewem na wszystkie narody, zaczął, nie czekając na odpowiedź, i oburzeniem srogim na wszystkie ich zastępy. Wytraci je jako przeklęte i wydaje na rzeź. Zabici ich będą wyrzuceni, ich trupy zionąc będą odorem zgnilizny; ich krwią spłyną góry. Zniszczeje cały zastęp niebios. Niby zwój księgi zwinięte zostaną niebiosy i cały ich zastęp opadnie, jako opada liść szczepu winnego i jako więdnie liść figi, potem odwrócił kartkę, niespiesznie i w zamyśleniu, jakby wsłuchany w muzykę tych słów, o Boże, pomyślała, jak mogłam kiedykolwiek sądzić, że ten człowiek jest nieznaczny, Zaiste, miecz mój upoił się na niebiosach; i spadnie na Edom, na lud jego, klątwą moją dotknięty. Skąpany we krwi jest miecz Pana, i napojony tłuszczem, krwią wołów i kozłów, tłuszczem baranich nerek, i zaiste, głos jego nabierał z wolna mocy, i nie mogła oderwać od niego wzroku ogarnięta rodzajem fascynacji albo strachu, albo obojgiem naraz, krwią opija się teraz ich ziemia i proch ziemi nasyci się tłuszczem. Bo to dla Pana dzień pomsty, rok odpłaty za walkę z Syjonem. Rzeki Edo-mu obrócą się w smołę, a proch ziemi w siarękę, i kraj jego stanie się smołą płonąca. Nie zgaśnie ona dniem ni nocą, jej dym będzie się wznosił bez końca. Z pokolenia na pokolenie kraj pozostanie spustoszony, na wieki nikt go nie będzie przemierzał (...). Nie będzie już jego szlachetnie urodzonych, ani królestwa tam nie obwołają, nastąpi kres dla wszystkich jego książąt. I wzejdą ciernie w pałacach jego, a w warowniach - pokrzywy i osty. I stanie się norą szakali i siedliskiem strusiów. Spotykać się tam będą stepowe psy i hieny, upiory nawoływać się będą. I tylko Lilit znajdzie tam schronienie i miejsce dla odpoczynku, no cóż, ciągnął tym samym, spokojnym, intensywnym głosem, to są słowa proroka, czytam to tylko po to, by naszkicować tło dla słów Pańskich o karze, która spadnie na tych, co pożądamy zgnilizny i nieczystości, zgnilizny i nieczystości, powtórzył, patrząc na nią uporczywie, i nagle zobaczyła jego oczy, nie, nie chodziło wcale

o to, że nie mrugał, ale te oczy były jasne, prawie przejrzyste, lodowate, jak u wilka, były zupełnie blade, niebezpieczne, to właśnie wszystkich przerażało, nie to, że nie mrugał, tylko że były tak nieznośnie lodowate jak u wilków, a on, wciąż tym samym, spokojnym głosem, mówił dalej: teraz przejdziemy do fragmentu, który Królowa Wdowa, za moją poradą, poleciła odczytać z ambony w przyszłą niedzielę w całym kraju, jako dziękczynienie za to, że kraj nie musi podzielić losu Edomu, i przeczytam teraz z proroka Izajasza, z rozdziału sześćdziesiątego trzeciego; odchrząknął, utkwiał wzrok na powrót w otwartej Biblii i przeczytał ów tekst, którego lud Danii miał wysłuchać w przyszłą niedzielę.

Kimże jest ten, który przybywa w czerwieni, w szatach bardziej szkarłatnych niż winobraniec, tak majestatyczny w swym stroju, kroczący w tężyznie swej siły? - „To Ja, który sprawiedliwie przemawiam, wielki w wybawieniu”. Dlaczego czerwone jest twoje odzienie, i szaty twe -jak tłoczącego w prasie? - „W prasie tłoczyłem sam jeden i spośród narodów nie było przy mnie żadnego. Deptałem je więc w swoim gniewie i gniołem je w swym oburzeniu; ich posoka przyskała na mą odzież, więc zbroczyłem wszystkie swoje szaty. Bo postanowiłem w swym sercu dzień pomsty i nadszedł rok mego odkupienia. Rozejrzałem się: nie było pomocnika; zdumiałem się: nie było nikogo, kto by mnie wspierał. Wtedy wspomogło mię moje ramię i sprawiedliwość moja mię wsparła. Przeto zdeptałem narody w mym gniewie, stratowałem je w mym uniesieniu, a ich posokę wytoczyłem na ziemię”.

Tu skończył czytać i podniósł wzrok na nią.

- Winobraniec - powiedziała wtedy, jakby sama do siebie.

- Otrzymałem pytanie - rzekł Guldborg. - I nie chciałem uchylać się od odpowiedzi. Teraz już odpowiedziałem.

- Tak? - wyszeptwała.

- Dlatego.

Przez moment przyszło jej do głowy, gdy przyglądała się winobrańcowi, kiedy czytał, powoli i metodycznie, że może właśnie jakiś winobraniec potrzebny był u boku Struenseego.

Spokojny, cichy, z jasnymi wilczymi oczami, w szacie zbruka-nej krwią i z powołaniem do wielkiej gry.

Poczuła prawie mdłości, gdy to pomyślała. Struensee nigdy nie dałby się skusić tej myśli. To, że jej samej zdała się kusząca, sprawiło, że poczuła mdłości. Czy była Lilit.

Czy nosiła w sobie winobrańca.

Chociaż wmawiała sobie, że nigdy. W przeciwnym razie, gdzie by wszystko się podziało.

Gdzie w takim razie się podziało.

W końcu podpisała.

Niczego o pochodzeniu dziewczynki. Ale o niewierności; pisała pewną ręką, z furją, i bez szczegółów; wyznała w tej kwestii „to samo, do czego przyznał się hrabia Struensee”.

Pisała pewną ręką, żeby oszczędzić mu śmierci w powolnych męczarniach za zarzucenie jej kłamstwa, a więc za zbrodnię obrazy majestatu, i dlatego, że przecież wiedziała, jak bardzo musi się tego bać; ale jedyne, o czym mogła myśleć, to było, ale dzieci, dzieci, chłopiec jest już przecież duży, ale mała, przecież ją muszę karmić piersią, i zabierają, i będzie otoczona zgrają wilków, i co to będzie, i mała Luiza, zabiorą mija, i kto jej da piersi, kto otoczy ją miłością pośród tych winobrańców.

Podpisała. I wiedziała, że nie jest już tą odważną dziewczynką, która nie wie, co to strach.

Strach w końcu jej dosięgnął!, strach ją znalazł, wiedziała w końcu, co to strach.

4. Angielski poseł Keith otrzymał w końcu zezwolenie na wizytę u uwięzionej królowej.

Problem został przeniesiony na wyższy poziom. Rozpoczęto wielką grę, ta wielka gra nie dotyczyła jednak dwóch uwięzionych hrabiów ani pomniejszych grzeszników aresztowanych

równocześnie. Ci ostatni zostali wypuszczeni i deportowani albo popadli w niełaszkę, albo otrzymali, wraz z przeprosinami, drobne nadania i renty.

Pomniejsi grzesznicy dyskretnie zniknęli.

300

Reverdil, ten ostrożny reformator, guwerner Chrystiana, pia-stun i ukochany doradca chłopca, dopóki dało się udzielać rad, także został zesłany. Otrzymał tydzień aresztu domowego, lecz był spokojny i czekał, nadchodziły wzajemnie sprzeczne wiadomości; a wreszcie list deportacyjny, w tonie wylewnym i uprzejmym, nakłaniający go, by jak najprędzej powrócić do swojej ojczyzny, aby odnaleźć tam spokój.

Zrozumiał. Bardzo powoli oddalał się od centrum burzy, nie chciał bowiem, jak pisze, sprawiać wrażenia, że ucieka. W ten sposób zniknął z historii, postój za postojem, powściągliwy w swojej ucieczce, jeszcze raz egzulowany, chudy i przygarbiony, smutny i przenikliwy, ze swoją upartą nadzieją, zniknął jak bardzo powolna wieczorna zorza. To jest niedobra metafora, która pasuje jednak do Elie Salomona Francois Reverdila. Być może sam by to tak opisał, gdyby posłużył się jeszcze jednym z owych obrazów powolności jako cnoty, których tak lubił używać: tych o ostrożnych rewolucjach i powolnych rejteradach, o świcie i o zmierzchu oświecenia.

Wielka gra nie dotyczyła pobocznych postaci.

Wielka gra dotyczyła małej angielskiej kurewki, małej księżniczki koronowanej na królową Danii, siostry Jerzego trzeciego, tak poważanej przez carycę Rosji, Katarzynę, orędowniczki oświecenia, zasiadającej na duńskim tronie; a zatem małej uwięzionej, zapłakanej, bezradnej i wścieklej Karoliny Matyldy.

Owej Lilit. Tej anielicy szatana. Która wszelako była matką dwojga królewskich dzieci, co jej dawało władzę.

Analiza Guldburga była krystalicznie jasna. Otrzymała jej przyznanie się do cudzołóstwa.

Konieczny był rozwód, aby ona i jej dzieci nie mogli rościć sobie pretensji do władzy.

Rządząca grupa skupiona wokół Guldburga była teraz, przyznawał to, uzależniona całkowicie, dokładnie tak jak wcześniej Struensee, od szalonego króla. Władza dana była od Boga. Ale Chrystian wciąż pozostawał owym palcem Bożym, który udzielał iskry życia,

301

łaski i władzy temu, kto miał dość siły, aby zdobyć tę czarną próżnię władzy, jaką stwarzała choroba Króla.

Konsyliarz króla odwiedził to puste miejsce, i wypełnił je. Teraz go zabrakło. Wtedy inni zjawili się z wizytą.

Sytuacja była w gruncie rzeczy niezmienną, choć odwrotną.

Wielka gra dotyczyła teraz Królowej.

Chrystian uznał córeczkę za własną. Ogłoszenie, że dziecko jest bastardecem, byłoby dla niego zniewagą i, podważając jego autorytet, osłabiłoby legitymację nowej władzy. Gdyby uznać dziewczynkę bastardecem, matka mogłaby ją zatrzymać; nie byłoby wtedy powodu, by zatrzymać dziecko w Danii. Nie wolno było do tego dopuścić. Nie można było też ogłosić, że Chrystian jest szalony, z tej samej przyczyny; wtedy władza przeszłaby na jego prawowitego syna, a pośrednio na Karolinę Matyldę.

Ergo, należało stwierdzić niewierność. Musiało dojść do rozwodu.

Pytanie tylko, jak angielski monarcha zareaguje na ten afront wyrządzony jego siostrze.

Nastąpił okres niepewności: wojna czy nie? Król Jerzy trzeci kazał wyposażyć sporą eskadrę okrętów do napaści na Danię, gdyby prawa Karoliny Matyldy zostały naruszone. Lecz

jednocześnie w angielskiej prasie i w pamfletach zaczęły ukazywać się fragmenty zeznań Struenseego. Angielska wolność druku była notoryczna i godna podziwu, a niebywała historia o niemieckim eskulapie i małej angielskiej królowej stanowiła nie lada gratkę.

Lecz żeby zaraz wojna, o to?

Z upływem tygodni coraz trudniejsze wydawało się rozpętywanie wojny z powodu urażonej dumy narodowej. Niewierność Karoliny Matyldy stawiała pod znakiem zapytania społeczne poparcie. Wiele wojen wszczęto z mniej ważkich i osobliwszych powodów, ale Anglia się teraz wahała.

Skończyło się kompromisem. Królowa nie musiała, jak to planowano, dożywać reszty swoich dni internowana w zamku

302

Aalborghus. Rozwód miał zostać zaakceptowany. Dzieci miały jej zostać odebrane. Miała być dożywotnio egzulowana z Danii i zmuszona do dobrowolnego, lecz poddanego kontroli, pobytu w jednym z zamków króla Anglii w jego niemieckich posiadłościach, w Celle, w Hannoverze.

Tytuł królowej pozwolono jej zachować.

Dnia 27 maja 1772 do portu w Helsingør zawinęła mała angielska eskadra, składająca się z dwóch fregat i jednego słupu, królewskiego jachtu.

Tego samego dnia zabrano jej dziecko.

Dzień wcześniej oznajmiono jej, że przekazanie dziecka odbędzie się nazajutrz, ale ona już dawno przecież rozumiała, tylko niepewny termin przejmował ją lękiem. Nie zostawiała małej samej i bezprzestannie nosiła ją na rękę; dziewczynka miała już dziesięć miesięcy, umiała chodzić trzymana za rączkę. Mała niezmiennie była w dobrym humorze i Królowa nie pozwalała żadnej z dworek zajmować się nią w te ostatnie dni. Kiedy dziecku znudziły się proste zabawy, którymi Królowa usiłowała je zająć, a przy okazji siebie samą, ważną rolę zaczęły odgrywać czynności związane z ubrankami. Czynności te nabrały niemal obsesyjnego charakteru, przyznałam się do wszystkiego gdzie popełniłam błąd i gdybym tylko mogła zatrzymać małą o Boże czy jesteś winobran-cem widzę jak idą w zakrwawionych szatach i te wilki mają się teraz opiekować, lecz to jej ubieranie i rozbieranie dziecka, czasem konieczne, często całkiem zbędne, zdawało się rodzajem ceremonii lub zaklęcia, aby na zawsze wkraść się w łaski małej; 27 maja przed południem, kiedy Królowa ujrzała te trzy statki zakotwiczone na redzie, zmieniła małej ubranka z dziesięć razy, a na obiekcje ze strony dam dworu reagowała irytacją i wybuchami złości i płaczu.

Kiedy przybyła delegacja wysłana przez duński rząd, Królowa całkiem straciła opanowanie.

Wrzeszczała bez opamiętania, nie chciała za nic oddać dziecka, i jedynie stanowcze upomnienia

303

delegacji, że nie powinna straszyć małego niewinnego dziecka, tylko zachować godność i powagę, sprawiły, że pohamowała swój bezprzestanny szloch, ale to upokorzenie o gdybym była winobran-cem w tym momencie ale dziecko.

W końcu udało się wydrzeć jej dziecko, nie wyrządzając krzywdy ani małej, ani samej Królowej.

Stała potem jak zwykle w swoim oknie i na pozór zupełnie spokojnie, z twarzą zupełnie bez wyrazu, patrzyła na południe, w stronę Kopenhagi.

Wszystko puste. Bez żadnej myśli. Mała Luiza była wydana na pastwę zgrai duńskich wilków.

5. Dnia 30 maja, o szóstej po południu, odbyła się ekspatria-cja Królowej. Angielscy oficerowie zeszli wtedy na ląd, w asyście warty złożonej z pięćdziesięciu zbrojnych angielskich marynarzy, aby odebrać Karolinę Matyldę.

Spotkanie z oddziałami duńskiej warty z Kronborga przebiegło w sposób budzący sensację. Angielscy oficerowie nie oddali należnych honorów duńskiej straży, nie zamienili ani słowa z duńskimi dworzanami czy oficerami, okazując im chłód i ostentacyjną pogardę. Uformowali wokół Królowej wartę honorową, powitali ją ze wszystkimi wojskowymi honorami, ze statków oddano armatnie saluty.

W porcie przeszła szpalerem utworzonym przez angielskich żołnierzy prezentujących broń. Następnie wprowadzono ją na pokład angielskiego słupe i przewieziono na fregatę. Królowa była bardzo godna i spokojna. Rozmawiała uprzejmie z rodakami, którzy manifestując swoją pogardę dla duńskich oddziałów, chcieli wyrazić dezaprobatę dla sposobu, w jaki ją potraktowano.

Otoczyli ją czymś, czego nie da się opisać w terminologii wojskowej, lecz co może było miłością.

304

Zdecydowali się prawdopodobnie, że jest ona, mimo wszystko, ich małą dziewczynką. Mniej więcej tak. Wyrażają to wszystkie opisy tego odjazdu.

Skrzywdzono ją. Chcieli okazać Duńczykom swą pogardę.

Przeszła pomiędzy szeregami angielskich żołnierzy prezentujących broń, spokojna i zdeterminowana. Bez uśmiechu, ale też bez śladu łez. W ten sposób jej wyjazd z Danii różnił się od jej przyjazdu. Wtedy płakała, sama nie wiedząc, czemu. Teraz nie płakała, chociaż miała powód; ale tak postanowiła.

Zabrali ją, z wojskowymi honorami, z pogardą dla tych, których opuszczają, i z miłością. Tak to wyglądało, gdy małą Angielkę zabierano po jej wizycie w Danii.

Rozdział 18

Rzeka

1. Dzień Pomsty i Winobrańca miał nadejść.

Lecz w tym, co było tak pociągające, coś wydawało się nie tak. Guldberg nie bardzo wiedział co. Odczytano w kościołach ów tekst, i egzegezy, z których jedna straszniejsza była od drugiej; Guldberg uważał, iż dobrze się stało, wszak to on sam wybrał właściwy tekst, i tekst ów był właściwy, Królowa Wdowa wyraziła aprobatę, sąd i dzień pomsty nadszedł, zdeptałem narody w mym gniewie, stratowałem je w mym uniesieniu, a ich posokę wytoczyłem na ziemię, to były właściwe słowa, a sprawiedliwości miało stać się zadość. Lecz kiedy czytał ów tekst małej angielskiej kurewce, to jednak było takie straszne. Czemu patrzyła na niego w ten sposób? To ona do tego duńskiego królestwa przywlekleła zarazę grzechu, był tego pewien, ona była Lilit, spotykać się tam będą stepowe psy i hieny, upiory nawoływać się będą. I tylko Lilit znajdzie tam schronienie i miejsce dla odpoczynku, zasługiwała na to, wszak wiedział, że ona jest Lilit i zmusiła go, żeby się czołgał na kolanach przy swym łożu, i jej władza była wielka, i Panie, jak chronić się mamy przed tą zarazą grzechu.

Ale zobaczył jej twarz. Gdy uniósł wzrok znad tego sprawiedliwego i słusznego biblijnego tekstu, zobaczył tylko jej twarz, a potem przesłoniła ona wszystko i już nie widział Lilit, a jedynie dziecko.

Ta nagle całkiem naga niewinność. I to dziecko.

Dwa tygodnie po drugim spotkaniu z królową Karoliną Matyldą, jeszcze nim zapadł wyrok, Guldburga nagle opadła roz-

306

pacz. Poczul to pierwszy raz w swoim życiu, lecz pragnął to określić jako rozpacz. Innego pojęcia nie znalazł.

Zdarzyło się, co następuje.

Przesłuchania Struenseego i Brandta zmierzały już ku zakończeniu, wina Struenseego była ewidentna, wyrokiem mogła być tylko śmierć. Guldberg odwiedził wtedy Królową Wdowę. Mówił jej o tym, co było teraz najmądrzejsze.

- Naj mądrzej - zaczął - naj mądrzej z politycznego punktu widzenia byłoby skazać go nie na karę śmierci, lecz jakąś łagodniejszą formę...

- Rosyjska caryca - wpadła mu w słowo Królowa Wdowa -pragnie ułaskawienia, to dla mnie żadna nowina. Tak jak król Anglii. Tak jak inni monarchowie dotknięci oświeceniową zarazą. Wszelako mam na to odpowiedź.

- A ta brzmi? -Nie.

Była nieprzejednana. Zaczęła nagle mówić o ogniu czystości, wielkim pożarze prerii, który miał ogarnąć świat i strawić wszystko, wszystko to, co było czasem Struenseego. Nie było więc miejsca na litość. Potem mówiła dalej, a on słuchał, i wszystko się zdawało echem jego własnych słów, lecz, Boże, czy istotnie nie ma miejsca na miłość', czy jest ona jedynie brudem i rozpustą, i nie mógł się z tym nie zgodzić. Choć później znowu zaczął mówić o tym, co mądre i rozsądne, i że caryca, i król Anglii, niebezpieczeństwo poważnych uwikłań, lecz może nie to miał na myśli, tylko czemu musimy odcinać się od tego, co nosi miano miłości, i czy jest ona tylko karząca jak miłość winobrańca, a Królowa Wdowa nie słuchała.

Czuł, jak wyrasta w nim coś na kształt słabości, i wpadł w rozpacz. To było powodem rozpacz.

Nocą leżał bezsennie, długo gapiąc się w górę, prosto w mrok, gdzie był Bóg zemsty, i łaska, i miłość, i sprawiedliwość. To wtedy opadła go rozpacz. Nie było niczego tam w mroku, nie było niczego, tylko pustka, i jakaś wielka rozpacz.

307

Co to za życie, myślał, gdy sprawiedliwość i pomsta zwycięża, a ja nie mogę w mroku dostrzec Bożej miłości, jedynie rozpacz, i pustkę.

Nazajutrz się obaczył.

Odwiedził wtedy Króla.

Z Chrystianem było tak, że wydawało się, jakby się całkiem poddał. Wszystko go napawało trwogą; trzęsąc się, przesiadywał w swych pokojach, tylko niechętnie przyjmował jedzenie, które mu teraz zawsze przynoszono, i odzywał się tylko do psa.

Murzynek Moranti gdzieś zniknął. Być może owej nocy, nocy pomsty, kiedy próbował schronić się pod prześcieradłem, jak go nauczył Chrystian, i mimo wszystko nie mógł uciec, być może tej nocy się poddał, albo zapragnął powrócić do czegoś, o czym nikt nie miał pojęcia. Albo został zabity owej nocy, gdy Kopenhaga wybuchła i wszystkich ogarnęła niepojęta furia i wszyscy wiedzieli, że coś się skończyło i że gniew muszą zwrócić przeciw czemuś, z przyczyn niezrozumiałych dla nikogo, lecz że jest gniew i domaga się zemsty; nikt go nie widział po tej nocy. Zniknął z kart historii. Chrystian nakazał wszcząć poszukiwania, lecz okazały się daremne.

Teraz pozostał mu tylko pies.

Guldberg był zaniepokojony raportami o kondycji Króla i pragnął sam przekonać się, ku czemu zmierza stan Monarchy; wszedł do Chrystiana i mówił do niego łagodnie i kojąco, zapewniał, iż wszelkie spiski na życie Króla zostały zażegnane, a zatem nic mu już nie grozi. Po pewnej chwili Król począł, głosem ściszym do szeptu, „zwierzać” Guldborgowi pewne tajemnice.

Żywił wcześniej, powiedział Guldborgowi, pewne fałszywe mniemania, jak to, że jego matka, królowa Luiza, miała kochankę, Anglika, który był jego prawdziwym ojcem. Czasem zaś wydawało mu się, że jego matką jest caryca Rosji, Katarzyna Wielka. Jednak sam fakt, że został w jakiś sposób „podmieniony”,

308

nigdy nie budził jego wątpliwości. Mógł być na przykład „podmienionym” chłopskim dzieckiem. Stale używał słowa „podmieniony”, które zdawało się oznaczać albo że doszło do pomyłki, albo że został świadomie zamieniony.

Wszelako teraz zyskał całkowitą pewność. To Królowa, Karolina Matylda, była jego matką. Fakt, że obecnie była więziona w Kronborgu, przerażał go w najwyższym stopniu. Że jednak była jego matką, nie ulegało kwestii.

Guldberg słuchał go, coraz bardziej skonfundowany i strwożony.

W nowo zdobytej „pewności” Chrystiana, czy raczej w jego szalonym, teraz już całkiem pewnym, obrazie własnej tożsamości, zdawały się pojawiać elementy historii Amletha, z kroniki Saxo Grammaticusa; Szekspirowskiego Hamleta, którego Guldberg dobrze znał, Chrystian nie mógł widzieć (wszak nie zagrano go za jego pobytu w Londynie) i żadne duńskie przedstawienie jeszcze się nie odbyło.

Mentalna konfuzja Chrystiana i jego osobliwe urojenia związane z własnym pochodzeniem nie były niczym nowym. Od wiosny 1771 jego stan przestawał budzić jakiejkolwiek wątpliwości. To, że przeżywał rzeczywistość jako teatr, nie było dla nikogo tajemnicą. Ale jeżeli było teraz tak, że czuł się częścią przedstawienia, gdzie Karolina Matylda była jego matką, to Guldberg musiał z niepokojem zadać sobie pytanie, jaką też rolę przypisywał Struenseemu.

I jak sam Chrystian w owej rzeczywistej sztuce miał teraz zamiar postępować. Wedle jakiego tekstu, i jakiej interpretacji? W jakiej roli zamierzał obsadzić sam siebie? To, że komuś w mentalnej konfuzji zdawało się, że bierze udział w teatralnym przedstawieniu, nie było w końcu niczym nadzwyczajnym. Ale ten aktor nie odbierał rzeczywistości symbolicznie, czy przenośnie, i nie był pozbawiony władzy. Jeśli zdawało mu się, że jest częścią teatralnego przedstawienia, to w jego mocy było także zamienić teatr w rzeczywistość. Wszak ciągle jeszcze było tak,

309

że wszelki rozkaz, dyspozycja z ręki Króla musiały spotkać się z posłuchem. Cała formalna władza była jego.

Gdyby miał szansę odwiedzić ukochaną „matkę”, która go wykorzysta, mogło się zdarzyć wszystko. Zabić jakiegoś Rosen-crantza, Guildensterna czy Guldberga było aż nazbyt łatwo.

- Pragnąłbym - powiedział Guldberg - móc udzielać Waszej Wysokości porad w tej nadzwyczajnie delikatnej kwestii.

Chrystian wbił wtedy tylko wzrok w swoje białe stopy, miał zżute buty, i wymamrotał:

- Gdyby tylko była tu Pani Wszechświata. Gdyby tylko tu była... i mogła. I mogła.

- Co - spytał Guldberg - mogła co?

- Mogła mi ofiarować swój czas - wyszeptał Chrystian. Wtedy Guldberg odszedł. Rozkazał także, by wzmocniono

straże Króla, i aby ten pod żadnym pozorem nie kontaktował się z nikim bez pisemnej zgody Guldberga.

I poczuł z ulgą, że jego chwilowy przypływ słabości ustąpił, że odstąpiła go rozpacz i znów mógł działać całkowicie racjonalnie.

2. Pastor niemieckiej parafii Świętego Piotra, doktor teologii Balthasar Miinter, odwiedził Struenseego w jego celi, na polecenie rządu, po raz pierwszy 1 marca 1772.

Od owej nocy, gdy uwięziono Struenseego, upłynęło sześć tygodni. Przez ten czas załamywał się stopniowo. Były to dwa załamania. Najpierw to małe, przed Komisją Inkwizycyjną, kiedy się przyznał i wydał Królową. Potem to wielkie, wewnętrzne.

Najpierw, po załamaniu przed Komisją Inkwizycyjną, nie czuł zupełnie nic, poza rozpaczą, i pustką, lecz potem pojawił się wstyd. To poczucie winy i wstyd rozgościły się w nim, by go zżerać od środka jak rak. Przyznał się, wydał ją na pastwę skrajnego poniżenia; co z nią teraz będzie. I z dzieckiem. Nie wiedział całkiem, co począć, i nie miał z kim porozmawiać, jedynie Biblię, ale nienawidził myśli, że miałby uciekać się do niej. Książkę

310

Guldberga, o tym szczęśliwie teraz nawróconym libertynie, przeczytał trzy razy, i za każdym razem zdawała mu się coraz bardziej naiwna i napszona. Ale nie miał nikogo, z kim mógłby porozmawiać, i nocami zimno dawało się we znaki, a na przegubach i kostkach robiły mu się ropiejące rany od kajdan; lecz to nie było to.

To była cisza.

Kiedyś mówiono o nim Cichy, ponieważ słuchał, ale teraz rozumiał, czym jest cisza. Była groźnym czającym się zwierzęciem. Dźwięki ustały.

To wtedy zjawił się pastor.

Każdej kolejnej nocy zdawał się dryfować coraz dalej w zakątki pamięci. Znosiło go daleko. Z powrotem do Altony, i jeszcze dalej: z powrotem do dzieciństwa, o którym prawie nigdy nie chciał myśleć, lecz teraz to przyszło. Dryfował z powrotem do tego, co przykre, do pobożnego domu, i matki, która nie była surowa, lecz pełna miłości. Pastor na jedno z pierwszych spotkań przyniósł list od ojca Struenseego, i ojciec dawał wyraz ich rozpaczy, „twoje wywyższenie, o którym czytaliśmy w gazetach, nie sprawiało nam nigdy radości”, a teraz, pisał, rozpacz nie było końca.

Matka dodała parę słów o żalości i współczuciu; ale właściwy sens listu sprowadzał się do tego, że tylko totalne nawrócenie i całkowite zdanie się na łaskę Zbawiciela Jezusa Chrystusa mogłyby go uratować.

To było nie do wytrzymania.

Pastor siedział na krześle i przyglądał mu się spokojnie, i swym taktownym głosem rozkładał jego problem na logiczne struktury. Nie było to jednak bezduszne. Pastor zobaczył jego rany i uzalił się na brutalne traktowanie, i pozwolił mu się wypłakać. Lecz kiedy pastor Munter mówił, Struensee doznał nagle tego dziwnego poczucia niższości, że nie jest żadnym myślicielem, żadnym teoretykiem, że jest jedynie lekarzem z Altony i zawsze chciał siedzieć cicho.

311

I że jest niewystarczający.

Ale najlepsze było to, że ten mały pastor o chudej, ostrej twarzy i spokojnych oczach formułował pewien problem, który usuwał w cień to, co najgorsze. Najgorsza była nie śmierć, ani ból, ani też to, że być może przyjdzie mu umrzeć w męczarniach. Najgorsza była inna kwestia, która dręczyła go bez przerwy, dzień i noc.

Gdzie popełniłem błąd? To było najgorsze.

Pewnego razu pastor, niemal mimochodem, dotknął tego tematu. Powiedział:

- Hrabio Struensee, jak pan ze swego gabinetu, w izolacji, mógł wiedzieć, co jest słuszne i właściwe? Dlaczego sądził pan, że zna pan prawdę, skoro pan nie znał rzeczywistości?

- Przez szereg lat - odrzekł Struensee - pracowałem w Alto-nie i dobrze znałem rzeczywistość.

- No tak - powiedział pastor Munter po krótkiej przerwie. -Jako lekarz w Altonie. Ale te sześćset trzydzieści dwa dekrety?

I po chwili milczenia, nieomal z ciekawością, dodał:

- Kto sporządzał niezbędną dokumentację?

A wtedy Struensee, niemal z uśmiechem, rzekł:

- Sumienny urzędnik sporządza zawsze solidną dokumentację, choćby miała ona dotyczyć jego pochwytowania.

Duchowny skinął głową, tak jakby uznał otrzymane wyjaśnienie za prawdziwe i jednocześnie oczywiste.

Wszak nie popełnił żadnego błędu.

Ze swego gabinetu przeprowadził duńską rewolucję, spokojnie i bez hałasu, nie mordował, nie wtrącał do więzień, nie zmuszał, nie egzulował, nie dał się skorumpować władzy i nie nagradzał przyjaciół, nie czerpał z owej władzy żadnych korzyści osobistych i nie pożywał jej dla jakichś mrocznych egoistycznych pobudek. Lecz mimo to musiał popełnić jakiś błąd. I w jego nocnych koszmarach raz po raz powracała tamta podróż do

312

uciśnionych duńskich chłopów, i incydent z umierającym chłopcem na drewnianym koniu.

To było tam. Było w tym coś, co nie dawało spokoju.

I nie chodziło tu o fakt, że się przestraszył nadbiegającego tłumu. Raczej, że był to ten jedyny raz, kiedy się znalazł blisko nich. Ale zawrócił, i pobiegł za powozem w mroku i w błocie.

Właściwie sam się oszukiwał. Często mówił sobie, że winien był zakończyć europejską podróż w Altonie. Ale właściwie przerwał ją już w Altonie.

Na marginesie swojej dysertacji rysował ludzkie twarze. Było w nich coś ważnego, o czym chyba zapomniał. Widzieć mechanizm i wielką grę, i nie zapomnieć ludzkich twarzy. Czy to tam?

Koniecznienie musiał odsunąć te myśli. Dlatego też logiczny mały pastor sformułował dla niego inny problem. Był to problem wieczności, czy istnieje, i z wdzięcznością wyciągnął dłoń do tego małego pastora i przyjął ów dar.

W ten sposób pozbył się tej drugiej kwestii, tej najgorszej.

I czuł wdzięczność.

Dwadzieścia siedem razy pastor Munter miał odwiedzić Struenseego w jego celi.

Przy drugiej wizycie oznajmił, iż jest mu wiadome, że Struensee z całą pewnością zostanie stracony. Zatem pojawił się następujący problem intelektualny. Jeżeli śmierć oznaczała kompletne unicestwienie - to cóż, to tak już jest. Nie było wtedy wieczności ani Boga, nie było nieba ani wiecznej kary. Nie miało wtedy znaczenia, jak Struensee rozumował przez te ostatnie tygodnie. Dlatego! primo: Struensee winien był skupić się na jedynej pozostałej możliwości, tej mianowicie, że istnieje życie pozagrobowe, i secundo: rozważyć, jakie istnieją sposoby, by optymalnie móc wykorzystać tę pozostałą możliwość.

Pokornie spytał Struenseego, czy ów się zgadza z tym rozumowaniem, i Struensee długo siedział w milczeniu. Potem Struensee zapytał:

313

- A jeśli przyznam, że tak jest, czy w tym wypadku pastor Miinter będzie tu do mnie często wracał, abyśmy wspólnie mogli przeanalizować tę drugą ewentualność?

- Tak - powiedział Miinter. - Codziennie. I to każdego dnia po wiele godzin.

Tak się zaczęły ich rozmowy. I tak zaczęła się historia nawrócenia Struenseego.

Historia jego nawrócenia, dwieście stron z okładem, przybiera często postać pytań i odpowiedzi. Struensee pilnie czyta swoją Biblię, znajduje problemy, chce odpowiedzi, otrzymuje odpowiedzi. „Proszę mi wszak powiedzieć, hrabio Struensee, co pana razi w tym fragmencie? - No cóż, gdy Chrystus zwraca się do Matki słowami: Co mnie i tobie, niewiasto? to jest to jednak okrutne, i, jeśli wolno mi użyć tego słowa, nieprzystojne". A potem następuje szczegółowy komentarz pastora, tu nie wiadomo, czy przedstawiany bezpośrednio Struenseemu, czy napisany później. Lecz wiele stron wyczerpujących teologicznych odpowiedzi. Potem krótkie pytanie i szczegółowa odpowiedź, pod koniec zaś dnia i spisywania protokołu zapewnienie, iż hrabia Struensee zrozumiał, i w pełni sobie uświadomił.

Krótkie pytania, długie odpowiedzi i podsumowująca aprobata. O politycznej działalności Struenseego ani słowa.

Owo wyznanie nawróconego grzesznika wyszło niebawem drukiem, w wielu językach.

Nikt nie wie, co właściwie zostało powiedziane. Pastor Miinter tam siedział, dzień za dniem, pochylony nad swoim notatnikiem. Potem to wszystko miało być wydane i zdobyć sobie wielki rozgłos: jako publiczny akt pokuty osławionego libertyna i oświeceniowca.

To Miinter wszystko spisał. Później Królowa Wdowa przyjrzała się tekstowi, nim został opublikowany, i dokonała pewnych zmian i ocenzurowała pewne partie.

314

Potem mógł być wydrukowany.

Młody Goethe był zbulwersowany lekturą. Zbulwersowała ona także wielu innych.

Bulwersujące nie było samo nawrócenie, lecz że zostało ono wymuszone torturami. Choć

przecież to nie była prawda, a on nigdy nie zaparł się oświeceniowych ideałów; lecz zdawał się z radością rzucać w objęcia Zbawiciela i szukać ukojenia w jego ranach. Wszelako ci, którzy mówili o apostazji i obłudzie wymuszonej torturami, nie byli w stanie wyobrazić sobie, jak to było: owego spokojnego, analitycznego, cichego, współczującego pastora Muntera, który swoją łagodną i melodyjną niemczyzną, nareszcie po niemiecku!, w końcu po niemiecku!, mówił do niego i unikał tego, co bolesne, dlaczego poniósł klęskę na tym świecie, a mówił mu o wieczności, co nie sprawiało bólu. I to w owej niemczyźnie, która czasami zdawała się prowadzić Struenseego na powrót do punktu wyjścia, gdzie było bezpiecznie i ciepło: gdzie odnajdował uniwersytet w Halle i swoją matkę, i jej napomnienia, i atmosferę pobożności, i list ojca, i to, że mieli usłyszeć, że spoczywa teraz w ranach Chrystusa, i ich radość, i Altonę, i szczepienie ospy, i przyjaciół w Halle, i wszystko, wszystko to, co teraz wydawało się stracone.

Ale co kiedyś istniało, i co w owe dni i godziny ożywało za sprawą pastora Muntera siedzącego na krześle, tuż przed nim, w tej lodowato zimnej, strasznej Kopenhadze, której nigdy nie powinien był odwiedzać, a gdzie teraz tylko logiczne, intelektualne, teologiczne rozmowy mogły na parę godzin uwolnić Cichego, lekarza z Altony, od tego strachu, który był jego słabością, a ostatecznie może jego siłą.

3. Wyrok na Struenseego został podpisany przez Komisję w sobotę 25 kwietnia. Uzasadnieniem nie było to, że cudzołożył z Królową, lecz że świadomie dążył do zaspokojenia swej chorobliwej żądzy władzy i zlikwidował Radę Królewską, i że to z jego winy Jego

315

Wysokość Król, który gorąco ukochał swój lud, przestał obdarzać zaufaniem swoją Radę, Struensee zaś następnie stworzył łańcuch aktów przemocy i prywaty oraz pogardy dla religii, moralności i dobrych obyczajów.

O niewierności nic, jedynie mętna wzmianka: „poza występny czynem, poprzez który winny jest zbrodni obrazy majestatu najwyższego stopnia”. Nic o chorobie psychicznej Chrystiana.

Nic o córeczce. Lecz jednak crimen laesae majestatis, zbrodnia obrazy majestatu, „najwyższego stopnia”. Sankcja karna sformułowana była wedle pierwszego artykułu, rozdziału 4., 6. tomu duńskiego prawa:

„Że hrabia Johann Friedrich Struensee skazany został na utratę czci, życia i mienia, co jemu będzie zasłużoną karą, innym zaś, jego zwolennikom, pożyteczną nauką i przestrogą; ma zatem zostać pozbawiony tytułu hrabiowskiego i wszelkich innych darowanych mu godności; jego hrabiowski herb ma zostać publicznie złamany przez kata; ponadto Johannowi Friedrichowi Struenseemu ma być obcięta żywcem prawa ręka, następnie zaś głowa; ciało ma być poćwiartowane i wplecione w koło, głowa i ręka zaś z kolei zatknięte mają być na palu”. Brandt dostał tę samą karę. Ręka, głowa, poćwiartowanie, części ciała na kole i palu. Jednakże motywacja była całkiem inna; uzasadnieniem jego kary śmierci oraz sposobu egzekucji był osobliwy incydent z palcem wskazującym.

Targnął się na osobę Króla.

Dwa dni później, 27 kwietnia po południu, wyrok miał zostać zatwierdzony przez króla Chrystiana siódmego. Jego podpis był niezbędny. Budziło to wiele niepokoju, istniało ryzyko ułaskawienia. Ze względu na to postarano się, by Chrystian był intensywnie zajęty, jakby go chciano zmęczyć, znieczulić ceremoniami, albo wprowadzić rytualnie w świat teatru, gdzie nic, zwłaszcza wyroki śmierci, nie było realne.

316

Dnia 23 kwietnia wieczorem wydano wielką maskaradę, na której Król oraz Królowa Wdowa raczyli witać wszystkich zaproszonych osobiście. 24 kwietnia urządzono w Teatrze Duńskim koncert, na którym była rodzina królewska. 25 kwietnia ogłoszono wyrok na Struenseego i

Brandta, a wieczorem Król oglądał operę Hadrian w Syrii. 27 kwietnia król Chrystian, teraz już, według świadków, zupełnie wycieńczony i oszołomiony, zabrany został wraz z dworem na obiad do pałacu Charlottenlund, skąd wrócił o siódmej wieczorem, podpisał wyroki, po czym natychmiast został zawieszony do Opery, gdzie wysłuchał, przeważnie przymykając oczy albo drzemiąc, jakiejs włoskiej opery.

Obawa, że Król ułaskawi skazańców, była wielka. Przeczuwano jakiś odwet, zamach stanu, a wtedy wiele głów mogłoby spaść. Jednak obawa interwencji obcych państw została rozproszona, gdy 26 kwietnia przybył z Sankt Petersburga kurier, przywożąc list do króla Danii.

List przeczytano uważnie.

Katarzyna Wielka była zatroskana, lecz nie posuwała się do gróźb. Apelowwała do Króla, pisząc, że „współczucie, które nieobce jest żadnemu szczeremu i wrażliwemu sercu”, winno nakazać mu „posłuchać raczej podszeptów łagodności, niż okazywać bezwzględna surowość” w stosunku do tych „nieszczęśników”, którzy ściągnęli na siebie jego gniew, „jakkolwiek byłby on słuszny”.

Chrystian, rzecz jasna, nie otrzymał nigdy tego listu. Ton był łagodny. Rosja nie miała zamiaru się wtrącać. Nie miał zamiaru wtrącać się król Anglii. Można było spokojnie wypłenić rozpustników.

Ostatnim problemem był Chrystian.

Oby tylko Chrystian, w swoim mentalnym zmąceniu, nie stwarzał żadnych problemów, i podpisał! Bez sygnatury - żadnej mocy prawnej.

Wszystko jednak poszło jak z płatka. Chrystian siedział, mamrocząc, przy stole w sali posiedzeń Rady, rozedrgany i roz-kojarzony, tylko na chwilę jakby oprzytomniał, aby poskarżyć

317

się na osobliwy i zawiły język, jakim ów bardzo długi wyrok był spisany, po czym wybuchnął nagle, wykrzykując, że ten, kto pisze tak dziwnym językiem, „zasłużył sobie na sto batów”. Potem mamrotał dalej, beznadziejnie, i bez protestów złożył podpis.

Później, już w drodze do powozu, który miał zawieźć go do Opery, zatrzymał Guldburga, odciągnął go na stronę i coś mu szeptem „zwierzył”.

Zwierzył się Guldbergowi, iż wcale nie jest pewien, czy Stru-ensee go pragnął zamordować. Ale, tłumaczył, jeśli jest tak, że on sam, Chrystian, nie jest człowiekiem, lecz wybrańcem Boga, to niekonieczna wszak jest jego bezpośrednia obecność na miejscu egzekucji, by ułaskawić skazańców! Czyż nie wystarczy, jeśli rozkaże Bogu, jako swojemu mocodawcy, by ich ułaskawił? Czy musi sam się zjawić i pokazać swoją twarz? A ponieważ, zwierzał się dalej Guldbergowi, od dawna dręczy go wątpliwość, czy jest człowiekiem, czy jest człowiekiem z krwi i kości, może podmieńcem, którego prawdziwymi rodzicami są chłopcy z Ju-tlandii, czyż owa egzekucja nie mogłaby dla niego być dowodem; dowodem! w ten sposób, że jeżeli! jeżeli!!! jedynie mocą swojej myśli, obecny czy też nieobecny przy straceniu, mógłby wywołać ułaskawienie, to wtedy byłoby udowodnione, udowodnione!! !, że nie jest człowiekiem. Ale! jeżeli to by mu się nie powiodło, to przecież również! również! i tak by udowodnił, że naprawdę jest człowiekiem. W ten sposób owa egzekucja miała być znakiem, którego pożądał od tak dawna, znakiem od Boga mówiącym, jakie jest jego pochodzenie, i odpowiedzią na pytanie, czy naprawdę jest człowiekiem.

Mówił to do Guldburga szeptem, uporczywie, i na koniec wydusił z siebie tylko:

- Znak!!! Nareszcie jakiś znak!!!

Guldberg wysłuchał tych chaotycznych wynurzeń, najmniejszym drgnięciem twarzy nie zdradzając swoich uczuć. Odnotował, że Król nie wspomniał ani słowem o Karolinie Matyldzie

318

jako o swej matce. Chrystian Amleth zdawał się być chwilowo zapomniany.

- Rozumowanie błyskotliwe i poprawne - powiedział tylko Guldberg.

Potem Chrystiana odwieziono do Opery. Guldberg spoglądał za nim długo w zamyśleniu, a następnie podjął przygotowania pewnych środków ostrożności w związku z jutrzejszą egzekucją, co, jak zrozumiał teraz, było nieodzowne.

4. Miejsce straceń budowano jak teatralną scenę.

Natychmiast po podpisaniu wyroku przez Króla zaczęto budowę szafotu na Ostre Faslleden. Miał postać czworokątnej drewnianej budowli, wysokiej na blisko pięć metrów; na jej dachu wybudowano dodatkową platformę, podwyższenie, dzięki któremu zarówno kat, jak ofiara mogli być dobrze widoczni, z kłocami, na których miano uciąć głowę i rękę, podwyższonymi specjalnie.

Budowano bardzo szybko; na miejsce wysłano niewielką orkiestrę, by w trakcie pracy stworzyć ceremonialną oprawę dokoła tego teatru śmierci. Wieść szybko się rozniosła; egzekucja miała się odbyć 28 kwietnia o dziewiątej rano, i już na parę godzin wcześniej zaczęła się pielgrzymka tłumów. Blisko trzydzieści tysięcy ludzi wyległo ranną porą z Kopenhagi, aby piechotą, konno lub powozem dotrzeć na Faelleden, błonia leżące na północ od wałów.

Całe wojsko stacjonujące w Kopenhadze odkomenderowano do nadzoru egzekucji. Oblicza się, że wokół Fcellleden rozlokowano około pięciu tysięcy żołnierzy; część miała chronić samo miejsce straceń, część, rozmieszczona dokoła na błoniach, miała tłumić ewentualne zamieszki.

Obaj duchowni, Miinter i Hee, w tych wczesnych rannych godzinach stawili się u skazańców. Więźniowie mieli opuścić Cytadelę o godzinie 8.30, w asyście procesji powozów, pod 319

eskortą dwustu żołnierzy piechoty, z nasadzonymi bagnetami, oraz dwustu trzydziestu czterech konnych dragonów. Każdy z więźniów w osobnym powozie.

Podczas ostatnich godzin swego życia Brandt grał na flecie. Zdawał się teraz pogodny i wyzbyty lęku. Wyrok, wraz z uzasadnieniem, przeczytał z uśmiechem; stwierdził, że zna na pamięć ceremoniał związany z tą komedią, że oczywiście zostanie ułaskawiony, gdyż oskarżenia są tak absurdalne, a kara niewspółmierna do oskarżeń. Gdy odbierano mu flet przed odjazdem, powiedział tylko:

- Tę sonatinę będę sobie grał dalej wieczorem, gdy ta komedia się skończy i będę już wolny jak ptak.

Gdy oznajmiono mu, że ma zostać stracony przed Struen-seem, przez moment zdawał się być zbity z tropu, być może zaniepokojony; uważał, że przy ułaskawieniu byłoby naturalne, gdyby skazaniec winny cięższej zbrodni, czyli Struensee, został stracony najpierw, aby niewinny, czyli on sam, mógł potem w naturalny sposób zostać ułaskawiony.

Ale zakładał teraz, że obaj będą ułaskawieni.

Najlepiej byłoby, tłumaczył wchodząc do powozu, gdyby ułaskawienie przyszło po drodze na szafot, aby nie musiał się narażać na wściekłość motłochu. Mówił, że jego pozycja jako Maitre de plaisir, odpowiedzialnego za kulturalne dystrakcje dworu i stolicy, a zatem funkcja Ministra Kultury, budziła niechęć u sporej części ludności. Wśród motłochu wyraźna była niechęć do kultury, i gdyby został ułaskawiony na szafocie, mogła zagrozić mu reakcja tłumu, „wtedy motłoch może mnie żywcem obedrzeć ze skóry”.

Uspokoił się jednak, gdy usłyszał, że pięć tysięcy wojska miało go chronić przed ludem.

Ubrany był w swój zielony odświętny strój z galonami, na to miał zarzucone białe futro.

Powozy jechały bardzo wolno.

Na miejscu, przy szafocie, u stóp schodów, stała kochanka i przyjaciółka Brandta, z którą przestawał ostatnimi czasy; Brandt ją pozdrowił z wesołą, zuchowatą miną, spytał strażników, czy istotnie musi wchodzić na szafot, zanim go ułaskawią, ale kazano mu to zrobić.

Pastor Hee poszedł za nim schodami na górę.

Już na górze udzielił Brandtowi rozgrzeszenia. Następnie wyrok został odczytany, i kat, Gottschalk Muhlhausen, wystąpił do przodu, okazał wszystkim tarczę z hrabiowskim herbem Brandta, złamał ją i wypowiedział przepisową i zwyczajową formułę: „Nie dzieje się to bez powodu, lecz wedle zasługi”. Super-intendent Hee zapytał potem Brandta, czy żałuje popełnionej zbrodni obrazy majestatu, a Brandt odpowiedział, że tak; to było wszak warunkiem ułaskawienia, które teraz miało nastąpić. Zanim nadeszło, rozkazano mu zdjąć futro i kapelusz, jego odświętny zielony surdut i kamizelkę; uczynił też i to, choć z irytacją, uważał bowiem, że to niepotrzebne. Potem zmuszony był uklęknąć i umieścić głowę na kłocu, a prawą rękę, wyciągniętą, na drugim, stojącym tuż obok. Był teraz blady, lecz ciągle jeszcze pewny siebie, gdyż to był właśnie ów moment, kiedy ktoś winien zawołać: -Pardon. W tej samej chwili kat odrąbał mu toporem prawą dłoń.

Dopiero wtedy pojął, że to było serio, odwrócił głowę, jak w konwulsji, i wbił oczy w kikut ręki, skąd teraz tryskała krew, i zaczął krzyczeć z przestrawu; lecz trzymano go mocno, przyciśnięto mu głowę do kłoca, i następne cięcie topora oddzieliło jego głowę od tułowia. Głowę następnie podniesiono i pokazano tłumowi.

Wśród widzów panowała martwa cisza, co wielu zdumiało.

Następnie ciało rozebrano, wycięto z niego genitalia i zrzuciono je na wóz stojący pod szafotem, z wysokości pięciu metrów. Potem rozpruto brzuch, wyjęto i zrzuciono na dół wnętrzości, a ciało poćwiartowano i następnie zrzuciono na wóz.

321

Brandt się pomylił. Nikt nie planował żadnego ułaskawienia, a w każdym razie nie jego, i nikt z dzierżących teraz władzę. Być może była jakaś szansa. Lecz szansę tę udaremiono.

Ubiegłego wieczora król Chrystian siódmy oznajmił, że życzy sobie być wcześniej obudzony; i o godzinie ósmej rano, sam, nie wspominając ani słowem, co zamierza, wybrał się na zamkowy dziedziniec, a następnie do wozowni.

Tam zażądał powozu z woźnicą.

Sprawiał wrażenie zdenerwowanego, cały trzął się, tak jakby to, co właśnie przedsiębrał, napawało go przerażeniem, lecz nie napotkał żadnego sprzeciwu czy obiekcji; wręcz odwrotnie, powóz był przygotowany, konie osiodłane, i oddział sześciu żołnierzy pod dowództwem oficera Gwardii Królewskiej zaraz otoczył powóz. Król nie okazał w żaden sposób podejrzliwości z tej przyczyny, tylko rozkazał się wieźć na miejsce straceń, na Ostre Faelled.

Nikt mu się nie sprzeciwił i powóz, z eskortą, ruszył z miejsca.

W czasie podróży siedział skulony w kącie, jak zwykle ze wzrokiem wbitym w swoje stopy; był blady i wydawał się oszołomiony, ale nie podniósł wzroku do momentu, gdy ponad pół godziny później powóz się zatrzymał. Wtedy wyrzwał, i uświadomił sobie, gdzie się znalazł. Był na wyspie Amager. Rzucił się ku obojgu drzwiom, lecz znalazł je zaryglowane, otworzył okno i zawołał do eskorty, że zawieziono go w złe miejsce.

Nic nie odpowiedzieli, lecz zrozumiał. Wywieziono go na Amager. Został oszukany. Powóz stał teraz nieruchomo, sto metrów od morza, i wyprzęgano konie. Zapytał wtedy, co to wszystko znaczy; ale oficer, który dowodził eskortą, podjechał do powozu i oznajmił, że koniecznie musieli teraz zmienić konie, gdyż te były zdrożone, i że pojedą dalej, skoro tylko przybędą nowe konie.

Potem szybko odjechał.

Drzwiczki powozu były zaryglowane. Konie wyprężone. Dragoni, na swych koniach, uplasowali się sto metrów dalej, czekając, w ordynku.

Król siedział samotnie w powozie bez koni. Zaprzestał wołać i bezradnie osunął się na siedzenie powozu. Spoglądał na brzeg morza, który w tym miejscu nie był pokryty drzewami, i na wodę, zupełnie cichą. Rozumiał, że był już najwyższy czas, by ułaskawić skazańców. Nie wyszedł z powozu. Jego wołanie nie docierało do nikogo. Dragoni widzieli, jak całym ramieniem i dłonią wykonywał przedziwne wskazujące gesty, przez otwarte okno karety, ku czemuś gdzieś w górze; jakby wyciągał rękę w stronę nieba, w stronę jakiegoś Boga, który może obrał go sobie na syna, i który może był, i który może posiadał moc ułaskawiania; ale po pewnym czasie jego ramię jakby osłabło, lub może ogarnęło go zwątpienie; ręka opadła. Na powrót zaszył się w kącie powozu. Ze wschodu nadciągały nad Amager brzemienne deszczem chmury. Dragoni czekali w milczeniu. Nie nadjeżdżały żadne konie. Nie objawiał się żaden Bóg.

Może już teraz zrozumiał. Może otrzymał swój znak. Był tylko człowiekiem, niczym innym. Deszcz zaczął padać, coraz cięższy, i wkrótce miały może przybyć konie, i wtedy mieli może wrócić, może do zamku, i może istniał jakiś miłosierny Bóg, ale dlaczego w takim razie nie pozwoliłeś mi nigdy zobaczyć Twojej twarzy i nie wskazałeś mi drogi, i nie ofiarowałeś mi swojego czasu, Twego czasu, nie dałeś mi czasu, a teraz coraz cięższy, zimny jak lód deszcz. Nikt nie słyszał jego wołania. Żadne konie. Żaden Bóg. Tylko ludzie.

J. Szwedzki król Gustaw trzeci koronowany został w roku 1771, to jest akurat w owych czasach Struenseego, którym przyglądał się z tak mieszanymi uczuciami i z taką ciekawością. Koronację tę przedstawia słynny obraz, namalowany przez Carla Gustafa Piłło.

Nosi on zresztą tytuł Koronacja Gustawa III. Piłło był nauczycielem rysunku młodego Chrystiana, przebywał w czasach Struenseego na duńskim dworze, lecz w 1772 został egzulowany

i wrócił do Sztokholmu. Zaczął wtedy malować swoją wielką koronację Gustawa trzeciego, której nigdy nie zdołał dokończyć, i która pozostała jego ostatnim dziełem.

Może próbował opowiedzieć coś, co było nazbyt bolesne.

W centrum obrazu szwedzki król, jeszcze młody; bije od niego blask godności, finezji, duchowej ogłady, lecz król ma także, jak wiemy, głowę pełną oświeceniowych idei. Wiele lat jeszcze upłynie, nim się zmieni, i nim go zamordują, na pewnym balu maskowym. Dokoła niego, zgrupowany, jego równie świetny dwór.

Zaskakujące jest tło.

Król i dwór nie są, jak się zdaje, przedstawieni w żadnej sali tronowej; są umieszczeni w jakimś bardzo ciemnym lesie, pośród potężnych ciemnych pni, tak jakby owa scena koronacji rozgrywała się w głębi jakiejś prastarej puszczy, w dzikich ostępach północnej Europy.

Nie, nie filary, nie kolumny w katedrze. Mroczne, nieodgadnione pnie drzew, puszcza w groźnym mroku, a w środku ta emanująca światłem grupa.

Czy to mrok jest światłem, czy to, co świeci, jest mrokiem? Można wybierać. Tak jest z historią, można wybierać, co się widzi, i co jest światłem, i mrokiem.

O. Struensee spał głębokim snem tej nocy, i gdy się zbudził był całkiem spokojny.

Wiedział, co go czekało. Leżał z oczami otwartymi i długo patrzył na szary, kamienny sufit celi i bez reszty koncentrował się na jednej, jedynej myśli. Myślał o Karolinie Matyldzie.

Skupił się na tym, co było piękne, i na tym, że ją kocha, i że dotarła do niego jej wiadomość, że wybaczyła mu, że się przyznał; i myślał o tym, co odczuwał tamtym razem, gdy powiedziała mu, że jest w ciąży, i że to dziecko jest jego. Właściwie wtedy już rozumiał, że wszystko jest stracone, lecz że to nie ma znaczenia. Miało mu się urodzić dziecko, i owo dziecko miało żyć, i miało dać

mu żywot wieczny, to dziecko miało żyć i rodzić dzieci, w tym była wieczność, a zatem nic innego nie miało znaczenia.

O tym myślał.

Gdy pastor Miinter wszedł do celi, głos mu drżał i odczytał fragment z Biblii, i wcale nie był taki logiczny, jak zwykle, lecz dał się ponieść burzy uczuć, co było zaskakujące, i co zdawało się dowodzić, że wcale nie był niechętny Struenseemu, wręcz przeciwnie, że go niezwykle polubił; lecz Struensee powiedział mu bardzo uprzejmie, że tego ranka, tego ostatniego, pragnie otoczyć się ciszą, aby bez reszty skupić się na kontemplacji żywota wiecznego, i cieszyłby się, gdyby pastor zechciał to zrozumieć.

1 pastor przytaknął mu z mocą, i rozumiał. Spędzili zatem ową poranną godzinę w zupełnej ciszy i milczeniu.

Potem odjazd.

Miinter nie jechał w powozie Struenseego, wsiadł tam dopiero pod szafotem; powóz zatrzymał się tuż obok tej konstrukcji i z powozu mogli widzieć, jak Brandt wchodzi po schodach, i przez otwarte okna słyszeć słowa pastora Hee i kata, i krzyk Brandta, gdy niespodzianie obcięto mu rękę, a potem ciężkie głuche uderzenia, gdy go ćwiartowano i części ciała zrzucano na wóz u stóp szafotu.

Miinter nie był zbyt wielką pomocą. Zaczął coś czytać z Biblii, lecz nie mógł się opanować i zaczął trząść się i szlochać spazmatycznie. Struensee przemawiał do niego łagodnie, ale nic nie pomagało. Pastor trząsł się na całym ciele i pośród łkania usiłował wyjąkać słowa pociechy ze swej Biblii, lecz Struensee poratował go swoją chusteczką, i nie minęło pół godziny, jak zakończono ćwiartowanie Brandta, ustały głuche odgłosy rąbanego ciała, i nadeszła pora.

Stał na górze i patrzył na morze ludzkich głów. Jak wielu ich przyszło! To morze głów było bezkresne: to właśnie do tych ludzi przyszedł z wizytą, i to im chciał pomóc. Dlaczego mu nie dziękowali!, lecz widział ich po raz pierwszy.

325

Teraz ich widział, czy widziałem, o Boże, który może jesteś, szczelinę w którą wcisnąć się było moim powołaniem i czy to dla nich i czy wszystko jest stracone czy powinienem był ich pytać Boże widzę ich i oni widzą mnie lecz jest za późno i może powinienem był mówić do nich i nie zamykać się w odosobnieniu i może oni powinni byli mówić do mnie lecz ja siedziałem przecież tam w moim pokoju i dlaczego musimy po raz pierwszy spotkać się w ten sposób teraz gdy jest za późno i złamali tarczę z jego herbem, i wypowiedzieli tamte słowa. I rozebrali go. Bloki były obficie ubabrane przez Brandta i pomyślał: to Brandt owe kawałki mięsa i ta krew i śluz czym więc jest człowiek kiedy zniknie to co święte czy to jedynie ochłapy i krew i oto Brandt czym więc jest człowiek, wzięli go za ramiona i potulnie jak baranek położył szyję na bloku, a rękę na drugim bloku i patrzył prosto przed siebie, na bezkresne morze twarzy, które blade i szare, i z rozwartymi ustami, patrzyły w górę, na niego, a wtedy kat swoim toporem odrąbał mu prawą dłoń.

Jego ciałem wstrząsnęły wtedy konwulsje, tak silne, że kat, gdy miał mu obciąć głowę, zupełnie chybił celu; Struensee podniósł się na kolana, otworzył usta, jakby chciał przemówić do wielotysięcznego tłumu, wszystkich tych, których dziś widział pierwszy raz, jedyny obraz jaki biorę z sobą Panie Jezu to obraz mojej córeczki lecz gdybym mógł jeszcze przemówić do tych wszystkich którzy nie zrozumieli i wobec których zgrzeszyłem przez to że nie i przyciśnięto go z powrotem do bloku, i gdy za drugim razem kat uniósł swój topór, mignęły mu ostatnie słowa, jakie powiedział do niej, po wieki wieków, i topór wreszcie trafił, i ściał głowę niemieckiego konsyliarza; i jego duńska wizyta dobiegła końca.

Ze wschodu nadciągnęły ciężkie, brzemienne deszczem chmury, i gdy zaczęto ćwiartowanie ciała Struenseego, rozpadał się deszcz; lecz nie to zmusiło tłumy do odejścia.

Oddalali się z miejsca kaźni, tak jakby mieli już dosyć, jakby chcieli powiedzieć: nie, nie chcemy tego oglądać, coś jest nie tak, i to nie było tak, jak żeśmy chcieli.

Czyżby nas oszukano?

326

Nie, nie uciekali, zaczęli tylko odchodzić, najpierw kilkuset, potem kilka tysięcy, potem poszli wszyscy. Zdawało się, że tego im dość, w tym, co widzieli, nie było radości, nie było żadnej Schaden-freude ani zemsty, to wszystko stało się po prostu nie do zniesienia. Najpierw byli owym bezkresnym tłumem, który, milcząc, gapił się na to, co się działo, czemu milcząc? Potem zaczęli się rozchodzić, w pierw powoli, a potem coraz bardziej gorączkowo, jakby w smutku. Szli i biegli ku miastu, deszcz padał coraz większy, lecz do deszczu byli przyzwyczajeni; było tak, jakby w końcu dotarła do nich świadomość, czym było to widowisko, i że więcej tego nie chcieli.

Czy to okrucieństwa mieli dosyć? Czy czuli się okłamani?

Guldberg kazał zatrzymać swój powóz dwieście stóp od szafotu, nie wysiadł, ale rozkazał, aby dwudziestu żołnierzy pozostało, dla ochrony. Ale ochrony przed czym? Wszystko przebiegło zgodnie z planem. Lecz nagle coś się zdało groźne i poza kontrolą, co z tym tłumem, dlaczego opuszczali widowisko, co było w tych znużonych, smutnych, steranych twarzach, co sprawiło, że poczuł niepokój; przesuwali się przed nim jak szara, zawzięta masa, jak rzeka, milcząca żałobna procesja, która nie miała żadnych słów ani uczuć, i zdawała się tylko wyrażać - no cóż, żal. Był to żal głuchy, niemy, i zarazem poza kontrolą. Widzieli ostateczny koniec czasów Struenseego, lecz jednocześnie Guldberg poczuł, że zagrożenie wcale nie minęło. Że oni także noszą w sobie zarazę grzechu. Że czarny blask pochodni oświecenia nie został zgaszony. Że owe myśli zaraziły ich w jakiś przedziwny sposób, choć przecież nie umieli czytać, a w każdym razie nie rozumieli, i nigdy nie mieli zrozumieć, i że dlatego koniecznie trzeba trzymać ich pod kontrolą, i prowadzić; lecz zaraza mogła tam być pomimo to. Może to nie był koniec czasów Struenseego; i wiedział, że należy teraz zachować najwyższą czujność.

Głowa odcięta, lecz myśli pozostały, a ludzie nie chcieli pozostać i patrzeć, i czemu odeszli? To znak ostrzegawczy. Czyżby popełnił jakiś błąd? Co mógł odczytać z tych steranych, smutnych twarzy, czy rezygnację? Cóż,

327

być może. Gdybyż tak było. Siedział tam w powozie, i ta olbrzymia procesja otaczała go jak rzeka, nie na brzegu! lecz w nurcie! w samym nurcie!, a on nie wiedział, jak ma sobie to tłumaczyć.

Najwyższa czujność była teraz nieodzowna. Czasy Struense-ego się skończyły. Lecz ta zaraza.

Owych trzydzieści tysięcy nie powitało ściętej głowy entuzjazmem. Uciekali, biegnąc, kuśtykając, wlokąc ze sobą małe dzieci, które tam zaciągnęli, od szafotu, znikającego teraz w strugach deszczu. Nie chcieli już patrzeć. Coś było nie tak. Guldberg siedział bez ruchu w powozie, dobrze strzeżony. Ale na zawsze miał już zapamiętać, jak przepływała owa nieskończona ludzka masa, lecz w milczeniu; ta ludzka masa, która rozdzielała się jak rzeka, aby wyminąć jego powóz, i że tam siedział, nie, już nie na brzegu, jako cierpliwy egzegeta, tylko pośrodku nurtu. I po raz pierwszy wiedział, że nie umie zinterpretować rzecznych wirów.

Co się roiło w tych głowach? Czyżby jednak czas Struenseego się nie skończył?

Wszak jednomyślność, całkiem niedawno, jeszcze przed trzema miesiącami, była taka wielka. Pamiętał radosne styczniowe rozruchy. Tak wielki gniew ludu. A teraz milczeli, i szli, i opuszczali, nie okazując radości, w tej gigantycznej żałobnej procesji brzemienną ciszą, która po raz pierwszy sprawiła, że Guldberg się bał.

Czyżby zostało coś, czego odrąbać się nie da?

Wóz hycła stał pod szafotem.

Kiedy ów wóz mający zawieźć porąbane zwłoki na Vestre Fælled, gdzie głowy i ręce miały zostać zatknięte na pal, a reszta członków i wnętrzności wplecione w koło, kiedy ten wóz był w końcu wypełniony i mógł ruszyć, błonia już opustoszały: nie licząc pięciu tysięcy żołnierzy, którzy w milczeniu, i w bezruchu, w ulewnym deszczu pilnowali pustej przestrzeni po tych trzydziestu tysiącach, które już dawno opuściły miejsce, gdzie, jak sądzono, odrąbano i zakończono czasy Struenseego.

Epilog

Dowiedziała się dzień po egzekucji.

Potem, dnia 30 maja, Karolina Matylda została zabrana przez owe trzy angielskie statki i przewieziona do Celle, w Hannove-rze. Zamek, leżący w centrum miasta, został wzniesiony w XVII wieku i stał niezamieszany, lecz odtąd miał być miejscem jej pobytu. Mówiono, że zachowała żywy temperament, wiele energii poświęcała dobroczynności wśród ubogich w Celle, i wymagała, aby pamięć Struenseego otoczona była szacunkiem. Często go wspominała, mówiąc o nim „świętej pamięci hrabia”. Wkrótce ją bardzo pokochano w Celle, gdzie utarło się przekonanie, że wyrządzono jej krzywdę.

Jej przyszła rola w polityce była przedmiotem częstych spekulacji. Chrystian, który pogryźł się w swej chorobie, wciąż był królem, a ich syn dziedzicem tronu. Choroba Króla stwarzała teraz, tak jak przedtem, lukę w centrum, którą po Struenseem zajęli inni.

Właściwą władzę sprawował Guldberg. W istocie był jedynowładcą, z tytułem premiera; wszelako w Danii, w pewnych kręgach, powstało niezadowolenie i snuto plany zamachu, który miał przywrócić na tron Karolinę Matyldę z jej dzieckiem, a obalić Guldberga oraz jego partię.

10 maja 1775 przerwano jednak owe wcale zaawansowane plany, gdy Karolina Matylda zmarła nagle, w niejasnych okolicznościach, na jakąś „zakaźną gorączkę”. Pogłosek o tym, jakoby została otruta na zlecenie duńskiego rządu, nie udało się nigdy potwierdzić.

329

Miała wówczas zaledwie dwadzieścia trzy lata. Nie zobaczyła nigdy więcej swoich dzieci. Rewolucja, którą rozpoczął Struensee, została szybko odwołana; nie minęło parę tygodni, a wszystko było po staremu, albo jak jeszcze dawniej. Tak jakby jego sześćset trzydzieści dwa rewolucyjne dekrety, wydane w ciągu tych dwóch lat noszących miano „czasów Struenseego”, tak jakby owe dekrety były papierowymi jaskółkami, z których zaledwie kilka wylądowało, podczas gdy inne dalej szybowwały, tuż nad ziemią, i nie zdążyły jeszcze osiąść w duńskim krajobrazie.

Nastąpiły czasy Guldberga, które trwały do roku 1784, gdy został obalony. To oczywiste, że za jego rządów przywrócono status quo antę. Podobnie jak to, że po czasach Guldberga nie pozostało nic.

Uderzająca była niebywała polityczna produktywność Struenseego. Jak wiele jednak urzeczywistniono?

Krzywdzący byłby wszakże jego wizerunek jedynie jako teo-retyka-fantasty, wyposażonego w zdumiewającą władzę. Dania po czasach Struenseego nigdy nie była już taka jak przedtem. Guldberg nie mylił się w swoich obawach; oświeceniowa zaraza zakorzeniła się na dobre, słów i myśli nie dało się skrócić o głowę. A jedną z reform, z którymi Struensee nie zdążył, likwidację stavnsbandet i poddaństwa, wcielono w życie już w 1788, na rok przed rewolucją francuską.

Struensee miał żyć dalej także w inny sposób.

Córeczka Struenseego i Karoliny Matyldy, Luiza Augusta, została wychowana w Danii; jej brat, jedyne dziecko Chrystiana, był w 1784 jednym z inicjatorów zamachu, który obalił Guldberga, a w roku 1808 miał zasiąść na tronie po śmierci swego szalonego ojca.

Losy dziewczynki natomiast potoczyły się inaczej. Świadczenia mówią, że była bardzo piękna, z „niepokojącą” witalnością. Zdawała się podzielać zasadnicze polityczne przekonania swego ojca, brała aktywny udział w wydarzeniach francuskiej rewolu-

330
cji, sympatyzowała z Robespierre'em, a o ojcu mawiała, że „miał dosyć ducha, lecz zabrakło mu przebiegłości”.

Skądinąd było to, być może, trafne spostrzeżenie. Jej uroda i witalność czyniły z niej atrakcyjną, chociaż nie zawsze spokojną i spokojną, partnerkę w miłosnym związku. Poślubiła księcia Fryderyka Chrystiana von Augustenborg, który bynajmniej do niej nie dorastał, pod żadnym względem. Urodziła mu jednak trójkę dzieci, w tym córkę, Karolinę Amalię, którą w roku 1815 wydano za duńskiego następcę tronu, księcia Chrystiana Fryderyka, przyszłego monarchę; tak oto wszystko znowu powróciło na dwór w Kopenhadze. Wielu z potomków Struenseego weszło w ten sposób w progi europejskich domów królewskich, osobliwych i zagadkowych, i zagrożonych rychłym rozpadem, w których on sam był tak niepożądanym i przelotnym gościem. Jego praprawnuczka Augusta Wiktoria została małżonką cesarza Niemiec, Wilhelma drugiego, i urodziła mu ośmioro dzieci; nie ma dziś w Europie żadnej dynastii, nie wyłączając szwedzkiej, której koneksje rodzinne nie prowadziłyby wstecz do Johanna Friedricha Struenseego, jego angielskiej księżniczki i ich dziecka.

Może nie miało to znaczenia. Jeśli w więzieniu śnił czasami sen, biologizyczny, o wieczności, o tym, że żywot wieczny to żyć dalej w swoich dzieciach, to został jednak wysłuchany. Ze swoim snem o wieczności i swoją wizją człowieczeństwa nie zdołał chyba nigdy się uporać - z tym, co próbował opisywać, w typowy dla siebie, teoretycznie nieprzejrzysty sposób, jako „człowieka maszynę”. Lecz czym właściwie był człowiek, którego można było pokroić na sekcji, lub poćwiartować i wpleść w koło, a który jednak w jakiś sposób mógł żyć dalej. Czym była ta świętość. „Świętość jest tym, co świętość czyni”, myślał: to człowiek jako suma swoich egzystencjalnych wyborów i uczynków. Lecz ostatecznie to nie to, lecz coś innego, ważniejszego, zostało z tych czasów. Nie biologia, nie tylko uczynki, lecz pewne marzenie o możliwościach człowieka, to najświętsze i to najbardziej nieuchwytnie, to, co istniało jak uparcie powracający ton fletu z czasów Struenseego, to, czego nie dało się odrąbać.

331

Angielski poseł Keith, po wieczorze w Teatrze Dworskim, we wrześniu 1782, w raporcie dla swojego rządu zdał sprawę z pewnego incydentu.

To było spotkanie pomiędzy nim, królem Chrystianem siódmym i premierem Guldbergiem. Chrystian zasugerował, że Struensee żyje; i Keith odnotował wściekłość, choć pohamowaną, jaką to wywołało w Guldbergu.

Wszyscy mówili o czasach Struenseego. Nie było to sprawiedliwe. Nie było to sprawiedliwe!!!

Później, tego wieczoru, Chrystian zniknął.

Dokąd poszedł akurat tego wieczoru, rzecz jasna, nie wiemy. Wiadomo jednak, gdzie miał w zwyczaju znikać, oraz że zniknął często. I u kogo. Dlatego można sobie wyobrazić, jak to było także owego wieczoru: że z Teatru Dworskiego przeszedł parę kroków do pewnego domu w centrum Kopenhagi, w niedalekim zaułku Studiestrasde. I że także po owym opisanym przez Keitha zdarzeniu wszedł do domu na Studie-straede i został przyjęty przez tę, którą z takim uporem nazywał Panią Wszechświata, która teraz wróciła, która zawsze była jedyną, której mógł ufać, jedyną, którą darzył swoją szczególną formą miłości, jedynym dobroczyńcą, jaki w końcu istniał dla tego królewskiego dziecka, które liczyło sobie teraz trzydzieści trzy lata, a które życie tak sponiewierało.

Była to Kasia Kamaszniczka, która, po swym pobycie w Hamburgu i Kilonii, od wielu lat mieszkała znowu w Kopenhadze. Była obecnie, wedle współczesnych relacji, cokolwiek posiwiata, bardziej pulchna, i może także mądrzejsza.

I można przyjąć, że wtedy, także owego wieczoru, odbywały się te same rytuały, co dawniej, te ceremonie miłości, dzięki którym Chrystian, przez tak wiele lat, był w stanie przeżyć w tym domu wariatów. Że przysiadł u jej stóp na stołeczku, którego zawsze używał, i że ona mu zdjęła perukę, zwilżyła w misce z wodą miękką szmatkę i starła z jego twarzy wszystkie pudery i szminki; i że potem czesała jego włosy, podczas gdy on siedział,

332

całkiem spokojnie, przymykając oczy, na swym stołeczku u jej stóp, i z głową złożoną na jej kolanach.

I że wiedział, iż ona jest Panią Wszechświata, i że jest jego dobroczyńcą, i że ma czas dla niego, że ma cały czas, i sama jest czasem.

felblic .

-:.

ISIS,

Spis treści

CZĘŚĆ I	ICH CZWORO	
Rozdział 1	Winobraniec	9
Rozdział 2	Nietykalny	31
Rozdział 3	Angielskie dziecko	53
Rozdział 4	Pani Wszechświata	68
CZĘŚĆ II	KONSYLIARZ	
Rozdział 5	Cichy z Altony	93
Rozdział 6	Towarzysz podróży	109
CZĘŚĆ III	KOCHANKOWIE	
Rozdział 7	Instruktor jazdy konnej	131
Rozdział 8	Żywy człowiek	149
Rozdział 9	Chata Rousseau.....	162
CZĘŚĆ IV	IDEALNE LATO	
Rozdział 10	W labiryncie	185
Rozdział 11	Dziecko rewolucji	203
Rozdział 12	Flecista	219
Rozdział 13	Bunt marynarzy	236
CZĘŚĆ V	MASKARADA	
Rozdział 14	Ostatnia wieczerza	251
Rozdział 15	Taniec śmierci	265
Rozdział 16	Klasztor	282
Rozdział 17	Winobraniec	291
Rozdział 18	Rzeka	306
Epilog		329

/